

1

Tłum ludzi wsiadł do nowojorskiego metra, które z jednakową obojętnością przewoziło każdego, bez względu na wiek, płeć i stan. Wszystkie twarze wydawały się do siebie podobne, ale bez wątplenia wśród pasażerów, w pokrytym graffiti wagonie, znajdowało się kilku przestępców, pewnie ze dwóch prawników i młoda matka z wrzeszczącym dzieckiem.

W tę ludzką mieszaninę trafiła również Julie Gaffney, bardzo miła dziewczyna, taka co to zawsze na czas płaci rachunki i nigdy nie zapomina o kontrolnej wizycie" u dentysty.

Zdecydowanie nie pasowała do tego tłumu.

Nawet na pierwszy rzut oka wyróżniała się świeżą cerą, pięknymi rysami, starannie wyprasowaną bluzką i miłym wyrazem twarzy. To przede wszystkim przez ten miły wyraz twarzy wydawało się, że wyłącznie przez pomyłkę trafiła do zatłoczonego metra w to czwartkowe popołudnie, wyjątkowo upalne jak na tak wczesną wiosnę.

Pozostali pasażerowie stali jak jedna szara masa, wpatrując się przed siebie niewidzącym spojrzeniem, ściskając w rękach aktówki i firmowe torby z zakupami, których ostre papierowe kanty bezlitośnie drapały ręce, a czasami nawet twarze ludzi stojących obok.

Julie Gaffney wkroczyła do wagonu, trzymając aktówkę przed sobą jak kopię, niczym rycerz, szykujący się do turniejowej potyczki.

- Pociąg linii F. Kierunek Brooklyn - zatrzeszczało w głośniku. Tylko co druga sylaba była słyszalna. - Następna stacja: Czterdziesta Druga Ulica.

Zapowiedź była zupełnie niezrozumiała dla nieszczęśników, którzy rzeczywiście potrzebowali informacji. Brzmiała jak przytłumiony klakson albo niewyraźny głos jakiejś postaci z kreskówek. Tylko ci o wprawnym uchu, którzy i tak wiedzieli, co usłyszą, potrafili w miarę wyraźnie rozróżnić słowa.

- Czy dojadę tym do Queens?! - zawołała z narastającą paniką w głosie kobieta w średnim wieku.

- Nie - odezwała się Julie, a inni pasażerowie natychmiast spojrzeli na nią z zaciekawieniem. Niepisana zasada podróżowania metrem brzmi: nie reagować. Nie reagować ani na jednorękiego żebraka, ani na sprzedawcę jo-jo, ani na faceta z papierową torbą na głowie, który twierdzi, że jest kosmitą. Nie reagować na nikogo. Z buntowniczym, ale uprzejmym uśmiechem Julie mówiła dalej: - Musi pani wejść na górę i przejść na inny peron, dla lokalnych pociągów w drugą stronę. Łatwo pani trafi, zobaczy pani mnóstwo znaków.

Kobieta spoglądała na Julie, jakby oceniała wiarygodność dziewczyny i wartość informacji. Wystarczająco często jeździła metrem, żeby wiedzieć, że taka reakcja jest ze wszech miar niezwykła. Zobaczyła młodą kobietę przed trzydziestką, o niebieskozielonych oczach, jasnych, trochę wypłowiałych od słońca włosach do ramion i o pięknej, pełnej ciepła twarzy.

- Jest pani pewna? - Kobieta przyjrzała się strojowi Julie, garniturowi w prążki, któremu kobiecości dodawała koronkowa bluzka i fantazyjna złota broszka, wpięta w klapę. Julie skinęła głową. Drzwi zaczęły się już zamykać, więc kobieta przecisnęła się szybko przez tłum i wyszła z wagonu. - Dzięki - dodała przez ramię. - Jest pani bardzo miłą młodą damą.

Wszyscy pasażerowie się odwrócili i znów utkwili wzrok w złożonych gazetach, powieściach kryminalnych lub, najczęściej, w pustce tuż nad głowami innych.

Julie westchnęła. Podróżując z pracy do mieszkania w Chelsea, miała chwilę wolnego czasu i mogła sobie wyobrażać, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie tkwiła właśnie w samym środku zawodowego kryzysu. Prawdę mówiąc, w branży reklamowej każdy tydzień przynosi nowe kryzysy. Atmosfera paniki jest nierozłącznie związana z pracą w reklamie.

Właśnie w tej branży udało się Julie odnieść duży sukces. Mimo łagodnego charakteru była jedną z najmłodszych osób na kierowniczym stanowisku w mieście i jedyną kobietą, która zaszła tak wysoko. Szybki awans sprawił jej przyjemność, zapewnił wygodny gabinet i duże mieszkanie, ale nadal czegoś jej brakowało. To coś, cokolwiek to było, zakłócało każdą drobną radość i szeptało jej do ucha: Tak, masz udane życie, ale jest coś jeszcze, coś bardzo, bardzo ważnego.

Pociąg z hałasem przystawał na każdej stacji, nowi pasażerowie wchodzili do środka, inni z trudem przeciskali się do wyjścia.

Uśmiechnęła się do młodej matki z wrzeszczącym dzieckiem. Kobieta w obronnym geście przyciągnęła do siebie malucha, jakby uśmiech Julie był żądaniem okupu.

Kiedy drzwi zaczęły się zamykać, do wagonu wsunął się ślepy starzec z akordeonem.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. W to czwartkowe popołudnie nikogo nie obchodził uliczny grajek. Wszyscy chcieli jak najszybciej dotrzeć do domu, zapomnieć o pracy, metrze i ślepych akordeonistach.

Przysadzisty staruszek często pojawiał się w pociągach linii F, umiał grać w rozkołysanym, trzęsącym się wagonie. Julie uśmiechnęła się i sięgnęła do torebki po drobne. Zawsze dawała jakiś datek temu ślepcowi z akordeonem, w krzywo zapiętej koszuli, spod której prześwitywał podkoszulek. Wytarł dłonie

o spodnie, a instrument na przez chwilę bezwładnie zawisł mu na szyi. Potem staruszek zaczął grać.

Kiedy zabrzmiały pierwsze takty, rozległo się kilka jęków. Grajek miał ograniczony i dość jednorodny repertuar. Przeważnie z zapalem wygrywał piosenki *Hiszpańską damą* i *Krople deszczu spadają mi na głowę*.

Tego dnia zagrał coś innego, piosenkę *Gdybym kiedykolwiek cię opuścił* z musicalu *Camelot* Lerner'a i Loewego.

Julie w myślach nuciła jej słowa, które mówiły o miłości i tęsknocie.

Zdawała sobie sprawę, że kilka osób przygląda się jej ciekawie, ale nie potrafiła opanować wzruszenia. Piosenka tak ją zauroczyła, że nagle Julie przeniosła się z zatłoczonego metra na łąkę pełną kwiatów, gdzie przystojny rycerz zapewniał ją kwiecieście - a może całkiem prostymi słowami - że nigdy jej nie opuści. Przełknęła ślinę, pociągnęła nosem i zacisnęła usta, żeby nie wymknął się z nich żaden dźwięk.

Wtedy przypomniał jej się sen. Ten sam, który wielokrotnie do niej powracał, czasami na jawie, czasami w środku nocy. Występowała w nim kobieta, piękna i tajemnicza; wyłamała się z mgły. Jej włosy połyskiwały złotawo, miała na sobie szmaragdowozieloną suknię i poruszała się z gracją tancerki.

Nagle stawała w miejscu, całkiem nieruchomo, a mgła nadal wirowała i kłębiła się wokół skraju jej sukni. Kobieta pochylała się i coś podnosiła. Julie nigdy nie udało się zobaczyć, co to było, ponieważ zanim mgła się rozviała, jakaś dłoń, duża i mocna, zabierała ten tajemniczy przedmiot. A kobieta uśmiechała się ciepło.

Sen zawsze kończył się właśnie tak. Muzyka i fantazje zlały się w jedno, tak że nie potrafiła już powiedzieć, gdzie kończy się piosenka i zaczyna sen.

Julie zamknęła oczy i kołysała się w takt muzyki, zgodnie z rytmem pociągu i wirowaniem mgły w marzeniach. Jednak

piosenka szybko się skończyła. Julie znów znalazła się w wypełnionym obcymi ludźmi wagonie metra, którym wracała po pracy do pustego mieszkania.

Ślepiec przeszedł wzdłuż wagonu, w podziękowaniu kiwając głową, kiedy ktoś wrzucił mu monetę do puszeki po kawie. Julie wsunęła do puszeki banknot pięciodolarowy, a grajek skinął jej głową tak samo jak tym, którzy dali mu pięć lub dziesięć centów. Przeszedł do następnego wagonu i kiedy pociąg zwalniał przed kolejną stacją, zza odrapanych, metalowych drzwi usłyszała niewyraźne dźwięki *Kropki deszczu...*

Nie potrafiła wyrzucić z pamięci piosenki z musicalu *Camelot*. Dziwny nastrój rozmarzenia nie opuścił jej, nawet kiedy wysiadła na swojej stacji i automatycznie weszła do sklepu spożywczego, żeby kupić sobie coś na kolację.

Czy to możliwe, żeby ktoś był tak bezgranicznie zakochany i z całym przekonaniem obiecywał, że nigdy nie odejdzie? Czy miłość może trwać wiecznie?

Stojąc w kolejce do kasy, spoglądała na nagłówki plotkarskich brukowców, obwieszczające rozwody gwiazd, których śluby opisywano z zachwytem w tych samych gazetach niecały rok wcześniej. Julie doszła do wniosku, że idealna miłość najprawdopodobniej nie jest możliwa. Jej własna historia stanowiła wystarczający dowód na przelotną naturę współczesnych romansów. Nic już nie jest trwałe. Nic nie jest na zawsze.

- Julie?

Za jej plecami rozległ się męski głos; natychmiast go rozpoznała. Odwróciła się z wymuszonym uśmiechem.

- Orrin! Jak się miewasz?

- Wspaniale, po prostu wspaniale! - Mówiąc to, zmarszczył nos. Ten nerwowy tik powtarzał się u niego niepokojąco często podczas pierwszej i, jak dotychczas, jedynej randki. - A ty? Zostawiłem kilka wiadomości na twojej automatycznej sekretarce. Pomyślałem sobie, że moglibyśmy się spotkać.

- Ach, tak. Ale wiesz, w pracy mam ostatnio istny obłąd. Naprawdę, ciągle coś się dzieje.

- No, jasne, nie wątpię. Pracujesz w biurze podróży, tak?

- Nie. W reklamie. Pracuję w agencji reklamowej.

- A, tak, tak. - Nos zmarszczył mu się nerwowo.

- Muszę już iść. - Chwyciła koszyk z zakupami i wskazała na kolejkę.

- Aha. Mówiłem ci już, że przyszłym tygodniu mam ważny występ?

- To wspaniale. Gdzie będziesz grał?

- W Cackadoodle Lounge, we wtorek, tuż po wieczorze karaoke. To solowy występ. Będę też śpiewał oryginalne pieśni z epoki i tak dalej. To w zasadzie prawdziwy koncert, nie zwykły występ.

Już chciała zapytać, jak zamierza jednocześnie śpiewać i grać na waltorni, ale doszła do wniosku, że odpowiedź wcale jej nie interesuje.

- Mam nadzieję, że znajdziesz trochę wolnego czasu, Julie. - Pomyślał chwilę i dodał: - Piwo będzie po zniżkowych cenach. Podają je w plastikowych kubkach i trzeba cały wieczór pić z tego samego, ale to i tak prawdziwa okazja. Nie ma też żadnej opłaty za wstęp.

- Coś takiego! Postaram się przyjść. Dzięki.

- Nie ma za co. Aha, Julie...

Zatrzymała się.

- Przepraszam za tamten wieczór.

Julie nie była pewna, o co mu chodzi. Ich jedyna randka miała miejsce przed trzema tygodniami. Orrin na środku japońskiej restauracji zdjął buty i skarpety, żeby posypać stopy talkiem, potem zażądał, żeby Julie „porządnie się wstawiła”, bo dzięki temu się rozluźni; głośno siorbiąc, jadł galaretkę na deser, a jadąc Hudson Street, wdał się w awanturę z motocyklistą.

- Och, nie ma za co - odparła wesoło. - Życzę ci udanego występu.

- To w zasadzie koncert - poprawił ją Orrin.
- Oczywiście. Cześć.

Wreszcie pomachał jej na do widzenia i odszedł.

Julie ostatni raz zerknęła na gazety. Nie, znała już odpowiedź. Prawdziwa romantyczna miłość, taka, o jakiej zawsze marzyła, w dzisiejszych czasach po prostu się nie zdarza. Kiedy kładła na ruchomej taśmie banany, mrożone dania i pojemniki z sałatkami, zastanawiała się z coraz większym smutkiem, czy taka doskonała miłość kiedykolwiek istniała.

Czerwone światełko wściekle migotało na jej automatycznej sekretarce. Postawiła zakupy na podłodze. Z niepokojem zauważyła, że mrożone dania zaczynają się roztopiać, ale pragnienie wysłuchania wiadomości okazało się silniejsze. Wcisnęła guzik, żeby odtworzyć nagranie.

Pierwsza nagrała się ciotka Tessie z Ohio. Przypomniała jej, że zbliżają się urodziny ciotki Fran z Indiany i miło by było, gdyby Julie wysłała jej kartkę z życzeniami. Julie skinęła głową, jakby mówiła „Tak, tak, wiem”. Kartkę już wysłała, właśnie tego dnia, a ciotka z pewnością się tego domyślała. Po prostu chciała porozmawiać o ekscytującym życiu towarzyskim siostrzenicy, która przecież mieszka we wspaniałym Nowym Jorku, więc stale przydarza jej się coś fascynującego. Rzecz jasna, Julie nigdy nie zasugerowała nawet jednym słowem, że prowadzi fascynujące życie. Nie musiała- ciotki same sobie wszystko wymyśliły. W swojej wyobraźni stworzyły jej życie pełne cudownych zdarzeń.

Chociaż obie były urocze, czasami trudno było Julie znieść ich pełną życzliwości nadopiekuńczość i ciągłą troskę o osieroconą krewną. Za każdym razem, kiedy nabierała przekonania, że doskonale sobie sama radzi, dzwoniły do niej lub przysyłały wytłaczaną kiczowatą kartkę pocztową, przypominając Julie, że jest w tym mieście całkiem sama.

Następna wiadomość pochodziła od jakiegoś Dale'a, kolegi znajomego, który chciał się od niej dowiedzieć czegoś o reklamie. Jego głos brzmiał niewyraźnie, czasami zanikał, zapewne z winy telefonu. Julie przypuszczała, że dzwonił z samochodu. Zrozumiała, że zapraszał ją na wczesny lunch w najbliższą niedzielę. Nie zapomniał dodać, że będzie tam też jego dziewczyna.

Julie nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu. Dlaczego wszyscy mężczyźni głęboko wierzą, że każda niezamężna kobieta padnie im z zachwytu do stóp, jeśli odpowiednio wcześniej jej nie ostrzegą, że mają dziewczynę, narzeczoną albo żonę?

Trzecią wiadomość nagrała koleżanka z college'u. Oznajmiała radośnie, że się zaręczyła, i pytała, czy Julie nie może zostać druhną na jej ślubie. Oczywiście, że może. Jeszcze jedna suknia ze sztucznego materiału w jakimś ohydny pastelowy kolorze, skrojona tak, że druhny wyglądają w niej okropnie, dołączy do innych na dnie szafy. Razem będzie już dziewięć takich sukni, dziewięć par pantofli w takim samym kolorze i dziewięć ozdobionych falbankami stroików na głowę...

Jeszcze jakiś dźwięk dobiegł z automatycznej sekretarki; przez radosną paplaninę koleżanki z college'u przebijał męski głos. Z początku Julie myślała, że to narzeczony przyjaciółki mówi coś w tle albo są to fragmenty innej rozmowy telefonicznej, prowadzonej w pobliżu. Jednak męski głos zdawał się wydobywać gdzieś z daleka.

Przyjaciółka odłożyła słuchawkę i w tej krótkiej chwili, zanim automat wyłączył się z cichym trzaskiem, Julie wreszcie usłyszała wyraźnie, co mówił mężczyzna. Udręczonym głosem błagał:

- Pomóż mi.

2

o rany! Julie, wyglądasz dziś okropnie! - wymamrotała recepcjonistka Audrey, przekładając różowe karteczki z zapisanymi wiadomościami. W głębokim dekolcie jej sweterka z angory, także różowego, widać było główny powód, dla którego została zatrudniona na tym stanowisku, chociaż nie umiała pisać na maszynie ani stenografować, a i rozmowy z interesantami przez telefon nie szły jej najlepiej. Była jednak wyjątkowo przyjacielska, więc klienci - zwłaszcza mężczyźni - bardzo ją lubili. Wręcz za nią przepadali.

Audrey wstała, demonstrując wysokie szpilki, obcisłą minispódniczkę, a przede wszystkim - niezachwianą pewność siebie. Ktoś, kto miał dostęp do akt osobowych, wysłedził, że recepcjonistka zbliża się do sześćdziesiątki. Jeszcze raz przerzuciła różowe karteczki.

- Twoja asystentka zadzwoniła i powiedziała, że jest chora, chociaż, jak słyszałam, wczoraj w tawernie U Donovana czuła się bardzo dobrze. Bob, jak mu tam... ten nowy z działu kreatywnego... twierdzi, że wczoraj miałaś do niego zadzwonić. Poza tym jacyś goście czekają na ciebie w sali konferencyjnej. No, wiesz, ci wysocy Szwedzi. Mój drugi mąż, Panie świeć nad jego duszą, też

był Szwedem. To znaczy, jego rodzice pochodzili ze Szwecji. Wiem, chociaż ich nie poznałam. A może jego dziadkowie? W każdym razie, ci trochę mi go przypominają.

- Czy ktoś jeszcze mnie szukał? - Julie przeczesała palcami włosy, starając się choć trochę poprawić wygląd fryzury.

- To chyba wszystko, ale wychodziłam do toalety, więc mogłam przegapić kilka telefonów. Wczoraj zjadłam na kolację sałatkę z kurczaka, a po niej zawsze źle się czuję. Kiedyś pojechałam z moim trzecim mężem do Jersey i...

- Dziękuję, Audrey. - Julie chwyciła karteczki z wiadomościami i szybko poszła do swojego gabinetu. Była spóźniona. Julie Gaffney, znana z tego, że często wcześniej rano dzwoniła do współpracowników, żeby ich obudzić na czas, dzisiaj sama zasnęła.

- Julie, jesteś nam potrzebna! - krzyknął rozgorączkowany młodszy specjalista do spraw kontaktów z klientami zza swojego przepierzenia. - Debbie dzwoniła, że jest chora i...

- Wiem 'iem. Zaraz przyjdę.

Weszła do gabinetu i na chwilę zamknęła drzwi, starając się zapanować nad sobą. Nadal, kiedy wkraczała do tego przestronnego pokoju z miękkimi dywanami i pięknym widokiem na Manhattan, nie mogła uwierzyć, że to naprawdę jej gabinet. Czasami miała wrażenie, że za chwilę wejdzie tu prawdziwy dyrektor, przyłapie ją na gorącym uczynku i wyrzuci z powrotem do ciasnej klatki, w której przed ponad siedmiu laty zaczynała pracę w agencji. Dotychczas jednak się to nie zdarzyło, policja do spraw przebiegu kariery zawodowej jeszcze nie wpadła na jej trop, więc jeśli uda się Julie podpisać kilka kontraktów i zadowolić klientów, przed końcem roku dostanie następny awans.

Trzęsącymi się rękami poprawiła jedwabną apaszkę i sięgnęła do torebki po szminkę. Była roztrzęsiona, i to nie tylko z powodu spóźnienia na spotkanie z klientem.

Tak naprawdę poruszył ją męski głos, nagrany na jej domową automatyczną sekretarkę. Poprzedniego wieczoru, po przesłuchaniu wiadomości, zeszła do pralni. Po powrocie zastała kolejną wiadomość. Dzwonił ktoś z pracy, ale prawie nie słyszała, co mówił.

Docierały do niej tylko jakieś trzaski na linii, a potem rozległa się wyraźnie wypowiedziana prośba, ta sama co przedtem.

- Pomóż mi.

Nawet w drodze do pracy potrafiła myśleć tylko o tym; zupełnie zapomniała o kampanii reklamowej.

Drżącą dłonią pomalowała usta, starając się nie rozmazać szminki po całej twarzy. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby wyrównać kontury. Już miała wyjść z gabinetu, ale zatrzymała się i sięgnęła po słuchawkę. Wszystkie światelka migotały niczym jakaś oszalała choinka. Wystukała na klawiaturze numer Rona z działu sztuki. Miał bzika na punkcie elektroniki i czytał „Mechanikę dla wszystkich” z takim zapałem, jak dorastający chłopcy czytają „Playboya”.

- Cześć, Ron. Tu Julie.

- Nie.

- Słucham?

- Powiedziałem: nie. Nie potrafię wymyślić nic lepszego, bo cały pomysł na tę kampanię jest do bani. Przykro mi, Julie, ale z tym nic się nie da zrobić. Co ci przyszło do głowy, żeby wykorzystać średniowiecznego rycerza w reklamie środka czystości? Na litość boską, przecież ten gatunek już dawno wymarł. A jeśli nawet w dawnych czasach rycerze czyścili broje, to tylko po to, żeby zmyć z nich krew swojej ostatniej ofiary. Do jakiej pani domu może to przemówić? To nie ma najmniejszego sensu, a poza tym, Ajax wykorzystał ten pomysł już dawno temu. Wiem, że tobie zawsze wychodzą nawet najdziwniejsze pomysły, ale tym razem...

- Nie o to chciałam cię zapytać. Słuchaj, mam kłopot z automatyczną sekretarką w moim mieszkaniu.

- Co takiego? - zdziwił się Ron.
- Ciągłe słyszę jakieś trzaski, zakłócenia na linii.

Ron uwielbiał takie problemy.

- Chcesz powiedzieć, że wiadomości niewyraźnie się nagrywają?

- Coś w tym rodzaju. Ale to dlatego, że w tle słychać jakiś męski głos.

- Cichy wielbiciel? - Ron prychnął rozbawiony. - Robi się coraz ciekawiej! A co on ci takiego mówi? Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, czego naprawdę chcą dziewczyny.

- Nie, tu chodzi o coś zupełnie innego. Wydaje mi się, że on... ma jakieś kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Nie wiem. Prosi mnie o pomoc.

- Słuchaj, Julie, gdyby każdy facet na Manhattanie, który ma kłopoty, chciał się nagrać na twojej sekretarce, to wysadziłoby ci korki.

Zignorowała jego żart.

- Pytam serio. Jak to możliwe? Czy to dzwoni ktoś z telefonu komórkowego?

- Nie. Chyba się domyślam, co to jest. Słyszysz rozmowy z radio taxi.

- Co takiego?

- Radio taxi. Przepisy miejskie mówią, że ich nadajniki nie mogą być zbyt mocne, ale nikt tego nie przestrzega. Większość taksówkarzy montuje sobie radia o dużym zasięgu, żeby się mogli słyszeć w całym mieście. Pewnie są tacy, co mogą się połączyć ze swoją mamusią w Libii. Na pewno widziałaś takie taksówki z długimi zakrzywionymi antenami na dachu. Założę się, że ten facet mówi w jakimś obcym języku.

- Nie. Mówi dość wyraźnie i po angielsku.

- Dziwne. A co takiego mówi?

Julie zawahała się chwilę.

- „Pomóż mi”.

- Tylko tyle? Bez żadnego akcentu? Nie słyszysz żadnych adresów ani zamówienia na pizzę?

- Tylko to - potwierdziła. - A jeśli mówi z jakimś akcentem, to chyba z brytyjskim.

- No, to rzeczywiście dziwne. Zaraz muszę wyjść, ale się nie martw. Jestem pewien, że to jakiś taksówkarz. I, szczerze powiedziawszy, jeśli ten facet jest Anglikiem i prowadzi taksówkę w Nowym Jorku, to rzeczywiście potrzebuje pomocy.

- Dziękuję, Ron. - Julie uśmiechnęła się.

- Nie ma za co. Aha, Julie?

- Co?

- Ten pomysł nie jest aż taki zły. Zobaczę, co da się zrobić, żeby bardziej się spodobał tym Szwedom.

- Dzięki. Cześć.

Zakłócenia spowodowane przez nadajnik z radio taxi. To brzmiało prawdopodobnie. Zwykłe zakłócenia, techniczna sprawa, nic tajemniczego.

Ale ten głos. Tak ją fascynował, niemal chwycił za samo serce. Głęboki, męski głos, przesycony ciepłem i namiętnością, i czymś jeszcze...

Chwyciła aktówkę i poszła do sali konferencyjnej.

Ostatnia wiadomość na sekretarce nagrała się późną nocą, kiedy Julie poszła do pralni wyjąć swoje rzeczy z suszarki. Tym razem głos nie nagrał się w tle innej wiadomości. Nic go nie zagłuszało. Brzmiał wyraźnie, jakby nieznajomy sam wykręcił jej numer telefonu. I znów powtórzyła się ta sama prośba.

- Pomóż mi.

W niedzielny poranek, kiedy Julie otworzyła oczy po drugiej z rzędu niespokojnie przespanej nocy, boleśnie uświadomiła sobie pewien fakt. Słynna agencja reklamowa Stickley & Brush mogła wkrótce stracić najlepszego klienta, a Julie Gaffney za nic w świecie nie potrafiła nic wymyślić, żeby go zatrzymać.

Ron miał rację. Pomysł na kampanię reklamową uniwersalnego środka czyszczącego firmy Błysk do niczego się nie nadawał. Pomysły zwykle łatwo i szybko przychodziły jej do głowy. Nieraz udało jej się zmienić niemal pewną klęskę w triumf, w ostatniej chwili wyciągnąć królika z kapelusza. Talent Julie do wymyślania błyskotliwych sloganów był w branży reklamowej już prawie legendą.

To ona samodzielnie obmyśliła i poprowadziła kampanię reklamową herbaty Burton, która rzuciła na kolana wszystkich ludzi w branży i o sześćdziesiąt procent zwiększyła sprzedaż tego produktu. Zdarzyło się to w zeszłym roku, zaledwie kilka krótkich, a jednocześnie bardzo długich miesięcy temu.

Jednak wczoraj nie umiała wyciągnąć z kapelusza żadnego królika ani nawet małej myszki - tak w myślach nazywała niewielkie sukcesy w pracy. Piątek to była klapa na całej linii.

A teraz, w niedzielny poranek, kiedy brutalne promienie słońca wdzierały się do jej sypialni, nie mogła się już dłużej oszukiwać. Musiała wymyślić coś błyskotliwego, jeśli nadal chciała dostać awans. Jej zespół pracował w piątek do północy i niemal całą sobotę - ten sam zespół, który w zeszłym roku wygrał niemal wszystkie możliwe nagrody za to, że namówił Amerykanów do stosowania nowego rodzaju sprayu do nosa, z dodatkiem sody oczyszczanej, i do kupowania pewnej marki samochodów, produkowanych w Ameryce Południowej.

Była zmęczona, ale podskoczyła na łóżku, kiedy usłyszała dzwonek telefonu. Tajemniczy mężczyzna dzwonił wczoraj do niej dwa razy, a przynajmniej zostawił dwie wiadomości. Nadal desperacko domagał się pomocy.

Wciągnęła głęboko powietrze i podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się niepewnie. W słuchawce przez chwilę panowała cisza, chociaż Julie czuła, że ktoś jest po drugiej stronie. Potem rozległ się głos. Kobięcy.

- Tylko mnie nie uduś.

- Peg! - Julie opadła na poduszkę. - Jak się masz? Parę dni temu do ciebie dzwoniłam, ale...

- Chcę cię prosić o wielką przysługę.

Peg Reilly była jedną z niewielu prawdziwych przyjaciółek, jakie Julie znalazła po przeprowadzeniu się do Nowego Jorku. Nawet kiedy przestały już razem mieszkać, a Peg poszła na studia podyplomowe i została psychologiem, pozostały bliskimi przyjaciółkami i powiernicami. Peg, dwa lata starsza od Julie, była wyjątkowo rozsądna i zrównoważona, co w zależności od sytuacji Julie uważała za zabawne lub irytujące. Rodzina Peg - rodzice, zamężna siostra z dwójką dzieci i mikrobusem - mieszkała na Long Island, więc Julie zawsze miała gdzie pojechać na wakacje.

- Chcesz mnie prosić o wielką przysługę? - ostrożnie powtórzyła Julie. - Jak wielką?

- Bardzo wielką - przyznała Peg. - Być może pożałujesz, że mnie w życiu spotkałaś.

- To mi niewiele wyjaśnia. Czy w grę wchodzi podróż do któregoś z krajów Trzeciego Świata?

- Chciałabyś.

- Chodzi o pilnowanie dzieci twojej siostry?

- Ha! Moja droga, w porównaniu z tym, czego potrzebuję, to byłaby kaszka z mlekiem.

- Wyduśże to wreszcie. Zaczynam się denerwować.

- No, dobrze. Już mówię. Dzisiaj jest przyjęcie urodzinowe Nathana. - Nathan był siostrzeńcem Peg, starszym dzieckiem jej siostry.

- Mów dalej.

- A Lucy ma zapalenie ucha. - Lucy była czteroletnią siostrzyczką Nathana.

- I?

- I ktoś musi z nią zostać w domu. Jak więc widzisz, mamy wybór.

- Naprawdę?

- Aha. Możemy zaopiekować się Lucy, która pewnie nie będzie w najlepszym nastroju z powodu bolącego ucha. Moja siostra twierdzi, że mała zaczynając przypominać Lindę Blair z *Egzorcysty*. Tylko patrzeć, jak jej się głowa zacznie obracać dookoła. Biedne maństwo. To jedna możliwość.

- A druga?

- Możemy zająć się uroczym, zdrowym jak rybka Nathanem i grupą jego koleżków. Niewykluczone, że niektórzy z nich mają samotnych, atrakcyjnych i wypłacalnych ojców, z którymi będziemy mogły poplirtować. Trzeba zawieźć te słodkie dzieciaki na wspaniałe przyjęcie do...

- Dokąd? Mów, Peg. Do Bloomingdale'a? Do tej nowej knajpki na rogu Siedemdziesiątej Piątej i Trzeciej?

- Niezupełnie. To właśnie jest najlepsze, Julie. Musimy zabrać całe towarzystwo mikrobusem mojej siostry! Fajnie, co?

- Jasne. Strasznie fajnie. Zwłaszcza że nie siedziałas za kierownicą od czasów prezydentury Reagana. A co z twoim szwagrem, który uwielbia dobrą zabawę?

- Trafne pytanie! Chuck wyjechał służbowo do Atlanty. Posłuchaj tylko. Będzie bardzo zabawnie. Ty, moja droga przyjaciółko, masz niesamowite szczęście, bo poprowadzisz nowiutki mikrobus mojej siostry! To samochód ze wszystkimi bajerami! Są tam nawet uchwyty na kubki!

- I gdzie ta szczęściara ma pojechać tą niesamowitą maszyną?

- Do New Jersey.

Julie milczała przez krótką chwilę.

- Po co?

Peg wreszcie się roześmiała.

- Do Karczmy Rycerskiej, tej nowej restauracji ze średnio-wiecznym wystrojem. Proszę, Julie. Zrobię dla ciebie, co tylko zechcesz. Nathan interesuje się teraz wszystkim, co ma związek z rycerzami, a ten lokal to niemal ilustracja do podręcznika historii. Dzieciaki strasznie chcą tam jechać. Wierz mi, to duża poprawa w porównaniu z czasami, kiedy był opętany Power Rangers.

- Nie wątpię. Widziałam go kilka miesięcy temu i już wtedy interesował się średniowieczem. Myślałam, że do tej pory mu przeszło. A jaki wpływ na takie zainteresowania ma ciotka Peg i jej miłość do wszystkiego, co dziwne i niezwykle?

- Mogę z dumą stwierdzić, że to prawie całkowicie moja zasługa. Kilka miesięcy temu zabrałam Nathana na jedną z moich wypraw za miasto i bardzo mu się podobało.

- Och, Peg! - Po raz pierwszy żartobliwy ton zniknął z głosu Julie. - Czy to był dobry pomysł? Te stare sklepiki mają czasami bardzo specyficzną atmosferę. Zwłaszcza ten z wypchanymi zwierzętami. Na samą myśl o nim po plecach przebiegają mi dreszcze.

- Nie przejmuj się tym. Tak samo działał na ciebie Bruce.

- Nawet o nim nie wspominaj. Ciesz się, że w ogóle z tobą rozmawiam, po tym jak mi załatwiłaś kolejną koszmarną randkę. Ale mówmy poważnie. Czy Betsy wie, że zabrałaś jej jedyne go syna do sklepu z magicznymi napojami i dziwnymi starymi księgami, oprawionymi w ludzką skórę?

- Masz na myśli sklep Pod Kociołkiem i Czaszką? Nic nie wie. Nie zwracałam jej głowy szczegółami. Powiedziałam tylko, że to urocza stara księgarnia, gdzie można kupić pierwsze wydania klasycznych dzieł.

- Ładnie to ujęłaś.

- Ale co sądzisz o mojej propozycji, królowo szos? Bardzo proszę. Jeśli się nie zgodzisz, Nathan będzie miał nieudane

dziesiąte urodziny i najprawdopodobniej do końca życia będzie musiał chodzić do psychoterapeuty. Oczywiście, nie chcę cię za bardzo naciskać.

- Cóż... Jak mam się dostać z miasta na Long Island?

- To właśnie jest najprzyjemniejsza część wyprawy - zachwycała się Peg. - Pojedziemy razem. Nasz pociąg odchodzi za czterdzieści pięć minut. Penn Station wczesnym niedzielnym rankiem! Co może być piękniejszego?

Julie jęknęła, ale tylko raz. Może zmiana otoczenia dobrze jej zrobi. Może przyjdzie jej do głowy jakiś olśniewający pomysł na kampanię, dzięki któremu nie zaprzepaści całego kontraktu. A Peg potrafiła trzeźwo oceniać pomysły. Wiedziała, co działa na ludzką podświadomość.

- Jasne, Peg. Możesz na mnie liczyć. O której się spotkamy?

- Za jakieś dwie minuty. Dzwonię z dołu.

- Byłaś pewna, że ci nie odmówię, co? Dobrze. Wejdz na górę.

Czekając na przyjaciółkę, Julie zastanawiała się, czy opowiedzieć jej o mężczyźnie, który nagrał się na automatyczną sekretarkę.

Kiedy Julie zobaczyła mikrobus, natychmiast pożałowała swojej decyzji. Ten kanciasty, metalicznie zielony potwór miał rozmiary czołgu i był zupełnie pozbawiony wdzięku i stylu.

- Co to za landara? - wyszeptała do Peg, kiedy się do niego zbliżyły.

- To el caracca. Właśnie te samochody pomagałaś sprzedawać w zeszłym roku.

- Nie miałam pojęcia, że są takie... Betsy! Tak się cieszę, że cię widzę!

- Nie krępuj się. - Roześmiana Betsy stanęła przed domem, zatraskując za sobą siatkowe drzwi. - Nie miałaś pojęcia, że ten mikrobus okaże się taki ohydny, co? A to przecież ty wymyśliłaś jego reklamę i zdobyłaś za nią nagrodę.

Julie skrzywiła się.

- Jeśli sobie dobrze przypominam, położyłam nacisk na bezpieczeństwo jazdy. Czy pomalowali go tak na specjalne zamówienie?

- Nie. To zieleń lasu tropikalnego. Dość wyjątkowy, prawda?

- Rzeczywiście. Podoba mi się - oznajmiła Peg. Z wnętrza domu dobiegł przeszywający krzyk. Betsy i Peg zignorowały go.

- To tylko Lucy - wyjaśniła Betsy.

- Czy ja naprawdę mam go prowadzić? - Julie spojrzała na siedzenie kierowcy, pokryte materiałem ochronnym.

- Obicia są w kolorze „beż dżungli”. Pasują do wszystkiego - powiedziała Betsy.

Z domu wyszedł Nathan.

- Cześć, ciciu Peg. Sie masz, Julie. Dzisiaj mówcie do mnie „szlachetny rycerzu”.

- Witaj więc, szlachetny rycerzu. - Julie wyciągnęła rękę.

- Witaj, piękna damo. - Nathan uśmiechnął się zaczerwieniony.

Niespełna pół godziny później jechali drogą szybkiego ruchu do New Jersey, a w mikrobusie kłębili się mali chłopcy. Siedząca za kierownicą Julie co chwila musiała się uchylać przed latającymi wokół opakowaniami po słomkach do napojów gazowanych, Peg natomiast starała się utrzymać porządek. W lusterku wstecznym Julie zobaczyła twarz Nathana, pokrytą niezliczonymi piegami. Chłopiec pomachał jej radośnie.

- Na pewno będzie lepiej, jak już dojedziemy na miejsce - zwróciła się do niej Peg.

Restauracja wyglądała dokładnie tak, jak to sobie Julie wyobrażała - wszystko było sztuczne, na niby i bardzo zabawne. Jednak chłopcom takie otoczenie wcale nie wydawało się tandetne. W pełnej szacunku ciszy wysiedli na parkingu z samochodu i wyjęli zwitek papieru z maszyny wydającej bilety parkingowe, która miała kształt zamkowej wieżyczki.

- Ojej! - wyszeptał Nathan, szeroko rozwartymi oczami po-

dziwiając wspaniałość otoczonego fosą bez wody, trzypiętrowego różowego zamku, na którym powiewały trójkątne flagi w najróżniejszych barwach.

W drzwiach powitała ich gromada studentek młodszych lat, w kostiumach mniej lub bardziej wiernych epoce. Julie podsłuchiwała, jak jedna z dziewcząt wyjaśnia, że większość z nich studiuje na wydziale wiedzy o teatrze w okręgowym college'u, znajdującym się w sąsiednim mieście.

Peg przepchnęła ostatniego chłopca przez drzwi.

- Muszę iść tam, gdzie nawet najpiękniejsza dziewczyna chodzi sama. Usadysz ich przy stołach?

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak hollywoodzki projektant mógł sobie wyobrazić średniowieczną restaurację, w której można płacić wszystkimi najpopularniejszymi kartami kredytowymi - mnóstwo drewna z plastiku, groźnie wyglądające żelazne kotły, metalowe narzędzia ponadnaturalnej wielkości, dziwnie przypominające używany sprzęt do grillowania.

- To jest do wrywania flaków - oznajmił tonem mędrca jeden z chłopców, wskazując na szczypcę.

Wprowadzono ich do głównej sali, mrocznej, przesyconej wonią wczorajszego obiadu i czegoś lepkiego. Ten drugi zapach tłumaczył rząd saturatorów ze słodkimi napojami gazowanymi. Pochodzenia zapachu wczorajszego obiadu na szczęście nie dawało się, przynajmniej na razie, wyjaśnić.

Kiedy wzrok Julie przyzwyczał się do mroku, spostrzegła, że pomieszczenie przypomina wielką, krytą dachem arenę jeździecką. Środek okrągłej sali zajmowało ubite klepisko, a z dala dobiegało rżenie koni.

Chłopcy usiedli na krzesłach ustawionych wzdłuż długiej deski, na której ręcznie wypisany napis głosił: „Przyjęcie lorda Nathana”.

- To ja! - pisał Nathan, a słysząc to, jego przyjaciele wymierzyli mu kilka kuksańców. Wszystkim z przejęcia błyszczały oczy.

Zafascynowani, oglądali wielkie serwetki, miski z plastiku udającego drewno i ogromne łyżki z nierdzewnej stali.

- Ale fajne! - jęknął jeden z chłopców.

- Niesamowite! - zgodził się drugi.

Pojawiła się obsługująca ich kelnerka.

- Witam, szlachetni panowie, piękna damo. Jestem Trudy, wasza oddana dziewczka służebna - zaczęła. - Przybyłam z dalekiej krainy, żeby wam podać najwyśmienitsze jedło królestwa.

Sądząc po akcencie, Julie domyśliła się, że dziewczka służebna przybyła z krainy leżącej nie dalej niż Bayonne w stanie New Jersey. Trzymała wielką tacę z pokrywą, a kiedy ją zdjęła, ukazały się jakieś przedmioty z papieru.

Właśnie tak, z wielką powagą, chłopcy otrzymali niebiesko-złote korony i dobrane kolorystycznie ochronne śliniaki do zawiązania pod szyją.

Wróciła Peg i spojrzała na nich z zadowoleniem.

- Dzięki Bogu. Już się bałam, że nie zdążę na koronację - wymamrotała, sadowiac się na swoim miejscu.

- Jak wyglądam? - zapytała Julie. Niebiesko-złota korona z tektury i papieru doskonale współgrała z pięknym śliniakiem, ozdobionym dziwacznie wykaligrafowanym napisem „Wielki śliniak”.

Sliniak zasłaniał jej czerwoną bluzkę z dekoltem i opadał aż do kolan. Dla lepszego efektu Julie przybrała kilka póż, niczym modelka.

Peg roześmiała się.

- Wyglądasz doskonale. To może być twój nowy strój do pracy w piątkowe nadgodziny.

- Błagam, nie przypominaj mi o tym - jęknęła Julie i usiadła za stołem.

- Kłopoty w River City?

- Tak. Potem ci wszystko opowiem, może w drodze powrotnej. Gdyby lady Julie z Gaffney zaczęła teraz łkać jak załamana bohaterka romansu, mogłaby zepsuć całe przyjęcie.

Peg uważnie przyjrzała się przyjaciółce.

- Hmm. W takim razie porozmawiamy później. O, spójrz. Zaraz rozpoczną się gry i zabawy.

Jakiś człowiek wyszedł na arenę. Nawet z oddali Julie natychmiast spostrzegła, że jego nogi, w dwukolorowych - żółto-pomarańczowych - rajstopach, są wyjątkowo, wręcz boleśnie chude. Bufias-te, plisowane szorty czyniły go podobnym do dyni na dwóch nogach. Na głowie miał okrągły kapelusz z mnóstwem wielobarwnych wypustek wokół runda, bardzo podobny do kapelusików, które nosiły dzieci w filmie *Małe urwisy*.

Światło reflektora podążało za nim, kiedy szedł na środek areny. Zatrzymał się i przyłożył do ust trąbkę, ozdobioną niezliczonymi kolorowymi wstążkami. W tej samej chwili Julie spostrzegła, że marszczy mu się nos.

- O, Boże! - syknęła. - To Orrin!

- Kto taki? - zapytała Peg, ale Julie nie mogła odpowiedzieć, ponieważ lord Orrin właśnie zadał w róg. Z każdą nutą twarz mu bardziej czerwieniała, lewa stopa zaczęła wybijać rytm, jakby muzyk zmienił się nagle w Benny'ego Goodmana, koncertującego w Carnegie Hall.

Jego buty miały długie, szpiczaste czuby.

Julie nie potrafiła oderwać od nich wzroku. I tego było już dla niej za wiele.

Chwycił ją nieprzemyślany atak śmiechu. Z trudem chwytając powietrze i nie mogąc powstrzymać rozbawienia, zgięła się niemal w pół. Wszyscy uczestnicy przyjęcia lorda Nathana gapili się na nią, a ona usiłowała się opanować. Chociaż zagryzała wargi i patrzyła prosto przed siebie, wkrótce ramiona zaczęły jej się zdradziecko trząść i znów wybuchła głośnym śmiechem.

Teraz inni lordowie i damy gapili się na nią z zaciekawieniem i nawet Trudy, oddana dziewczka służebna, spojrzała na nią z irytacją.

- Muszę iść do łazienki - oznajmił jeden z chłopców.
- Ja też.

Peg wstała, żeby ich odprowadzić, ale Julie pomachała ręką. Chciała powiedzieć, że ona przypilnuje malców, ale nadal nie była w stanie wydobyć z siebie słowa.

- Zabierzesz ich? - upewniła się Peg. Julie skinęła głową. - Nic ci nie jest? - zapytała jej przyjaciółka, widząc niepewne miny wybierających się do łazienki chłopców. Było ich już czterech.

Julie jeszcze raz skinęła głową. Dźwięki waltorni lorda Orrina brzmiały jej w uszach, kiedy prowadziła podopiecznych na tył sali, a potem schodami w dół.

- Dziwna jakaś - powiedział jeden z chłopców do kolegi.

Jednak była dorosłą osobą, chociaż jej zachowanie - nie wspominając o koronie i śliniaku - świadczyło o czymś przeciwnym. I jak każda odpowiedzialna dorosła osoba, potrafiła doprowadzić ich do toalety.

- W porządku, chłopcy - zagaіła, głosem ochrypłym od śmiechu. Nareszcie udało się jej w pewnym stopniu odzyskać panowanie nad sobą. - Poczekam na was w korytarzu, a kiedy skończycie, razem wrócimy na salę.

Wszyscy skinęli głowami, oprócz chłopca, którego mina mówiła jasno, że - według niego - byłiby bezpieczniejsi sami niż pod opieką Julie. Cała grupa weszła do toalety, której drzwi przypominały wejście do więziennego lochu.

Wreszcie udało jej się odetchnąć swobodnie. Potarła twarz, rozluźniła się i rozejrzała.

Na dolnym poziomie wystrój wnętrza nie był tak krzykliwy. Podłogę przykrywał gładki niebieski dywan, plastikowe zbroje stały w równym szeregu, ściany zdobiła laminowana kopia gobelinu z Bayeux i jaskrawe proporce. Julie uśmiechnęła się i podeszła do zbroi, która stała dumnie na obitym czerwonym aksamitem piedestale i w słabym świetle wyglądała niemal jak prawdziwa.

Niemal. Zdradzały ją jedynie zgrubienia w miejscach, gdzie plastikowe elementy łączyły się ze sobą, no i napis „Made in Taiwan” na pośladku rycerza.

- Biedny szlachetny rycerz - wyszeptła.

Zerknęła przez ramię, żeby sprawdzić, czy któryś z chłopców opuścił już toaletę. Żaden się jeszcze nie pojawił, więc podeszła do następnej zbroi. Chłopcy pewnie wyjdą wszyscy razem.

Druga zbroja stała na postumencie ze sztucznego marmuru. Julie już miała zawrócić, ale coś ją zatrzymało.

Ta zbroja wyglądała na prawdziwą.

Dziewczyna zamrugała i pochyliła się. Chociaż światło tutaj było równie słabe, sączyło się z okrągłego reflektora, zamontowanego w płycie na suficie, Julie zauważyła, że ta zbroja ma w sobie coś solidnego, inny ciężar gatunkowy.

- To niemożliwe.

Zbroja wyglądała przepięknie, była zdobiona misternymi tłoczeniami, bogato złożona, z wieloma otworami. Julie odgadła, że te po bokach hełmu mają ułatwiać słyszenie.

Rozmiar zbroi świadczył o tym, że używał jej w walce jakiś potężnie zbudowany człowiek. Coś jednak zaniepokoiło Julie. Coś było nie w porządku.

Nagle zdała sobie sprawę, co jej tu nie pasuje. Środek napierśnika nosił ślady głębokiego wgniecenia, jakby ktoś wymierzył w to miejsce potężny cios. Metal starannie wyklepano, nadając mu poprzedni kształt, ale trudno było nie zauważyć, jak wielka musiała być siła uderzenia.

Julie wolno uniosła dłoń do ust.

Jedna myśl huczała jej w głowie: on pewnie tego nie przeżył.

Podeszła bliżej, niczym w transie, i bezwiednie stanęła obok figury na podium. Ze zbroi zdawało się promieniować ciepło.

Rycerz był od niej wiele wyższy. Wolno, jakby to był naturalny, najnormalniejszy gest pod słońcem, położyła rękę na przyłbicy.

Metal był gorący.

Nagle świat wokół niej zawirował; upadła do tyłu. Leciąca bezradnie, jakby z wielkiej wysokości, wymachując ramionami...

Wtem rycerz chwycił ją w talii, tak mocno, że zabrakło jej tchu.

Zamknęła oczy, ponieważ nagle poraziło ją jaskrawe światło.

Pomieszczenie wypełnił dochodzący z zewnątrz świergot ptaków, a zapach skóry i chłodnego metalu uderzył ją w nozdrza.

Otworzyła oczy.

Zza przyłbicy wydobyły się stłumione, ale zrozumiałe dwa proste słowa.

- Pomóż mi.

3

Julie patrzyła na przyłbicę, ze zdziwienia nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa.

- Pomóż mi - powtórzył rycerz. To był ten sam głos, który słyszała nagrany na automatyczną sekretarkę. Był tylko trochę przytłumiony przez metalową osłonę na twarz. Coś jeszcze się zmieniło.

Nie brzmiał błagalnie, lecz raczej niedbale, jakby gadająca zbroja była czymś najnormalniejszym pod słońcem. Julie oddepchnęła otaczające ją ramię i wyzwoliła się z uścisku.

- Co tu się dzieje? - Cofnęła się i spostrzegła, że stoi na kamiennej posadzce. Zniknął gdzieś postument i niebieski dywan. Nie znajdowała się już przed drzwiami toalet w niby-średniowiecznej restauracji, ale w komnacie wypełnionej średniowiecznymi zbrojami i bronią. - Czy to jakiś magazyn? - Ze zbroi wydobyło się prychnięcie, a ramię z cichym zgrzytem cofnęło się do biodra. - Proszę mi to wyjaśnić! - Julie mówiła coraz głośniej. Coś tu się nie zgadzało. Właściwie nic się nie zgadzało. Nawet powietrze było jakieś inne, orzeźwiające, czyste i chłodne, a nie przetrawione przez klimatyzację i przesycone kuchennymi wonia-

mi. Strach chwycił Julie za gardło. Zastanawiała się, czy zaczyna tracić rozum. - Zupełnie nie wiem, co ja tu robię.

- Przecież już ci mówiłem... - Czy to możliwe, żeby zbroja przemawiała przez zaciśnięte zęby? - Pomóż mi, gamoniu. - Ton głosu wcale nie był uprzejmy.

To było coś nowego. Przez głowę Julie przemykały chaotyczne myśli. Gdyby na sekretarce nagrały się słowa: „Pomóż mi, gamoniu”, wszystkie jej fantazje na temat nieznanego mężczyzny zostałyby zduszone w zarodku.

- Posłuchaj mnie. - Starła się mówić spokojnie. - Chcę się tylko dowiedzieć...

Zanim jednak zdążyła skończyć pytanie, zbroja zdjęła z siebie metalowe ramię i rzuciła je wprost na Julie; uderzyło ją w brzuch jak młot.

Mimo woli jęknęła i zgięła się w pół, a metalowe ramię spadło ze szczękiem na kamienną posadzkę. Z przejmującego bólu zawirowały jej przed oczami wszystkie gwiazdy. Z trudem chwytając powietrze, złapała się za brzuch. Jak przez mgłę zobaczyła, że spod odrzuconego fragmentu zbroi wyłoniło się ramię w rękawie z brązowego pikowanego materiału i wielka dłoń.

- Na Boga, George. Słabowita panienka sprawiłaby się lepiej.

Wreszcie udało jej się głębiej odetchnąć i już miała coś powiedzieć, ale słowa nieznanego zbiły ją z tropu.

- George? - Wyprostowała się i spojrzała prosto na przyłbicę. - Dlaczego tak mnie nazywasz?

- Wydaje ci się, że mnie obchodzi, czy nazywasz się George, Tom czy St. John? Jesteś moim tymczasowym giermkiem, i to na dodatek kiepskim. Widzę przed sobą chłopca o niewielkim rozumie, na przekór temu, co wyraża jego strój.

- Strój? - Julie spojrzała w dół na swój „wielki śliniak”. Podniosła rękę i namacała koronę z tektury i karbowanego papieru. Wciąż tkwiła na czubku głowy. Julie chciała ją zdjąć, ale zbroja warknęła:

- Zostaw.
- Słucham?
- Zostaw to tam, gdzie jest. Zasługujesz na ośłą koronę. A poza tym, to moje barwy.
- Twoje barwy? Zdawało mi się, że do metalu pasuje każdy kolor.

Rycerz przez długą chwilę stał zupełnie nieruchomo i Julie już zaczynała dochodzić do wniosku, że całą tę rozmowę tylko sobie wyobraziła. Stoi przed zwykłą, nieożywioną zbroją, tylko po prostu straciła rozum.

Taki wniosek wydawał się najlogiczniejszy. Przyjaciele, a zwłaszcza Peg, ostrzegali ją, że jeśli nadal będzie pracować w takim tempie, to skończy się to dla niej bardzo źle. No i stało się. Tylko dlaczego musiała od razu zwariować?

Nagle rycerz uniósł przyłbicę i Julie ze zdumienia otworzyła usta.

Zbroja kryła w sobie najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziała. Miał ogorzałą od słońca, błyszczącą od potu skórę, proste czarne brwi, pięknie wyrzeźbiony nos, a na szczupłych policzkach cień zarostu. A oczy - oczy były niebieskie, jasnoniebieskie, dokładnie w kolorze jej ulubionej kredki z dzieciństwa.

- Niebieskie jak bławatki - wyszeptała Julie.

Rycerz uniósł brwi.

- Bredzisz jak w malignie.

- A ty... - Chciała powiedzieć: „jesteś niesamowicie przystojny”, ale ugryzła się w język. - Kim ty właściwie jesteś?

Skrzypiąc i chrzęszcząc zbroją, odwrócił się od niej, nic nie odpowiedział. To zadziwiające, że nawet w ciężkiej zbroi mężczyzna potrafi kroczyć gniewnie i zaciskać pięści z wściekłości.

Kiedy odszedł od niej na kilka kroków, mogła wreszcie lepiej się przyjrzeć otoczeniu. Była to wielka sala o półkolistym sklepieniu i o zwieńczonych łukami oknach. Po lewej dostrzegła sporą niszę,

przypominającą kościelną nawę. Tam właśnie skierował się rycerz. Nawę wypełniały zbroje i dawna broń wszelkich możliwych rodzajów. Stały tam pełne zbroje, jak w restauracji, tylko że te wydawały się prawdziwe. Widać było, że wszystkie pasują na człowieka o oczach niebieskich jak bławatki. Julie zobaczyła złociste hełmy, ozdobione srebrnymi wzorami i srebrne napierśniki zdobione złotem. Zgromadzono je tu w wielu fasonach, od otwartych do całkowicie zabudowanych, z przyłbicami.

Na owalnym stole leżały fragmenty zbroi, dodatkowe rękawice, naramienniki i naręczaki. Napierśniki i napleczniki stały oparte o ścianę, obok sterty kubraków, wiązanych nawoskowanymi rzemieniami.

Przypomniało jej to scenę z *Czarodzieja z krainy Oz*, kiedy Cynowy Człowiek i Strach na Wróble zostali rozebrani na kawałki i znów poskładani. Tylko z tego, co leżało na stole, mogłaby złożyć niewielką armię.

Na półce z marmuru leżała broń, od maczug z brązu i drewna do kusz, niektórych tak dużych jak mały samochód, i wygiętych łuków. Strzały trzymano tu w wiszących na ścianie koszach.

Obok koszy wisiała bogata kolekcja mieczy i różnorodnych sztyletów. Niektóre były haczykowato zakończone, ale wszystkie miały połyskujące krawędzie i groźne, ostro zakończone czubki.

Nie potrafiła oderwać wzroku od tych przerażających narzędzi walki.

- Wiesz, co to jest? - Głos brzmiał ostro.

- Jasne. - Zmieszana i zagubiona, wsunęła ręce w kieszenie dzinsów. Wskazała głową na miecze i sztylety. - Jesteś dentystą z piekła rodem, tak? - zapytała z uśmiechem.

Oczekiwała, że doceni jej poczucie humoru i wybuchnie śmiechem, przyzna w końcu, że to wszystko jest tylko żartem, albo

przynajmniej wytłumaczy, co się tutaj dzieje. Niestety, on przez chwilę stał w milczeniu, poruszając nerwowo szczęką, jakby między zębami utkwiał mu kawałek plomby. Potem, ruchem tak szybkim, że nie miała czasu, żeby się przygotować, chwycił mały sztylet i rzucił w jej stronę.

- Hej! Uważaj! Mogłeś mnie zranić! - Sztylet o kilka centymetrów minął jej głowę.

- Właśnie taki miałem zamysł, George.

- Dlaczego chcesz mi zrobić krzywdę? - Nie była w stanie stłumić nuty rozczarowania w głosie. Taki już jej pechowy los, że najwspanialszy egzemplarz rodzaju męskiego, na jaki w życiu natrafiła, uznawał rzucanie w nią niebezpiecznymi przedmiotami za formę rozrywki.

W odpowiedzi na jej całkiem uzasadnione pytanie cisnął w nią mieczem.

- Hej!- Uskoczyła w ostatniej chwili.- To wcale nie jest zabawne!

- Wiem, że nie - odparł spokojnie, sięgając tym razem znów po sztylet.

- Ani mi się waż!

Jednak on się poważzył. Drugi sztylet przeleciał jeszcze bliżej niż pierwszy.

- Dość tego. - Wyprostowała się i przybrała tak godną minę, jak tylko pozwalał jej na to śliniak i papierowa korona. - Gdzie jest kierownik? Przykro mi, że będą cię musieli zwolnić, ale zupełnie nie nadajesz się do tej pracy.

Mężczyzna znieruchomiał.

- Ja się nie nadaję?

- Tak. Najwyraźniej przechodzisz jakiś psychiczny kryzys. I wydaje mi się... Co masz zamiar zrobić z tą strzałą? - On tymczasem spokojnie wyjął strzałę z kosza i skrzypiąc przy każdym ruchu, sięgnął po wielki łuk. Przez chwilę wygładzał pióro na końcu strzały. Julie tymczasem ciągnęła: - Naprawdę powinieneś

porozmawiać z kimś z działu personalnego. Z pewnością nie jesteś pierwszym pracownikiem tej restauracji, któremu trochę odbiło i... Co jest?

W skupieniu umieścił strzałę w łuku, wycelował i zestrzelił jej koronę z głowy.

- Cisza! - rozkazał, kiedy chciała coś powiedzieć. - To nie jest zabawa.

Zerknęła za siebie i zobaczyła koronę przygwożdżoną strzałą do kosza.

- Będziesz mnie słuchać- oznajmił, a Julie nie potrafiła zdobyć się na żaden protest, tym bardziej że sięgnął po kolejną strzałę. - Dobrze. - Znów pogłaskał pióro na końcu brzeszczotu. - Mam nadzieję, że wreszcie udało ci się skupić na mnie uwagę.

Skinęła głową i już miała go zapewnić, że bardzo ją interesuje to, co ma jej do powiedzenia, ale on uciszył ją ruchem dłoni.

- Wydaje mi się - rzekł - że nie pojmujesz, jak ważna jest rola giermka. Nie tylko podczas turniejów. To przecież tylko widowiska. - Czekał na jej odpowiedź, więc skinęła głową, żeby udowodnić, jak uważnie słucha każdego jego słowa. - Musisz zrozumieć, że twoje umiejętności mogą kiedyś zdecydować o życiu i śmierci nas obu.

Ta melodramatyczna scena trochę ją rozśmieszyła, ale Julie powstrzymała śmiech. Nieznajomy mówił bardzo poważnie i szczerze. Szalony czy nie, święcie wierzył, że jest rycerzem, który pewnego dnia może wyruszyć na wojnę.

- Chociaż od jakiegoś czasu w naszym królestwie panuje pokój, to dzieje się tak tylko dzięki temu, że jesteśmy silni i potrafimy to pokazać, kiedy trzeba. Rozumiesz?

- Tak.

- Dobrze. Nie jestem złośliwym brutalem, chociaż, być może, zrobiłem na tobie takie wrażenie. Ale, do diabła, George, zachowujesz się tak, jakbyś nigdy nie widział z bliska broni.

- Przepraszam.

- Zacznijmy więc. Rzucę ci broń, ty ją schwyć i odrzuć do mnie. - Odłożył łuk i strzałę na stół. - Pamiętaj o różnicach w kształcie i wadze, nie zapominaj o ostrzach. Kazałem wszystko naostrzyć tak, że można przeciąć włos na dwoje. Pojąłeś?

- No, tak, ale...

W tym momencie w jej stronę poleciał groźnie wyglądający topór. Szczęście jej dopisało i padła na podłogę, zanim dosięgło jej ostrze.

- Ojej! - Z szerokim uśmiechem wstała i otrzepała kolana. - Niewiele brakowało!

- Czy ty mnie zrozumiałeś? - To nie był już podniesiony głos. To był po prostu ryk. Rycerz odwrócił się, chwycił kopię i cisnął nią w Julie. Odruchowo chwyciła ją, tylko dlatego że nie miała gdzie się przed nią schować. - Jest jakaś poprawa - warknął.

- Zwykły instynkt samozachowawczy - wymamrotała.

Mężczyzna po raz pierwszy się uśmiechnął, a ona poczuła, że coś w niej mięknie.

- Chodzi tu właśnie o instynkt samozachowawczy, George. O to i o zranienie przeciwnika. Spróbuj jeszcze raz, ale nie łap tak dokładnie. Spróbuj zrobić to inaczej.

Wpatrywała się w jego usta i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że przestał mówić.

- Dobrze. Zaczekaj! Co to znaczy, że mam to zrobić inaczej? - spytała.

Odchrząknął i wytarł usta dłonią nie chronioną rękawicą.

- George, poruszasz się i chwytasz przedmioty w bardzo szczególny sposób - oznajmił szorstko. - Czy ktoś już ci mówił coś na temat twojego... hmmm... stylu?

- Nie? Co masz na myśli?

- Na Boga, George, ty się ruszasz jak dziewczyna!

- Ach, tak. - Uśmiechnęła się i spuściła wzrok. - Przykro mi.

- Ćwiczymy dalej. - Powiedziawszy to, natychmiast zaczął obrzucać ją kolejnymi narzędziami walki i informacjami.

Nie miała czasu pomyśleć, sprzeciwić się ani nawet głębiej odetchnąć. Mogła tylko starać się dotrzymać mu kroku i czasami odrzucić któreś z narzędzi w desperackiej próbie samoobrony.

Ale to najwyraźniej sprawiało mu jeszcze większą przyjemność.

Nie miała pojęcia, jak długo trwała ta lekcja. Może kilka minut, a może kilka dni. Czuła jedynie, że jest kompletnie wyczerpana. Jednak im cięższe stawały się jej nogi i ręce, im bardziej bolały ją nadwerężone mięśnie, tym rycerz miał więcej energii. Tak jakby wysysał z niej wszystkie siły.

To musi się skończyć, pomyślała. Zastanawiała się, kiedy padnie bez sił. Co za dużo, to niezdrowo. Podniosła ramię na znak, że chce poprosić o przerwę.

On jednak mylnie zrozumiał jej gest jako prośbę o następny rzut. Zamiast przestać, cisnął w nią maczugą z brązu.

Widziała, jak nadlatuje, niczym na filmie w zwolnionym tempie. Nie zdążyła zareagować, nie była w stanie odpowiednio szybko się ruszyć. Trzonek uderzył ją prosto w czoło.

Na odgłos uderzenia mężczyzna drgnął z niepokojem. Julie osunęła się na ziemię.

- George?

Nie było odpowiedzi.

Wzdychając, zdjął zbroję, ponieważ zdał sobie sprawę, że w metalowym pancerzu nie zdoła pochylić się nad giermkim. Biedny chłopak, pomyślał, potrząsając głową. Może znajdą mu jakąś pracę w stajniach. Niezbyt ciężką. Przy łagodnych koniach.

Kiedy zdjął ostatni fragment zbroi, podszedł do giermka.

- George - powtórzył. Włosy opadły „giermkowi” na twarz. Rycerz pochylił się i delikatnie je odgarnął. Na czole zobaczył

czerwony ślad po uderzeniu, ale nie było krwi. Bardzo się zdziwił, że takie lekkie uderzenie pozbawiło „młodzieńca” przytomności.

Może praca w stajniach będzie zbyt ciężka dla George'a. Nie pamiętał, czy królowa nadal hoduje swoje miniaturowe króliki. Dogłądanie ich byłoby bardziej odpowiednim zajęciem dla tego irytującego chłopca. Na pewno nie będzie giermkim, a o zostaniu rycerzem nie ma nawet co marzyć. Chciał rozluźnić dziwny szal pod szyją młodzieńca, oparł mu dłoń na piersi i...

- Cóż to! - krzyknął i cofnął rękę.

Czyżby mu się wydawało? A może chłopiec był ułomny?

Przełknął ślinę i znów dotknął piersi rannego, najpierw z jednej strony, potem z drugiej.

Czy to możliwe?

Przyjrzał się uważnie twarzy młodego człowieka, dotknął policzka, żeby sprawdzić, czy skóra jest tak delikatna, jak na to wyglądało. Była. Nie wyczuł najmniejszego śladu zarostu, chociaż, sądząc po wzroście, młodzieniec był już niemal dorosły.

Dotknął boków chłopca, przesunął dłonie niżej i natrafił na...

- Biodra! - wymamrotał.

Przysiadł na piętach i wpatrzył się w leżącą przed nim postać. Jeszcze raz, z innym nastawieniem niż poprzednio, oszacował wzrokiem sylwetkę i rysy twarzy. To nie był cherlawy, niezdarny młodzian.

Przechylił głowę, żeby się lepiej przyjrzeć leżącej. Zauważył delikatny zarys brwi i długie rzęsy. Czyżby na ustach czerwienił się barwik? Wargi były pełne i lekko rozchylone.

- Dobry Boże! - wyszeptał, zadziwiony własnym postępowaniem. Jak mógł wcześniej nie zauważyć tego wszystkiego?

Jego przysłany na zastępstwo giermek, George, okazał się kobietą! Nie tylko całkiem dorosłą, ale w dodatku bardzo urodziwą.

Nagle rycerz zdał sobie sprawę z czegoś jeszcze i uśmiech

zniknął z jego twarzy. Kimkolwiek była, przebrała się za chłopca. Czyżby po to, żeby się do niego zbliżyć? Ile czasu by minęło, zanim zauważyłby, że to tylko przebranie?

Jeszcze raz dotknął jej twarzy i potrząsnął głową. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Przeciagnał palcami po jej policzkach i wargach. Wyczuł delikatne ciepło oddechu.

Kiedy wziął ją w ramiona, ze zdziwieniem stwierdził, że jest lekka jak piórko. Zaniósł ją do swojej komnaty sypialnej.

- Lancelocie - powiedział sam do siebie, patrząc na opierającą się na jego ramieniu głowę dziewczyny. - W co się tym razem wmieszałeś?

To był taki dziwny sen.

Julie westchnęła w półśnie. Za chwilę otworzy oczy i zobaczy przy łożku znajomy budzik na wiklinowym stoliku nocnym i czasopismo, które czytała przed zaśnięciem, wciąż otworzone na stronie z artykułem o groźnych bakteriach, które mogą się lęgnąć na szkłach kontaktowych.

Nadal między snem a jawą, lekko zmarszczyła czoło. Dokuczał jej ból głowy i zastanawiała się, czy we śnie przypadkiem się o coś nie uderzyła.

Potem wszystko sobie przypomniała - mężczyznę w rycerskiej zbroi, który rzucał w nią ostrymi nożami. Gwałtownie otworzyła oczy.

Znajdowała się w całkiem obcym pomieszczeniu o ścianach z kamienia i niewielu sprzętach. Natychmiast usiadła na łożku.

- W końcu się obudziłaś.

Odwrociła się i zobaczyła człowieka ze snu, gadającą zbroję. Tylko że teraz był ubrany w niebieską tunikę i siedział na ozdobnie rzeźbionym krześle z wysokim oparciem. Miał na sobie skórzane buty sięgające za kolana, a stopę jednej nogi oparł na kolanie drugiej.

Był tak wstrząsająco przystojny, jak zapamiętała.

- Och, to ty. - Przeczesłała palcami splecione włosy. Nie mogła oderwać od niego wzroku. To chyba się nazywa charyzma, pomyślała. Tak, on ma charyzmę. Jak gwiazda filmowa, którą natychmiast się zauważa, nawet w tłumie.

Jeszcze coś przyszło jej do głowy. Co się działo, kiedy spała? Jedno spojrzenie na bluzkę i dżinsy upewniło ją, że nadal jest kompletnie ubrana. Brakowało jedynie śliniaka.

- No, dobrze - odezwała się. Miała nadzieję, że kiedy rozpocznie rozmowę, przejdzie jej ból głowy. - Co się tutaj dzieje?

- Dokładnie o to samo chcę zapytać ciebie, George. - Wypowiedział to imię z naciskiem, lekko się uśmiechając.

- O, nie! Nie odwracaj kota ogonem! Byłam gościem w restauracji w New Jersey, a potem nagle stałam się celem ćwiczebnym dla kogoś, komu się wydaje, że jest rycerzem Okrągłego Stołu. Proszę, powiedz mi, kim jesteś i gdzie trafiłam?

- Daj spokój. Przecież znasz odpowiedź.

- Nie znam! Nie rozumiesz, że naprawdę nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje. - Była bliska łez. Patrzył na nią przez chwilę, jakby oceniał, czy jej reakcja jest prawdziwa, czy to tylko gra. - W takim razie, dobrze. Nazywam się Lancelot. A trafiłaś, jak to z pewnością doskonale wiesz, do Camelotu.

- Błagam. Nie jestem w nastroju do takich...

- Muszę ci zadać podobne pytania. - Nie dał jej dokończyć. - Kim jesteś? Skąd przybywasz?

Znieruchomiał i czekał na jej odpowiedź.

- Dobrze. - Westchnęła. - Nazywam się Julie Gaffney i mieszkam w Nowym Jorku.

- Pochodzisz z Yorku? - Widać było, że coś mu się nie zgadza. - Masz bardzo dziwny akcent.

- Właściwie urodziłam się na Środkowym Zachodzie, więc nie mam nowojorskiego akcentu. - Uśmiechnęła się, jakby wreszcie zrozumiała dowcip, i ciągnęła: - Ty też mówisz z dziwnym

akcentem. Wydawało mi się, że pochodzisz z Francji. To znaczy, że z Francji pochodzi ten Lancelot z Jeziora, czy jak mu tam.

Przymrużył oczy.

- A więc jednak wiesz, kim jestem. Udawałaś całkiem zagonią, a znasz moje imię.

- Nie przesadzaj ze skromnością. Wszyscy wiedzą, kto to jest Lancelot, nawet w Nowym Jorku.

- Znają mnie w Yorku? - Najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność. - Nie, nie pochodzę z Francji. Mieszkańcy Camelotu mają specyficzne pojęcie o geografii. Wydaje im się, że wszystkie ziemie, poza Camelotem, leżą we Francji.

- Troszkę to ksenofobiczne, prawda?

Znów spojrzął na nią spod lekko opuszczonych powiek.

- No... tak. Oczywiście. - Pochylił się i postawił obie stopy na podłodze. - Dlaczego mieszkańcy Yorku wysłali niewiastę, żeby udawała mojego giermka? - Odruchowo uniosła dłoń do piersi, gdzie niedawno znajdował się śliniak. Poczwała, że policzki jej czerwienieją. - Nie przesadzaj ze skromnością. - Uśmiechnął się, widząc jej zmieszanie, i zapytał przyjaznym tonem: - Po co tu przybyłaś?

Nadal zawstydzona, potrząsnęła głową, starając się wyrzucić z myśli obraz nieznanego, odkrywającego jej płeć.

- Ja... ja... Właściwie nie wiem. Mówię szczerze. Po prostu... - Zamilkła w pół zdania, bo usłyszała dobiegający z zewnątrz szczególny dźwięk. - Co to było? - Nie odpowiadał, tylko siedział bez ruchu i obserwował jej reakcję. - Ten dźwięk. - Wstała z łóżka i podeszła do okna. Rozłożyste drzewo zasłaniało jej widok, ale dźwięk nie zniknął. - Konie. Słyszę tętent końskich kopyt i skrzypienie wozów.

- Dzisiaj jest dzień targowy - wyjaśnił łagodnie. Zdał sobie sprawę, że niewiasta nie udaje. Rzeczywiście była przerażona.

Czyżby w Yorku nie mieli dni targowych?

- Gdzie ja jestem? - Stała odwrócona do niego plecami, ale jej napięta, sztywna postawa świadczyła o tym, że zbiera w sobie wszystkie siły.

- Już ci mówiłem. Jesteś w Camelocie.

Lekko się zachwiała, ale odzyskała równowagę, opierając się dłońmi o kamienne obramowanie okna.

- Który mamy rok? - Jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- Jesteś chora - zaczął.

- Który to rok!

- Mamy rok pański czterysta dziewięćdziesiąty ósmy...

Nie słyszała, co do niej mówi. W uszach jej szumiało, oddychała głęboko, starając się dojść do siebie, próbując pojąć to, co zupełnie nie mieściło się w głowie.

Absurdalne myśli przychodziły jej do głowy. Czy miejsce zwane Camelotem kiedykolwiek naprawdę istniało? Pamiętała, jak profesor historii z college'u mówił, że Camelot to po prostu mit, wykorzystywany dla celów propagandowych przez królewskie rody Anglii, które chciały udowodnić swoje pochodzenie od króla Artura. Jeśli istniał prawdziwy król Artur, to pewnie był jakimś wybitnym celtyckim wodzem, żyjącym w czwartym lub piątym wieku.

- Rok pański czterysta dziewięćdziesiąty ósmy - powtórzyła, na chwilę zamykając oczy. Odgłosy życia średniowiecznej wioski docierały do jej uszu, czuła też słodką, wyraźną woń.

Król Artur. Camelot.

Profesor mówił, że w tamtych czasach miarą sukcesu celtyckiego wodza była po prostu zdolność utrzymania się przy życiu, uniknięcia śmierci z ręki sąsiada lub bliskiego krewnego. Tak więc historyczny król Artur był pewnie wodzem jakiegoś dawnego, łupieżczego plemienia półdzikusów.

Tymczasem stojący za nią człowiek, Lancelot, nie był dzikusiem. Co więcej, jak to możliwe, że rozumiała jego język? Dlaczego mówił tylko z lekkim angielskim akcentem, bardziej z amerykańską niż większość spikerów BBC?

Nagle stanął za nią i położył rękę, szorstką, silną i ciepłą, na jej czole.

- Nie masz gorączki - stwierdził.

- Nie. - Właściwie żałowała, że nie ma gorączki. To by wszystko wyjaśniło. - Jak mam cię zrozumieć? Mówisz prawie bez obcego akcentu, a przecież czytałam Chaucera i nawet on posługiwał się staroangielskim. Kiedy żył Chaucer? - Czuła, że traci kontrolę. Zakręcała na palcu kosmyk włosów. Lancelot patrzył na jej profil, na jej świadczące o zdenerwowaniu gesty. - O Boże, nawet Chaucer pojawi się dopiero za osiem stuleci - stwierdziła, otwierając szeroko oczy. - To wszystko w ogóle nie ma sensu.

- Uderzenie w głowę jednak ci zaszkodziło. Wrócę tu z medyką. - Ruszył do wyjścia.

- Nie, zaczekaj. Nie odchodź, pomóż mi.

Zatrzymał się i stanął tak blisko niej, że czuła ciepło jego ciała.

- Chyba tracę rozum - wymamrotała Julie do siebie.

- Cóż, jeśli rzeczywiście tak jest, to wybrałaś sobie na to całkiem dobre miejsce.

- Mówię poważnie. Nie wiem, jak to się stało. Nie wiem, dlaczego tu jestem. - W końcu spojrzała rycerzowi prosto w oczy. - Czy tobie to wszystko nie wydaje się dziwne? Nagle pojawia się przed tobą kobieta w stroju, który musi ci się wydawać całkiem dziwaczny...

- Owszem. Ale, prawdę mówiąc, twoje zdenerwowanie rozprasza moje obawy.

- Dlaczego?

- Ponieważ żaden naprawdę groźny przeciwnik nie wysłałby tak nieudolnego zabójcy. - Wreszcie się uśmiechnęła. Odpowiedział jej uśmiechem i natychmiast cała jego twarz nabrała ciepłego wyrazu. - Muszę już iść - oznajmił. - Zostań tu i czekaj mojego powrotu. Wtedy o wszystkim porozmawiamy.

- Gdzie idziesz?

- To męska sprawa. - Odwrócił się i ruszył do drzwi.
- Nie możesz mnie tu zostawić! Wyjdę na zewnątrz, sprawdzę, co się wokół dzieje. Ja...
- Zostaniesz tu - odparł spokojnie.
- Ciekawe, jak mnie zatrzymasz!
- Bardzo prosto - rzekł, przestępując próg. - Zamknę cię w tej komnacie, moja piękna.

Z tymi słowy zniknął za drzwiami. Usłyszała szcęk metalu.

- Rzeczywiście, prosto i skutecznie - wymamrotała pod nosem. Splotła ramiona i spojrzała przez okno.

- Dziękuję- odezwał się zza ciężkich drewnianych drzwi.

Potem Julia usłyszała charakterystyczny odgłos oddalających się kroków. Wbrew sobie, mimo że sytuacja wcale jej do tego nie zachęcała, uśmiechnęła się lekko.

4

Lancelot szedł korytarzem, stawiając długie zdecydowane kroki, głośno stukając obcasami po wypolerowanej marmurowej posadzce. Słoneczne smugi w kolorach drogocennych klejnotów wpadały do środka przez witrażowe okna, oświetlając gładkie kamienne ściany, skrząc się na połyskliwych powierzchniach sprzętów. Strażnicy w jaskrawoczerwonych tunikach, dzierżący w dłoniach kopie, jak jeden mąż odstepili na boki, żeby go przepuścić przez ciężkie podwójne drzwi w końcu korytarza.

Przybył jako ostatni. Inni już stali na przypisanych sobie miejscach wokół olbrzymiego Okrągłego Stołu.

Czterdziestu dziewięciu rycerzy powitało go skinieniem głowy i, jak zwykle, Lancelot poczuł, że budzi się w nim jakaś nowa iskra życia. Nie był to tylko duch braterstwa, przynależności do grupy, chociaż to z pewnością też było dla niego bardzo ważne. Nie było to również ciche zadowolenie ze świadomości, że on, Lancelot, jest wybranym rycerzem króla, człowiekiem, którego opinię i rady władca bardzo sobie ceni, wojownikiem, który jest u boku króla zarówno podczas bitwy, jak i posiłków i uczt.

Nie, chodziło o coś głębszego, sięgającego podstaw sensu życia. Miał poczucie, że to, co tu robia, jest ważne, że każdy mieszkaniec

Camelotu jest żywym dowodem na zdolność człowieka do życia w harmonii, na możliwość odrzucenia, na ile to tylko możliwe, niskich uczuć i instynktów, które doprowadziły do upadku wiele innych potężnych królestw.

W Camelocie było inaczej.

Wspaniali rycerze, zgromadzeni przy stole, pochodzili z różnych krajów i ziem. Przybyli tu w poszukiwaniu miejsca, gdzie szanowano sprawiedliwość, a z dobrych uczynków jednego człowieka cieszyli się wszyscy inni. Szukali królestwa, w którym doceniano to, co w naturze ludzkiej najlepsze, a tłumiono niskie instynkty, kalające i niszczące nawet najlepsze zamiary najszlachetniejszych ludzi. Każdy z nich przysiągł walczyć o ideały Camelotu i swojego króla. Wszyscy żyli, oddychali i myśleli niemal jak jeden mąż.

Niemal.

- Jak to miło z twojej strony, że zaszczyciłeś nas swoją obecnością, Lancelocie - odezwał się ktoś tak cicho, że tylko Lancelot wyraźnie usłyszał jego słowa.

Nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kto to powiedział.

- Malvern. - To słowo było jednocześnie powitaniem, jak i kontynuacją jego rozmyślań. Tacy ludzie jak Malvern byli w Camelocie rzadkością, chociaż poza królestwem, niestety, często się ich spotyka.

Trudno było uwierzyć, że kogoś takiego zaproszono do tego stołu. Inni rycerze musieli wykazać się nie tylko przed królem, ale również przed wszystkimi mieszkańcami Camelotu. Brali udział w turniejach, a moralność i etyka każdego przyszłego rycerza były poddawane starannej analizie. Olbrzymia większość ubiegających się o tytuł rycerza Okrągłego Stołu została odrzucona, chociaż niemal każdy byłby szczęśliwy, gdyby mu pozwolono zostać w Camelocie, nawet jako zwykłemu mieszkańcowi.

Malvern był inny. Jego ojciec służył u króla Artura jako paź, kiedy obaj byli dziećmi. Gdy w końcu Artur został królem, ojciec Malverna, leżąc na łożu śmierci, poprosił go, żeby zaopiekował

się jego jedynym synem. Artur przysiągł, że to zrobi, i to z radością. Młody Malvern służył mu jako paź, potem jako giermek, aż w końcu został rycerzem.

A jednak nie pasował do innych rycerzy. Było w nim coś odmiennego, patrzył z jakimś mrocznym błyskiem w oku, często wybuchał gniewem, a to wszystko sprawiało, że ludzie odruchowo się od niego odsuwali. Krótko mówiąc, nie ufano mu z taką absolutną pewnością jak innym rycerzom. A Malvern z kolei nie ufał nikomu innemu.

Król jeszcze nie przybył, więc rycerze stali bez ruchu, czekając na Artura. Niektórzy wspierali dłonie na pięknym drewnie ogromnego stołu, jakby podświadomie chcieli poczuć jego solidność i siłę. Mityczny stół liczył już kilkaset lat, a znaleziono go w doskonałym stanie, w bagnie nieopodal granic królestwa. To Artur, widząc doskonałość jego kształtu, dzięki któremu wszyscy rycerze zajmowali za nim równą pozycję, nalegał, żeby sprowadzić go na zamek. Osobiście wypolerował jego blat, na którym ukazała się przepiękna inkrustacja w postaci trójkątów z czerwonego, brązowego i żółtego drewna, rozchodzących się wachlarzowato od środka stołu. Wraz z upływem lat stół nabierał szlachetności, jakby martwy przedmiot mógł wchłaniać siłę tych, którzy za nim zasiadali.

Nagle do komnaty wkroczył król.

Na jego widok wszyscy rycerze się wyprostowali.

Władca był zdecydowanie wyższy od zgromadzonych. Nosił się godnie, jakby urodził się w koronie. Teraz na głowie miał prostą złotą opaskę z kilkoma małymi kamieniami. Ubiorem nie odróżniał się od innych, zachowywał się naturalnie i swobodnie. Twarz miał kanciastą, nos duży, ale kształtny. Gęsta ciemna broda porastała podbródek i policzki; nie widać w niej było ani jednego siwego pasma. Ci, którzy widzieli go pierwszy raz, byli zaskoczeni jego stosunkowo młodym wiekiem, ponieważ tak wielką mądrość jak on mają zwykle tylko sędziwi starcy. A jednak budził rzadko

spotykany respekt. To nie był zwykły człowiek, tylko urodzony władca.

- Panowie- odezwał się, dając im znak, żeby usiedli na rzeźbionych krzesłach. Na chwilę zapanował zgiełk, kiedy rycerze sadowili się na swoich miejscach, a potem zaległa pełna oczekiwania cisza.

Król nie usiadł za Okrągłym Stołem, zajął miejsce osobno, jakby podkreślając zarówno samotność, jaką niesie ze sobą władza, jak i różnicę między rycerzami, nawet najdosłojniejszymi, a królem.

Artur w ciszy zasiadł na wielkim, miękko wyściełanym tronie.

- Czy ktoś ma jakieś nowiny z królestwa?

Zawsze w ten sposób zaczynał ich zwyczajowe spotkania. Kilku rycerzy skinęło głową jeden po drugim przekazywali swoje wieści.

- Młody Carter, ten co mieszka tuż za murami, jest bardzo wystraszony. Twierdzi, że widział armię olbrzymów, nadciągającą z zachodu - oznajmił jeden z rycerzy. - Nie zakłócałbym twojego spokoju taką wiadomością, panie, ale Carter przez czas jakiś był moim giermkim. Jest inteligentny i nie ma skłonności do fantazjowania.

Rozległ się pełen niepokoju pomruk, ale król tylko się uśmiechnął.

- Młody Carter? Czy to ten młodzieniec, który się zaręczył z najstarszą córką piekarza?

- Ten sam, panie - przytaknął rycerz.

- A kiedy widział tę armię olbrzymów?

- To się zdarzyło przedwczorajszej nocy.

- Tak właśnie myślałem. Tego wieczoru przyszli teściowie wydali ucztę na cześć młodego Cartera. Zdaje się, że podali mu trochę za dużo wina. Pamiętasz zapewne, że na polach z zachodniej strony ustawiono stogi siana.

Policzki rycerza przybrały czerwoną barwę.

- Wybacz mi, panie, że marnowałem twój czas...

- Nic podobnego, Eliwłodzie. Jestem wdzięczny za wszelkie

informacje, jakie mi przynosisz. Jeśli chodzi o życie w Camelocie, jesteś moimi oczami i uszami. - Uśmiechnął się do zawstydzonego rycerza i skinął głową następnemu, który miał dla niego wieści.

Lancelot zastanawiał się, czy powinien wspomnieć o dziewczynie, w zasadzie kobiecie, która przysłała do niego rano, przebrana za giermka. Czy to było ważne?

Głos zabrał następny rycerz, a Lancelot w zamyśleniu tarł podbródek. Niewątpliwie obca osoba w przebraniu, zakradająca się do Camelotu, to coś, o czym warto powiadomić króla. Może przysłał ją jakiś wróg? Może miała za zadanie wniknąć do najwyższych kręgów władzy w królestwie?

A jednak nie miał ochoty o niej wspominać.

- Lancelocie, masz jakieś wiadomości? - Król był zawsze bardzo spostrzegawczy. Wszyscy rycerze spojrzeli na Lancelota.

- Nie, panie. - Rycerz uśmiechnął się swobodnie, ale ten uśmiech tylko maskował nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zataić niczego przed królem i rycerską bracią. Było to dla niego bardzo nieprzyjemne. Poczł ukłucie gniewu na tę młodą kobietę i zacisnął pięść pod blatem stołu. - Nie mam żadnych wiadomości.

Odezwał się kolejny rycerz, ale wzrok króla jeszcze przez chwilę spoczywał na Lancelocie.

Ten przekonywał się w duchu, że gdyby to było absolutnie konieczne, z pewnością wspomniałby o dziwnym gościu. Po prostu nie chciał marnować cennego królewskiego czasu.

Spotkanie przebiegało w zwykły sposób. Pod koniec król Artur dał znak Lancelotowi. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Król często zwracał się do niego o radę i zasięgał opinii w wielu sprawach.

- Lancelocie - zaczął, gdy inni zaczęli już wychodzić z komnaty.

Malvern zwlekał, jako ostatni ustawił się do wyjścia, żeby podsłuchać, o czym rozmawiają król i Lancelot.

- Panie. - Lancelot podszedł do Artura. - Czym mogę ci służyć?

- Nie chodzi tu o mnie. Nie o siebie się niepokoję. - Król położył dłoń na ramieniu rycerza. Żaden z nich nie zauważył obecności Malverna.

Lancelot słuchał swojego króla ze zmarszczonym czołem.

- Nie wiem, o czym mówisz, panie - oznajmił z prostotą.

- Chodzi mi o ciebie, Lancelocie. O ciebie się martwię. - Zanim rycerz zdążył odpowiedzieć, król uniósł rękę. - Wysłuchaj mnie, proszę. Usłysz, co mam do powiedzenia, zanim cokolwiek odpowiesz. - Lancelot skinął głową, a król mówił dalej: - Nie chodzi bynajmniej o to, że jestem niezadowolony z twojej służby w szeregach mojego rycerstwa. Nic nie byłoby odleglejsze od prawdy. Jak zawsze, jesteś moim najlepszym rycerzem i najbardziej zaufanym. Niepokoi mnie twoje życie osobiste.

- Moje życie osobiste?

- Owszem. Wydaje mi się, że jest w tobie jakaś pustka, w głębi duszy czujesz, że nie masz żadnego celu. Teraz tylko ja to zauważam, ale z czasem to poczucie braku sensu życia ogarnie cię całego i być może cię osłabi, zarówno duchowo, jak i fizycznie.

- Nie rozumiem cię, panie.

- Martwi mnie to, Lancelocie, głównie dlatego, że sam doświadczyłem podobnego uczucia. Był taki czas, kiedy zaczęła mi dokuczać pustka codziennego życia. Dobrze wypełniałem swoje obowiązki, ale w głębi duszy nie wiedziałem, po co to wszystko. Życie wydawało mi się pozbawione celu. Co dzień się trudziłem, żeby życie innych ludzi biegło gładko, a nocami zastanawiałem się, dlaczego odczuwam taką pustkę.

- I dlaczego tak było?

- Przyczyna okazała się tak prosta, że chciało mi się śmiać. Prawdę mówiąc, rzeczywiście się z tego śmiałem i jeszcze dzisiaj wybucham śmiechem na wspomnienie moich dawnych rozterek.

Rycerz, potrzebuje kobiety. - Lancelot chciał się odezwać, ale król znów uciszył go ruchem ręki. - Nie, nie chodzi mi o jakąkolwiek kobietę. Wiem, jak moi rycerze spędzają czas wolny od obowiązków, i zdaję sobie sprawę, że nie brakuje ci kobiecego towarzystwa. Ale to nie to samo, absolutnie nie to samo. Czasami nawet mi się wydaje, że zbyt wielki wybór potęguje samotność. Potrzebujesz kogoś wyjątkowego, kogoś, kto będzie umiał ukoić twoją duszę i jednocześnie pobudzić zmysły. Kogoś, kto odgadnie twoje potrzeby i kogo ty będziesz potrzebował. Krótko mówiąc, przydałby ci się ktoś taki jak Ginewra.

Lancelot przez chwilę się zastanawiał nad tym, co powiedziała król.

- Panie, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż znalezienie takiej kobiety, jaką opisałeś, pięknej i inteligentnej. Widzę tylko jeden problem.

- Czyżby? A jakiż to problem?

- Tylko jedna taka kobieta chodzi po ziemi, tylko jedna ma to wszystko, o czym mówiłeś. Niestety, panie, nie jest ona wolna. Przecież tylko jedna kobieta odpowiada twojemu opisowi, a jest nią królowa Ginewra.

Król poklepał Lancelota po plecach i uśmiechnął się.

- Wiem, wiem. Jestem najszcześniejszym z ludzi. Ale mocno wierzę, że gdzieś żyje kobieta, która pewnego dnia stanie się dla ciebie tym, kim dla mnie jest moja droga Ginewra. Musisz tylko ją odnaleźć.

Teraz Lancelot się uśmiechnął.

- To może być dość trudne.

- Kto wie? Może to ona cię odnajdzie?

Lancelot roześmiał się głośno i obaj wyszli z komnaty, rozmawiając o sprawach Camelotu. Nie zauważyli Malverna, który stał tuż przy drzwiach.

Lancelot odszedł w milczeniu, splótłszy dłonie za plecami. Zamyślony, pochylił ciemną głowę. Nagle on również zaczął się

uśmiechać, rozciągając usta w coraz szerszym, nieprzyjemnym grymasie.

Lancelot otworzył drzwi. Z początku nie mógł jej dostrzec i przez krótką chwilę myślał, że odeszła, uciekła z królestwa, znikła.

Wtedy ją zobaczył.

Wciąż miała na sobie swój komiczny strój, dziwne niebieskie spodnie i bluzkę. Smaczne spała, zwinięta w kłębek na jego łożu. Podeszedł ostrożnie, stąpając cicho, żeby jej nie obudzić.

Jak mógł ją wziąć za chłopca? Profil niewiasty dobitnie świadczył o jej płci. Nie tylko płeć była oczywista, ale coś jeszcze, coś czego przedtem jakoś w pełni nie zauważył.

Nieznajoma była piękna.

Co, rzecz jasna, czyniło ją jeszcze bardziej niebezpieczną. To znaczy, w razie gdyby przysłał ją tutaj nieprzyjaciel. Kiedy tak na nią patrzył, to podejrzenie wydało mu się całkowicie niedorzeczne. Jaki nieprzyjaciel przysłałby samotną kobietę, żeby podbiła królestwo? Kobieta przecież nie może mieć takiej mocy, zwłaszcza nad mężczyznami.

Natychmiast przypomniała mu się Helena trojańska, ale odepchnął od siebie tę myśl. Powieki nieznajomej zadrgały i widać było, że za chwilę się obudzi.

Przez chwilę rozglądała się, zaspana i zagubiona, potem wydała cichy okrzyk i usiadła na łożu.

- Witam, George - odezwał się Lancelot.

Odwróciła się do niego, a strach zniknął z jej twarzy.

- Och, witam. Jak tam było na krucjacie?

- Gdzie?

- Nieważne. Zaczekaj kilka wieków, a sam się przekonasz. - Spojrzała na zalaną ukośnymi promieniami popołudniowego słońca komnatę. Nadal była w Camelocie. To jej się przyśniło.

I Lancelot też tu był, stał przed nią, taki męski i pewny siebie,

co ją jednocześnie zachwycało i irytowało. Zauważyła, że chce coś przed nią ukryć.

- Co masz za plecami?

- Aha, więc jednak jesteś kobietą.

- Słucham?

- Tylko kobieta wyczuje prezent z odległości dwudziestu kroków.

- Prezent? - Nie potrafiła stłumić radości w głosie.

Bez fanfar wyjął zza pleców jakiś pakunek i jej podał.

- Król i królowa wydają dzisiaj bardzo ważną ucztę. To jest strój dla ciebie, chyba że wolisz wystąpić w swoim dziwacznym kostiumie giermka.

- Uczta? I ja mogę wziąć w niej udział?

Skinął głową.

- Chcesz powiedzieć, że jestem zaproszona na ucztę w Camelocie?

- Tak, tak, oczywiście. A teraz obejrzyj prezent.

Spojrzała na niego z uśmiechem, wyrażającym czystą radość, a on poczuł, że ogarnia go jakieś nieznane mu dotychczas uczucie. Może sprawił to kolor jej oczu, przypominających szmaragdy. A może złote błyski we włosach. Przestał się nad tym zastanawiać i patrzył, jak rozwija pakunek.

Pod jasnobrazowym płótnem ukazała się suknia. Bez trudu znalazł odpowiedni strój, ponieważ znał najlepszą szwaczkę w Camelocie, i wystarczyło tylko...

- Och - westchnęła Julie, rozkładając przed sobą szatę. Lancelot nie obejrzał jej przedtem dokładnie, jednak teraz, widząc, jak zielony aksamit wspaniale odbija światło, jak połyskuje złoty pas, musiał przyznać, że suknia jest piękna. Szwaczka powiedziała, że jest niezwykła i że tylko kobieta o nieskazitelnej figurze wydobędzie z niej całe piękno.

Kiedy tylko zobaczył tę szatę, wiedział, że będzie doskonale pasowała. Na kolor nie zwrócił szczególnej uwagi. Teraz stwierdził,

że doskonale współgra z cerą swojej właścicielki. Tak, suknia była jakby dla niej stworzona.

- Są tam też pantofle - dodał. - Zrobione z takiego samego aksamitu.

- Och - powtórzyła Julie. To słowo wyrażało wszystkie jej emocje.

Nagle Lancelot się zmieszał.

- Zostawię cię samą żebyś mogła się ubrać - burknął. Zdał sobie sprawę, że wcale nie chce wychodzić, chociaż powinien.

- Dziękuję - powiedziała i sięgnęła do jego dłoni.

Rycerz odsunął się, a Julie opuściła ramię. Potem znów chwyciła suknię.

- Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co. - Ruszył do drzwi, ale nagle się zatrzymał. - Zapomniałem... Jak się naprawdę nazywasz?

- Julie. Julie Gaffney.

- Dobrze. Teraz muszę się z kimś spotkać, ale za godzinę wrócę i razem pójdziemy na ucztę, lady Julio.

Uśmiechnęła się szeroko, a on lekko się skłonił i wyszedł.

- Wystarczy Julie - wyszeptała do zamkniętych drzwi. - Ale lady Julia też brzmi ładnie.

Dotknęła sukni i uśmiechnęła się. Zaczynała się czuć jak średniowieczna dama.

Królowa uśmiechnęła się, czując, jak szczyotka rozczesuje jej jasnozłote włosy, spływające na plecy niczym wspaniała gęsta, falująca grzywa. Wpadające przez okno promienie słoneczne odbijały się od nich złotawymi błyskami.

- Mmm - westchnęła. - Jak cudownie!

Król czule pogładził jej włosy, potem ujął jeden kosmyk i pocałował, zamykając oczy.

- Ginewro - wyszeptał cicho.

Szczotka upadła na podłogę, a królowa odwróciła się do męża. Chociaż jak na kobietę była wysoka, górował nad nią, a jego silne ramiona obejmowały ją mocno i namiętnie.

- Nie powinniśmy - upomniała go. - Nie tutaj, w środku dnia. Złapią nas na gorącym uczynku.

- Nie dbam o to.

- Moja reputacja zostanie zrujnowana - dodała nieśmiało.

- Ale pomyśl tylko, ile pięknych chwil nas czeka na tej drodze do ruiny. - Lekko chwycił zębami płatek jej ucha, a pod Ginewrą ugięły się kolana.

Już przepadła. Przystały się liczyć pozory i etykieta, jakby nigdy nie istniały.

Żadne z nich nie usłyszało pukania do drzwi.

A kiedy nikt nie odpowiedział na pukanie, drzwi się otworzyły.

- Panie... - wyjąkał stojący w progu rycerz.

Król oderwał wzrok od tulącej się do niego żony. Oczy zaszyły jej mgłą pożądania, a suknia zsunęła się z jednego ramienia.

- Do diabła, Malvernie! Nie umiesz pukać? Właśnie odbywamy z królową prywatną naradę!

Rycerz zaczerwienił się, a Ginewrą pocałowała Artura w policzek.

- Później, najdroższy. Później dokończymy naradę. Może pod naszym magicznym drzewem?

Król parsknął śmiechem. Tuż pod murami zamku rósł stary dąb i właśnie pod nim pierwszy raz wymienili czułe słowa, wyznali sobie gorące uczucie. Od tamtych czasów stare drzewo wciąż miało dla nich ten sam szczególny urok. Kiedy pod nim stawali, ich miłość odżywała na nowo, bez względu na to, co się wcześniej zdarzyło.

- Trzymam cię za słowo, kochana. Zaczniemy dokładnie tam, gdzie musieliśmy przerwać. Do zobaczenia pod naszym drzewem.

Uśmiechnęła się i podniosła srebrną szczotkę. Skinawszy rycerzowi głową, wyszła z komnaty. Obaj mężczyźni wpatrywali się w nią w skupieniu.

- Królowa jest piękną kobietą, panie.
- Wiem. A teraz mów, co cię do mnie sprowadza o tak nietypowej porze dnia. - Rycerz długo nie odpowiadał. Król podszedł do stołu i zaczął przeglądać leżące na nim dokumenty. W końcu podniósł głowę. - No, mówże - ponaglił Malverna.
- Nie wiem, od czego zacząć, panie.
- Po prostu zacznij od początku.
- Przyszedłem tu z bardzo niemiłym zadaniem. Muszę ci coś powiedzieć, chociaż wcale nie chcę tego robić. Jednak nie mogę dłużej pozwalać, żeby robiono z ciebie głupca. To się musi skończyć.

Król przyglądał się rycerzowi z lekkim rozbawieniem. Nigdy nie potrafił obudzić w sobie żadnych cieplejszych uczuć w stosunku do tego młodego człowieka. Było w nim coś niepokojącego, mrocznego. Artur nie potrafił tego określić, ale po prostu wiedział, że w towarzystwie Malverna czuje się źle. Innym rycerzom gotów był powierzyć swoje życie. Ale Malvern był całkiem inny.

- A więc ktoś robi ze mnie głupca? - Król skrzyżował ramiona na piersi. - Jestem królem. Wiele razy robiono ze mnie głupca. A teraz uciekaj i bądź grzecznym rycerzem.

Twarz młodego człowieka poczerwieniała.

Wszyscy traktowali go w ten sposób, król, inni rycerze, nawet zwykli giermkowie i paziowie. Malvern - życiowa pomyłka. Jedyne rycerz, który nie zasługiwał na miejsce przy Okrągłym Stole.

Cóż, wkrótce Artur przestanie się śmiać. Niedługo wszyscy przestaną się z niego śmiać.

- Panie, wydaje mi się, i mam na to dowody, że królowa nie jest ci wierna.

W komnacie zapanowała cisza tak pełna napięcia, że Malvernowi się wydało, iż ściany wokół niego zaczynają drżeć. Przez chwilę się bał. Czyżby posunął się zbyt daleko? Może powinien poczekać, aż jego plan przybierze wyraźniejszy kształt?

Ale przecież celem tego spotkania było zasianie ziarna intrygi, tak żeby sam król przyczynił się do jej dalszego rozwoju.

Malvern przełknął ślinę i patrzył na nieprzeniknione oblicze króla. Nagle Artur wydał z siebie przerażający dźwięk, przypominający ryk lwa.

A więc plan zaczął się już realizować. Nie było drogi odwrotu. To był początek nieodwracalnego procesu.

Rycerz z przerażeniem myślał o tym, co uczynił. Nieopisany strach ścisnął mu żołądek. Już miał się odwrócić na pięcie i uciec, kiedy nagle zdał sobie sprawę, czym jest ten przerażający ryk.

Król się śmiał.

Śmiał się z całej duszy, tubalnym, gardłowym głosem, odrzuciwszy głowę w tył. Jego masywne ramiona trzęsły się nieopanowanie.

Malvern przyglądał mu się przez chwilę, nie wiedząc, co czynić.

Artur przestał zanosić się śmiechem, ale nadal miał rozbawioną minę.

- Dziękuję ci, Malvernie. Od wielu dni nic mnie tak nie rozśmieszyło. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim królowej. A teraz zmykaj. Czeka na mnie pilna praca.

Rycerz się nie poruszył. Oczy biegały mu niespokojnie, nerwowo zacisnął dłonie po bokach.

- To nie był żart, panie. To prawda, a mówię to z bólem serca. Królowa była ci niewierna i nadal zdradza twoje zaufanie.

Rozbawienie znikło z twarzy króla.

- Twoje słowa to zdrada!

- Nie, nie! Chcę ci tylko, panie, oszczędzić dalszych przykrości i bólu!

Król zmierzył rycerza gniewnym spojrzeniem. Nigdy go nie lubił, nie ufał mu. Samo wysłuchiwanie takich kłamstw płamiło honor króla i królowej.

Jednak coś kazało mu ciągnąć tę rozmowę.

- A z kimże to królowa popełnia tę ohydną zbrodnię? Czy jest ich wielu, czy tylko jeden?

Malvern zawahał się. Nadeszła decydująca chwila. Kiedy wypowie to imię, znajdzie się w niebezpieczeństwie. Ryzykował, że straci wszystko.

Nie miał jednak wyboru. Życie, jakie dotychczas wiódł, wydało mu się nie do zniesienia. Nie będzie dłużej obiektem kpin innych rycerzy i niemal wszystkich mieszkańców Camelotu. Nie może dłużej tkwić na dolnym szczeblu drabiny. Urodził się do większych rzeczy i tylko pech oraz zwykła niesprawiedliwość zepchnęły go na tak niską pozycję.

To była po prostu niesprawiedliwość, nic poza tym. Jeśli wprowadzi swój plan w życie, zostanie ona naprawiona. Wynagrodzi sobie wszystkie krzywdy. Tak, niektórzy ludzie będą musieli ucierpieć. Ale czyż on również nie cierpiał? Czyż nie lepiej jest zmieniać bieg wypadków niż pozwalać, żeby niesprawiedliwość trwała nadal?

- Panie, do królowej zaleca się człowiek o wiele młodszy od ciebie i, niech mi będzie wolno dodać, o gładszym, bardziej urodziwym obliczu. Zauważyłem, że w kobiecej naturze leży skłonność do krzepkich, pewnych siebie młodzików.

- Podaj mi jego imię.

- Nie chcę tego czynić, panie. Chciałem tylko cię ostrzec, obudzić twoją czujność, żebyś sam na własne oczy mógł dostrzec dowody zdrady.

- Podaj mi imię.

- Robię to pod przymusem.

Król nic nie odpowiedział, ale jego twarz wyrażała więcej niż jakiegokolwiek słowa. Malvern, spięty i niezdecydowany, przestąpił z nogi na nogę.

- Lancelot - powiedział w końcu, mimo woli jadowitym tonem.

- Lancelot? - Król nie mógł w to uwierzyć.

- Tak, Lancelot. Widziałem ich razem. Spogląda na królową jak wygłodniały człowiek na dobrze wypieczoną sztukę mięsa i...

- Dość! - Artur uniósł wielką dłoń. Rycerz zamilkł. - Odejdź, Malvernie. Mam pilną pracę.

- Ależ, panie, pozwól mi...

- Powiedziałem, odejdź- powtórzył król Artur znużonym głosem.

Malvern zastanawiał się, co jeszcze mógłby dodać, coś bardzo obciążającego, co uplotłoby sznur na szyję Lancelota. Jednak w tej chwili nie potrafił nic takiego wymyślić. Przed rozmową z królem starannie rozważył różne możliwości i sposoby postępowania, w zależności od rozwoju wypadków. Takiej reakcji jednak nie przewidział. Żadna z wcześniej obmyślonych odpowiedzi nie nadawała się do wykorzystania.

Nie tego oczekiwał.

Skłonił się lekko i wyszedł. Zatrzymał się tuż za drzwiami i nasłuchiwał, czy nie dobiegnie zza nich jakiś dźwięk. Nic nie usłyszał, więc przygarbiony, ze spuszczoną głową, odszedł w swoją stronę.

W komnacie król opadł na krzesło i zapomniawszy o ważnych dokumentach, wpatrywał się w przestrzeń.

5

Julie przygładziła ręką suknię, rozkoszując się niezrównanym dotykem mięsistego, trochę nierównego aksamitu. Już w samej szmaragdowozielonej tkaninie było coś niezwykłego, trudnego do określenia, czego jednak brakowało materiałom produkowanym masowo lub syntetycznym. Zamknęła oczy i z niczym nie zmaconą przyjemnością wdychała otaczające ją zapachy, takie dziwne i nowe.

Była w Camelocie, czekała nadejścia Lancelota, który miał ją zabrać na ucztę.

Oczywiście, w tej chwili był bardzo zajęty. Rzemiosło rycerskie zabiera o wiele więcej czasu, niż większości ludzi się wydaje.

Julie powiodła ręką wzdłuż uda, po talii i w górę, tam gdzie złota siatka zdobiła jej ramiona. Dotknęła palcami ust, które rozchyliły się w rozkosznym, pełnym zadowolenia uśmiechu.

Naprawdę tu była, w Camelocie, i czuła się wspanialej, niż to sobie kiedykolwiek mogła wyobrazić.

W rogu komnaty stało duże lustro. Właśnie przed chwilą przeglądała się w nim zadziwiona, dotykając odbicia kobiety, które przed sobą widziała, obwodząc dłonią rzeźbioną ramę, jakby chciała się upewnić, czy obraz w lustrze jest prawdziwy. Oczywiście-

cie, widziała siebie, Julie Gaffney. Jednak była to Julie Gaffney, jakiej nigdy przedtem nie oglądała, nie sądziła nawet, że może tak wyglądać.

Stała przed nią piękność jak z romantycznego portretu, trochę niewyraźnie widoczna w zamglonym, pokrytym skazami zwierciadle. Jej włosy wyglądały jak nieziemska złota aureola, otaczająca głowę i spadająca na ramiona. Pamiętała, że jeszcze niedawno były kilkanaście centymetrów krótsze.

Szata opinała wszystkie jej wypukłości z bezwstydną dokładnością. Czy zawsze miała taką doskonałą figurę? Niewątpliwie dawniej czuła się o wiele mniej pociągająca w klubie sportowym, w kostiumie kąpielowym, a nawet w sukni wieczorowej. Po raz pierwszy nie udało jej się znaleźć tuzina rzeczy w sobie, które chciałyby zmienić, ani nie marzyła o tym, żeby wielką gumką zetrzeć pewne kształty, a inne z kolei dorysować.

Teraz nic nie chciała w swoim wyglądzie zmieniać.

Najbardziej zaskoczyła ją własna twarz. Chociaż zawsze miała regularne rysy, to wydawały jej się one niezbyt godne uwagi, jak wizerunek namalowany przez wprawnego, ale pozbawionego natchnienia artystę. Jak to określała większość ludzi, twarz Julie była miła dla oka. Teraz coś się zmieniło, jakby na artystę wreszcie spłynęło natchnienie albo kupił sobie lepszy pędzel, ponieważ jej twarz po prostu promieniała pięknem.

- Lady Julia. - Znajomy głos brzmiał bardzo cicho, jednak natychmiast otworzyła oczy.

Lancelot stał w drzwiach jak nieziemska wizja wspaniałego średniowiecznego bohatera. Miał na sobie niebieską tunikę - zastanawiała się, ile tunik mieści jego szafa - w ciemniejszym odcieniu, przypominającą niebo w nocy. Buty błyszczały jeszcze bardziej, włosy były starannie uczesane.

Jego urodziwa twarz wyrażała te same uczucia, których doświadczyła Julia, spoglądając w lustro. On również spostrzegł w niej zmianę. I jego też ta transformacja zachwycała.

- Lady Julia - powtórzył. Dźwięk jego głosu przyprawił ją o przyjemny dreszcz. - Jesteś... - zaczął. Nagle potrząsnął głową i przetarł oczy, jakby nagle sobie przypomniał, że powinien zachować ostrożność. - Muszę cię o coś zapytać.

- Słucham.

- Kto cię przysłał do Camelotu?

Nie tego oczekiwała. Miała nadzieję, że zapyta o coś całkiem innego.

- Kto mnie przysłał?

- Tak. Muszę to wiedzieć, i król także.

- Ja... cóż... - Nerwowo splótła palce. - Sama nie wiem.

Jego twarz nie wyrażała teraz żadnych uczuć.

- Nie wiesz?

- Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak jest. Wybrałam się do... - Jak mogła mu opisać restaurację z historycznym wystrojem i dziecięce przyjęcie urodzinowe? Odchrząknęła, desperacko szukając odpowiednich słów. - Po prostu się tu zjawiłam.

Zmrużył oczy.

- W mojej zbrojowni?

- No, tak. Ściśle mówiąc, właśnie tam.

- A z jakiego królestwa przybywasz?

- Jestem z Nowego Jorku, z USA. - Po jego minie było widać, że nic mu to nie mówi. - Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

- A gdzie się to królestwo znajduje?

- Po drugiej stronie oceanu. Bardzo daleko stąd. Prawdę mówiąc, nie zostało jeszcze odkryte. To znaczy, jestem prawie pewna, że jeszcze nie zostało odkryte. Może tylko jacyś wikingowie dopłynęli tam przypadkiem, ale...

- Skoro tego królestwa jeszcze nie odkryto - przy ostatnim słowie kpiąco skinał głową - to skąd wiesz, że istnieje, a tym bardziej, jak możesz twierdzić, że to twój kraj rodzinny?

- Szczerze mówiąc, to właśnie jest w tym wszystkim najdziw-

niejsze. - Nagle poczuła się jak nieposłuszne dziecko, które się tłumaczy, dlaczego zbiło szybę w oknie. Nawet w jej uszach własne tłumaczenie nie brzmiało wiarygodnie. - Widzisz, Lancelocie, to, co ci powiem, bardzo cię zdziwi. Nie przesadzam. Chociaż to nieprawdopodobne, to...

- Słucham cię. Mów dalej.

- Jestem z przyszłości. Moje czasy są odległe o jakieś... niech pomyślę... - Wpatrzyła się w przestrzeń i zaczęła na palcach liczyć stulecia. Lancelot spoglądał na nią, nic nie mówiąc. W zamyśleniu splótł ramiona na piersi. - Ojej! - powiedziała w końcu z pełnym zakłopotania uśmiechem. - Urodzę się dopiero za jakieś tysiąc pięćset lat. Z dokładnością do pół wieku.

Lancelot nie zareagował. Nawet nie drgnęła mu powieka. Gdyby nie to, że Julie wcześniej widziała, jak się poruszał, to przysięgłaby, że jest nieożywioną figurą. W końcu przymknęła oczy.

- Uderzenie w głowę pomieszało ci zmysły.

- Nie! Mówię całkiem poważnie!

- Chodź. - Spojrzył na nią badawczo, jak na ciekawy okaz pod lupą. - Porozmawiamy o tym później. Może niedługo wróci ci rozum.

- Nie wierzysz mi.

- Lady Julio, zjawiłaś się w mojej zbrojowni przebrana za chłopca. Zostałaś uderzona w głowę, straciłaś przytomność, a ja odkryłem, że nie jesteś młodzieńcem, tylko w pełni dojrzałą kobietą. A teraz twierdzisz, że przybywasz z przyszłości, odległej o tysiąc lat. Czy ty w tych okolicznościach uwierzyłabyś w taką opowieść?

Już miała powiedzieć, że tak, jak najbardziej, ale nie dał jej dojść do słowa.

- Pozwól, że wyrażę to w inny sposób - tłumaczył rycerz tonem dobrego wujka. - Wyobraź sobie, że to ja pojawiłem się w twojej komnacie, gdziekolwiek ona jest.

Oczyrna wyobraźni zobaczyła swoją sypialnię na Manhattanie, komodę, dywan, zasłony w oknach i piękny widok na miasto.

- Sama powiedz - ciągnął. - Co byś sobie pomyślała, gdyby mężczyzna w dziwnym stroju stanął nagle przed tobą i oznajmił, że przybył z odległej o, powiedzmy, pięćset lat przeszłości. Co byś zrobiła, lady Julio?

Wyobraziła sobie, że stoi w swoim mieszkaniu i nagle znikąd pojawia się przed nią nieznajomy, ubrany jak średniowieczny rycerz.

- Pewnie zadzwoniłabym na policję - przyznała. - I zaczęłabym wzywać pomocy.

- A może doszłabyś do wniosku, że ta osoba jest najpewniej chora?

- Tak - potwierdziła cicho.

- Albo że ta osoba chce cię skrzywdzić?

- No, tak... rozumiem, co chcesz powiedzieć, Lancelocie. Ale błagam, uwierz, nie jestem szalona ani nie zamierzam cię skrzywdzić. Tak samo jak ty, nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

- Wątpię. Nie wydaje mi się, żebyśmy zdołali teraz cokolwiek sobie wyjaśnić. Może po wybornym posiłku będziesz w stanie sobie przypomnieć, skąd się tutaj wzięłaś.

- Ależ ja pamiętam, skąd się tu wzięłam. Tylko ty nie chcesz mi uwierzyć.

Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Chodźmy na ucztę, lady Julio. Z największą rozkoszą będę ci towarzyszył, ponieważ jesteś... - Wydawało się, że szuka odpowiednich słów. - Dzisiaj będziesz...

Co powie? Będziesz najpiękniejszą kobietą w towarzystwie? Najbardziej elegancką? Wcieloną doskonałością?

- Dzisiaj będziesz moją daleką krewną w drugim pokoleniu - zakończył triumfalnie.

- Co takiego?

- A w jaki inny sposób mogę wytłumaczyć twoje istnienie?

- Jak to, moje istnienie? - Dotknęła swoich włosów, wyczuwając ich jedwabistą miękkość. Czy on był ślepy?

- Twoją obecność - wyjaśnił szorstko. - Przecież muszę coś powiedzieć. A więc... - Uśmiechnął się szeroko i podał jej ramię. - Czy można?

- Ja... no... - Zawahała się. - Lancelocie, czy zauważyłeś we mnie jakąś odmianę? Nie chodzi mi tylko o strój.

Zmarszczywszy czoło, powiódł wolno wzrokiem od czubka jej głowy w dół. Potem, równie powoli, znów zmierzył ją spojrzeniem od obutych w pantofelki stóp aż po czubek głowy.

- Miałem rację. Miałem absolutną rację.

- W jakiej sprawie?

- Ta druga suknia byłaby na ciebie za mała. - Potarł dłonie. - Idziemy?

- Co tam, do licha! - Uśmiechnęła się lekko. - Dlaczego nie. Spodziewam się, że nie przyniosłeś mi bukietu kwiatów?

- Słucham?

- Nieważne. - Ujęła jego ramię i razem zeszli po wąskich, krętych schodach.

- Jesteś cudowna - wyszeptał tuż za jej uchem.

Nie usłyszała, zajęta zbieraniem fałd długiej sukni.

- Co powiedziałaś? - Spojrzała mu prosto w oczy, a on się uśmiechnął.

- Powiedziałem, żebyś uważała na stopnie. - Ruchem głowy wskazał na strome schody.

- Och, dziękuję.

Delikatnie położył dłoń na jej karku i trzymał ją tak przez całą drogę w dół.

Znaleźli się w wielkiej sali, wyłożonej perskimi dywanami. Stał tam wielki kredens, na którym pyszniły się złote talerze. Julie nie miała jednak czasu podziwiać wystroju wnętrza, ponieważ od razu wyszli na zewnątrz.

Natychmiast otoczyły ją widoki, dźwięki i wonie tak niewiary -

godnie wspaniałe, jakby to wszystko było tylko cudownym snem. Widząc jej reakcję, Lancelot uśmiechnął się, ponieważ taką minę mieli wszyscy, którzy po raz pierwszy przybywali do tego królestwa.

Odwróciła się i z zachwytem spojrzała na krzewy róż, rosnące przy drzwiach, przez które przed chwilą przeszli.

- One są niebieskie! Niebieskie róże!

- Tak, wiem - odparł i poprowadził ją przez piękny łukowaty mostek. Pod nim skrzył się strumień, pełen dziwnej flory i fauny, falującej w prądzie wody. Zielono-żółta ryba z czerwonymi płetwami przeskoczyła przez leżący w strumieniu kamień.

- Jaka piękna ryba! Widziałeś ją? Wygląda, jakby ją tu przeniesiono z filmów Disneya!

Lancelot niedbale zerknął na strumień, w samą porę, żeby dostrzec następną rybę, tym razem turkusowo-fioletową, która skoczyła śladem swojej poprzedniczki.

- Tak, lady Julio. Owszem, w tym strumieniu żyją ryby.

Julie nadal stała z rozwartymi z zaskoczenia ustami, więc rycerz czubkiem palca delikatnie dotknął jej podbródka, żeby je zamknęła. Mimo to w oczach wciąż miała wyraz tak czystego zdziwienia, że w końcu się roześmiała.

- Widzę swoje odbicie w twoich oczach - rzekł i poprowadził ją obok marmurowej fontanny, tryskającej winem. Otaczały ją kwiaty niewiarygodnej wręcz piękności. W następnej pieniły się nektary owocowe, była tam też nawet fontanna z chłodną wodą.

- Nie wyobrażałam sobie, że takie miejsce istnieje - wyszeptała Julie.

Tak też było. Przy Camelocie reszta świata wydawała się beznadziejnie szara i smutna.

Szli ulicami dużego murowanego miasta; popołudniowe, żółte słońce wisiało na bezchmurnym, błękitnym niebie. Wokół latały ptaki, odcinając się od nieba cudownymi barwami. Ich śpiew był dziwny - nigdy jeszcze takiego nie słyszała - egzotyczny, a jed-

nocześnie znajomy, jakby fantazja stała się rzeczywistością. Wielkie domy stały z dala jeden od drugiego. Wszystkie zbudowane z różowego kamienia, a ich ściany błyszcząły, jakby wmurowano w nie okruchy diamentów. Chodniki były z tego samego kamienia i różowe płyty skrzyły się pod stopami.

Nie było tu nigdzie błota ani gołej ziemi, z wyjątkiem żyznych klombów, na których rosły imponujące kwiaty, tak wysokie jak małe drzewka, o pąkach, których barwy zdumiewały - czerwień wręcz oślepiła, pomarańczowy zdawał się jarzyć własnym światłem, a różne odcienie błękitu przywodziły na myśl ogon pawia. Julie aż zmrużyła oczy, nienawykłe do tak pięknych widoków. Wydawało się, że jakaś niewidzialna ręka podkręciła gałkę stopnia nasycenia barw obrazu. Wszystko tu było większe, barwniejsze i po prostu lepsze niż gdziekolwiek indziej.

Ludzie byli równie wspaniali. Nosili proste ubrania, właściwie były to doskonale skrojone tuniki. Suknie kobiet omiały połyskujące chodniki, mężczyźni mieli takie same wysokie buty i tuniki jak Lancelot i w równie zdecydowanych barwach. Same materiały, mieniające się przy każdym ruchu, budziły zachwyt.

Piękne stroje niemal przyćmiewały ludzi, ale nie do końca. Na twarzach przechodniów Julie dostrzegła taką radość, zadowolenie i po prostu czyste szczęście, że każde oblicze wręcz promieniało.

Po ulicach konie ciągnęły zgrabne drewniane wozy lub niosły na grzbiecie kobiety, mężczyzn albo roześmiane dzieci. Jednak Julie nigdzie nie dostrzegła końskiego nawozu, nawet najmniejszej po nim pozostałości.

- Nie ma tu końskich odchodów- stwierdziła. Spojrzała na Lancelota, który właśnie przyjmował od uśmiechniętego handlarza piękne czerwone jabłko. Wszędzie wokół stali przekupnie i piętrzyły się stopy różnorakiego jedzenia, gorący chleb prosto z pieca, pięknie dekorowane ciasta, pieczone mięsa, jakich tylko dusza mogła zapragnąć, owoce i warzywa, począwszy od tropikalnych mango, a skończywszy na polanych masłem kolbach kukurydzy.

Nikt za nic nie płacił. Przekupnie po prostu rozdawali całą tę wspaniałą żywność, przyjmując za całą zapłatę jedynie uśmiech i skinienie głową.

- Oczywiście, że nie ma tu końskich odchodów. Konie załatwiają takie sprawy za murami, za placem, gdzie odbył się dzisiejszy turniej. - Lancelot wbił zęby w jabłko, a strużka soku pociekła mu po brodzie.

- Chcesz powiedzieć, że konie są przyuczone do czystości jak koty?

Roześmiał się.

- Niezupełnie. Po prostu wolą robić takie rzeczy z dala od miasta.

- Nie rozumiem. Przecież dla nich załatwianie swoich potrzeb gdzie popadnie jest naturalne.

- Nie w Camelocie. Instynktownie wiedzą, co robić. - Wzruszył ramionami. - Król Artur ma powiedzenie, które można zrozumieć tylko po odwiedzeniu tego królestwa.

- Niech zgadnę. Ulice tutaj są tak czyste, że można z nich jeść?

- Nie. - Wystawił twarz do słońca, a Julie zauroczona patrzyła, jak światło gra na opadających na ramiona włosach, jak jego skóra wręcz promienieje zdrowiem i energią. Spojrzał na nią z wielką powagą. - Król mawia, że my, w Camelocie, sprawiamy, iż reszta świata wydaje się niepotrzebna.

Julie już miała się oburzyć na takie pełne przesady stwierdzenie, ale kiedy spojrzała na otoczenie, na ludzi, na ogrody, które zdawały się wyrastać na każdym rogu, zdała sobie sprawę, że ta opinia nie wynika z zarozumiałości. To była po prostu prawda.

- Och - odparła cicho, bo tylko tak była w stanie zareagować.

Lancelot chyba ją zrozumiał, ponieważ się roześmiał.

Julie spojrzała na wyniosły zamek, trzymając się kurczowo ramienia Lancelota i wyraźnie czując, że dodaje jej ono siły.

- Jak ten zamek się obroni w razie ataku? - Wiedziała wystarczająco wiele o średniowiecznych budowlach, więc brak jakichkolwiek fortyfikacji od razu rzucił się jej w oczy. Ale zanim dokończyła pytanie, zdała sobie sprawę, że to w zasadzie jeszcze nie jest średniowiecze ani renesans, ani żadna inna epoka historyczna, o której cokolwiek by wiedziała, tym bardziej że z historii nigdy nie była mocna.

To przecież był Camelot, dziwne miejsce poza czasem, jednocześnie obce i bardzo znajome. Po prostu Camelot.

- Zamek nie musi się bronić - wyjaśnił Lancelot. - Właśnie dlatego ja tu jestem i inni rycerze. - Zamilkł, uniósł głowę i popatrzył na zamek. - Gdyby nieprzyjaciel dotarł aż tutaj, i tak byłoby za późno. Już bylibyśmy pokonani.

Coś nagle zaciekawiło Julie.

- Ty zadawałeś mi pytania, teraz moja kolej. Powiedz mi, dlaczego ty się tu zjawiłeś, Lancelocie?

- Ponieważ zostałem zaproszony na ucztę.

- Chodzi mi o to, skąd się wzięłeś w Camelocie. Co sprawiło, że postanowiłeś opuścić dom i zaryzykować wszystko, żeby tu zamieszkać?

Lancelot zerknął na nią, przechylając głowę w jedną stronę, jakby inny kąt widzenia mógł pomóc mu lepiej zrozumieć jej pytanie i myśli, które się za nim kryły. Zatrzymał się i przysiadł na skraju fontanny z winem. Poklepał miejsce obok siebie, zachęcając Julie, żeby również usiadła.

Przy ciemnoniebieskiej tunice jego oczy wydawały się ciemniejsze, z bławatkowych zmieniły się w szafirowe. Pod wysokimi czarnymi butami miał getry, w takim samym odcieniu głębokiej czerni jak jego włosy i brwi.

- W przeciwieństwie do ciebie, znam odpowiedź na to pytanie. - Jego głos brzmiał ostrożnie, lecz stanowczo. - Ale najpierw, lady Julio, wyjaśnij mi, dlaczego ty się tu zjawiłaś? Może oboje przybyliśmy do Camelotu z tego samego powodu?

Julie zawahała się, niepewna, co odpowiedzieć. Dlaczego tu trafiła? I nagle ją olśniło. Przyszło jej do głowy najlogiczniejsze i najbardziej szalone wytłumaczenie: prawda.

- Tak dokładnie to nie wiem. Może dlatego, że przez całe życie wierzyłam w istnienie Camelotu. Tylko nie zdawałam sobie z tego sprawy. Przechowywałam jego obraz gdzieś na dnie duszy od bardzo dawna. Byłam przekonana, że istnieje naprawdę, chociaż rzeczywistość okazała się o wiele wspanialsza niż moje najśmielsze marzenia. Szłam przez życie, czując jakąś pustkę, wszystko dawało mi połowiczną satysfakcję - tak jakbym w mroźny dzień włożyła tylko jedną rękawiczkę. Czegoś mi brakowało. I nagle, niespodziewanie, znalazłam się tutaj. Lancelocie, zapewniam cię, że nic więcej na ten temat mi nie wiadomo. Po prostu się tu znalazłam.

Rycerz wpatrywał się w nią bławatkowymi oczami. Napotkała jego spojrzenie i spostrzegła, że w źrenicach rozpała mu się jakieś srebrne światło, jakby nagle ujrzął ją na nowo i rozpoznał w niej bratnią duszę.

- Dokładnie tak samo było ze mną - zaczął. - Niewiele sobie przypominam z życia, które wiodłem, zanim jako młodzieniec przybyłem do Camelotu. Pamiętam jednak brud, błoto, choroby i głód. Pamiętam jakąś kobietę. Nie była to moja matka, ale jakaś kobieta, którą chyba kochałem. Nie jestem pewien, bo przecież gdybym ją kochał, to zapamiętałbym ją lepiej, nie byłaby tylko niewyraźną postacią we mgle, daleką i nieosiągalną. To musiał być tylko sen. - Przez chwilę patrzył prosto przed siebie. Potem, jakby obudzony z letargu, mówił dalej. Jego głos brzmiał teraz pewnie. - Tylko tyle pamiętam. Ale nawet te wspomnienia zacierają się z każdym dniem spędzonym w Camelocie. I wydaje mi się, że przybyliśmy tu oboje z tego samego powodu, lady Julio. Z tego powodu dzieciom śni się Camelot, z tego powodu ludzie wielcy i mali chcą poznać opowieści o tym cudownym królestwie.

- A jaki to powód? - Ledwie była w stanie wypowiedzieć słowa.

- To wszystko dlatego, że wierzymy w Camelot. - Wziął głęboki oddech i ciągnął: - Wierzyliśmy, że istnieje, podczas gdy inni mówili nam, że to tylko mit. Wszyscy wiedzą, że to jest miejsce, gdzie panuje prawda i sprawiedliwość, ale my gorąco wierzyliśmy, wbrew wszelkim dowodom, że Camelot to realne, prawdziwe królestwo. Dlatego się tutaj znaleźliśmy. Jesteśmy tu, ponieważ wierzymy.

Julie skinęła głową. Rozumiała jego słowa i zgadzała się z nimi. Być może trudno było to wszystko logicznie wytłumaczyć, ale taka była prawda.

- Czy to znaczy, że doszedłeś do wniosku, że nie stanowią zagrożenia dla ciebie ani dla Camelotu?

Nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami. Jego twarz znów stała się nieprzenikniona, więc Julie zdała sobie sprawę, że Lancelot nadal nie jest pewien jej intencji. Ten brak zaufania zranił ją. Choć nie wiedziała dlaczego, pragnęła, żeby jej ufał, żeby na nią patrzył bez tej czujności, która wciąż uporczywie pojawiała się w jego oczach.

Lancelot wstał i skinieniem głowy wskazał na zamek.

- Chodź. Jestem głodny.

Lekki wietrzyk przyniósł woń kwiatów i słodkiego wina z fontanny. Samo powietrze pachniało cudownie.

Jeszcze raz spojrzawszy na piękno Camelotu, Julie i jej rycerz wkroczyli do zamku. Kiedy przechodzili przez szeroką, łukowatą bramę, Julie odruchowo mocniej chwyciła swego towarzysza za ramię.

- Ojej - wyszeptała pod nosem.

Spojrzała na sklepienie, tak wysokie, że ledwo mogła dostrzec zdobiące je malowidła. Wnętrze zamku było jeszcze wystawniejsze niż zewnętrzne mury, ale Julie nie była już w stanie podziwiać jego wspaniałości. Więcej piękna tego dnia nie mogła już wchłonąć.

Znaleźli się w głównej sali.

Wszystko tu wyglądało jak cudowny sen w technicolorze, wszystko było większe, piękniejsze, doskonalsze niż w normalnym życiu. Długie stoły uginały się pod olbrzymią ilością wszelkich potraw, jakie tylko można sobie było wyobrazić, a na dodatek dostrzegła jeszcze kilka takich, których istnienia nawet nie podejrzewała. Wielkie pieczone udźce, parujące talerze ze stertami barwnych warzyw, pięknie zdobione ciasta i torty, wszystko to ustawiono na miękkich materiałach i wyszywanych złotą nicią obrusach.

No i mieszkańcy Camelotu. Oni również wydawali się bardziej urodziwi niż zwykli ludzie. Wydawało się, że bije od nich wszystkich zdrowie i radość, bez względu na wiek, płeć czy pozycję w królestwie.

Lancelot zaprowadził ją na miejsce, a Julie usiadła z westchnieniem ulgi. Siedzieli tak, że mieli widok na całą salę.

- Zaraz wrócę - powiedział cicho. - Pamiętaj, gdyby ktoś cię o to zapytał, jesteś moją daleką kuzynką. -Z tymi słowami odszedł.

Potrzebowała chwili czasu dla siebie. Oszołomiona, po prostu patrzyła na panujący wokół ruch.

Naprawdę tu jestem, w Camelocie, powtórzyła sobie jeszcze raz. To zdanie wciąż do niej wracało, jak refren, jak mantra, jak modlitwa.

Camelot. Gorączkowo szukała w pamięci jakichkolwiek wiadomości o tym miejscu.

W szkole średniej czytała z zachwytem mistyczne powieści fantastyczno-naukowe i wiktoriańskie poematy epickie. Jednak teraz, jako dorosła kobieta, nie była w stanie sobie przypomnieć, co ją w nich tak fascynowało. Pamiętała jedynie opowieść o młodym królu Arturze, o spotkaniu z Merlinem, który został jego mentorem, uczył go i szkolił, aż Artur w końcu stał się potężnym i mądrym królem. Od tego punktu legenda miała wiele różnych wersji. Chyba każda część świata miała jej własną interpretację, odpowiadającą regionalnym gustom. Francuski Artur był bardzo

romantyczny i namiętny, niemiecki - zdyscyplinowany. Lancelot okazywał się ofiarą zdradzieckiej Ginewry lub playboyem bez honoru. Jednak istota opowieści zawsze pozostawała taka sama: Artur zabiegał o względy pięknej Ginewry i w końcu ją zdobywał. Pobierali się i żyli jak wcielony wzór wszelkich cnót. Potem zjawiał się rycerz, równie tajemniczy i szlachetny, co przystojny i uwodzicielski.

Młoda Ginewra, w końcu przecież tylko słaba niewiasta, traciła głowę dla Lancelota i wtedy coś się zaczynało psuć w państwie Camelot.

Od tej chwili magia Camelotu zaczynała obracać się wniwecz. I znów legenda przybierała różne kształty, ale jedna rzecz się nie zmieniała. Romans - czy to czysty, czy zmysłowy - zrujnował królestwo i jego mieszkańców.

Julie wzięła głęboki oddech. Zastanawiała się, w którym punkcie scenariusza znajdują się w obecnej chwili.

Ile czasu zostało tej zaczarowanej krainie? Ile jeszcze dni minie, zanim ten kruchy czar pryśnie na zawsze?

W wielkiej sali biesiadowały setki ludzi. Stoły nakryto barwnymi tkaninami, nad głowami gości wisiały proporce, nad kominkami pyszniły się wspaniałe gobeliny. Wydawałoby się, że w sali powinno być nieznośnie gorąco, tymczasem temperatura otoczenia była po prostu idealna.

Julie nadal rozglądała się i podziwiała otaczające ją cuda i wspaniałości, które były tu dostępne dla każdego, na wyciągnięcie ręki.

Król i królowa jeszcze się nie zjawili. Lancelot wyjaśnił jej, że przyjdą później. Nie chcieli w żaden sposób przeszkadzać poddanym, więc zwykle czekali z wejściem do sali, dopóki tłum gości nie zaspokoił pierwszego głodu i pragnienia.

Nagle rozległ się dźwięk trąbki. Nie brzmiało to jak granie zwykłej trąbki - dźwięki były głębsze, bogatsze, bardziej aksamitne i łagodne. Wszyscy wstali zgodnie; Julie podążyła w ich ślady.

Do sali, przy ogłuszających brawach, wszedł król Artur wraz z królową Ginewrą.

Julie widziała w telewizorze, jaką reakcję wywołuje pojawienie się prezydenta i jego ludzi. Kiedy rozlegała się charakterystyczna melodia, korpus prasowy i pracownicy administracji z szacunkiem podrywali się na równe nogi i zaczęli bić brawo. Tutaj było inaczej.

W przeciwieństwie do powitania, jakie zwykle gotowano głowie państwa, a nawet członkowi królewskiego rodu, powitanie Artura przypominało bardziej żywiołowy wybuch entuzjazmu po niezrównanej sztuce teatralnej, na przykład po premierze *Hamleta* z Olivierem w roli głównej lub musicalu *Oklahoma!* albo filmu *Tramwaj zwany pożądaniem* z Brando i Jessicą Tandy. Tak zapewne było, kiedy młody Leonard Bernstein pierwszy raz przejął batutę od starzejącego się maestra albo kiedy Beatlesi wystąpili u Eda Sullivana.

To było po prostu niczym nie skażone uwielbienie.

Teraz wyraźnie widziała królewską parę. Przy boku króla stała wysoka kobieta, szczupła i pełna gracji niczym tancerka. Kiedy się odwróciła, Julie zobaczyła jej twarz, być może nie wielkiej piękności, ale o ogromnej sile charakteru. Ginewra również wyglądała młodziej, niż można było tego oczekiwać. Julie przez chwilę patrzyła, jak królowa uśmiecha się, rozmawia cicho z jakąś kobietą, gładzi po głowie dziecko, i zrozumiała, że pierwsze wrażenie ją zawiodło.

Ginewra była piękna.

Jej uroda nie była pospolita, nie była urodą gwiazdy sezonu, którą za chwilę zastąpi następna. Twarz Ginewry przyćmiewała; była piękna, a nie po prostu ładna. Całą jej postać otaczała jakaś aura, nieziemski wręcz poświata. Nagle oblicze królowej rozjaśniło się, jakby na widok kogoś bliskiego. Jej usta rozciągnęły się w ciepłym uśmiechu. Wyciągnęła dłoń.

A Lancelot, Lancelot Julii, ujął tę dłoń z szacunkiem i przycisnął do niej usta. Potem wolno odwrócił ją i ucałował nadgarstek.

Julie spojrzała dokoła, żeby sprawdzić, czy inni byli równie wstrząśnięci tą sceną. Jednak najwyraźniej nikt nic nie zauważył. Może tak wyglądało typowe powitanie w Camelocie. Pewnie, jako nowo przybyła, po prostu nie wiedziała, że tutaj panują takie zwyczaje. Ale widząc mocny rumieniec na twarzy królowej oraz pełne uwielbienia i radości spojrzenie Lancelota, Julie doszła do wniosku, że to chyba nie było zwyczajowe powitanie.

Tragiczny w skutkach flirt między Ginewrą i Lancelotem już się rozpoczął.

Uważnie patrzyła na całą scenę i zastanawiała się, czy król zauważył iskrę, jaka przeskoczyła między jego żoną i zaufanym rycerzem.

Zauważył. Julie bezbłędnie odczytała wyraz jego twarzy, chociaż był on tylko przelotny. Na obliczu Artura położył się jakiś cień, widać było na nim wybuch gniewu, srogiego, chociaż krótkotrwałego.

Obok króla, na wyciągnięcie ramienia, stała samotna postać.

Kierowana intuicją Julie przyjrzała się jej z uwagą. Chociaż mężczyzna miał na sobie taki sam odświętny strój w jaskrawych barwach jak wszyscy inni, otaczała go jakaś ciemność, coś, co mówiło, że to zły człowiek. Jego twarz nie jaśniała jak oblicza otaczających go ludzi. I te oczy. Spojrzały najpierw na Lancelota, potem na królową. Kryła się w nich czysta wrogość.

- Och, nie - wyszeptała Julie. - Lancelocie, masz tutaj wroga.
- W rzeczy samej - rozległ się męski głos, dochodzący nie wiadomo skąd.

Podskoczyła, ze zdumienia otwierając szeroko oczy. Zobaczyła starszego mężczyznę o wielkiej i kościstej głowie, której kanciasty zarys łagodziły tylko rzadkie kępki śnieżnobiałych włosów. Miał nos jak niekształtny kartofel i otoczone sinymi kręgami, wodniste, zaczerwienione oczy. Nagle uśmiechnął się, pokazując krzywe żółte zęby, a jego uśmiech sprawił, że oczy nabrały ciepła i życia, a Julie poczuła, że zna tego człowieka od niepamiętnych czasów.

- Moja droga- zwrócił się do niej. - Oczekiwałem cię.

W przeciwieństwie do innych mieszkańców Camelotu, był ubrany jak biedak. Miał na sobie powłóczystą brązową szatę o grubych, nierównych szwach. Szorstką tkaninę pokrywały liczne plamy, a wielki kaptur tworzył pod szyją fałdy i ciężko zwisał na plecach.

- Oczekiwałeś mnie? - zdziwiła się. - Wiesz, kim jestem?

- Oczywiście, że wiem - odparł z pogardliwym skinieniem głowy. - Nazywasz się Julie Gaffney. Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt niewygodna?

- Wiesz coś o mojej podróży.

- Ależ naturalnie, panno Gaffney. A może powinienem się do ciebie zwracać teraz, „panno Julio”? Mnie osobiście „lady Julia” bardziej odpowiada. Brzmi mniej pospolicie. Imiona są bardzo ważne. Wiele zdradzają na temat charakteru i ambicji człowieka. Weźmy, na przykład, takiego Lancelota. Czy byłby uważany za tak wspaniałego rycerza, gdyby jego imię brzmiało, powiedzmy, Igor albo Buster? Raczej nie! Rzecz jasna, Szekspir twierdzi, że róża pachniałaby równie słodko i tak dalej, ale mimo to ośmielałam się mieć inne zdanie.

- Szekspir? - Poczwała, że kręci jej się w głowie, i musiała się chwycić krawędzi stołu. - Szekspir! Jak możesz wiedzieć cokolwiek o Szekspirze, skoro on urodzi się dopiero za tysiąc lat? A ja! Skąd wiesz, kim jestem?

Znów się uśmiechnęła.

- Ależ, oczywiście, że wiem, kim ty jesteś i kim jest William. W końcu... Cóż. Moja droga, co ty przed chwilą mówiłaś? Coś o tym, że Lancelot ma wroga.

Była tym wszystkim tak wstrząśnięta, że po prostu odpowiedziała na pytanie starca.

- Tak sobie tylko głośno myślałam.

- O Lancelocie i Malvernie?

- Tak się ten rycerz nazywa? Malvern?

- Co niezbicie dowodzi, że w sprawie imion mam rację -
oznajmił starzec, jakby to był główny temat ich rozmowy. -
Malvern. To imię nie jest najmiłsze dla ucha. Ale takie imię może
zawieść człowieka w różne strony, jeśli wolno mi się tak wyrazić.
Jak napisał Lester Spurnick: „Imiona to kapelusze naszych dusz”.

- Lester Spurnick?

- Właśnie on, moja droga. Jeden z wybitnych pisarzy dwu-
dziestego pierwszego wieku. Och, proszę o wybaczenie! On
pojawi się dużo później niż ty.

Julie zamruwała, całkiem zagubiona. Potem, nie bardzo wiedząc,
co jeszcze powiedzieć, wyciągnęła rękę.

- Bardzo przepraszam, ale chyba nie poznałam jeszcze two-
jego imienia, ty tymczasem znasz moje i w ogóle bardzo dużo
wiesz.

- Ach! Przepraszam, zapomniałem o dobrych manierach. Oto
skutki życia w samotności. Zapamiętaj to sobie. Nazywam się
Merlin.

- Merlin? - Odchyliła się na krześle. - Ależ, oczywiście -
wyszeptała. - Najpierw Lancelot, potem Artur. Dlaczego nie
Merlin?

- Nie bój się, nie tracisz rozumu, lady Julio. - Merlin roześmiał
się. - To wszystko dzieje się naprawdę. Jesteś tutaj, w Camelocie.

Sięgnęła po kielich i upiła mały łyk; wino było słodkie i aro-
matyczne, po prostu wyśmienite. Nigdy jeszcze nie próbowała
podobnego.

- Oczywiście, że nie próbowałaś. To jest nasze zwykłe wtorkowe
stołowe wino, a ty pierwszy raz przybyłaś na ucztę do tego
domostwa we wtorkowy wieczór - odpowiedział Merlin, czytając
w jej myślach.

- Jak ty to robisz?

- Jestem Merlinem.

- Jasne. - Pociągnęła następny łyk, tym razem większy. -
Jesteś Merlinem.

Ludzie na sali ożywili się, jedni siadali za stołami, inni krążyli wśród gości, jeszcze inni upominali się o deser lub dodatkę głównego dania. Julie nic jeszcze nie zjadła. Jak mogłaby cokolwiek przełknąć, kiedy wokół tyle się działo?

- Musisz coś zjeść - rzekł Merlin. Sięgnął po złoty półmisek i wybrał dla niej smakowite kaski. Jego poznaczone niebieskawymi żyłkami dłonie lekko się przy tym trzęsły. Na talerzu Julie znalazły się małe pierożki, kolby młodej kukurydzy, kilka tartinek z owocami i kawałki pieczonego mięsa. - Przecież nie możemy dopuścić, żebyś głodowała w Camelocie, prawda?

Zadowolony, postawił przed nią jedzenie. Ku swojemu zaskoczeniu Julie stwierdziła, że jest bardzo głodna, i z entuzjazmem zupełnie nie przystającym damie pochłonęła wszystko, co było na talerzu.

- No, tak już lepiej. - Merlin uśmiechnął się, jakby ten posiłek zaspokoił i jego apetyt.

- Panie Merlinie - zaczęła, ale on tylko roześmiał się wesoło.

- Merlinie. Mów mi po imieniu. - Zakasłał i przesunął palcem po dolnej powiece, żeby zetrzeć łzę. - Jestem po prostu Merlin.

- Dziękuję. A więc, Merlinie, czy będziesz tak uprzejmy i wyjaśnisz mi to wszystko? I czy mógłbyś potem wyjaśnić wszystko Lancelotowi?

- A dlaczego miałbym to zrobić?

- Ponieważ naprawdę chciałabym wiedzieć, jak się tutaj, u licha, znalazłam.

- I miałbym zepsuć całą zabawę?

- Zabawę?

- Oczywiście! Nie, moja droga. Wkrótce sama się dowiesz. Gdybym ja ci wyjaśnił, wszystko bym zepsuł. Wszystko. Czasami stare porzekadła okazują się prawdziwe.

- Aż się boję zapytać. - Westchnęła. - Jakie stare porzekadło masz na myśli?

- Sama dobrze wiesz. Musi boleć, żeby zadziało.

- Ale to powiedzenie dotyczy przecież ćwiczeń fizycznych.
- Na początku była to ogólna prawda życiowa. Tak się dzieje ze wszystkimi naprawdę udanymi powiedzeniami. Wraz z upływem lat tracą swój pierwotny sens. Ale oto nadchodzi sam Lancelot, nasz bohater.

- Powiesz mi, że nie przybyłam tutaj po to, żeby zniszczyć Camelot od wewnątrz?

- Oczywiście, że nie!

Lancelot przeciskał się między ludźmi w ich stronę, od czasu do czasu zatrzymując się i witając niektórych gości. Kiedy podszedł bliżej, Julie przełknęła ślinę.

- O, Merlin. - Lancelot uśmiechnął się i wyciągnął rękę do czarownika.

- Witaj, Lancelocie - rzekł starzec. - Właśnie gawędziłem z twoją daleką krewną. Ta lady Julia to wprost cudowna istota. Absolutnie wspaniała!

Lancelot zrobił zadowoloną minę, a Julie uśmiechnęła się z przymusem. Dlaczego czarownik w kilku słowach nie wyjaśni całej sytuacji? To zabrałoby mu tylko chwilę, krótką chwilę, a Lancelot nie patrzyłby już na nią tak podejrzliwie.

- Być może - odezwał się Merlin. - Ale wtedy nigdy już nie miałabyś pewności, prawda? Bez względu na to, gdzie i z kim skończysz, już nigdy nie byłabyś całkiem pewna. Ani siebie, ani jego. Bo to właśnie jest prawdziwa magia - głęboka miłość. I jest to jedna z niewielu rzeczy, które nie podlegają mojej mocy. Przemysł to sobie, moja droga - powiedział, po czym zwrócił się do Lancelota: - Wybacz mi. Kończyłem naszą rozmowę z Julią na temat tresury spanieli. Och, król wzywa mnie do siebie. Zegnam was, lady Julio, Lancelocie.

Odszedł niepewnym krokiem, witając skinieniem głowy wszystkich mijanych, a zwłaszcza młode kobiety o zgrabnych figurach.

- Rozmawialiście na temat tresury spanieli? - zaciekał się Lancelot.

- Coś w tym rodzaju. Jadłeś już? - Bardzo chciała zmienić temat.

- Tak. Dziękuję i przepraszam, że zostawiłem cię samą.

- Byłeś zajęty rozmową z królową.

- Zadała mi kilka pytań, a odpowiedzi na nie zabrały mi więcej czasu, niż przewidywałem. Usiądziemy?

Potaknęła, a on podsunął jej rzeźbione krzesło. Musiała z nim porozmawiać, a nie była pewna, kiedy będzie miała następną ku temu okazję.

Jeśli w ogóle będzie następna okazja.

W każdym zakątku Camelotu czaiła się jakaś niespodzianka. Za wiele by ryzykowała, czekając na kolejną sposobność.

- Muszę z tobą porozmawiać - oznajmiła bez ogródek.

- Co cię gnębi?

- Powiem krótko. - Wzięła głęboki oddech, usiadła prosto i oznajmiła stłumionym głosem: - Lancelocie, wydaje mi się, że nie powinienes flirtować z królową.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Lancelota. Potężna sylwetka rycerza budziła respekt, a po jego minie widać było, że za chwilę może wybuchnąć przerażającym gniewem, jednak Julie zdawała sobie sprawę, że jakakolwiek zwłoka w działaniu może przynieść tragiczne skutki, mówiła więc dalej:

- Jeśli nadal będziesz to robił, zniszczysz nie tylko siebie, ale także króla Artura, królową Ginewrę i cały Camelot. Zrujnujesz wszystko, w co wierzysz, a kiedy tak się stanie, już nigdy nie da się tego odbudować. Camelot zniknie na zawsze.

- Zamilcz.

- Mówię poważnie.

Chwycił ją za ramię tak mocno, że poczuła dojmujący ból, ale nawet się nie skrzywiła.

- Nic nie rozumiesz! - rzuciła Julie.

- To ty nic nie rozumiesz. Czy wiesz, że popełniasz zdradę, kiedy wypowiadasz takie okropne słowa, kiedy choćby tylko

sugerujesz, że coś tak ohydneho może się dziać między mną a królową?

Skinęła głową.

Patrzył na nią bardzo długo; ledwo była w stanie oddychać. W końcu zrezygnowany puścił jej ramię. Jednak gniew nadal brzmiał w jego głosie.

- Lady Julio, z pewnością coś źle zrozumiałaś. Jestem ulubieńcem zarówno króla, jak i królowej. Nic więcej. Wolałbym raczej własnoręcznie wydrzeć sobie serce z piersi niż uczynić coś, co by zakłóciło ich szczęście. - Lancelot wstał, przewracając krzesło. Siedzący wokół nich ludzie umilkli i patrzyli na nich ciekawie. Widać było wyraźnie, jak wielkie zapanowało między nimi napięcie.

Wolno, z rozmysłem, Lancelot ustawił krzesło we właściwej pozycji.

Wśród przyglądających się tej scenie byli również król i jego rycerz, Malvern, który właśnie coś szeptał władcy do ucha.

Lancelot nie widział reakcji króla. Jego gniew wzbudziła ta ubrana w zieloną suknię kobieta, bez wątplenia niespełna rozumu.

- Natychmiast wychodzimy - wycedził przez zaciśnięte zęby. Dla niego dyskusja się skończyła.

- Inni też to zauważyli - powiedziała Julie, tak łagodnie, jak tylko potrafiła. Zaciśniętą pięścią uderzył w oparcie jej krzesła, najwyraźniej nieświadom skierowanych ku niemu spojrzeń. Gwałtownie odwrócił się do wyjścia.

Julie szybko wstała, zebrała fałdy aksamitnej sukni i ruszyła za nim. Musiała biec, żeby nadążyć.

- Inni też to zauważyli - powtórzyła, kiedy przechodzili przez wielką salę.

Lancelot zatrzymał się.

- Kogo masz na myśli?

- Tego rycerza o twarzy złego człowieka.

- W Camelocie nie ma złych rycerzy, chociaż zaczynam myśleć, że znalazłaby się tu jakaś zła kobieta.

- Ma coś mrocznego w twarzy i wrogie spojrzenie. Stał tuż za królem. Był ubrany w żółto-czarną tunikę. Obserwował ciebie i Ginewrę. Obaj widzieli, jak całowałaś jej rękę.

- To przecież zwykłe...

- Widzieli, jak ucałowałaś jej nadgarstek.

Chciał jej coś wyjaśnić, ale po chwili potrząsnął głową.

- Źle rozumiałaś to, co zobaczyłaś - powiedział tylko.

- Zdaje mi się, że bardzo dobrze rozumiałam to, co zobaczyłam - upierała się.

Przez chwilę patrzył na nią groźnie, potem chwycił ją za ramię i pomaszerował przed siebie w gniewnym, pełnym napięcia milczeniu. Szedł coraz szybciej, z wściekłością machając wolną ręką, drugą zaś ciągnął za sobą Julie. Nawet nie zauważył, kiedy się potknęła. Chciała zwolnić, ale on jeszcze zwiększył tempo marszu.

Kręciło jej się w głowie, z trudem łapała oddech, lecz Lancelot jakby całkowicie zapomniał o jej istnieniu.

- Możemy trochę zwolnić? Proszę! - Nie zareagował, więc powtórzyła głośniej: - Proszę!

W końcu zatrzymał się i spojrzał na nią jak na nieproszonego gościa. Bez słowa znów ruszył przed siebie, ale trochę wolniej. Jego ręka nadal jak imadło zaciskała się na jej ramieniu.

W ciszy doszli do domu Lancelota. Rycerz kopniakiem otworzył drzwi, potem skłonił się i ruchem ramienia dał jej znak, żeby pierwsza weszła do środka. Uczyniła to z wahaniem, a on podążył za nią.

- Gdzie mogę... - zaczęła.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział i zatrzaskał drzwi do swojej komnaty.

Julie stała sama w wielkim przedsionku. Złożyła ramiona na piersi i zastanawiała się, jak to się stało, że jej ostrzeżenie, wypowiedziane w dobrej wierze, wywołało taką okropną nieprzewidzianą reakcję.

Na piętrze, w swojej sypialni, Lancelot mocno zacisnął pięści. Ogarnęło go nieznanne uczucie, jakiś przykry ciężar przyniatał go do ziemi. Coś gryzło jego duszę, ale nie potrafił na razie określić, co to jest. Coś tutaj się nie zgadzało. Czegoś tu brakowało.

Do chwili, w której zjawiła się lady Julia, świat był taki, jak należy, wszystko toczyło się harmonijnie.

Odkąd zamieszkał w Camelocie, życie Lancelota było proste i czyste. Z każdej próby, jakiej go poddawano, wychodził zwycięsko, czy była to bitwa, czy długa dyskusja z braćmi rycerzami na temat honoru i sprawiedliwości. Wydawało się, że każdy dzień jest z góry zapisany w księdze przeznaczenia, i Lancelotowi bardzo to odpowiadało.

Pomagało mu to zapomnieć o snach, które nadal go nawiedzały, snach o kobiecie we mgle, o kobiecie, która trzyma go za rękę i woła jego imię. Musiał zapomnieć o dawnym życiu; ono już się skończyło. Cokolwiek się wtedy wydarzyło, kimkolwiek była dla niego ta kobieta, teraz nie było to ważne, odeszło na zawsze w przeszłość. Lancelot nie wątpił, że jego służba w Camelocie jest wszystkim, czego mu do szczęścia potrzeba, wszystkim, czego potrzeba każdemu mężczyźnie, obdarzonemu chociaż odrobiną zdrowego rozsądku.

Kobieta, która nadal przychodziła do niego z przeszłości, nie była królową Ginewrą. Jednak musiał się zgodzić z królem Arturem, który wychwalał swą małżonkę ponad inne kobiety, zachwycał się jej urodą i dobrocią. Kiedy Lancelot całował jej dłoń, przypominał sobie słowa króla i poczuł woń pachnideł królowej. To wszystko, co się zdarzyło. Nic więcej.

Ale przecież królowa się zaczerwieniła. Lancelot widział, jak na jej policzki wpełza rumieniec, i ta reakcja poruszyła coś w głębi jego duszy. Spodobało mu się to. Czuł satysfakcję i radość z tego, że Ginewra tak zareagowała na jego powitalny pocałunek.

Teraz widział przed oczami jedynie pełną świętego oburzenia

twarz lady Julii. Była zazdrosna. Właśnie. Lady Julia po prostu była zazdrosna.

Nie. Nie o to chodziło, i dobrze o tym wiedział.

Najbardziej zaniepokoiła go absolutna pewność i odwaga, z jaką wygarnęła mu dokładnie to, co myśli. Większość mężczyzn nie śmiałaby w ten sposób wystawić się na jego gniew. Ale ta nieznajoma, przybyła nie wiadomo skąd Julia, nic miała takich obaw.

A jeśli ona ma rację? Jeśli się nie myli co do króla i Malverna?

- Do diabła z nią! - zaklął na głos w zaciszu komnaty. - Do diabła z nią! Że też musiała trafić akurat do mnie!

6

Julie stała zupełnie sama w zimnym wielkim korytarzu. Zielona suknia już nie wydawała się tak zachwycająca, jakby jej piękno wiązało się bardziej z urokiem chwili niż z jakością materiału i kroju. Cokolwiek sprawiło, że szmaragdowa szata wydała się Julie tak wspianiała, znikło bez śladu. Cudowny nastrój również opuścił ją na dobre.

Kamienne ściany były ciemne, surowe i nagie. Zagubiona, przytłaczająco samotna Julie przez chwilę miała ochotę poddać się smutkowi i wybuchnąć głośnym płaczem. Jednak to byłoby zbyt łatwe i takie banalne.

Co za ironia losu. Oto stała tutaj, jak zrozpaczona dziewczica z romantycznej powieści, a przyczyną jej cierpienia był szlachetny rycerz, i to ni mniej, ni więcej, jak tylko sam Lancelot z Jeziora.

Z komnaty na górze, w której zniknął, zatrzasnąwszy za sobą ze złością drzwi, nie dobiegał żaden dźwięk. Jakoś nigdy nie przyszło jej do głowy, że Lancelotowi przytrafiają się wybuchy gniewu. Może właśnie to stanowiło część jej problemu. Dla Julie ludzie z Camelotu byli zawsze postaciami mitycznymi. Chociaż wydawali się prawdziwi, nie należeli do rzeczywistego świata.

Byli wytworami pisarskiej wyobraźni, odrealnionymi ilustracjami Gustawa Dore'a, łagodnymi, wyidealizowanymi bohaterami dzieł Williama Morrisa i obrazów Edwarda Burne-Jonesa.

A przecież Camelot okazał się inny, zamieszkały przez prawdziwych ludzi z krwi i kości, którym nieobce są słabości i żądze. Tutaj Lancelot nie był tylko walecznym rycerzem na koniu, rzucającym się w wir bitwy o szlachetne ideały lub stojącym w obronie pokrzywdzonych. Był postacią o wiele bardziej złożoną.

Ten Lancelot był człowiekiem.

Usłyszała z góry głuchy łomot i mogła się tylko domyślać, że to gospodarz wyładowuje gniew na kolejnym krześle.

Julie uśmiechnęła się w ciemnościach, chociaż nadal czuła się zagubiona i trochę wystraszona. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić Edwarda Burne-Jonesa malującego wspaniały obraz, na którym Lancelot gwałtownie kopie krzesło w wybuchu szaleńczej furii.

Rozejrzała się, zastanawiając się, gdzie spędzi dzisiejszą noc. Oczywiście, mogła wejść na górę wąskimi, krętymi schodami i odnaleźć komnatę, w której wcześniej zamknął ją Lancelot, ale nie miała ochoty błąkać się w ciemnościach po obcym domu.

Odwróciła się i zobaczyła pod ścianą drewnianą ławę. Nie było tu innych mebli, więc ława będzie musiała jej wystarczyć za posłanie. Julie wzruszyła ramionami i ułożyła do snu na twardym drewnie, w chłodnym korytarzu.

Jakoś udało jej się zasnąć, zapewne z powodu zmęczenia. Nic jej się nie śniło i nawet przez sen była świadoma, że leży na twardej ławie, a chłodne powiewy nocnego powietrza owiewają jej stopy.

W pewnej chwili chłód przestał jej dokuczać. Poczuła miłe ciepło. W półśnie chciała odwrócić się na drugi bok i natrafiła na coś twardego. Wystraszona, natychmiast się obudziła.

Na podłodze, u jej stóp, siedział Lancelot, opierając się plecami o ławę.

- Nie rozumiem twoich oskarżeń- oświadczył stanowczo, jakby nieprzerwanie prowadzili rozmowę, a on właśnie odpowiadał na jakąś jej uwagę.

- Lancelot? - Usiadła z westchnieniem i podkurczyła nogi, otulając je obszerną suknią.

Nawet na nią nie spojrzął. Wciąż patrzył nieruchomo wprost przed siebie, w czarną pustkę.

- Nie rozumiem twoich oskarżeń - powtórzył.

- Aha. Chodzi o ciebie i królową?

Skinął głową.

- Lancelocie, nie chcę cię w żaden sposób zranić i przepraszam, jeśli to, co powiedziałam, cię obraziło. Po prostu staram się cię ochronić.

- Ochronić mnie? Ależ jesteś tylko kobietą!

- Owszem, ale wiem o tobie o wiele więcej, niż podejrzewasz.

- W takim razie, powiedz mi. - Jego głos zabrzmiał wyzywająco.

- Cóż, przede wszystkim, jesteś zakochany w królowej.

- Ha! I tu się mylisz!

- W takim razie, wkrótce się w niej zakochasz, a ona odwzajemni twoje uczucie. - Lancelot tylko potrząsnął głową. - To prawda. Kochasz ją, ponieważ widzisz w niej wzór wszelkich cnót, kobietę doskonałą. Ginewra jest twoim ideałem, czyż nie tak? Czy nie zazdrościsz Arturowi, tak troszeczkę, że dopisało mu wielkie szczęście i pojął Ginewrę za żonę?

W końcu odwrócił ku niej twarz.

- Ja... Oczywiście, że nie! To jakaś niedorzeczność. - Chociaż zaprzeczał, robił to już bez takiego przekonania. - Mów dalej. Powiedz mi, co się potem wydarzy.

- Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Znów wpatrzył się ciemność.

- Oczywiście.

- Istnieją różne wersje dalszych wydarzeń. Jednak pewne szczegóły pozostają takie same. We wszystkich wersjach Artur

jest zdruzgotany twoją zdradą. Już nigdy nie będzie taki sam, opuszczają go siły i wiara w człowieka. Ty uciekniesz wraz z królową. Tak przynajmniej dzieje się w większości interpretacji mitu o Camelocie.

- Mitu?

- Tak, mitu. Nie zapominaj, że dla mnie to tylko starodawna legenda. - Starła się mówić obojętnym tonem, rozumiejąc w pełni, że jeśli Lancelot jej uwierzy, to te wiadomości wstrząsną nim do głębi. - W każdym razie, uciekniesz z królową, ale oboje będziecie cierpieć z powodu zdrady. Ona darzy uczuciem i ciebie, i Artura, ale ciebie kocha tak, jak kobieta kocha mężczyznę. Artur jest dla niej kimś takim, jak teraz ona dla ciebie: symbolem dobra i szlachetności. Najsmutniejsze jest to, że tak naprawdę oboje kochacie to samo, tylko wasza miłość zbacza na manowce, idzie w złym kierunku.

- Idzie w złym kierunku?

- Oboje tęsknicie za miłością romantyczną, ale też za czystym, niemal świętym uczuciem. Te dwa pojęcia z definicji się wykluczają.

- Nie. Tutaj się mylisz, lady Julio. Takie dwie miłości mogą współistnieć. Ale muszą się zdarzyć między odpowiednimi ludźmi i zrodzić się z właściwych pobudek.

- Być może. Ostatecznym wnioskiem, jaki można wysnuć z tej historii, jest to, że w swoim charakterze masz cechy, które wydobywają na powierzchnię zarówno to, co najlepsze, jak i to, co najgorsze w ludzkiej naturze. Jesteś jednocześnie szlachetny i samolubny, szczodry i zachłanny.

Już miał jej przerwać, ale w końcu spuścił głowę.

- Co się potem stanie? - spytał

- Zostaniesz wygnany z Camelotu, co i tak nie będzie miało większego znaczenia, ponieważ Camelot, taki, jakim go teraz znamy, przestanie istnieć. W zależności od wersji, zostajesz mnichem, pustelnikiem albo umierasz jako nieszczęśliwy starzec.

- No, to ładna przyszłość mnie czeka - rzekł z goryczą. -
A królowa?

- Biedna Ginewra wstąpi do klasztoru i umrze jako nieszczęśliwa stara kobieta.

Lancelot wyprostował nogę. Nie odezwał się ani słowem.

- Nie protestujesz? - zdziwiła się Julie - Nie krzyczysz? Nawet się ze mnie nie śmiejesz?

- Powinienem tak zareagować. Ale w twoich słowach jest coś, co mnie niepokoi.

- Bo mówię prawdę i w głębi duszy dobrze o tym wiesz.
Nie zaprzeczyl.

- Nie rozumiem, skąd masz takie wiadomości. Nikomu nie zdradziłem swoich uczuć do Ginewry. - Zamyślił się i mówił dalej, jakby sam do siebie: - Może to nie Ginewrę kocham? Może kocham ideał kobiety, który uosabia królowa? Nie żywą kobietę, tylko ideał.

- Tak nie wygląda prawdziwa miłość. Wierz mi, jestem znawczynią prawdziwej miłości.

- Naprawdę? - Odwrócił się do niej. Oparł ramię na skraju ławy, dotykając jej kostki. - Jak możesz być znawczynią prawdziwej miłości?

- Lancelocie, każda kobieta, która w moich czasach skończyła dwadzieścia lat, jest znawczynią prawdziwej miłości. W dwudziestym wieku wydaje się mnóstwo książek i czasopism, poświęconych właśnie miłości. Są też audycje radiowe i telewizyjne wyłącznie na ten temat.

- Więc czerpiesz swoją wiedzę z ksiąg?

- Ha! Chciałabym. - Uśmiechnęła się i wzięła głęboki oddech. - Nie zliczę nawet, ile razy umawiałam się na pierwszą randkę albo przyjaciele załatwiali mi randki w ciemno. - Chciał jej zadać pytanie, ale zanim wydobył z siebie głos, uprzedziła jego wątpliwości. - „Randka” to wyjątkowo perfidna tortura z drugiej połowy dwudziestego wieku. Przedtem nazywało się to „zaloty”. To słowo brzmi o wiele przyjemniej, prawda?

- Czy randka jest bardzo przykra?

Słyszając te słowa, Julie musiała się uśmiechnąć.

- Czy przykra? Opowiedziałabym ci o szczegółach, ale jesteś tylko średniowiecznym rycerzem, przyzwyczajonym do takich miłych rzeczy, jak gwałtowna śmierć, rzezie i poważne okaleczenia fizyczne. Nie chcę, żeby zrobiło ci się niedobrze.

- Proszę, wytłumacz mi to.

- Zgoda. Większość moich randek to były tak zwane randki w ciemno.

- W sensie dosłownym?

- Nie. Jak mi się wydaje, nazwano je tak dlatego, że w większości przypadków byłoby lepiej, gdyby partnerzy rzeczywiście się nie widzieli.

- Ach! Chyba zaczynam rozumieć.

- Właśnie. Niestety, niektóre ludzkie doświadczenia mają wymiar uniwersalny.

- A więc ty również przeżyłaś bolesne rozczarowanie.

- Nie wiem, czy to było aż tak poważne - zaczęła, ale natychmiast zamilkła.

Jak mogła mu opisać ostatnie lata swojego życia? Była na kilkudziesięciu pierwszych randkach, na kilku drugich randkach i na niewielu trzecich. Poznawała sympatycznych mężczyzn, trochę mniej sympatycznych, czasami całkiem nieokrzesanych, a nawet kilku, którzy wydawali się tak samo zagubieni i samotni jak ona. Jednak nigdy nie odczuła tej iskry, dreszczu przejęcia, kiedy ich dłonie stykały się przelotnie. Nigdy nie zdarzyło się, żeby nie mogła oderwać spojrzenia od czyichś oczu.

Krótko mówiąc, nigdy nie spotkała kogoś takiego jak Lancelot.

- Tak, chyba przeżyłam rozczarowanie - przyznała w końcu. - Tylko nigdy tego nie zauważyłam.

- Jak mogłaś tego nie zauważyć? Dobry Boże, ja codziennie mam świadomość, że czegoś mi brakuje. Owszem, służę Arturowi,

ale czasami ta misja wydaje mi się taka pusta. Jako człowiek chciałbym czegoś więcej. Chciałbym... - Chwycił ją za rękę, ale chyba zrobił to mimowolnie, odruchowo. - Chciałbym mieć jakiś punkt oparcia. Musi istnieć coś jeszcze, dla czego poświęcałbym życie, nie tylko dla siebie, Artura czy Camelotu. Musi istnieć coś jeszcze.

- Jestem pewna, że istnieje - powiedziała cicho.

- Twierdzisz, że przybywasz z przyszłości.

Zaskoczona nagłą zmianą tematu, milczała przez chwilę.

- No, tak - przyznała w końcu.

- Chcesz mi powiedzieć, że za tysiąc lat rodzaj ludzki będzie się nadal borykał z takimi samymi podstawowymi kłopotami jak teraz?

- Ściśle mówiąc, za tysiąc pięćset lat.

- Za tysiąc pięćset lat - Lancelot mówił teraz głośniej - nadal będziemy samotni i nieszczęśliwi?

- Pewnie nie wszyscy.

- Nie. Nie wszyscy. Tylko tacy jak my.

- Nie wierzysz mi - stwierdziła.

- Lady Julio... - Poklepał ją po dłoni i cofnął ramię. - Wydaje mi się po prostu, że do tego czasu ludzie z pewnością znajdą lekarstwo na swoje podstawowe bóle. Nie wątpię, że za półtora tysiąca lat wojna, głód, choroby, a przede wszystkim samotność bezpowrotnie odejdu w przeszłość. A może nawet o wiele wcześniej.

- Przykro mi, że burzę twoje marzenia, ale tak naprawdę, te problemy jeszcze bardziej się pogłębią. Wojna to nie będzie bitwa między dwiema grupami ludzi, ale masowa zagłada, wywołana naciśnięciem guzika. Miliony będą cierpieły, a reszta świata będzie to oglądać w telewizji. Ogólnie długość życia się zwiększy, ale ludzie będą umierali na straszliwe choroby, które teraz jeszcze nawet nie istnieją. I chociaż świat się zaludni, miasta staną się nieopisanie zatłoczone i trudno będzie znaleźć ustronne, spokojne

miejsce, to nie zniknie samotność i rozpacz. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Będzie o wiele, wiele gorzej, niż potrafisz to sobie wyobrazić tutaj, w Camelocie. Nie masz o tym najmniejszego pojęcia, Lancelocie. I cieszę się z tego. Naprawdę. Na świecie jest tyle okropności. Tyle strasznych rzeczy.

Usiadł obok niej na ławie i wolno wziął ją w ramiona.

- Ciii, Julio. - Pogładził ją po głowie i odsunął włosy z czoła i ze skroni. - To tylko sen. Po prostu koszmarny sen.

- Wcale nie! Czy ty nic nie rozumiesz? Wszystko, co się w przyszłości zdarzy, ma swoje korzenie tutaj, w Camelocie! Ból, nieszczęścia i klęski zaczynają się od ciebie i od Ginewry.

- Biedna Julia - wyszeptał współczująco, kołyszając ją łagodnie w ramionach, jakby była dzieckiem. Jego wielkie męskie dłonie były zadziwiająco delikatne. - Jakże wielkie brzemię musisz dźwigać.

- Nie uwierzyłeś w ani jedno moje słowo, prawda? Świetnie! W takim razie, pozwól, że o coś cię zapytam. - Odchyliła się w tył i spojrzała mu prosto w oczy. Wokół panował półmrok, a napływające pod powieki łzy przesłaniały jej widok, więc nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Lancelota. - Czy nie wydaje ci się raczej dziwne, że tyle o tobie wiem? Nie tylko o tym, co zrobiłeś. Znam twoje myśli i pragnienia.

- Prawdę mówiąc, nie dziwi mnie to zbyt. To zapewne tylko kobieca intuicja. Nauczyłem się nie lekceważyć kobiecych możliwości.

- To nie jest tylko kobieca intuicja. Próbuję cię ostrzec. Mam szansę nie tylko na to, żeby ocalić ciebie, ale i swoją własną przyszłość. Może właśnie dlatego się tu znalazłam.

- Wydaje ci się więc, że z milionów ludzi, którzy żyją w twoich czasach, właśnie ty...

- Z miliardów - poprawiła go. - W moich czasach na Ziemi żyją miliardy ludzi.

- Przepraszam za pomyłkę. A więc, z tych miliardów ludzi, ze

wszystkich uczonych, medyków, teologów i królów, właśnie ty zostałam w jakiś sposób wybrana jako najlepsza z możliwych osób, która byłaby zdolna ocalić świat?

- No, cóż... - Oparła się o niego. - Rzeczywiście, kiedy tak to ujmiesz, wydaje się trochę naciągane. - Miło było tak siedzieć, czuć ciepło i siłę jego ciała. - W takim razie, nadal się zastanawiam, dlaczego w ogóle się tutaj znalazłam.

- Może po to, żeby mi pomóc.

Odsunęła się i spojrzała na niego z namysłem.

- A więc z miliardów ludzi, którzy kiedykolwiek żyli lub będą żyć, właśnie do ciebie przybył ktoś z przyszłości, żeby ci pomóc?

Uśmiechnął się.

- Cóż mogę odrzec na takie słowa? Może rzeczywiście odpowiedź na to pytanie wymaga dłuższego zastanowienia?

Julie zamknęła oczy i pozwoliła sobie cieszyć się tym, że ktoś ją czule obejmuje, ktoś o nią dba - nawet jeśli miało to trwać tylko krótką chwilę. Mimo że znalazła się na obcej ziemi, w odległych czasach, sama bliskość Lancelota sprawiała, że była niemal szczęśliwa.

- Jesteśmy do siebie tacy podobni - powiedział, gładząc ją po ramieniu. - Żadne z nas nie znalazło tego, czego szukaliśmy.

- A czego szukaliśmy?

Zaśmiał się cicho i potrząsnął głową.

- To też jest część naszego problemu. Sami tego' nie wiemy, Julio. Nie wiemy dokładnie, czego szukamy. Możemy tylko mieć nadzieję, że jeśli na to coś w życiu natrafimy, będziemy wystarczająco spostrzegawczy, żeby to rozpoznać.

Miał rację. Kiedy wypowiedział te słowa, Julie natychmiast sobie uświadomiła, że ona także całe życie szukała. I ona również, tak samo jak on, nie miała pojęcia, jak się te poszukiwania zakończą.

Zastanawiała się nad tym, senna i zadowolona, a on nadal gładził rytmicznie i delikatnie jej ramię, a potem szyję. Lekko przesunął palcem po obojczyku i nagle Julie poczuła, że wcale nie jest już senna.

Każdy nerw ciała Julie obudził się z uśpienia, kiedy palec Lancelota przesunął się po jej szyi. Odwróciła ku niemu głowę. Wstrzymała oddech, kiedy jego usta odnalazły jej wargi i spoczęły na nich, z początku lekko, jak nieśmiało rozwijający skrzydła motyl. Dotknęła jego policzka, wyczuła szorstki zarost i jedwabiste włosy. Jęknął i przyciągnął ją bliżej, nadal delikatnie. Jednak budziło się już w nim jakieś nowe uczucie, nieznane i niemal groźne.

Objął ją ramieniem, przycisnął dłoń do jej pleców, a ona przytuliła się do niego, wyczuwając twardość mięśni. Lekki pocałunek zmienił się w coś bardziej intymnego, namiętnej szego, kiedy Lancelot delikatnie rozchylił jej wargi.

Nagle się odsunął. Oddychał spazmatycznie, oczy miał zamglone i spoglądał gdzieś w bok.

- Wybacz mi, Julio - wychrypiał.

Była zbyt oszołomiona i rozkojarzona, żeby znaleźć słowa.

- Ja... proszę...

Na chwilę pochylił głowę, potem spojrział na Julie. Oczy znów miał jasne i przejrzyste.

- Przepraszam, lady Julio. Nie było moim zamiarem cię wykorzystać.

Na ustach wciąż czuła ciepło i namiętność jego pocałunku. Próbowwała się uśmiechnąć.

- Może to ja zamierzałam wykorzystać ciebie - wyznała, zanim zdała sobie sprawę z tego, co mówi.

Odetchnął głęboko i roześmiał się.

- Ach, lady Julio. Jaka szkoda... - zaczął, ale przerwał. - Chodź. - Wstał, podniósł ją z ławy i po chwili ostrożnie postawił na kamiennej podłodze, która już nie wydawała się taka zimna i twarda. - Zaprowadzę cię do twojej komnaty.

Zrobił kilka kroków, zatrzymał się i zwrócił do Julie. Zobaczyła jego uśmiech i poczuła, że coś w niej zadrżało, obudziło się jakieś ciepło. Bez słów wyciągnął rękę, a ona ją ujęła. W jego uścisku dłoń Julii wydawała się tak mała i krucha. Nacisnął kciukiem jej nadgarstek. Razem weszli po schodach i Lancelot poprowadził ją do komnaty, którą już znała.

Ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu, a trochę i uldze, zostawił ją tam samą. Ułożyła się na pościeli, chociaż wiedziała, że sen tak łatwo nie przyjdzie.

Poranne słońce wstało nad królestwem, oświetlając jego skrzące się kamienne mury, omywając kolorowe kwiaty, niosąc ze sobą świeżość i ciepło. Wszyscy powoli budzili się ze snu, kobiety zamiatały i tak nieskazitelnie czyste chodniki, przekupnie wytaczali stragany, zaspane dzieci wyciągały ramiona nad potarganymi główkami. Zaczynał się nowy dzień.

Król spoglądał przez okno na wspaniałość Camelotu. Było to przecież jego dzieło, jeśli w ogóle jakakolwiek kraina może być ukształtowana i pilnowana ręką jednego człowieka. Jak okiem sięgnąć, widział owoce swojego trudu. Każde drzewo i kwiat, każdy dom, ścieżka i droga, a przede wszystkim ludzie - wszystko to było pielęgnowane i dogłądane osobiście przez Artura.

Potarł czoło u nasady nosa. Minionej nocy nie spał wiele. Nękały go niespokojnie myśli, a żona, wyczuwając jego niepokój, namawiała go, żeby powiedział, co go gnębi.

I po raz pierwszy w ich małżeństwie zdarzyło się, że nie zdradził jej swoich myśli. Zachował dla siebie zmartwienie. No bo jak mógł wyznać Ginewrze, że już nie jest jej pewny, że po raz pierwszy odczuł ukłucie czegoś tak nieprawdopodobnego i ohydneho, że nie był w stanie wypowiedzieć myśli, które przychodziły mu do głowy?

W takich wypadkach, kiedy coś go trapiło, żona zawsze była dla niego źródłem pocieszenia i mądrości. Ale nie tym razem. Nie w tej sytuacji.

- Panie. - Głos rozbrzmiewał gdzieś za jego plecami.

Król nie musiał się odwracać. Wiedział, kto to mówi.

- Malvern. Nie słyszałem, kiedy wszedłeś.

- Pukałem kilka razy, panie, ale ty nie odpowiadałeś.

Król nie odchodził od okna. Poniżej, na drzewie, śpiewał ptak, przeskakując z gałęzi na gałąź.

- Muszę w tobie pomówić w bardzo ważkiej sprawie. - Malvern obserwował plecy swojego władcy; król stał sztywno wyprostowany, a dłonie o szlachetnym kształcie splótł za sobą.

Rycerz wahał się tylko chwilę. Kiedy wypowie słowa, które tak starannie obmyślał, nie będzie mógł ich wycofać. Ta rozmowa była ważniejsza niż wczorajsza, kiedy to ostrożnie badał grunt. Teraz jest właściwy moment. Jego złota szansa, na którą od dawna czekał. Los się do niego uśmiechnął.

Odchrząknął. Wyuczone na pamięć słowa należało wypowiedzieć z odpowiednią elegancją.

- Panie - zaczął. Był zadowolony z brzmienia swojego głosu. Czasami pojawiały się w nim piszczące, nieprzyjemne tony, które denerwowały nawet jego samego. Jednak nie teraz. Ciągnął z większą pewnością siebie: - Panie, muszę pomówić z tobą o bardzo ważnej sprawie.

- Mów, Malvernie, słucham cię.

Rycerz siłą woli powstrzymał gniew, jaki wzbudził w nim niedbały ton Artura. Nie mógł pozwolić, żeby nerwy odebrały mu panowanie nad sobą. Wziął głęboki oddech.

- Panie, sądzę, że zauważyłeś, jak królowa zareagowała na powitanie Lancelota wczoraj, podczas uczyty?

Król podszedł bliżej okna i wolno oparł dłoń nie nierównym szkłem. Malvern nie widział, że szczęki Artura zacisnęły się, a oczy zwięzły.

- Słuchasz mnie, panie? Ta sprawa ma bardzo wielkie znaczenie dla pomyślności całego królestwa.

- Słucham cię. Mów dalej.

Rycerz przełknął ślinę. Czy król naprawdę uważnie go słuchał? Trudno mu było to poznać, ale ciągnął swój wątek:

- Cały dwór mówi o rumieńcu, jakim zalała się królowa, kiedy Lancelot jej dotknął. A przecież to było tylko dotknięcie. Oczywiście, taki gest jest bardzo intymny. Jak sam widziałeś, panie, Lancelot przytknął usta do delikatnego nadgarstka królowej. Niektórzy twierdzą, że widzieli, jak dotykał jej tam językiem, ale ja nic takiego nie zauważyłem. Stałem trochę z boku, ale jednak... Nieważne. A królowa zareagowała jak zadurzony podlotek! Cały dwór aż wrze! Ludzie mówią tylko o tym.

Rzecz jasna, nie była to prawda. Malvern jednak wiedział, że król nikogo o to nie zapyta, a nawet jeśli by to zrobił, nawet najbardziej szczerze i stanowcze zaprzeczenie zostałoby uznane za coś wręcz przeciwnego. Nie, Malvern mógł bezpieczne zmyślać dalej.

Król milczał.

Rycerz czekał na atak gniewu, na jakiś wybuch uczuć, na dziką furję, jego władca jednak nie reagował.

Teraz Malvern się zaniepokoił. A co będzie, jeśli ta sprawa nie poruszy Artura? Może miłość między królewską parą dawno już wygasła, a Malvern, jak zwykle, dowiaduje się o tym ostatni?

Jakie to typowe, pomyślał. Takie typowe! Właśnie dlatego musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Jeśli on nie zmieni tej niesprawiedliwej sytuacji, to któż inny zrobi to za niego?

Król nadal nie okazywał żadnych oznak wzburzenia. Malvern musiał coś wymyślić, i to szybko. Natychmiast. Nie było czasu do stracenia. Król nie poświęci mu wiele więcej czasu. I tak już wdarł się bez zaproszenia do królewskiej komnaty. Draga taka okazja może mu się nigdy nie trafić.

- Skończyłeś, Malvernie?

- Nie! Nie, panie!

Król nic nie odpowiedział, tylko czekał, nadal zwrócony plecami do rycerza. Malvern powiedział to, co pierwsze przyszło mu do głowy.

- Lancelot zamierza strącić cię z tronu!

Artur bardzo wolno się odwrócił.

- Coś ty powiedział?

No tak, stało się. Jedno niewłaściwie słowo, błędna myśl i całe życie Malverna legło w gruzach. Wykryte kłamstwo sprowadzi na niego hańbę, wygnanie, a może nawet śmierć.

Zbierając w sobie wszystkie siły, jakie mu jeszcze pozostały, zaczął:

- Słyszałem różne pogłoski. Lancelot próbuje zebrać armię i przejąć władzę w Camelocie. Jego celem jest zdobycie królowej i korony za jednym zamachem.

- Z kim się kontaktował, przygotowując ten plan?- Król mówił tak spokojnym i obojętnym głosem, jakby prosił o podanie kubka wody.

- Rozmawiał z wieloma rycerzami, panie. - Malvern uświadomił sobie, że król będzie chciał wydobyć z niego więcej wiadomości. Z trudem opanowywał drżenie głosu.

- Czy zwracał się również do ciebie?

- Tak, tak. Zwracał się, trzy razy.

- Czy znasz imiona innych rycerzy?

O, to było podchwytliwe pytanie. Malvern musiał powiedzieć nie, ale żeby zabrzmiało to tak, jakby wiedział o wiele więcej, niż mówi. Musiał się postarać, żeby król uznał go za nieocenionego sojusznika. To było to! Tylko on mógł w zaufaniu dostarczać królowi takich wiadomości!

- Imiona innych rycerzy? - Rycerz zmarszczył czoło, udając, że namyśla się głęboko. - Lancelot mi je powiedział, ale wybacz mi, panie, byłem tak oburzony i wstrząśnięty, że wszystkie wyleciały mi z głowy. Nie potrafię ich sobie teraz przypomnieć.

- Dziękuję ci, Malvernie, za te wiadomości. Gdybym cię jeszcze potrzebował, każę przesłać ci wiadomość. Życzę ci miłego dnia.

To wszystko?

Król znów odwrócił się do okna.

- Panie, nalegam, żebyś niezwłocznie...

- Zegnam cię! - rzucił Artur.

Nigdy przedtem Malvern nie słyszał, żeby król mówił takim nieprzyjemnym tonem. Rycerz zaczął cofać się ku wyjściu. Zastanawiał się, czy to przekazane mu przed chwilą wiadomości tak zdenerwowały władcę.

A może król rozgniewał się na Malverna? Czyżby przejrzał jego intrygę?

Rycerz wyszedł z komnaty tak cicho, jak tylko potrafił, niepewny i przerażony.

Wciąż jeszcze był wczesny ranek. Zamek do końca nie otrząsnął się ze snu, nocni strażnicy skończyli właśnie wartę, zastępowali ich nowi. Młoda służąca - chyba od niedawna pracująca na zamku - ze skupioną miną pośpiesznie niosła gdzieś srebrny dzban.

Myśl, nakazał sobie w duchu Malvern, przemierzając korytarz. Myśl!

Po drodze natrafił na osobistą komnatę Artura. Młoda służąca z dzbanem chyba wyszła właśnie stąd. W tej komnacie król zazwyczaj sypiał, ale tego ranka wyglądała tak, jakby nikt w niej nie nocował.

Tylko raz zerknę do środka, przyrzekł sobie w duchu Malvern. Co za przepych! Chociaż w komnacie stało niewiele sprzętów, wszystkie były wykwintne, przepiękne. Komnata godna męża.

Nie. Coś więcej niż to. Komnata godna króla.

Rycerz już miał wyjść, gdy nagle coś przyciągnęło jego wzrok.

Był to miecz Excalibur.

Dlaczego znajdował się w prywatnej komnacie Artura? Zwykle magiczny miecz spoczywał bezpieczny w zamknięciu. Malvern nigdy jeszcze nie znalazł się sam na sam z tym magicznym przedmiotem o wielkiej sile. Ten miecz, ta zaklęta broń była kluczem do Camelotu.

Miecz króla Artura. Spojrzeć na niego z bliska...

Przy rękojeści leżał kawałek materii. Ach, więc to dlatego. Król nie spał w nocy, tylko czyścił swój ukochany miecz tą miękką materią. Klejnoty kusząco błyszcząły przed oczami Malverna, jakby do niego mrugały.

Jaką wartość miał ten przedmiot? Jej wyliczenie było absolutnie niemożliwe. Już sam materiał, z którego go wykonano, był niemal bezcenny. A do tego zaklęta w nim moc, jego tajemnicze dzieje, miłość Artura... no, tak. Tylko Ginewra miała w oczach króla większą wartość.

Co by począł bez swojego miecza? Jak wyglądałby król bez Excalibura?

Malvern nie myślał. Kierowany odruchem, po prostu chwycił miecz i owinał go w leżący przy nim kawałek materii. W korytarzu nie było nikogo, więc rycerz przyśpieszył kroku. Szybko. Musiał jak najszybciej wydostać się z zamku.

Zaczął biec i zdyszany, w końcu stanął pod murami. Serce ze strachu łomotało mu w piersi jak oszalałe. Oparł się o pień starego drzewa.

- Co ja najlepszego zrobiłem? - wymamrotał. Dolna warga zaczęła mu dygotać. Myśl, rozkazał sobie. Teraz musi coś zrobić. Ale co? Musi pozbyć się miecza. Musi...

Nagle go olśniło. Ależ oczywiście! Spłynął na niego dziwny spokój. Całe ciało, wszystkie kończyny rozluźniły się. W głowie już rodził się podstępny plan.

Pomysł był po prostu doskonały. Że też wcześniej nie przyszło mu do głowy to błyskotliwe rozwiązanie.

Oto klucz do jęgo przyszłości. Staranniej zawinał miecz w ma-

terię, chociaż miał ochotę wyjąć go z ukrycia i ucałować tę cudowną broń.

Nie teraz. Ale już niedługo. Niedługo.

Wyprostował się i ruszył wolnym, zdecydowanym krokiem. Dobrze wiedział, gdzie idzie. Już nie miał wątpliwości, co musi dalej zrobić.

7

Poranek był cudowny.

Julie rozluźniła jedwabną wstążkę pod szyją, ozdabiającą dekolt nocnej koszuli, którą wręczył jej Lancelot po tym, jak przyprowadził ją do tej komnaty. Wysunęła się z łóżka i szeroko rozłożyła ramiona, jakby chciała objąć i ucałować cały świat.

Właśnie tak się czuła. Okrągłe słońce wisiało na lazurowym niebie, wszędzie unosił się zapach wiosny i nigdy jeszcze nie czuła się tak pełna życia.

W rogu komnaty, na krześle, leżała starannie złożona kolejna suknia. Jak się tam znalazła?

Pewnie w taki sam sposób, w jaki Lancelot darował jej nocną koszulę i zieloną suknię i w jaki ona trafiła do Camelotu.

Niewątpliwie te same cuda sprawiły, że znalazła się w ramionach Lancelota. Wszystko wokół było cudowne, niesamowite i czarowane. Z trudem się powstrzymała, żeby z radości nie zacząć wirować po całym pokoju jak dziecko.

W podskokach podbiegła do krzesła. Nowa suknia była niebieska, dokładnie w takim samym odcieniu jak niebo za oknem. Miała głęboko wycięty, kwadratowy dekolt i długie rękawy, z bułkami

u nasady, spod których wypływały wdzięczne fałdy w nieoczekiwane piękny, żółty kolorze.

- Wygląda tak jak słońce na niebie. - Julie westchnęła, wpatrując się w cudowne barwy. Szerokie rękawy i skraj dekoltu obszyto jedwabnymi wstążkami. Choć wydawało się to prawie niemożliwe, ta suknia była jeszcze piękniejsza od poprzedniej, zielonej.

Kiedy ją włożyła, okazało się, że doskonale układa się na jej figurze, a lustro powiedziało Julie to, co i tak sama już wiedziała.

Ale tym razem zauważyła coś jeszcze. Cerę miała kwitnącą, chociaż był to wczesny ranek, nie była wcale umalowana i miała za sobą niemal bezsenność. Oczy wydawały się wyrazistsze, roziskrzone. Czy jej usta zawsze były tak pięknie wykrojone i miały tak cudowną różową barwę? Dotknęła skóry, potem włosów, miękkich i błyszczących.

Nie obchodziło jej wcale, czy te zmiany naprawdę zaszły, czy są tylko subiektywnym wrażeniem, wywołanym przez nieoczekiwane szczęście.

Wyszła z komnaty i ruszyła schodami w dół, po raz pierwszy uważnie przyglądając się domowi Lancelota. Był czysty, urządzony z prostotą i niemal całkowicie pozbawiony indywidualnego charakteru. Nie dostrzegła nic, co zdradziłoby jej cokolwiek na temat charakteru człowieka, który tutaj mieszkał.

Dom był pusty, ale w głównej komnacie, na prostym stole, piętrzyły się bochenki chleba i bułki, okrągłe i prostokątne. Wzięła jedną z nich i zaczęła się rozglądać.

Chociaż dzień był piękny, nie potrafiła całkowicie zapomnieć o rozmowie z Lancelotem. Nie wierzył jej, przynajmniej nie do końca. Nie była w stanie go przekonać, że przybyła z przyszłości. Co gorsza, zaczynał dopiero mglście rozumieć, jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą jego flirt z Ginewrą.

- Muszę to przerwać - powiedziała. Oderwała kęs bułki i przełknęła, tylko mglście uświadamiając sobie jej wyborny smak.

Ale jak? Jak może zwykła kobieta, średniowieczny odpowiednik pracującego bez zapłaty praktykanta, wyrzucić wpływ na kogoś takiego jak Lancelot? Próbowała rozmówić się z nim poważnie, ale jej wysiłki skończyły się całkowitym niepowodzeniem. Gdyby tylko kogoś tutaj znała. Gdyby znalazł się ktoś, komu mogłaby zaufać.

Nagle jasno sobie uświadomiła, że ktoś taki istnieje: Merlin.

Chociaż rozmawiali zaledwie raz, wiedziała, że jeśli wszystko mu jasno i szczegółowo wytłumaczy, mędrzec zrozumie, jak ważne jest, żeby poświadczył przed Lancelotem prawdziwość jej słów. Potem wszystko potoczy się dobrze. Przecież nie może być inaczej.

Zastanawiała się, jak odnaleźć starca. Musi mieszkać gdzieś w okolicy. Może jest tu jakiś dom spokojnej starości dla emerytowanych czarowników. Może wystarczy, że wyrecytuje jakieś zaklęcie, a Merlin zjawi się znikąd w obłoku wielobarwnego dymu. A może trzeba tylko zamknąć oczy i stuknąć obcasem o obcas?

- Chyba zwariowałam - powiedziała głośno. I zaraz roześmiała się, bo jej niedorzeczne myśli nie były bardziej szalone niż to, że kobieta robiąca karierę w agencji reklamowej, mieszczącej się przy Madison Avenue w Nowym Jorku, zrobiła sobie niespodziewaną wycieczkę do królestwa Camelotu. Zaczęła się śmiać głośniej, wyobrażając sobie, jak taka wiadomość wyglądałaby na notatce służbowej.

Tak, najwyraźniej zaczynała dostawać kręčka.

Wzięła sobie jeszcze jedną bułkę i wyszła przed dom. Wciągnęła w płuca balsamiczne powietrze i zapach dziwnych, niebieskich róż, pnących się po ścianie domu Lancelota. Chociaż przed domem nie było ogrodu, żadnego kawałka gruntu, który miałyby spełniać tę rolę, to cała okolica wydawała się rozległym, przepięknie rozplanowanym parkiem.

- Witam, lady Julio - usłyszała młody męski głos.

Odwróciła się i zobaczyła chłopca, chyba piętnastoletniego. Wydawał się jej dziwnie znajomy.

- Witam- odrzekła. - Przepraszam, ale nie pamiętam, jak ci na imię.

- Wiem. Tutaj trudno się we wszystkim połapać. Jestem Nathan.

Miał ciemne włosy i piegi. Im dłużej na niego patrzyła, tym bardziej wydawał się znajomy. Może widziała go na uczcie albo kiedy szła ulicami?

- Jak ci się podoba w Camelocie? - zapytał Nathan, wpychając sobie do ust garść malin.

- Bardzo mi się tu podoba, dziękuję. Ja też mam do ciebie pytanie. - Starła się, żeby jej głos zabrzmiał tak lekko, jak to tylko możliwe. - Może przypadkiem wiesz, gdzie mieszka Merlin?

Chłopiec skinął głową.

- Idź ścieżką, która biegnie za murami zamku. Zaprowadzi cię prosto do jego domu.

- Dziękuję, Nathanie.

- Ależ nie ma za co, lady Julio. - Potem uśmiechnął się psotnie i dodał: - Żegnaj, piękna damo.

Automatycznie odpowiedziała:

- Żegnaj, szlachetny rycerzu. - Nathan zniknął w zaroślach, zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć. - Hej! Zaczekaj chwilę!

Jego jednak już nie było.

Czy to możliwe? Młody człowiek wyglądał zupełnie jak Nathan, siostrzeniec Peg Reilly z Long Island. Jednak tutaj nie miał dziesięciu lat, tylko co najmniej piętnaście lub szesnaście.

To zupełna niedorzeczność. Gorzej niż niedorzeczność. To jakieś szaleństwo. A najdziwniejsze było to, że to niedorzeczne szaleństwo, ten ciąg dziwacznych, nie powiązanych ze sobą zdarzeń wydawał się całkiem sensowny i logiczny, jeśli spojrzano się na niego jak na całość.

Julie potarła skronie i postanowiła się nad tym nie zastanawiać. Wszystko to było takie niewiarygodne, takie skomplikowane.

Postanowiła, że zamiast dumać nad dziwaczością całej tej sytuacji, zrobi coś rozsądnego.

Udała się na poszukiwanie czarownika Merlina.

Była tak zajęta obmyśleniem tego, co powie mędrcom i jak się zachowa podczas tej ważnej wizyty, że nie zauważyła człowieka, który czekał, aż odejdzie spod domu Lancelota. Ukryty w zaroślach, śledził każdy jej ruch.

Czekał.

Tak jak mówił Nathan, nie sposób było nie trafić do domu Merlina. Był to jedyny dom w całym królestwie, który nadawał się wyłącznie do natychmiastowego remontu generalnego.

Julie poszła ścieżkąbiegnącą wokół zamku. Po drodze zauważyła sad brzoskwiniowy.

Zeszła z niewielkiego wzniesienia i ujrzała to, czego szukała, dom Merlina. Natychmiast go rozpoznała. Dach pochylał się pod dziwnym kątem, jakby lada chwila miał się zawalić, a wielkie kawały tynku odpadły od ścian, obnażając drewniane elementy konstrukcji. Całość robiła bardzo nieporządne wrażenie.

Inną wskazówką, że mieszka tu czarownik, był prosty napis, który głosił: „Dom Merlina”.

Potknąwszy się o obłuzowany kamień brukowy, Julie skierowała się do drzwi, które wyglądały tak, jakby zaraz miały wypaść z zawiasów. Zanim jeszcze przed nimi stanęła, otwarły się na oścież.

- Spodziewałem się ciebie - oznajmił Merlin. - Proszę wejść, panno Gaffney. A może wolisz, żeby się do ciebie zwracać „lady Julio”? Nie ustaliliśmy tego podczas wczorajszej rozmowy.

- No... Wszystko jedno. To znaczy, dziękuję za zaproszenie.

Merlin był ubrany w brązową szatę, tę, w której przyszedł na ucztę, chyba że miał kilka takich samych strojów, identycznie zniszczonych i poplamionych. Nie było to tak całkiem wykluczone.

- Jaka piękna suknia - pochwalił Merlin, kiedy Julie weszła do domu.

Uśmiechnęła się, gorączkowo myśląc, jak najzręczniejsz skierować rozmowę na temat Lancelota. Czy powinna mówić bez ogródek? A może najpierw rozpocząć rozmowę o czymś innym?

Czarownik odpowiedział na jej uśmiech uśmiechem, pokazując nierówne żółte zęby, a Julie poczuła, że zna go od wieków.

Nie miała szans, żeby odezwać się pierwsza.

- Wiem, po co tu do mnie przysłałaś- oświadczył i zrzucił jakieś papiery z obitego czerwonym płótnem stołka, żeby mogła na nim usiąść. Izba była niska i ciemna; kurz wirował w kątach, a wyblakła papuga skrzeczała pod ścianą, rozrzucając ziarna po całym pokoju. - To jest Charo - wyjaśnił Merlin, wskazując głową na ptaka.

- Charo? - powtórzyła Julie z niezbyt rozgarniętą miną.

- Tak. A teraz przejdźmy do rzeczy. - Mówił ze zdecydowanie angielskim akcentem, prosto z Królewskiej Akademii Szekspirowskiej. Brzmiał bardziej brytyjsko, niż ktokolwiek, kogo Julie w życiu widziała, z wyjątkiem aktorów występujących w sztukach Noela Cowarda. - Martwisz się o swojego rycerza. I masz rację, bo są powody do niepokoju.

Tym razem nie była zdziwiona, że tak bezbłędnie odgadł, dlaczego tutaj przyszła.

- Tak, martwię się. Boję się, że Lancelot ściągnie na siebie kłopoty, poważne kłopoty.

- Właśnie.

Przez dłuższą chwilę stali, spoglądając sobie w oczy. Charo rozrzucała po izbie jeszcze kilka ziaren. Potem Merlin potarł dłonie.

- No, cóż. Wystarczy na dzisiaj. Wybacz mi, ale mam kilka pilnych spraw do załatwienia. Mam nadzieję, że sama trafisz do wyjścia.

Z tymi słowy podszedł do wielkiego stołu, na którym piętrzyły się papiery, a wśród nich stały szklane naczynia. W niektórych,

ustawionych nad niewielkimi niebieskimi płomieniami, bulgotały jakieś podobne do rozgrzanej lawy substancje, inne były wypełnione cieczami, przejrzystymi lub w pastelowych kolorach. Stał tam też duży kosz z piórami. Merlin wrzucił dwa do niebieskiego płynu i nad jego głową wykwitł obłok dymu w kształcie grzyba.

- Przepraszam, co powiedziałaś? - zapytała Julie.

Merlin podskoczył.

- Słucham?

- Czy możemy jeszcze trochę porozmawiać?

- Nie trzeba, nie trzeba. Wszystkiego się sama domyślisz, moja droga. Rozwiązanie przyjdzie do ciebie samo.

- Skąd wiesz?

Pochylny nad stołem, nic nie odpowiedział. Wsunął na swój kartoflowaty nos dziwaczne okulary. Julie widywała takie w sklepach ze śmiesznymi rzeczami. Zamiast szkieł miały spirale. Jednak Merlin pracował w nich w wielkim skupieniu, jakby rzeczywiście mu pomagały.

- Dlaczego się tutaj znalazłam, Merlinie?

Nie podniósł wzroku i już miała powtórzyć pytanie, kiedy się odezwał:

- Jesteś tutaj, ponieważ chciałaś się ode mnie czegoś dowiedzieć. To proste.

- Ależ nie. Chodzi mi o to, dlaczego znalazłam się w Camelocie.

Wolno unióś głowę, zdjął okulary i kilka razy zamrugał, zanim się odezwał.

- Odpowiedź tkwi w tobie samej, moja droga. Zawsze tam była. Tylko ty na razie nie potrafisz jej zrozumieć.

Pomyślała o minionej nocy, o czasie, który spędziła w towarzystwie Lancelota. Co się z nią działo? Co się działo między nimi?

A co będzie, jeśli nagle zostanie usunięta z Camelotu, w taki sam szybki i tajemniczy sposób, w jaki tutaj przybyła?

- Proszę, Merlinie. Tylko ty możesz mi pomóc przekonać Lancelota, żeby postępował rozważnie. On nie wierzy, że grozi

mu poważne niebezpieczeństwo. Ani z powodu jego flirtu z królową, ani z jakiegokolwiek innego powodu.

- Obawiam się, że już niedługo przekona się o tym na własnej skórze.

- Ale jeśli pójdziesz ze mną, wyjaśnisz, skąd i z jakich czasów przybyłam, i przekonasz go, że moje ostrzeżenia nie są wymysłem osoby niespełna rozumu, to będziemy mieli szansę, żeby go ocalić, żeby ocalić Camelot!

- Wymysł osoby niespełna rozumu, powiedziałaś? Interesujące, moja droga. Chyba nigdy nie myślałem o sobie jako o człowieku niespełna rozumu, chociaż, być może, nie wszyscy by się w tej sprawie ze mną zgodzili.

Julie znów nie wiedziała, o czym dokładnie mówi czarownik, ale nalegała dalej:

- Pomożesz mi więc?

Znów zamrugał.

- W czym mam ci pomóc?

- Czy pomożesz mi wytłumaczyć Lancelotowi, dlaczego się tutaj znalazłam?

- A dlaczego się tu znalazłaś?

- Słucham?

- Pytam, dlaczego się tutaj znalazłaś.

- Żeby cię zapytać o Lancelota!

- Nie, nie. Chodzi mi o to, dlaczego przybyłaś do Camelotu.

Całą siłą woli powstrzymała się, żeby z rozpaczy nie unieść ramion.

- Właśnie to sama bardzo bym chciała wiedzieć!

- Naprawdę? No, to rzeczywiście jest się nad czym zastanawiać.

- Czy wiesz, dlaczego tutaj trafiłam, do Camelotu? Czy to ze względu na mnie, czy na Lancelota? A może jest jakiś inny powód?

Cienkie wargi starca wykrzywiły się lekko w grymasie, trochę przypominającym uśmiech. Niespodziewanie zniknął gdzieś roztrzepany czarownik i Julie niemal cofnęła się o krok, ponieważ nagle poczuła wielką siłę, bijącą od tego człowieka.

- Znam odpowiedzi na wszystkie twoje pytania, lady Julio. Jednak ty musisz sama znaleźć na nie odpowiedź. To dla ciebie jedyna możliwość, żeby się czegoś dowiedzieć.

Fragmety obrazów zawirowały jej w głowie, jak rozrzucone na podłodze fotografie. Zobaczyła swoją dłoń, spoczywającą na ramieniu Lancelota, wyraz jego twarzy, kiedy stał tak blisko niej, że czuła jego ciepło. Obrazy zmieniły się w uczucia, we wspomnienie dotyku jego skóry, oddechu, owiewającego jej ucho i burzliwych emocji, jakie japoźniej ogarnęły. Z trudem przełknęła ślinę i znów spojrzała na Merlina.

- Znasz odpowiedzi, moja droga. Musisz tylko odkryć właściwe pytania.

Potem czarownik wrócił do stołu, znów wsunął na nos okulary i ponownie zabrał się do pracy. W ten sposób dał do zrozumienia, że to koniec wizyty. Miała teraz więcej pytań niż na początku rozmowy.

- Dziękuję - powiedziała Julie słabym głosem. - Nie przeszkadzaj sobie, wyjdę sama.

Charo zaskrzeczała i rzuciła przed siebie odprysk drażka, na którym siedziała. Julie cofała się do drzwi. Nagle rozległ się jakiś wysoki dźwięk, jakby gdzieś zaczął dzwonić telefon, ale ona prawie tego nie zauważyła. Na zewnątrz nadal panowała wspaniała pogoda, chociaż jej zupełnie to nie obchodziło.

Zaczęła sobie uświadamiać, że chociaż Camelot jest niewątpliwie cudownym miejscem, to jego najbardziej godnym uwagi elementem jest Lancelot. Nie był to człowiek, który robiłby cokolwiek połowicznie. Wszystkiemu, czego się podjął, poświęcał się całkowicie. Tylko takie działanie dawało mu satysfakcję.

Niewykluczone, że bez względu na to, co Julie powie lub zrobi, nadal będzie bez opamiętania dążył ku katastrofie.

Kiedy tylko postawiła stopę za progiem domu Lancelota, od razu wiedziała, że on tu jest. Pustka, która ją ogarnęła rano,

zniknęła. W całym domu czuło się obecność Lancelota; wypełniała każde pomieszczenie, każdy kącik.

- Julio?

Jego głos owionął ją jak podmuch chłodnego wiatru, dodawał energii, uderzał do głowy. Gdy Lancelot ukazał się na schodach, Julie zachwiała się i musiała dla równowagi oprzeć się o ścianę.

Czy ten mężczyzna istnieje naprawdę?

- Witaj. - Jej głos był równie chwiejny jak ona.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, tak. Nic mi nie jest.

Miał na sobie kolejną niebieską tunikę. Ta jednak była bardziej dopasowana i doskonale podkreślała zalety jego sylwetki. Biło od niego coś jeszcze, coś nie całkiem z tej ziemi, co sprawiało, że wydawał się Julie absolutnie wspaniały. Było to chyba połączenie wybitnej osobowości i doskonałej formy fizycznej, siły charakteru i sprawności ciała.

- Masz piękną suknię. - Dotknął jej rękawa.

- Och, dziękuję - odparła skromnie.

Nagle roześmiał się, ona po chwili również. Rozbawiło ich to niespodziewane, niedorzeczne napięcie, które wprawiało w załopotanie ich oboje, a zwłaszcza Julie. Ich cichy śmiech rozproszył wszelką niepewność i skrępowanie.

- Dzisiaj ma się odbyć kolejna uczta. — Nadal trzymał rękę na jej rękawie. - Życzysz sobie dostać nową suknię na ten wieczór?

- Nie, nie. Ta mi wystarczy. Jest doskonała.

- To nie suknia jest piękna - rzekł cicho Lancelot. - To ty. Ty jesteś doskonała.

Jego ręka przesunęła się w górę i spoczęła na chwilę na jej ramieniu, a potem dotknęła nagiej skóry na szyi Julie. To było bardzo wrażliwe miejsce. Mężczyzna takiego wzrostu i siły mógł łatwo sprawić jej ból. Kiedy kciukiem gładził jej szyję, Julie zastanawiała się nad swoimi emocjami. Zaskoczyło ją, że wcale

nie czuje lęku, ale radość i spokój. Wiedziała, że bez względu na wszystko, Lancelot ją obroni.

Nagle lekko zmarszczył czoło.

- Tasiemka na plecach się rozluźniła.

- Takie rzeczy się zdarzają, kiedy trzeba się ubierać samej - odparła lekko i natychmiast zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. - To znaczy... no... Wiesz, co chciałam powiedzieć.

Skinął głową i bez namysłu rozwiązał aksamitną tasiemkę, pociągnął za oba końce, żeby ciaśniej zasznurować suknię i związał w kokardę.

- Proszę bardzo. - Z zadowoleniem poklepał ją po ramieniu. - Chyba lepsza ze mnie garderobiana niż z ciebie giermek.

- No, to przynajmniej będziesz miał jakiś fach w ręku, kiedy rycerze Okragłego Stołu stracą pracę. - Gdy tylko wypowiedziała te słowa, natychmiast chciała je cofnąć, ale już było za późno. - Lancelocie, dobrze wiesz, że tylko żartowałam.

- Doprawdy? - Jego twarz nagle spochmurniała, jakby w ułamku sekundy przeniósł się do jakiejś odległej krainy. Potem uśmiechnął się, ale jego oczy nadal pozostały smutne. - Wyruszamy na ucztę?

- Ja... Tak, oczywiście.

Podał jej ramię i razem poszli na zamek, lekką towarzyską pogawędką zagłuszając poważne myśli, starannie unikając poważniejszych tematów.

Uczta była podobnie wystawna i radosna jak ta poprzedniego dnia i Julie nadal czuła, jak niezwykła atmosfera panuje na sali. Nie chodziło tylko o to, że bierze udział we wspaniałej uczcie, wydawanej w bajkowym zamku. Nie były to też jedynie emocje związane z bliskością Lancelota, chociaż to również nadal ją ekscytowało.

Sam fakt, że znajduje się w Camelocie, wprawiał ją w niezwykle podniosły nastrój. Było tak, jakby legenda zderzyła się z rzeczywistością i powstała z tego zupełnie nowa jakość. Ten świat zawierał

najlepsze elementy fantazji i rzeczywistości: wzniosłe ideały i zwykłych ludzi, którzy mogli żyć i oddychać tą niesamowitą atmosferą.

Julie czuła, że napełnia ją to energią i taką radością życia, jakiej sobie nawet nie wyobrażała. To, co czuła jako dziecko w wigilijne wieczory, urodziny czy przed wyjazdem na wakacje, było tylko niejasną zapowiedzią doznań, jakie zawładnęły nią teraz.

Inni mieszkańcy Camelotu już zaczęli ją rozpoznawać, witali skinieniem głowy, uśmiechami i serdecznymi słowami. Smakowite wonie licznych potraw mieszały się z innymi pięknymi zapachami. Julie już wiedziała, że jest to po prostu zapach Camelotu.

Czuła się jak najbardziej lubiana dziewczyna w klasie, jak zwyciężczyni konkursu piękności podczas szkolnego balu. Tyle że w przeciwieństwie do szkolnego balu, nie było tu samotnych postaci, siedzących nad nie dojedzonymi kanapkami i kubkami z ciepłą colą, nikt nie czuł się wyrzucony poza nawias, odepchnięty, niedoceniony.

W Camelocie każdy był zwycięzcą konkursu piękności lub gwiazdą drużyny futbolowej.

Lancelot zaprowadził ją na podwyższenie obok stołu króla i królowej i pomógł usadowić się na ławie. Jakiś rycerz rozpoczął z nimi rozmowę, ale Julia prawie nie słyszała jego słów. Wpatrywała się w Lancelota, w jego ożywioną mimikę twarzy, inteligentne spojrzenie, w piękne bławatkowe oczy.

Wcale nie czuła głodu.

Patrzyła na odwróconego do niej bokiem towarzysza. Jego gesty w jakiś niewytłumaczalny sposób były jednocześnie pełne gracji i bardzo męskie. Nagle któryś z młodych rycerzy poklepał go po ramieniu i coś do niego powiedział. Lancelot w odpowiedzi skinął głową i zwrócił się do Julie:

- Król chce ze mną o czymś porozmawiać. Wróć za chwilę.

Julie została więc sama, siedziała, słuchała i obserwowała otoczenie. Czasem zerkała na suknię, gładziła jej materiał i rysowała

palcem pełne skomplikowanych zawijasów wzory na aksamitnej powierzchni. Gwar uczyty czasami się nasilał, co chwila wybuchały gdzieś salwy śmiechu. Zdarzało się, że zapadała cisza, ale natychmiast przerywał ją kolejny wybuch śmiechu.

Siedziała i czekała, aż jej rycerz wróci do jej boku.

Wasza królewska wysokość! - Lancelot wszedł do niewielkiej izby, tuż obok wielkiej sali biesiadnej. - Kirwin przyniósł mi wiadomość, że chcesz ze mną pomówić.

- Po królestwie krążą plotki. - Głos króla był ponury i znużony.

- Plotki?- Lancelot zrobił krok do przodu, wpatrując się w twarz Artura. Jak zwykle była spokojna, ale pojawił się na niej jakiś nowy wyraz. I rycerz od razu spostrzegł tę różnicę.

Król najwyraźniej unikał wzroku swojego pupila.

- Jakie to plotki, panie?

- Plotki o tym, że postanowiłeś zdobyć moją żonę.

Lancelot czekał przez chwilę, aż król oznajmi, że to tylko żart, albo wyśmieje tak ohydne pomówienie. Ale władca nic podobnego nie uczynił, tylko wodził palcem po krawędzi grubej świecy i czekał na odpowiedź.

- Panie...

- Czyż nie jest prawdą że od dawna podziwiasz królową? - Głos Artura nawet nie brzmiał tak jak zawsze. Był ostry, pełen goryczy. Lancelot nigdy przedtem nie słyszał, żeby król tak przemawiał.

- Ależ oczywiście, że podziwiam Ginewrę - odrzekł rycerz. - Jest moją królową, małżonką mojego dobrego króla.

- Nie igraj ze mną! Bardzo dobrze wiesz, co chcę powiedzieć. Czy kochasz ją miłością jaką mężczyzna kocha kobietę?

- Nie! Panie, nie wiem, kto ci to...

- Czyżbyś chciał zaprzeczyć, że całowałeś jej dłoń? Robiłeś to długo i czule, niczym kochanek, a potem patrzyłeś, jak rumieniec wykwita na jej twarzy! Chcesz powiedzieć, że było inaczej?

Lancelot wziął głęboki oddech. Dokładnie to samo powiedziała lady Julia. Właśnie przed tym go ostrzegła.

- Owszem, pamiętam, że całowałem jej dłoń w sposób dworski, panie. Nie było w tym nic więcej.

Artur w końcu spojrzął na Lancelota. Potem znów zwrócił wzrok na świecę, na żółty wosk, który ugniatał kciukiem. Jeszcze raz popatrzył na rycerza.

- Czy jest coś jeszcze, co pragnąłbyś mi wyznać? Jeśli wyznasz mi swoje plany, Lancelocie, postąpię wobec ciebie bardzo wyrozumiale.

Rycerz potrząsnął głową. O czym Artur mówi? Może dotarła do niego wiadomość o lady Julii, że to wcale nie jego krewna, tylko nieznajoma i nikt nie wie, skąd przybyła? Może usłyszał o jej dziwnych opowieściach o obcym kraju i odległej przyszłości?

Honor nakazywał mu wierność królowi. Jednak nie mógł wydać Julii. Nie teraz, a może i nigdy.

- Nie mam żadnych planów, panie. - Tylko tyle mógł powiedzieć. Nic więcej nie chciał wyjaśniać, ponieważ nie zamierzał okłamywać swojego władcy.

Artur spoglądał na rycerza uważnie. Widział, że ten się waha i bardzo ostrożnie dobiera słowa.

- Dość - odezwał się król zmęczonym głosem. - Wracaj na ucztę.

- Ale, panie...

- Powiedziałem, dość!

Lancelot wyciągnął rękę, ale król się odwrócił.

- Dobrze, panie. - Z tymi słowami wycofał się z izby.

Prawie natychmiast Malvern wyszedł spoza czarnej zasłony.

- Czyż nie miałem racji, wasza wysokość? Czy nie widziałeś, jak niepewnie ci odpowiadał? Ten człowiek z pewnością coś knuje!

- Malvernie, proszę, zostaw mnie samego. - Król zamknął oczy.

Malvern uśmiechnął się i zrobił, co mu kazano. W sumie

przebieg tego spotkania był dla niego ze wszech miar pomyślny. Ze wszech miar.

Lancelocie! - Julie powitała go z uśmiechem, kiedy wrócił na ucztę. Jednak uśmiech zniknął, kiedy rycerz usiadł obok niej. - Czy stało się coś złego?

Zanim odpowiedział, skinął głową jakiemuś starszemu mężczyźnie.

- Skąd miałaś wiadomości o mnie i o królowej? - wyszeptał i Julie musiała się ku niemu pochylić, żeby usłyszeć jego słowa, zagłuszane gwarem gości.

- Co powiedział ci król?

- Odpowiedz na moje pytanie - wycedził szorstko przez zacisnięte zęby.

- Mój Boże, co się stało?

Spojrzał na nią gniewnie. Zrozumiała, że nie będzie z nią rozmawiał, dopóki nie udzieli mu odpowiedzi. Wyjaśniła więc szybko, łagodnym tonem.

- To, co ci mówiłam o tobie i Ginewrze, jest częścią opowieści o Camelocie. Wszyscy w moich czasach ją znają. I tutaj za rok wszyscy będą ją znali.

- Jest w tym coś jeszcze. Nie wiem co, ale jestem pewien, że królowi jeszcze o coś chodziło. Nie powiedział mi wszystkiego do końca. Co jeszcze się za tym kryje, Julio?

- Nie wiem. - Przypomniała sobie wszystkie możliwe wersje legendy, ale nie przysedł jej do głowy żaden wątek, który nie dotyczyłby wyłącznie Lancelota i Ginewry. - Przysięgam ci, że nic więcej nie wiem.

Lancelot był zagubiony i niespokojny, chociaż nadal sprawiał wrażenie silnego, niezłomnego rycerza. Tylko Julie wyczuwała jego niepokój i miała wrażenie, jakby to ona przeżywała jego rozterkę i ból.

- *Źle* się czuję - wyszeptała.

- Nie okazuj tego po sobie. Cokolwiek się stanie, musimy się uśmiechać i udawać, że się dobrze bawimy.

- Nie mogę jeść.

- W takim razie nie jedz. Ale musimy zostać, przynajmniej, dopóki król i królowa się nie pojawią.

Po krótkiej chwili królewska para rzeczywiście ukazała się zebranim, podobnie jak ubiegłego wieczoru.

Lancelot zbliżył się do królowej i ucałował jej dłoń. Tym razem Julie zauważyła nagły skurcz, który przebiegł po twarzy Artura, jakby król nagle poczuł się niedobrze. Patrzył z namysłem na Lancelota, a Malvern szeptał mu coś do ucha.

Ramiona Artura lekko opadły, ale władca natychmiast znów przybrał królewską postawę. Jednak nie był to już ten sam człowiek, którego widziała poprzedniego dnia. Udawał, że jest w dobrym nastroju, ale oczy straciły blask, pojawiło się w nich niezdrowe zmęczenie.

Lancelot i Julie zostali za stołem, uśmiechali się, rozmawiali i jakoś dotrwali do końca wieczoru. Wreszcie poczuła dłoń rycerza na ramieniu.

- Musisz być bardzo zmęczona- powiedziała. Wolno, wraz z innymi, mogli już opuścić wielką komnatę pałacu.

Szli w milczeniu, zatopieni we własnych myślach, a jednak cały czas świadomi obecności drugiego. Nagle Julie w coś wdepnęła i zatrzymała się.

- Co się stało? - zapytał Lancelot.

Spojrzała w dół na swoje pantofelki. Końskie odchody. Oczy Julie i Lancelota spotkały się; ta sama myśl przebiegła im przez głowę.

Coś się zaczynało psuć w królestwie Camelotu.

8

Miło było wrócić do domu Lancelota, jakby grube kamienne mury mogły powstrzymać zachodzące wokół zmiany. Oczywiście, było to tylko przyjemne złudzenie. Nawet Lancelot już zaczynał sobie uświadamiać, jak drastycznie zmienia się jego świat.

Bez słowa zaprowadził Julie do głównej komnaty i zaczął rozpalać ogień w wielkim marmurowym kominku. Nie przerywając pracy, zaczął rozmowę:

- W królu zaszła jakaś zmiana. Zauważyłaś to. Poznałem po twojej minie, że też to spostrzegłaś.

- Tak - odparła krótko. W tej chwili nie było miejsca ani czasu na kwieciste sformułowania i wymijające odpowiedzi.

- Znowu pytał mnie o Ginewrę, zarzucał mi złe intencje. Jak może oskarżać mnie z powodu czegoś, co było jedynie przelotną, płonną myślą? - Wpatrzył się w ogień i z bezsilnej złości zacisnął pięść przy boku. - Ale czy mogę wypierać się tych nieszczęsnych myśli i nadal pozostać uczciwym?

Teraz w jego głosie pobrzmiwało cierpienie. Julie opadła na kolana na nagą zimną posadzkę. Kiedy usłyszała jego słowa, przeszedł ją dreszcz.

- Nic nie można poradzić na własne myśli. Nie możesz ich

kontrolować. - Patrzyła na jego twarz, oświetlaną pomarańczowym blaskiem ognia.

- Ależ właśnie o to chodzi! Kiedyś umiałem panować nad tym, co rodziło się w mojej głowie. A teraz czuję, że ta zdolność, ta siła gdzieś zniknęła.

- I wydaje ci się, że to się stało z mojej winy?

- Nie. - Powiedział to bez wielkiego przekonania. - Po prostu zdarzyło się tak, że pojawiłaś się w moim życiu, kiedy po raz pierwszy w sobie zważyłem.

Nie była pewna, czy powinna się odezwać. Może lepiej by było, gdyby sam, we własnym tempie, zastanowił się nad swoimi uczuciami, uporządkował je. Na to jednak nie było czasu. Wszystko zaczynało się dziać zbyt szybko.

- Lancelocie, muszę ci coś powiedzieć.

Zwrócił się ku niej i unióśł brwi w niemym pytaniu.

- Wydaje mi się, że Malvern coś knuje - oznajmiła.

- Malvern? Ależ, Julio! To ostatni człowiek, który mnie w tej chwili obchodzi.

- A to błąd. - Starła się ostrożnie dobierać słowa. - Sądzę, że to on powiedział coś Arturowi. Nie wiem dokładnie, co to było, ale sądzą, że chce cię w coś wkopać.

- Wkopać?

- No, wiesz. Zrobi coś złego, zdradzieckiego, ale sprawi, że oskarżą o to ciebie.

- Lady Julio, Malvern jest rycerzem Okrągłego Stołu. Przysięgał wierność królowi Arturowi oraz wszystkim braciom rycerzom. Może nie zawsze się z nim zgadzam, ale nigdy nie zrobiłby niczego nieuczciwego, nie zdradziłby mnie ani żadnego innego rycerza.

- Obawiam się, że się mylisz - upierała się Julie.

- Czy tam, skąd pochodzisz, gdziekolwiek to jest... - Ich spojrzenia się spotkały, ale Lancelot odwrócił wzrok i mówił dalej: - Czy tam Malvern pojawia się w opowieści?

- Nie. Prawdę mówiąc, przed przybyciem do Camelotu nigdy o nim nie słyszałam.

- Więc jak możesz rzucać oszczerstwa na jego imię?

- Ponieważ przedtem, w znanych mi wersjach opowieści, nie było potrzeby, żeby pojawił się ktoś taki jak Malvern. Ty i Ginewra wystarczyliście, żeby zniszczyć Camelot.

- Jak możesz...

- Dlaczego nie chcesz tego dostrzec? - spytała podniesionym głosem. - Czy ty jesteś ślepy? Honor i zaufanie to jedna rzecz. Ale, Lancelocie, stawiasz zaufanie ponad zdrowym rozsądkiem. To jest zwykła głu... - Zamilkła.

- Dokończ.

- Nie. Nie to chciałam powiedzieć.

- Tak, właśnie to. - Nie wiedzieć kiedy, znalazł się przy niej i spojrzał na nią z góry. - Zamierzałaś nazwać mnie głupcem. Cóż, lady Julio, wolę być w twoich oczach głupcem niż stracić honor w oczach całej reszty świata.

- Proszę, wybacz mi. - Wyciągnęła ku niemu rękę w błagalnym geście. Nie zwrócił na to uwagi.

- Mam ci przebaczyć? - zagrzmiał.

Kiedy patrzyła na niego z dołu, jak stoi dumnie wyprostowany, wydawał się jej olbrzymem.

- Przebaczyć? - powtórzył gromko. - Dopiero teraz widzę, jakie zniszczenie siejesz dokoła. Jesteś chodzącym nieszczęściem. Nic dziwnego, że w krainie, z której przybywasz, aż się roi od ludzkiego nieszczęścia. To wszystko przez ciebie, prawda? A teraz przybyłaś do naszego spokojnego królestwa i dopiero tutaj zamierzasz pokazać, co potrafisz. - Dotknął butem jej pantofelka. - Powiedz mi, czy pod jedwabiem kryją się czarcie kopyta?

Trochę chciało jej się śmiać z tych niedorzecznych oskarżeń, wypowiedzianych z takim ogniem, ale przede wszystkim czuła, że rozumie jego lęk i zagubienie. Lancelot mówił najzupełniej serio. Przecież wychował się w czasach, w których panowały przesady

i wiara w magię, w miejscu, gdzie Merlin był oficjalnie uznanym czarodziejem, a niebieskie róże spotykało się częściej niż chwasty.

Tyle mu chciała powiedzieć, ale tylko potrząsnęła głową.

- Nie, nie jestem diabolicą.

Wciąż trzymała uniesioną ku niemu rękę. Lancelot nagle podciągnął ją jak górze. Gwałtownie nabrała powietrza i stanęła przed nim na chwiejnych nogach. Musiał objąć ją w talii, żeby nie straciła równowagi.

- Popatrz na mnie - wyszeptał. - Spójrz mi prosto w oczy. Przysięgnij, że nie przybyłaś tu po to, żeby mi zaszkodzić.

Spuściła głowę. Jak mógł nawet pomyśleć, że chce mu zaszkodzić? Nie wierzył jej. Uważał ją za wroga.

Nie podejrzewała, że coś może ją tak bardzo zranić, sprawić jej tak wielki ból, że zamieniłaby go na najcięższe fizyczne cierpienie.

- Patrz na mnie! - zażądał, chwytając ją jeszcze mocniej.

- Ja... - zaczęła niepewnie.

Spojrzała na stojącego przed nią rycerza. Gdyby tylko mogła wyrzucić z serca to, co do niego czuła, do tego archaicznego człowieka, który przecież nie był częścią jej prawdziwego życia.

Wiedziała jednak, że nigdy nie zdusi w sobie uczucia do niego.

Niepewnie, z bólem w oczach, spojrzała na Lancelota. Była zbyt zmęczona, zbyt wyczerpana emocjonalnie, żeby ciągnąć tę rozmowę. Patrzyła na niego otwarcie, niczego nie udając.

Lancelot przyglądał się jej z uwagą, badał wyraz jej twarzy i zastanawiał się, czy to nie jest tylko gra. Może naprawdę była jego wrogiem albo czarodziejką, która postanowiła go zniszczyć.

Nie, to niemożliwe. Nikt nie potrafiłby tak zagrać. Takiego głębokiego smutku nie sposób udawać.

Nagle, w krótkiej chwili olśnienia, wszystko stało się dla niego jasne. Bez względu na to, co się stanie, jakie wydarzenia nastąpią w przyszłości, w tej chwili nie było między nimi żadnej gry pozorów, żadnych barier. Wszystko nagle stało się prawdziwe i czyste.

Z ust Lancelota wyrwał się cichy jęk. Rycerz przytulił Julie mocniej do siebie.

- Julio - wyszeptał. Obejmował ją z taką siłą, że jej stopy oderwały się od ziemi, a całe ciało zdawało się w niego wtapiać.

Zamknęła oczy i cieszyła się jego bliskością. Miała nadzieję, że łączące ich uczucia, tak zmienne i niepewne, nie przekształca się w gniew i złość. Zanurzył rękę we włosach Julie i uniósł jej twarz ku sobie. Widział ją teraz oświetloną słabym blaskiem ognia. Wolno otworzyła oczy.

Patrzył na nią z wyrazem tak czystego pożądanego, że na chwilę zaparło jej dech. Niespodziewane pragnienie Lancelota odbiło się na jej twarzy niczym w lustrze. Potem jego usta dotknęły ust Julie. Czuła tylko siłę obejmujących ją ramion i nic innego się dla niej nie liczyło.

Każde odczucie przeżywała w dwójnasób, jakby bliskość rycerza wyostriła jej zmysły, spotęgowała wszelkie doznania. Wydawało się, że między nimi wibruje jakiś dźwięk, stworzony przez energię płynącą z nich obojga, wywołany obudzoną w nich namiętnością.

Wodziła rękami po jego ciele, przesuwając je po twardych, wyraźnie zaznaczonych mięśniach, a Lancelot obejmował ją coraz ciaśniej i coraz mocniej przytulał.

Razem opadli wolno na podłogę. Oboje poczuli zimno bijące od gładkiego kamienia, tak różniące się od żaru bijącego z ich ciał. Bardzo delikatnie Lancelot ułożył Julie na swoim ramieniu; przez chwilę tylko patrzyła na jego twarz. W świetle ognia płonącego na kominku widziała jego rysy i zadziwiło ją, że wydają się jej tak dobrze znajome - rzęsy dotykające policzka, kiedy spuszczał wzrok, wgłębienie między nosem a górną wargą.

Jego ciepło było tak bliskie i realne jak nigdy przedtem. Patrzył jej w oczy chyba przez całą wieczność, a potem położył dłoń na dekolcie i odsunął na bok materię sukni. Julie przełknęła ślinę i zamknęła oczy. Lancelot wsunął drugą dłoń pod jej włosy, opadające na kark. Zaczęła drżeć, ale uspokoił ją, dotykając wargami

jej ust. Całował ją najpierw delikatnie, potem coraz śmieiej. Wziął ją w ramiona i namiętnie pieścił plecy, językiem rozsuwał wargi, pobudzając ją do coraz żywszej reakcji. Pozwoliła, żeby zawładnęły nią emocje. Objęła Lancelota i zanurzyła palce w czarnych włosach. Czuła jego pożądanie, kiedy obsypywał pocałunkami jej szyję i wypukłość piersi. Przesuwała dłonie po jego ciele, a mięśnie na barkach i piersi, gorące i gładkie, poruszały się pod jej dotykiem.

Nagle świat zmienił się w wir namiętności i kontrastów. Ubrania chyba same zsunęły się z ich ciał, potem już czuli tylko dotyk materii, kamienia, a przede wszystkim siebie nawzajem. Nic innego dla nich nie istniało, żadne inne miejsce ani czas. Tylko oni dwoje.

Długo leżeli w tańczącej strudze światła. On delikatnie ułożył ją na swoim ciele, żeby ochronić przed zimnem, i nakrył suknią, którą z siebie zrzuciła. Wkrótce Julia zapadła w sen, kojący i głęboki, bez żadnych sennych koszmarów.

Lancelot nie spał. Poruszył się lekko, uważając, żeby jej nie obudzić. Westchnęła przez sen, uniosła rękę i przytknęła ją do policzka rycerza. Uśmiechnęła się lekko i znów znieruchomiała.

Lancelot patrzył na sufit, niewyraźnie widoczny w słabym świetle dogasających polan. Był zdziwiony i zachwycony tym, co się przed chwilą wydarzyło. Bezwiednie okręcał kosmyk jej złotych włosów wokół palca i zastanawiał się, jak to się stało, że taka kobieta wkroczyła w jego życie i w jednej chwili na zawsze je odmieniła. Nie miał bowiem ani cienia wątpliwości, że tak właśnie było.

Skąd się tutaj wzięła? Odpowiedź, jakkolwiek brzmiała, stała się niemal bez znaczenia. Przecież wszystkie te dziwne rzeczy, które mu mówiła, zaczynały się sprawdzać.

Jeśli naprawdę przybyła z przyszłości, jej przepowiednie zapowiadały nie tylko jego osobistą porażkę, ale również upadek jako rycerza. Wszystko, co teraz sobą reprezentował, wszystko, o co

walczył i w co wierzył, obróci się wniwecz. Zostanie Lancelotem, upadłym rycerzem. Łotrem. Zdrajcą.

Tego nie potrafiłby znieść.

Tylko jedna myśl wydawała mu się jeszcze straszliwsza. Kiedy wdychał zapach włosów Julie, ta myśl stała się realną, fizyczną groźbą.

A co będzie, jeśli Julia zniknie równie szybko i niewytłumaczalnie, jak się pojawiła? Co zrobi, jeśli obudzi się sam, na kamiennej podłodze, przed wygasłym kominkiem?

- Nie - wyszeptał ochryple, zamknął oczy i przytulił twarz do jej skroni.

Poruszyła się, więc wstrzymał oddech, żeby jej nie obudzić. Nie chciał, by zobaczyła jego strach, którego nie byłoby w stanie ukryć w tej chwili bolesnej szczerości.

- Spij dalej, moja ukochana - poprosił szeptem.

Westchnęła i znieruchomiała, pogrążając się w jeszcze głębszym śnie. W końcu sen przyszedł również do Lancelota.

Obudził ją śpiew ptaków.

Przez długą chwilę leżała zupełnie nieruchomo, bojąc się poruszyć, ze strachu, że to wszystko okaże się snem. Mocne ramię Lancelota otaczało opiekuńczo jej talię, twarz rycerza kryła się na ramieniu Julie.

Wszystko zdarzyło się naprawdę.

Teraz reszta Camelotu może okazać się halucynacją, miłym odskokiem od realnego świata, wywołanym jej nadziejami i pragnieniami. Ale wszystko to, co zaszło między nimi, było szczere i prawdziwe. Obrazki z książek z bajkami to jedno. Czułość, troska o siebie nawzajem i... miłość, tak miłość, którą się dzielili kilka godzin temu, nie miały nic wspólnego z fantastycznymi zamkami czy wymyślonymi kwiatami.

Nieważne, gdzie się znajdowali - w Camelocie czy w Jersey

City - te chwile wydawałyby się jej równie zaczarowane. Ponieważ magia nie wypływała ze świata zewnętrznego. Rodziła się w nich, w ich duszach, łączących się w jedność. W nich mieszkała cała magia świata.

Julie zamknęła oczy, napawając się zadziwiającym ciepłem i radością. Czuła, że wreszcie znalazła to, czego jej zawsze brakowało, i co, jak wierzyła, było jej przeznaczone. I tak ma już być zawsze.

Nieważne, co się stanie dzisiaj albo jutro, albo za sto lat, przeżyła coś, co będzie jej największym skarbem, coś niespotykanego, magicznego, czego nigdy nie zapomni.

Julie Gaffney w końcu przeżyła tę jedną, jedyną noc miłości doskonałej.

9

Julie usiadła. Natychmiast uświadomiła sobie, że coś tu jest nie tak. Rozmasowała obolałe łokcie, zastanawiając się, jak udało jej się przespać całą noc na kamiennej podłodze. Po chwili zrozumiała, że czuje się nieswojo, ponieważ została na tej podłodze zupełnie sama.

- Lancelocie? - odezwała się cicho. - Lancelocie! - powtórzyła trochę głośniej.

W końcu się zjawił, kompletnie ubrany, z wilgotnymi włosami. Wyglądał niewiarygodnie świeżo, czysto i zachwycająco.

- Dzień dobry. - Skinął jej głową, sznurując tunikę.

Nagle poczuła onieśmienie i podciągnęła okrywającą ją suknię pod samą szyję.

- Dzień dobry. Gdzie się wybierasz?

- Muszę ćwiczyć, lady Julio. Śniadanie czeka na stole. Wróce tak szybko, jak tylko będę mógł. - Wydawał się trochę roztargniony, odpowiedział jej niedbale, oschłym tonem, który tak nie pasował do ciepła minionej nocy.

- Och... - Nic więcej nie potrafiła odpowiedzieć. Zaciskając kurczowo ręce na sukni, dodała po chwili. - Mam nadzieję, że ćwiczenia będą udane.

Patrzył na nią przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy.

- Dziękuję - odparł krótko. Już miał wyjść, ale się zatrzymał. - Ja... - zaczął. Urwał, jakby się namyślał, czy powinien w ogóle coś mówić, a potem odszedł.

- To dziwne - mruknęła pod nosem Julie. Chociaż Lancelot rozstał się z nią w tak nietypowy sposób, nie nękało jej to przykre uczucie „następnego ranka”, kiedy w okrutnym świetle dnia wydarzenia minionej nocy wcale nie wydają się takie romantyczne, a kochanek taki wspaniały. Julie była szczęśliwa, że w ogóle go zobaczyła, chociaż tak krótko to trwało, a ona siedziała naga na podłodze i przyciskała do siebie zmiętą szatę.

Wciągnęła suknię przez głowę, wstała i podeszła do stołu, gdzie leżał wielki wybór bułek i owoców. Wyglądało to jak przepiękna martwa natura i szkoda jej było niszczyć takie dzieło.

Jednak głód pokonał poczucie estetyki i Julie sięgnęła po bułkę, upieczoną z jakiejś niezwyklej mąki. Jedzenie w Camelocie w ogóle było niezwykle. Wszystko tu lepiej smakowało, bardziej wyraziście, i nawet najprostsze potrawy miały niezrównany smak.

Najwyklesza bułka. Chociaż wyglądała jak typowa bułka z piekarni, miała zupełnie inną konsystencję, a skórka była bardziej lśniąca i chrupka. Jej zapach był świeższy, mocny i zbożowy, a kiedy Julie zatopiła w niej zęby, pod chrupiącą skorupką wyczuła miąższ, jednocześnie puszysty i mięsisty. Spostrzegła garnuszek z wiejskim masłem i obficie posmarowała nim bułkę. Masło również smakowało inaczej. Nie wyobrażała sobie, że może być tak kremowe i świeże.

Sięgnęła po truskawkę wielkości pięści i wbiła w nią zęby. Sok pociekł jej po brodzie, lepki i wspaniały. Zapach owocu był jak eksplozja, wyrazisty, cukrowy, głęboki, kojarzył się trochę z ziemią, trochę z boskim nektarem.

W Camelocie śniadanie kontynentalne zostało podniesione do rangi sztuki.

Skończyła posiłek, rozkoszując się każdym połyskującym winogronem, każdym kęsem melona.

Potem przez chwilę siedziała nieruchomo za stołem z resztkami śniadania i spoglądała na komnatę, na kamienne ściany i ustawione wokół wielkie drewniane sprzęty. Wnętrze robiło olbrzymie wrażenie. Od razu było widać, że mieszka tu jakiś wyjątkowo męski średniowieczny rycerz. Mógłby to być też letni wiejski dom nad jeziorem Tahoe, należący do jakiegoś sławnego człowieka. Widywała takie w magazynach ilustrowanych, poświęconych architekturze. Jednak coś tutaj jej się nie podobało. Przygryzała paznokieć kciuka, zastanawiając się, czego w tym domu brakuje.

I nagle ją olśniło: brakowało kobiecej ręki! Wszędzie wokół widziała tylko ostre kanty i twarde powierzchnie. Uśmiechnęła się. Oto, czym się zajmie podczas nieobecności Lancelota! Poszuka tych wszystkich miłych drobiazgów, które uczynią to mieszkanie bardziej przytulnym, przyjaźniejszym i miłym, po prostu ładniejszym.

To zabawne, myślała, sprząając ze stołu. Nigdy nie czuła pociągu do zajęć domowych. Meble do mieszkania na Manhattanie kupiła w komplecie w salonie wystawienniczym, razem ze wszelkimi dodatkami, dywanem, a nawet popielniczkami. Po prostu wskazała palcem gotowe, zaaranżowane przez projektanta wnętrze na wystawie, podała sprzedawcy kartę kredytową i więcej nie zwracała sobie tym głowy.

Teraz jednak chciała zmienić te chłodne komnaty w prawdziwy dom. Sprawি Lancelotowi niespodziankę. Na pewno się ucieszy. A może, jak to mężczyzna, nic nie zauważy.

Z rękami na biodrach rozglądała się po komnacie. Kwiaty! Oto, czego potrzebowała. Wielkie wazony świeżo ściętych kwiatów. Ale najpierw odpowiednie tkaniny. Właśnie tak wyglądały eleganckie wnętrza w pismach ilustrowanych i katalogach: udrapowane metry pięknych tkanin.

Stół. Skinęła głową. Oczywiście, należało go przykryć jakimś obrusem. Ale skąd go wziąć?

Kierowana intuicją, poszła na górę, do sypialni Lancelota. Stała tam ogromna dwudrzwiowa szafa. Julie wahała się przez krótką chwilę.

Czy dobrze robiła? Przecież wcale nie kierowało nią wścibstwo. Chciała tylko sprawdzić, czy znajdzie tu odpowiedni kawałek materiału, to wszystko. Otworzyła drzwi szafy i zobaczyła co najmniej tuzin niebieskich tunik. Patrzyła na nie z uśmiechem. Każda była w nieco innym odcieniu i trochę różniły się krojem.

- Och, Lancelocie - westchnęła. - Powinieneś się wybrać na zakupy do domu towarowego braci Brooks.

Już miała zamknąć drzwi, ale spostrzegła, że kawałek materii wsunął się między zawiasy i unieruchomił je. Chciała go po prostu odsunąć, ale zawahała się. Czyżby to był kupon materiału?

Pociągnęła za wystający róg i z szafy wypadł jakiś duży pakunek.

- A to co... - zaczęła, ale zamilkła.

Wewnątrz, zawinięty w materiał, spoczywał miecz. Nie był to taki sobie, zwykły miecz, ale najwspanialszy, jaki w życiu widziała. Nawet sobie nie wyobrażała, że coś takiego może istnieć. Wydawało jej się, że bije od niego światłość. Zdobiły go brylanty, szafiry i szmaragdy.

Był niewiarygodnie ciężki. Mimo to, kiedy go ujęła, poczuła się cudownie. Miecz jednocześnie nieco ją przerażał, ale również dodawał olbrzymiej wiary w siebie.

- Och, nie! - powiedziała na głos. - Lancelocie, zapomniałeś miecza. - Nagle uśmiechnęła się. Najwidoczniej dzisiaj rano on również miał zamęt w głowie, dlatego wyszedł z domu, zapominając o takiej ważnej sprawie.

Czując się jak żona, która biegnie na stację kolejki za mężem, ponieważ ten zapomniał włożyć do teczki drugie śniadanie, ruszyła na poszukiwania Lancelota.

No bo czy mógł się ćwiczyć w rzemiośle rycerskim bez miecza?

Ginewra wolno splatała długie włosy, patrząc przed siebie, w pustą przestrzeń.

Co się dzieje z Arturem?

Może jest chory? Nie, nie. Powiedziała by jej, gdyby mu coś dolegało. Zaledwie dwa tygodnie temu pomogła mu złagodzić ból mięśni, nadwreżonych długą jazdą w siodle.

Może na któreś z granic dzieje się coś niepokojącego. Zawsze istniała groźba buntu czy powstania. Ale to również nie brzmiało prawdopodobnie. Kiedy nadchodziła wiadomość o niepokojach, wśród rycerzy nastawało wielkie poruszenie. I, prawdę mówiąc, jej Artur tak doskonale się sprawdzał jako król, że niepokoje wybuchały wyjątkowo rzadko i niewiele znaczyły.

Z westchnieniem wybrała wstążkę, jedwabną, szkarłatną. Artur bardzo lubił, kiedy wplatała wstążki we włosy.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała z roztargnieniem.

- Dzień dobry, wasza wysokość. - W drzwiach stanęła jedna z nowych służących, dziewczyna z północy królestwa. Miała świeże, zaróżowione policzki i piegi.

- Dzień dobry. - Królowa uśmiechnęła się. - Jak ci się podoba w Camelocie? Mam nadzieję, że nie doskwiera ci tęsknota za domem?

- Och, nie, pani! Jeszcze nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa! Wszystko tutaj jest cudowne, po prostu cudowne! - Dziewczyna zarumieniła się jeszcze bardziej i dygnęła. - Proszę mi wybaczyć, pani. O mało nie zapomniałam, z czym przychodzę do twojej komnaty. - Podeszła bliżej i wręczyła Ginewrze złożony kawałek pergaminu. - Znalazłam to przed drzwiami. Nie wiem, kto to zostawił, ale pomyślałam sobie, że to może być coś ważnego.

- Dziękuję. - Ginewra wzięła od służącej wiadomość. Potem dotknęła dłoni dziewczyny. - I bardzo się cieszę, że ci się tu, w Camelocie, podoba.

Służąca uśmiechnęła się. Królowa właśnie podbiła serce kolejnej poddanej. Dziewczyna powiedziała sobie w duchu, że lepszej królowej nie znalazłaby nigdzie pod słońcem.

- Dziękuję, wasza wysokość- odrzekła i wycofała się z komnaty.

Ginewra rozłożyła pergamin. „Spotkaj się ze mną pod naszym dębem przed południem”.

Uśmiechnęła się. Artur. Właśnie pod tym drzewem zalecał się do niej i ją zdobył. To miejsce zawsze uważali za zaczarowane. Tam zadziała magia drzewa, magia ich miłości. Nie wątpiła w to. Kochany Artur. Królowa zaczęła wesoło nucić pod nosem.

Kiedy tylko spotka męża pod ich magicznym drzewem, wszystko znów będzie w porządku. Była tego pewna.

.Lancelot nie potrafił wyrzucić z myśli nękającego go obrazu. Usiadł na ziemi, opierając się o pień starego drzewa, i zamyślił się. Nagle zdał sobie sprawę, że wcale nie chce odpychać od siebie tego obrazu.

Był to, oczywiście, wizerunek lady Julii, sposób, w jaki na niego tego ranka patrzyła, kiedy smugi światła słonecznego, wpadającego do komnaty przez grube szybki w oknach, wyginały się i załamywały, dotykając jej postaci, omywając jej skórę, otaczając włosy złocistą poświatą.

Złocista. To słowo najlepiej opisywało lady Julię. Złocista istota.

A jednak, mimo że wydawała się istotą nie z tego świata, była jednocześnie kobietą z krwi i kości, jak to od początku podejrzewał. Miniona noc to potwierdziła.

Lady Julia. Julia. Lancelot zamknął oczy i uśmiechnął się na wspomnienie tego, co ich połączyło.

Nie obchodziło go to, że Malvern spóźniał się na ich umówione ćwiczenia. To Malvern zaproponował ten dąb jako miejsce spot-

kania. Poprosił Lancelota, żeby mu coś doradził w sprawie broni, którą w tajemnicy wymyślił i zrobił. Tak więc Lancelot przyszedł na umówione spotkanie, w półpancerzu, i ułożył się pod starym dębem. Miał nadzieję, że Malvern wkrótce do niego dołączy, ponieważ w zbroi, nawet niekompletnej, było mu gorąco i niewygodnie.

Biedny Malvern. Lancelot czuł, że ma obowiązek pomóc temu nieudacznikowi nie pasującemu do reszty rycerstwa, całkowicie pozbawionemu przyjaciół. Może rzeczywiście udało mu się wymyślić jakąś cudowną broń? Chociaż to wydawało się nieprawdopodobne, taka możliwość przecież istniała.

Uśmiech zniknął z twarzy Lancelota, kiedy niemiły obraz Malverna zamajaczył w jego głowie. Rycerz zaczynał wierzyć, że Julia nie myliła się co do tej podejrzanej figury.

W głębi ducha zaczynał też dopuszczać możliwość, że Julia rzeczywiście przybyła do Camelotu z przyszłości. Jak to zrobiła, nie miał pojęcia. Dlaczego? Tego też nie wiedział. Ale na własne oczy widywał już czary, był świadkiem magicznych zaklęć Merlina.

Dlaczego więc tak trudno mu było uwierzyć w opowieść lady Julii?

Nagle zrozumiał dlaczego.

Lancelot po prostu nie chciał przyjąć do wiadomości, że zjawiała się z przyszłości. Wolałby raczej, żeby okazała się cierpiącą na chwilowe majaczenia młodą kobietą. Bo gdyby właśnie tak było, to nie wisiłaby nad nim groźba, że Julia nagle znów przeniesie się w swoje czasy.

Tak to właśnie wyglądało. Zwątpienie w jej słowa wynikało z lęku. I co dziwniejsze, gdy tylko uświadomił sobie, czego się naprawdę boi, strach trochę zelżał.

Lancelot widział wyraz twarzy Julii minionej nocy i tego ranka. Nie odeszłyby od niego z własnej woli. Co do tego nie miał wątpliwości.

Rycerz splótł ramiona na piersi i nadal nie otwierając oczu, czekał na Malverna.

Malvern odchrząknął cicho. Czekał na właściwy moment. Zbliżył się ostrożnie, z nadzieją, że zwróci uwagę króla, nie czyniąc zbędnego hałasu. Musiał nad tym jeszcze popracować. Powinien nauczyć się poruszać z gracją, po królewsku, jak przystoi jego nowej pozycji najbardziej zaufanego rycerza króla Artura.

Król nie zwrócił uwagi na jego przybycie.

Malvern jeszcze raz odchrząknął, tym razem trochę głośniej. Bardzo mu na tym zależało, żeby dzisiejsza rozmowa przeszła gładko. Zerknął przez ramię i upewnił się, czy rzeczywiście jest z władcą sam na sam. Nikt inny nie mógł usłyszeć tego, co miał za chwilę powiedzieć. Nie powinno być żadnych świadków, którzy w przyszłości mogliby mówić o tym, co tu zaszło, i obrócić to przeciwko Malvernowi.

W końcu Artur zwrócił się do rycerza, a ten niemal jęknął z zaskoczenia. Nigdy jeszcze nie widział tak nagle odmienionego człowieka! Król miał sine kręgi pod oczami, zmarszczki otaczały jego usta. Przede wszystkim jednak zmieniła się jego postawa. Nie stał już godnie wyprostowany, ale pochylał się lekko i zwieszał smętnie ramiona.

Jakiś nie znany mu dotąd lęk ogarnął Malverna. A co się stanie, jeśli król okaże się niezdolny do dalszego sprawowania rządów? Jeśli zniedołężnieje i inni rycerze będą zmuszeni zwrócić się o pomoc do najbardziej zaufanego z nich wszystkich?

Malvern wyprostował się dumnie. Najważniejsze było teraz znaleźć uznanie nie tylko w oczach króla Artura, ale również w oczach innych rycerzy. Musi to zrobić szybko. Sądząc po wyglądzie Artura, już wkrótce przestanie się nadawać na władcę Camelotu.

- Niestety, przynoszę złe nowiny, wasza wysokość.

Król spojrzał na niego tak smutnym, nieobecny wzrokiem, że Malvern z najwyższym trudem się opanował. To nie leżało w jego planach, przynajmniej nie od samego początku. Chciał tylko zniszczyć Lancelota.

Jednak fortuna najwyraźniej miała wobec niego, Malverna, wspanialsze plany. W takim razie czy miał prawo odwracać się plecami do szczęścia?

- Tak? - Król patrzył na niego wyczekująco. - Przynosisz jakieś wiadomości?

Rycerz skinął głową.

- Mam podstawy, żeby sądzić, że właśnie w tej chwili królowa podąża na spotkanie ze swoim kochankiem, Lancelotem. Umówili się pod starym dębem.

- Tym dębem, który rośnie na skraju sadu brzoskwiniowego?

- Tak.

- Ale to jest nasze drzewo. Nasze! - Wydawało się, że król mówi do siebie, oszołomiony i pełen niedowierzania.

- Teraz to jest ich drzewo, panie.

Artur potrząsnął głową, jakby chciał zmienić to, co usłyszał, jakby chciał cofnąć czas.

- Może powinniśmy się tam udać - przemówił Malvern słodkim głosem. - Warto by było sprawdzić wszystko osobiście.

- Nie. - Król w roztargnieniu otarł usta wierzchem dłoni. - Nie, nigdy. Nie mógłbym czegoś takiego oglądać. Nie chcę tam iść.

Malvern nie tracił spokoju. Nie mógł wpaść w panikę, nie teraz, kiedy wszystko, na co zasługiwał, leżało w zasięgu ręki.

- Panie, chodź ze mną...

- Nie.

Nie tego oczekiwał. Król zaczął tracić władzę umysłową aż nazbyt szybko, zanim Malvern miał okazję dowieść swojej wielkiej wartości.

- Może się myłę, panie. Jeśli tak jest, to nie musisz się martwić królową i Lancelotem. Ani trochę. Może się szczęśliwie okaże, że nastąpiła pomyłka.

- Nie zamierzam śledzić żony.

- Ależ panie, to takie brzydkie słowo, a tutaj przecież chodzi

wyłącznie o to, by dowiedzieć się prawdy. Może moje źródła się mylą i...

- Jakie źródła? Kto ci to wszystko powiedział, Malvernie?

- To nie ma znaczenia. - Rycerz uśmiechnął się niewyraźnie, przepraszająco.

- Powiedz mi!

Malvernowi udało się utrzymać uśmiech na twarzy.

- To ktoś, kto niedawno wstąpił na służbę do ciebie, panie. Jego imię nie ma większego znaczenia.

Artur wydawał się rozkojarzony, jakby nie był w stanie uporać się z nękającymi go myślami.

- Chodźmy. Sprawdźmy, co się dzieje pod naszym starym dębem.

- Idź przodem, panie. - Rycerz wyciągnął zachęcająco ramię, ustępując królowi.

Artur ruszył, nie zwracając na niego uwagi.

Lancelot pograżył się w półśnie. Słońce miło grzało mu twarz, myśli wypełniał obraz Julii.

- Lancelot?

Natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Królowo. - Skłonił się, pobrzękując zbroją. - Wybacz mi. Nie oczekiwałem cię tutaj.

Roześmiała się.

- Och, Lancelocie! To bardzo zabawny zbieg okoliczności. Widzisz, dostałam liścik od Artura, w którym prosił mnie, żebyśmy się tutaj spotkali, pod naszym drzewem.

Lancelot również wybuchnął śmiechem.

- Obawiam się, że wkrótce zrobi się tu dość tłoczno. Mam się tutaj spotkać z Malvernem, żeby wypróbować jakąś nową broń.

- Z Malvernem? Jestem tym trochę zdziwiona. Nie wiedziałam, że tak blisko się przyjaźnisz z tym księciem ciemności.

- Tak go nazywasz, pani? - Lancelot był tym wyraźnie rozbawiony.

- Między innymi. Przykro mi, ale po prostu nie ufam temu człowiekowi.

Lancelot spozjrzał na królową. Wyglądała pięknie, wiatr poruszał wstążki wplecione w jej włosy.

A mimo to myślał tylko o Julii.

- To bardzo interesujące, że masz takie odczucie, pani. Jesteś już drugą kobietą, która w przeciągu jednego dnia wyraża właśnie taką opinię.

- Niech zgadnę. Ta druga kobieta to zapewne lady Julia?

Lancelot poczuł, że się czerwieni, ale królowa uspokajająco położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jakże to cudownie, Lancelocie. Powiedz mi o niej coś więcej. Jestem dzisiaj w nastroju do słuchania romantycznych opowieści.

- Ja... nie wiem, od czego zacząć. - Roześmiał się. - Nie wiem, od czego zacząć, ponieważ nie potrafię do końca zrozumieć, jak to się właściwie stało. Moje życie wydawało się puste, aż nagle, w jednej chwili, cóż... Czuję, jak rozpiera mnie takie poczucie spełnienia, że mało nie wybuchnę. Nie rozumiem tylko dokładnie, na czym to spełnienie polega.

- Lancelocie. - Królowa przysunęła się bliżej. - Tak się cieszę z twojego szczęścia, tak bardzo się cieszę. Zasłużyłeś sobie na nie. Od razu widać, jak bardzo do siebie pasujecie. Julia to prawdziwa piękność, mój rycerzu. Ale nie tylko uroda jest jej zaletą. Widzę to w jej oczach, w postawie. Rzadko się zdarza ktoś taki jak ona i już się nie mogę doczekać, kiedy poznam ją bliżej.

Lancelot poczuł, jak coś mu się zaciska w gardle. To właśnie tego szukał- nie ideału kobiety, ale lady Julii. Teraz jego życie stało się pełne. Teraz mógł wreszcie być takim rycerzem, jakim zawsze chciał być, najszlachetniejszym, najbardziej oddanym królowi, królowej i swoim rodakom. A wszystko dlatego, że nie

był już sam, ale znalazł swoją Julię, przyjaciółkę i towarzyszkę na całe życie. Jak tylko wróci do domu, poprosi ją o rękę.

Do diabła z Malvernem! Ćwiczenia mogą zaczekać! Nowa broń niech się pokryje rdzą!

Teraz czuł się spełniony.

Ogarnęło go tak wielkie poczucie szczęścia, tak ogromne uniesienie i zachwyty nad światem, że pochylił się i ucałował dłoń Ginewry.

- Dziękuję ci, moja najukochańsza królowo - wyszeptał. - Mogę tylko...

Wtem rozległ się okropny, zwierzęcy ryk:

- Nie!

Pierwsze, co przyszło Lancelotowi do głowy, to to, że dzik chce zaatakować królową. Odruchowo, jednym skokiem, osłonił ją własnym ciałem przed domniemanym niebezpieczeństwem.

Nie miał przy sobie miecza, chronił go tylko napierśnik, rozglądał się więc gorączkowo za czymś, czym mógłby bronić Ginewry.

- Artur? - odezwała się królowa. - Artur!

Lancelot zamarł w bezruchu. Uświadomił sobie, że ten rozwścieczony dziki człowiek to jego król.

- Wasza wysokość! - Opadł na kolano i pochylił głowę.

- Ty! Jak mogłeś! Pod naszym drzewem! - wykrzykiwał Artur niezrozumiale.

- Co cię tak rozgniewało, ukochany? Przyszłam tutaj, żeby się z tobą spotkać, tak jak mnie o to prosiłeś! - Królowa wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia męża.

- Więc dlaczego zastałem was tu w objęciach?

- Nie obejmowaliśmy się, mój panie! Lancelot wyznał mi, że kocha lady Julię, to wszystko. A ty przysłałaś mi ten liścik. - Dotknęła małej sakiewki, wiszącej u jej talii, ale sakiewka okazała się pusta. - Zabawne. Wydawało mi się, że włożyłam list tutaj. W każdym razie, to ciebie miałam nadzieję tutaj spotkać.

Artur wziął głęboki oddech i spojrzał na Lancelota.

- Mój królu. - Rycerz uniósł głowę. - Królowa mówi prawdę.

I panie, czy wybrałbym się na schadzkę w półpancerzu?

Artur zamknął oczy.

- Sam nie wiem, jakie szaleństwo mnie ogarnęło. Dwoje ludzi, którym najbardziej ufam...

- Ja cię obronię, panie! - krzyknął Malvern.

Król, królowa i Lancelot zwrócili się ku krzyczącemu. Malvern, z paniką w oczach, wyjął miecz i wymierzył go w Lancelota.

- Malvern, przestań się wygłupiać - zganił go z westchnieniem Lancelot.

Malvern spojrział na pozostałą dwójkę i zobaczył, że oni również patrzą na niego nieufnie i z pogardą. Nie pozwoli, żeby coś takiego jeszcze raz się powtórzyło! Nigdy! To się musi skończyć!

- Panie, on kłamie! Zebrał armię i ruszy na ciebie, a wtedy królowa zostanie jego kochanką!

Wtedy Lancelot zrobił coś najgorszego pod słońcem, coś, co doprowadziło Malverna do ostatecznej wściekłości.

Zaczął się śmiać.

Śmiał się głębokim szczerym śmiechem z całej duszy. Królowa również lekko się uśmiechnęła. Artur spojrział na żonę i z rezygnacją potrząsnął głową. Potem on również zaczął się uśmiechać.

Właśnie w tej chwili Julie wyszła zza drzew i widząc wesołe twarze królowej i Lancelota, też uśmiechnęła się szeroko. Potem spojrzała na Artura. Miał trochę niepewną minę, ale najwyraźniej dobry nastrój już mu wracał.

Lancelot zobaczył Julie i jej pomachał. Wtem spostrzegł miecz, który ciągnęła za sobą.

- Excalibur? - wyszeptał.

Z gardła Malverna wydobyło się głucho warczenie. Rzucił się na Lancelota. Tylko jego widział i tylko jedno mu było w głowie. Zabić Lancelota. Zetrzeć ten kpiący uśmiech z jego urodziwej, zadowolonej twarzy.

Julie zauważyła jego atak i odruchowo wsunęła miecz między Lancelota a Malverna.

Wokół rozbłysło potężne, jasne światło, powietrzem wstrząsnął głuchy grzmot. Julie wyciągnęła rękę do Lancelota, oślepią błyskiem, ogłuszona hukiem.

Jakaś dłoń chwyciła jej rękę z wielką siłą. Julie zdążyła jeszcze tylko wykrzyknąć imię Lancelota.

10

Julie? - Czuła w ustach jakiś niedobry posmak, metaliczny i ciepły. - Julie? Zaraz przyjdzie tu ciocia Peg. Nic ci nie będzie.

- Nathan?

Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą chłopca w papierowej koronie i śliniaku. Coś tu się nie zgadzało.

- Jesteś taki mały! - zawołała.

- Wcale nie jestem mały. Mam już dziesięć lat.

Ostrożnie wsparła się na łokciu. Pod sobą zobaczyła niebieską wykładzinę, wokół zbroje ustawione na postumentach i mnóstwo małych chłopców w papierowych koronach i śliniakach. Podświetlony na czerwono napis „Wyjście” lśnił w końcu korytarza.

- Julie ^Dzięki Bogu. Jeden z chłopców powiedział, że coś ci się stało! - krzyknęła Peg, podbiegając do przyjaciółki. Otaczali ją inni chłopcy. Gapili się ciekawie na Julie albo popychali nawzajem. Nagle Peg znieruchomiała. - Co ty masz na sobie?

Julie zerknęła na swoją niebieską suknię. Wysunęła stopę spod jej skraju i ujrzała haftowane pantofelki.

- Ja... ja... - Nie potrafiła nic powiedzieć.

- Jesteś kochana. - Peg spojrzała na nią z rozczuleniem. - Przebrałaś się specjalnie dla Nathana, z okazji jego przyjęcia.

Naprawdę, Julie, jesteś absolutnie cudowna! Chodź, pomogę ci wstać.

Kiedy Peg pociągnęła ją w górę, Julie poczuła, że boli ją każdy mięsień ciała.

- Jak długo mnie nie było? - Czuła się jak mechaniczna zabawka, jakby zostawiła gdzieś wszystkie uczucia.

- Jakieś pięć minut. Nie straciłaś wiele. Zdażyli tylko podać nam kurczaka, a za chwilę zacznie się turniej. A tak na marginesie, ta suknia jest cudowna. Co to za materiał? Dziwny, ale doskonale pasuje do miecza.

- Excalibur - wyszeptała, unosząc miecz za rękojęść.

- Ojej! Ale fajny! Patrzcie tylko! - Nathan sięgnął po miecz, ale Julie go odsunęła.

- Ostrożnie. Jest... bardzo ostry.

To był jakiś koszmar. Ale w przeciwieństwie do innych koszmarów, z tego po przebudzeniu została jej niezła kreacja i ciekawy rekwizyt.

- Do licha, Julie - wyszeptała Peg. - Ten miecz wygląda zupełnie jak prawdziwy. Te kamienie tak błyszczą. Cały lśni, jakby był ze złota.

Julie mogła tylko potakująco skinąć głową. Miecz był tak samo ciężki jak w Camelocie, kiedy ciągnęła go z domu Lancelota pod stary dąb.

Wzięła głęboki oddech i starała się zrozumieć, co się właściwie stało. Suknia i miecz przedostały się razem z nią do teraźniejszości. To znaczy, że, być może, gdzieś w pobliżu jest również Lancelot. Pewnie jej szuka. A może nie zachował żadnego wspomnienia o lady Julii, o ich wspólnych chwilach.

- Julia?

Jego głos. To był głos Lancelota!

- Lancelot?

Odwróciła się, żeby stwierdzić, skąd dobiega głos. Wydobywał się ze zbroi na podwyższeniu.

Wręczyła miecz Peg i podeszła do zbroi.

Chłopcy zaczęli radośnie klaskać. Klienci restauracji, którzy zeszli na dół, żeby skorzystać z toalety, gromadzili się wokół nich.

- Hej, Ethel! - zawołał jakiś mężczyzna. - Zawołaj dzieciaki. Tutaj też jest jakieś przedstawienie!

Ramię zbroi poruszyło się. Była to ta sama zbroja, do której Julie podeszła, zanim wieki temu przeniosła się do Camelotu.

Pięć minut temu.

Bez wahania minęła chłopców i wspięła się na podwyższenie. Stanęła tuż obok zbroi.

- Julia? - Głos zza przyłbicy był nieco przytłumiony.

- To ja - odparła. Czuła, że ogarnia ją wielka radość. On był tutaj, przy niej!

- Pomóż mi!

Uniosła przyłbicę, żeby zobaczyć jego twarz, piękną twarz Lancelota. Głowę miał unieruchomioną przez konstrukcję zbroi, więc poruszał tylko oczami.

- Gdzie jesteśmy?

- W New Jersey, Lancelocie - uspokoiła go.

Na te słowa zgromadzeni ludzie zaczęli jeszcze głośniejsze klaskać.

W tej samej chwili Julie spostrzegła kątem oka jakiś ruch w końcu korytarza. Ktoś ukradkiem, pochylony, przemykał się ku wyjściu.

- Lancelocie, spójrz!

Nadal oszołomiony, popatrzył we wskazanym przez nią kierunku. Ciemnowłosa człowiek w czarnej tunice szybko mignął im przed oczami, ale oboje wiedzieli, kto to był.

- Malvern! - zawołał gniewnie Lancelot. Próbował się poruszyć, rzucić się w pościg, ale jego ruchy krępowała zbroja przytwierdzona do podwyższenia.

- Ja za nim pobiegnę - zaproponowała Julie.

- Nie, nie. On jest niebezpieczny - zaprotestował rycerz.

Nagle przez otaczających ich gapiów przecisnął się jakiś czło-

wiek z oficjalną miną, w żółtych rajstopach i z notatnikiem pod pachą. Przypięty do piersi identyfikator głosił: „Kierownik”.

- Co tu się, do jasnej cholery, dzieje? - zapytał ostro, ale widząc zaciekawione i trochę zaniepokojone twarze stojących wokół ludzi, uśmiechnął się i wycedził przez zaciśnięte zęby: - To znaczy, powiedz mi, piękna pani, co tutaj czynisz? Dlaczego igrasz z tą zbroją, wartą królewskiej fortuny?

- Była warta kilku monet. Trudno to nazwać królewską fortuną - odezwał się Lancelot z wnętrza swojego blaszanego więzienia.

- A kimże ty jesteś, szlachetny rycerzu? - Kierownik robił wszystko, co w jego mocy, żeby nie stracić panowania nad sobą. - Czy przybyłeś tu do nas, żeby wziąć udział w turnieju?

- Jestem Lancelot.

- Bzdura - mruknął pod nosem kierownik. Nagle twarz mu się nieco roz pogodziła. Dał znak Julie. - Zbliź się, piękna pani. Azali nie pomogłabyś nam udać się w inne miejsce?

- Dlaczego on tak dziwacznie mówi? - zaciekał się Lancelot.

Julie nie odpowiedziała, tylko przyjrzała mu się z zastanowieniem. Coś ją zaniepokoiło.

- Czy pod tą zbroją masz jeszcze jakieś ubranie?

- O, cholera - jęknął kierownik.

Lancelot próbował zerknąć w dół.

- Nie jestem pewien. Ale chyba mam coś na sobie.

Kilka kobiet w grupie gapiów wyciągnęło szyje z zacieka-wieniem, niektóre zaczęły szukać w torebkach aparatów foto-graficznych.

Julie obejrzała zbroję ze wszystkich stron.

- Zaczekaj, pomogę ci.

Nie zwracając uwagi na kierownika, zaczęła ostrożnie roz-wiązywać rzemienie, którymi przymocowano do siebie fragmenty zbroi. Gdziejegdzie używano kleju, a kilka fragmentów po-wiązano ze sobą sznurkiem.

Najpierw udało jej się zdjąć Lancelotowi hełm. Otaczające ich kobiety, włącznie z Peg, jęknęły z zachwytu.

- Ale przystojniak! - krzyknęła jedna z nich. - Marvin, daj mi pięć dolarów!

- Ethel, to nie jest męski striptiz! Nie dostaniesz żadnych pieniędzy - warknął Marvin.

Wokół zebrało się już dwa razy więcej ludzi. Grupki gapiów ustawiały się na schodach. Kilkanaście kobiet, które przyjechały autokarem wycieczkowym, przepychało się łokciami na przód zgromadzenia.

Julie nadal pracowała. Udało jej się usunąć osłony na nogi i ramiona, a wreszcie osłonę na plecy i napierśnik.

Lancelot, w swojej niebieskiej tunice i wysokich do połowy uda butach, stanął swobodnie na podwyższeniu. Wyglądał imponująco, z kruczoczarnymi włosami do ramion i potężnymi mięśniami, wyraźnie rysującymi się pod ubraniem. Zerwał się dziki aplauz, rozległo się kilka entuzjastycznych gwizdów, kiedy pomógł Julie zejść z podium z imitacji marmuru.

Wziął miecz od Peg, która stała obok z otwartymi ustami i zdziwiona obserwowała całą scenę.

- Dziękuję - rzekł Lancelot z uśmiechem. Peg w odpowiedzi była w stanie jedynie kokieteryjnie przyglądać niesforny kosmyk włosów.

Lancelot podszedł do kierownika, pod drodze zatrzymując się na chwilę ze zdziwienia na widok gromady chłopców w papierowych koronach i śliniakach. Chłopcy gapili się na niego, nagle onieśmieleni. Po chwili rozstąpili się z szacunkiem. Lancelot ukłonił się lekko kierownikowi.

- Czy mogę porozmawiać z twoim królem? - zapytał.

Mężczyzna spojrział na niego ze złością.

- Tak. Pójdź za mną do mojej kwatery, a tam rozmówimy się z nim przez mój rycerski telefon.

Kierownik poszedł przodem, a Lancelot zwrócił się do Julie:

- Dlaczego on tak dziwacznie mówi? - zapytał jeszcze raz.

Peg chwyciła przyjaciółkę za ramię.

- Wspaniale się oboje spisaliście. Dzieciaki są zachwycone, Nathan miał wspaniałe urodziny. Ale mam okropne przeczucie, że „król” tego kierownika może się tu zjawić w białym samochodzie na sygnale. Może powinniśmy się stąd ewakuować tylnym wyjściem?

- Czy wszyscy chłopcy tu są? - zapytała Julie.

- Wszyscy obecni i przeliczeni - potwierdziła Peg.

- Ale jeszcze nic nie zjedli. I występy dopiero się zaczęły.

- Julie, takiego występu, jaki wy im tu daliście, w najśmielszych snach się nie spodziewali. Zatrzymamy się w McDonaldzie i zamówimy zestaw dla dzieci. Wierz mi, chłopcy są w siódmym niebie.

Julie spojrzała na chłopców, otaczających ciasnym kręgiem Lancelota, który patrzył na nią pytającym wzrokiem. Widać było, że nie pojmuje, co się wokół niego dzieje.

Peg potrząsnęła kluczykami od samochodu.

- Hej, koledzy. Jedziemy teraz do królestwa hamburgerów. Kto ostatni wsiądzie do samochodu, będzie się musiał podzielić swoimi frytkami z innymi.

Słyszac to, dzieci pobiegły na parking, ciągnąc ze sobą Lancelota. Julie i Peg ruszyły tuż za nimi.

- Julie, dlaczego nic mi o nim nie powiedziałaś? - zapytała szeptem Peg. - Jest niesamowity! Zgodził się przyjść na przyjęcie Nathana przebrany za rycerza! Jak ja ci się odwdzięczę?

Julie uśmiechnęła się i podbiegła do Lancelota. Odciągnęła jakiegoś dziewięciolatka, który nie odstępował go na krok, i wsunęła mu rękę pod ramię.

- Wszystko w porządku?

- Gdzie jesteśmy? - Weszli właśnie na parking i Lancelot patrzył zdziwiony na ciągnące się niemal bez końca rzędy samochodów i mikrobusów. - Co to jest?

- Niczym się nie przejmuj. To są samochody. Używamy ich, żeby się przemieszczać z miejsca na miejsce.

Spojrzał na nią i widać było, że niewiele z tego rozumie.

- Samochody? - Nagle zatrzymał się. - Malvern. Musimy go odnaleźć.

- Wiem. Jesteśmy przy drodze wylotowej. Nigdy nas nie znajdzie. Zgubi się tutaj. Poza tym, jestem pewna, że zechce spróbować jakichś swoich kolejnych sztuczek i aresztuje go policja.

- Aresztują go? To znaczy zatrzymają?

- Właśnie. Wydaje mi się, że możemy o nim zapomnieć.

- Nie, nie możemy. To byłby błąd, lady Julio. Tutaj będzie równie groźny i podstępny jak był w... - Patrzył na otoczenie, autostradę, samochody. - Gdzie my jesteśmy?

- W New Jersey. Pamiętasz? Przeniosłeś się wraz ze mną w moje czasy. Wszyscy byliśmy pod drzewem, kiedy to się stało. Pamiętasz?

Skinął tylko głową. Tyle powinna mu powiedzieć, tylu rzeczy nie wiedział.

- Stąd właśnie pochodzę, Lancelocie. Chciałeś, żebym ci coś o tym miejscu opowiedziała, więc zdecydowałam, że jeszcze lepiej będzie, jeśli zobaczysz je na własne oczy.

W oddali, głośno trąbiąc, przejechała osiemnastokołowa dieslowa ciężarówka, przemykały samochody, wabiły kolorami wielkie tablice, reklamujące whisky i tanie loty do Las Vegas. Nad głową przeleciał odrzutowiec, a Lancelot pochylił się gwałtownie, w obronnym geście osłaniając Julie ramieniem. Potem, zawstydzony, odwrócił się do niej. Nadal unosił jedną rękę, a w drugiej trzymał Excalibur.

- Wystarczyłaby rozmowa - wymamrotał.

- Hmm?

- Wystarczyłoby, gdybyś mi o tym miejscu po prostu opowiedziała. Być może bym ci nie uwierzył, ale opowieść wystarczyłaby mi w zupełności. - Znow się zatrzymał. - Musimy zwrócić miecz. Artur nie może bez niego władać. Musimy go zwrócić.

- Przede wszystkim, musimy się rozeznać w sytuacji, dobrze. Najpierw postarajmy się jakoś przetrwać najbliższe kilkanaście minut, a potem się zastanowimy. - Ciągnęła go do samochodu, ale Lancelot się opierał.

- Co to za woń w powietrzu?

Pociągnęła nosem.

- To po prostu zwykłe powietrze. Cały czas ma właśnie taki zapach.

Skinął tylko głową, chłonąc oczami otaczające go widoki.

W końcu dotarli do mikrobusu. Chłopcy pierwsi weszli do środka.

- Peg... - zaczęła Julie. - Niechętnie cię o to proszę, ale czy mogłabyś poprowadzić? Ja jestem trochę roztrzęsiona.

- Cholera. Jeśli teraz jesteś trochę roztrzęsiona, to po przejeździe ze mną będziesz się trzęsła jak galareta.

- Peg, mówię poważnie. Nie jestem w stanie prowadzić.

Peg spojrzała na samochód.

- Sama nie wiem. No, spróbuję. Ale tylko jeśli ty dopilnujesz, żeby chłopcy byli cicho.

- Dobrze, zrobię to. Przyrzekam.

Peg niechętnie wsunęła się na siedzenie kierowcy i zaczęła ustawiać lusterko wsteczne i kierownicę.

Lancelot stał bez ruchu, dopóki Julie nie usadziła go na siedzeniu obok kierowcy i nie zapięła mu pasów. Sama usiadła z tyłu, razem z dziećmi. Wyjechali z parkingu dokładnie w chwili, kiedy wjeżdżał tam radiowóz policyjny z migającymi światłami.

- Przyzwyczaisz się do tego - wyszeptwała.

Peg wzięła te słowa do siebie i uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję.

Lancelot ostrożnie dotknął pasów, starając się odciągnąć je od ciała.

Znaleźli się na autostradzie, wymijali inne samochody, zmieniali pasy. Chłopcy podrzucali papierowe korony i śpiewali. Peg włączyła radio, nastawione na stację z muzyką rockową. Z głośników

stereo tuż obok Lancelota wydobył się głos Bruce'a Springsteena. Rycerz drgnął niespokojnie. Jedną ręką trzymał się fotela, drugą zacisnął na pasie bezpieczeństwa. Twarz mu poszarzała.

- Przyzwyczajasz się do tego, naprawdę! - krzyknęła Julie i położyła mu rękę na ramieniu.

- Pytanie brzmi... - zaczął stłumionym głosem. Przełknął ślinę i dokończył: - Pytanie brzmi, czy chcę się do tego przyzwyczajać.

Z ponurą miną odwrócił się i spojrzął na Julie. Właśnie wtedy po raz pierwszy zauważyła drobne zmarszczki wokół jego oczu i kilka bruzd przy ustach. Wyglądał na zmęczonego, przegranego człowieka.

Uśmiechnęła się, ale był to wymuszony uśmiech, pozbawiony prawdziwej radości. Sądząc z pierwszej reakcji Lancelota, z wielkim trudem przyjdzie mu się przystosować do zmienionych warunków życia. Nagle zdała sobie sprawę z czegoś jeszcze, czegoś o wiele ważniejszego i zaskakującego.

Poza granicami Camelotu nie był już doskonały.

11

Kolacja w McDonalddie z Lancelotem z Jeziora nie była najbardziej udaną imprezą towarzyską sezonu.

Może gdyby chłopcy nie byli nim tak zafascynowali i dali mu kilka chwili spokoju na zebranie myśli, zamiana z rycerza Okragłego Stołu w faceta, który przynosi zamówione zestawy do stolika rozwrzeszczanych dzieciaków, przebiegłaby łagodniej i łatwiej. Może gdyby cały czas nie martwił się o Excalibura, zostawionego w mikrobusie, na parkingu McDonalda, szybciej odzyskałby równowagę ducha.

Było jednak inaczej, więc Lancelot miał coraz bardziej zagubioną minę, kiedy chłopcy bombardowali go pytaniami. Dzieciom wcale nie wydawało się dziwne, że rycerz Lancelot je z nimi Big Maca w restauracji przy szosie do New Jersey.

- Z tym jedzeniem jest coś nie tak- wyszeptał Lancelot do ucha Julie. Powiedział to ostrożnie i z wahaniem, jakby musiał się zbierać na odwagę, żeby zakwestionować jakikolwiek aspekt otaczającej go nieznanej rzeczywistości. -1 za to - podniósł ze stołu pomarańczowe opakowanie z zaschniętymi resztkami roztopionego sera- za to musicie dawać monety, bite w tym królestwie?

Peg przysłuchiwała się ich rozmowie z rozbawieniem.

- Właśnie. Pomyśleć tylko. Nathan, wyjmij słomkę z nosa. Dziękuję bardzo.

Lancelot potrząsnął głową i odłożył resztę hamburgera, patrząc nań badawczo, jakby się obawiał, że bułka z mięsem nagle odezwie się ludzkim głosem i zaprotestuje.

- Powiedz mi - zagadnęła go Peg, sącząc kawę. - Jak się naprawdę nazywasz?

Julia zerknęła na Lancelota, który miał taką minę, jakby nareszcie się znalazł na pewnym gruncie.

- Moje pełne imię brzmi Lancelot z Jeziora - oznajmił śmiało.

Peg znieruchomiała, potem rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Jasne. Możemy dalej udawać, jeśli chcesz. Lancelot z Jeziora, tak? Jesteś spokrewniony z tymi z Jeziora, którzy mieszkają na Long Island?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Nie. Nic mi o tym nie wiadomo.

- Peg. - Julie zebrała papiery i serwetki ze stołu. - Naprawdę musimy już jechać...

Przyjaciółka nie zwróciła na nią uwagi.

- A więc, Lance... Pozwolisz, że będę cię tak nazywała, prawda, Lance?

- Ależ oczywiście - zgodził się szarmancko.

- Więc, Lance, co robisz w Camelocie?

- Co robię?

- No, tak. Masz jakiś zawód, gdzieś pracujesz? - Schrupała jedną frytkę.

- Cóż, pomagam królowi utrzymać pokój i zgodę w królestwie.

- Oczywiście, oczywiście. Mówiąc król, masz pewnie na myśli króla Artura?

- Tak.

- Aha. Tak między nami, Lance, jak to się stało, że zszedłeś na złą drogę?

Julie przestała ustawiać na tacy do połowy opróżnione kubki z colą, a Lancelot tylko przechylił głowę w bok, jakby nie dosłyszał pytania.

- Co to ma znaczyć, że „zszedł na złą drogę”? - zapytała Julie, starając się, żeby jej głos brzmiał tak spokojnie, jak to tylko możliwe.

- No, wiesz, mówię o tym wszystkim, co się tam wydarzyło - tłumaczyła jej pogodnie przyjaciółka, jednocześnie rozdając dzieciom serwetki.

Lancelot poruszył się niespokojnie na plastikowym krześle. Julie położyła dłoń na jego ramieniu.

- A co się tam niby wydarzyło?

Peg roześmiała się.

- Nieźli z was aktorzy! Powinniście się produkować w teatrze! Nathan! Lancelot chce wiedzieć, co takiego złego zrobił w Camelocie. Zdaje się, że udało nam się porwać z Camelotu naszego dzielnego rycerza, zanim jeszcze zdradził króla Artura.

- Co takiego?- zagrmiał Lancelot, a w jasno oświetlonej restauracji zapadła cisza. Klienci niosący tace znieruchomieli w pół kroku i spoglądali z niekłamaną troską na potężnie zbudowanego mężczyznę w niebieskiej tunice, który nagle wpadł w gniew.

- Ciii! - uspokajała go Julia. - W takich miejscach nie należy krzyczeć.

Wybuch gniewu rycerza w najmniejszym stopniu nie wystraszył Nathana.

- Lancelot z Jeziora to upadły rycerz Okrągłego Stołu - wyjaśniał chłopiec, jakby recytował zadaną lekcję. - Z początku był ulubieńcem króla Artura. Ale w końcu okazał się... no... po prostu złym człowiekiem.

- Nie - przerwała mu Julie. - To nieprawda. Ta cała sprawa z Ginewrą nigdy nie miała miejsca. Nie było między nimi romansu, absolutnie nic się nie wydarzyło, więc Lancelot nikogo nie zdradził.

- Jaka sprawa z Ginewrą? O czym ty, u diabła, mówisz? - dopytywała się Peg.

- No, wiesz. O tym fatalnym trójkącie.

Kompletnie zdezorientowana Peg wzruszyła ramionami, a Julie mówiła dalej, z większym naciskiem, jakby pewniejszy głos mógł pomóc jej wyjaśnić całą sytuację.

- Chodzi o ten trójkąt miłosny: Artur, Ginewra, Lancelot. Właśnie to miało zniszczyć Camelot, ale ja wszystko zmieniłam...

Lancelot spoglądał na nią przenikliwie swoimi niebieskimi oczami.

- Widzisz- ciągnęła Julie-jedna z wersji legendy mówi, że Lancelot i Ginewra zakochali się w sobie i całe królestwo się rozpadło. Na koniec biedna Ginewra wstępuje do klasztoru, a Lancelot zostaje mnichem.

- Mnichem! - wykrzyknął rycerz. - Możesz sobie wyobrazić mnie jako mnicha?

W restauracji znów zapadła cisza.

- Co tu się dzieje? - Peg nie była już rozbawiona ich rozmową. - Dzieci zaczynają się was bać. Prawdę mówiąc, ja sama jestem trochę przerażona.

- Proszę, Lancelocie. Później o tym porozmawiamy. Nathan! - zwróciła się do siostrzeńca Peg. - Mógłbyś mi opowiedzieć coś więcej o Lancelocie?

- Jasne. - Zanim zaczął, spojrzał czujnie na Lancelota. - Lancelot ukradł królowi Arturowi miecz Excalibur.

- Nie zrobiłem tego! - Twarz Lancelota z oburzenia pokryła się czerwonymi plamami. Widać było, że potrzebuje całej siły woli, żeby nad sobą zapanować. Wziął głęboki oddech i przemówił do chłopca spokojnym, miłym głosem: - Co się jeszcze wydarzyło?

- Więc najpierw Lancelot zakochał się głupio w Ginewrze, ale ona tak naprawdę nigdy go nie kochała. Przynajmniej nie tak, jak on by chciał. I właśnie wtedy pojawia się wiedźma. Lancelot miał

takiego fioła na punkcie Ginewry, że ta wiedźma postanowiła trochę namieszać.

- Wiedźma? - zdziwiła się Julie. - Nie słyszałam nic o żadnej wiedźmie.

- Mów o tych fajniejszych rzeczach - ponagli Nathana koledzy.

Chłopiec zaczął na wilgotnych, oblepionych solą palcach wyliczać przewinienia Lancelota.

- Przede wszystkim ukradł Excalibura. Uciekł z nim z królestwa. Jedni mówią, że sprzedał go nieprzyjaciołom Artura, żeby mieć za co wrócić do Francji. Inni twierdzą, że próbował zebrać armię i pokonać Artura, bo chciał sam rządzić w Camelocie. Kręciła się przy nim ta zła kobieta, czarownica, nazywana Wiedźmą z Camelotu. Była strasznie brzydka i cała pomarszczona, bo miała chyba z tysiąc lat. Z czubka nosa wyrastały jej włosy. Ale rzuciła na wszystkich urok, zwłaszcza na Lancelota, więc myślał, że jest piękna. Wszyscy inni też tak myśleli, ale nocą wiedźma znów stawała się brzydka. Kiedy zmieniała się w piękną kobietę, nazywała się lady Julia. Ale ty, Julie, na pewno to wiesz, bo przecież jesteś za nią przebrana.

- Szkoda, że się nie przebrała za wiedźmę - odezwał się jeden z chłopców. - To byłoby fajniejsze.

- Eee! Wiesz, jakie są dziewczyny - odparł Nathan. - Zawsze chcą się przebierać za piękne królowy. W każdym razie Artur już nigdy nie doszedł do siebie po tej zdradzie. A bez Excalibura, no... Wszyscy wiemy, co się potem stało.

Wstrząśnięta Julie zastygła w bezruchu. Ludzie myślą, że Lancelot ukradł miecz. A co innego mogli pomyśleć? Że Lancelot zrobił sobie krótką wycieczkę do New Jersey, zanim sprawy się wyjaśnią i naprawi sytuację?

I czy ona była tą wiedźmą?

- Czy Lancelota kiedykolwiek odnaleziono? - wyszeptęła ochryple Julie.

- Niece. W dodatku zabił dzielnego Malverna. No, nie zrobił tego sam. Ktoś mu pomagał. Tak naprawdę, wszystko to obmyśliła Wiedźma z Camelotu. Zdaje się, że rzuciła na niego jakiś czar, czy coś w tym rodzaju.

- Tak! - wtrącił się chłopiec z keczupem rozmazanym na policzku. - Tak jak w *Fatalnym zauroczeniu*.

- Mama pozwoliła ci to obejrzeć? - zdziwił się inny.

- No, niezupełnie. Ale widziałem reklamówkę. No, Nathan. Opowiedz wszystko do końca.

Chłopiec właśnie zaczynał się rozkręcać, więc ciągnął rozprawę dalej, z zacięciem naukowca, ale Lancelot wpadł mu w-słowo.

- Ja... - zaczął. - Ja... nigdy... - Nagle urwał i wpatrzył się w Julie. Miał zupełnie zagubioną minę, oczy szeroko otwarte, ale nic nie widzące, usta lekko rozchylone, jakby chciał wszystkiemu zaprzeczyć. Jednak same słowa nie mogły nic pomóc na to, co przed chwilą usłyszał.

Spojrzał na Nathana i jego kolegów, którzy wpatrywali się w niego uważnie, a na ich piegowatych buziach widać było powątpiewanie.

Znów zwrócił się ku Julie.

- Ja... - Jego głos brzmiał głucho i chrypliwie. - Mój Boże, mój Boże - wyszeptał cicho, niemal modlitewnym tonem. Potem jego masywne ramiona opadły z rezygnacją. Potrząsnął lekko głową, jakby chciał zaprzeczyć całemu światu.

- Lancelocie, zabiorę cię do domu - powiedziała cicho Julie. - Przez krótką chwilę w jego oczach rozbłysła isierka nadziei. - Nie, nie - szybko wyprowadziła go z błędu. - Nie do twojego domu, tylko do mojego, w mieście.

- W mieście? - powtórzył mechanicznie.

Już chciała coś powiedzieć, ale tylko skinęła głową.

Peg wstała.

- No to jak, dzieciaki? Wracamy do domu?

Słyszając to, chłopcy wrzasnęli radośnie. W przeciwieństwie do dorosłych, natychmiast zapomnieli o napięciu i wątpliwościach minionych chwil. Peg zwróciła się do Lancelota i Julie:

- Podwieźć was? Na waszym miejscu skorzystałabym z okazji. Od czasów szkoły średniej nie prowadziłam samochodu po drodze szybkiego ruchu na Long Island.

- Mogłabyś to zrobić? Przepraszam, że każę ci prowadzić - sumitowała się Julie. - Chciałabym tylko jak najszybciej zawieźć... eee... Lance'a do domu.

Peg skinęła głową a Julie ujęła Lancelota za ramię. Nie zareagował. Razem poszli do mikrobusu.

Podczas jazdy do Nowego Jorku wszyscy dorośli byli milczący i zamyśleni.

Oczy Lancelota nie rozszerzały się ze zdumienia na widok nocnej panoramy Manhattanu. Nie wydawał pełnych zachwytu okrzyków, widząc jasne światła i tłumy ludzi, spieszące gdzieś idących, spacerujących lub po prostu stojących na ulicach i chodnikach. Nie odwrócił nawet głowy, kiedy przejeżdżali przez kipiący życiem sobotniego wieczora Broadway, migoczący neonami, kolorowy i jarmarczny. Patrzył prosto przed siebie, jakby wypatrywał jakiegoś miejsca w oddali, czegoś lepszego lub bardziej znajomego.

Kiedy dotarli do mieszkania Julie i obie przyjaciółki wyszły z samochodu, Lancelot pozostał na swoim miejscu.

- Julie, on jest niesamowity. Naprawdę. - Peg spojrzała z troską na siedzenie obok kierowcy, gdzie uparcie tkwił Lancelot. - Widać, że macie jakieś problemy, ale jestem pewna, że dacie sobie z nimi radę.

Ton jej głosu świadczył dobitnie, że wcale nie jest o tym przekonana.

- Sama nie wiem, Peg. To poważniejszy przypadek niż facet,

który nie może zapomnieć poprzedniej dziewczyny albo ma nadopiekuńcza matkę.

Peg skinęła głową.

- Nie pochodzi stąd, prawda?

- Nie.

- Ma jakąś pracę?

- Nie. Do niedawna miał, ale można by powiedzieć, że w jego firmie nastąpiła restrukturalizacja.

- Biedaczysko. Zwolnienie z pracy zawsze fatalnie działa na psychikę mężczyzny. Tracą wtedy identyfikację z grupą i tak dalej. Nie wiedzą, kim naprawdę są, bo na ogół określają się przez pracę.

Julie spojrzała na przyjaciółkę z uśmiechem.

- Wiesz, Peg, masz absolutną rację. Zwłaszcza w tym przypadku.

- Czy będzie mógł znaleźć podobne zajęcie tutaj, w Nowym Jorku?

- Nie jestem tego pewna. Wspecjalizował się w dość wąskiej dziedzinie.

- Cóż, jeśli tylko taka praca w ogóle istnieje, to na pewno w Nowym Jorku da się coś takiego znaleźć. - Peg przyjrzała się uważnie przyjaciółce. - Jeśli będziesz chciała porozmawiać, zadzwoń do mnie.

Peg często tak mówiła, a Julie wiedziała, że jest to szczerą propozycją.

- Trzymam cię za słowo - odparła.

Chłopcy w mikrobusie ucichli, niektórzy nawet zapadli w sen. Nathan przeglądał komiks o Camelocie, od czasu do czasu zerkając na Lancelota. Porównywał obrazki z książki z autentykiem na przednim siedzeniu samochodu.

Zauważył niezwykle podobieństwo. Wszystko się zgadzało, włącznie z niebieską tuniką i czarnymi włosami. Tylko Lancelot z komiksu miał krzaczaste, łukowato wygięte brwi, które nadawały jego twarzy zły wyraz, a ten w samochodzie wydawał się miły

i dobrze patrzyło mu z oczu, chociaż w tej chwili bardzo posmutniał. Chłopiec przerzucał strony, oglądając inne postacie z komiksu. Potem spojrzął na Julie.

- Nie ma żadnej wątpliwości - powiedział do siebie, w nadziei, że ktoś się zainteresuje i zapyta go, o co mu chodzi. Nikt się jednak nie odezwał.

Peg zerknęła na zegarek.

- Muszę rozwieźć dzieci do domów. Jeszcze raz dziękuję, Julie. To było... fascynujące. Jestem pewna, że tych urodzin Nathan nigdy nie zapomni.

- Ani ja - wyznała Julie.

Otworzyła drzwi do samochodu, ale Lancelot się nie poruszył.

- Jesteśmy na miejscu. - Wolno odpięła mu pas bezpieczeństwa, a on automatycznie, jak mechaniczna zabawka, wysunął się z mikrobusu. Stał na krawężniku. Jego twarz nic nie wyrażała.

Nagle odwrócił się do Peg.

- Dziękuję, Peg. Mam nadzieję, że młody Nathan miło spędził czas.

Peg i Julie zdumiały się, słysząc te nieoczekiwane słowa.

- Nie ma za co - wyjąkała Peg. - Dziękuję, że zadałeś sobie tyle trudu i przyszedłeś na przyjęcie dla dzieci. Pewnie nie robisz tego często w swoim normalnym życiu.

Lancelot uśmiechnął się, co było jeszcze bardziej niespodziewane niż nagle odzyskana zdolność mówienia. Jego twarz wyglądała olśniewająco, nawet w słabym świetle ulicznej latarni. Uśmiech nie wyrażał szczerzej radości, ale jedynie Julie była tego świadoma. Widziała przecież jego prawdziwy uśmiech, który dodawał blasku oczom i wypełniał twarz ciepłem. To była tylko imitacja, towar zastępczy.

- Moje normalne życie? - powtórzył słowa Peg. Spojrzął na Julie, znów absolutnie czarujący, nierealny mężczyzna z innego świata. - Moje normalne życie. - Te słowa najwyraźniej sprawiały mu przyjemność. - Tak, lady Peg. Moje normalne życie wygląda

inaczej, całkiem inaczej, i wkrótce do niego powrócę. Taką mam nadzieję.

Peg zaważała się, jakby się zastanawiała, czy zostawić Julie samą z tym dziwnym indywiduum. Jeden z chłopców krzyknął, że musi być w domu przed ósmą, bo jego babcia przyjeżdża z Queens.

- Z Queens? Czyli od królowej? - Lancelot zamrugał.

- Nie, nie. Później ci wytłumaczę. - Julie popchnęła go ku drzwiom. - Jeszcze raz dziękuję, Peg! - zawołała przez ramię.

Peg patrzyła na oddalającą się parę. Portier otworzył przed nimi drzwi frontowe.

- Nie ma za co - wymamrotała, wracając do samochodu.

Nathan wskoczył na fotel obok niej.

- Ciociu Peg, spójrz tylko na ten komiks. Czy ten facet nie wygląda trochę jak Lancelot? No, ten znajomy Julie.

Peg zerknęła przelotnie na książkę. Już miała włożyć kluczyk do stacyjki, ale znieruchomiała.

- Poczekaj chwilę. Daj, niech no zobaczę.

Ułożyła sobie na kolanach wielkie tomisko i wpatrzyła się w rysunek. Była to książka, którą kupiła dla siostrzeńca w jednej z tych księgarni na dolnym Manhattanie, które Julie zawsze określała jako „niesamowite”.

Nathan miał rację. Postać w książce rzeczywiście wyglądała dokładnie tak samo jak przyjaciel Julie, facet, który nie chciał jej podać swojego prawdziwego imienia.

Przebiegł ją zimny dreszcz. Przez krótką chwilę czuła się tak, jakby przez nieuwagę dotknęła nagiego przewodu elektrycznego. Potem, równie szybko, to dziwne uczucie minęło. Miała ochotę roześmiać się głośno i pobiec za Julie i jej znajomym, żeby im o tym opowiedzieć.

- Nathan - przemówiła tonem rozsądnej, mądrej ciotki. - Jestem pewna, że przyjaciel Julie po prostu ubrał się tak, żeby wyglądać jak Lancelot z tego komiksu. Pamiętasz, jak w zeszłym roku na Halloween Jeff przebrał się za Freddy'ego Krugera? Teraz było

podobnie. To robi wrażenie, ale wszystko polega na odpowiednim stroju i odegraniu swojej roli.

- Naprawdę? - odparł Nathan z powątpiewaniem. - W takim razie, kto to jest?

Nadal się uśmiechając, Peg spojrzała na niewielką postać na lewo od Lancelota.

Był to giermek, ze zdziwioną miną, w niebieskiej koronie i śliniaku z niewyraźnym, zamazanym napisem „Wielki śliniak”. Choć postać stała w tle, Peg wyraźnie widziała twarz giermka. Bez najmniejszej wątpliwości rozpoznała jej rysy.

To była Julie.

Z ust Peg wymknęło się przekleństwo.

- Ciociu Peg! Mama mówi, że nie wolno ci używać przy mnie takich słów!

- Wiem, Nathan - odrzekła tak spokojnie, jak tylko umiała. Starą się skupić na prowadzeniu samochodu i opanować drżenie rąk i nóg. - Ale czasami tylko takie słowo pasuje do sytuacji.

- Akurat. No, ale spójrz na ten obrazek. To jest Wiedźma z Camelotu, kiedy przybiera postać lady Julii. Widzisz? Ma na sobie dokładnie taką samą sukienkę. No i przyjrzyj się jej twarzy.

Na widok następnego rysunku z ust Peg jeszcze raz wyrwało się to samo słowo.

Najwyraźniej ucieszyło to Nathana i kilku jego kolegów, którzy jeszcze nie spali. Wszyscy uśmiechali się szeroko.

A Peg w myślach powtarzała to słowo przez całą drogę na Long Island.

Portier bardzo dziwnie spojrział na Julie i Lancelota. Uważnie przyjrzał się Excaliburovi i znów przeniósł wzrok na rosnącego rycerza. Potem, jak to zwykle czynią nowojorscy portierzy, przybrał doskonale obojętny wyraz twarzy. Podeszedł do otwartych drzwi windy i nacisnął guzik z numerem piętra Julie.

- Dobry wieczór, panno Gaffney. - Dotknął daszka czapki. - Witam pana - dodał, czujnie patrząc na Lancelota.

- Cześć - odparła. Miała nadzieję, że przez następne kilka minut nie wydarzy się nic niespodziewanego. Weszła do windy i czekała na Lancelota.

- Co to za dziwaczna izdebka? - gromko zapytał rycerz, wsuwając miecz do środka kabiny.

- To winda - wyjaśniła przez zaciśnięte zęby. Twarz portiera nadal nic nie wyrażała.

- Jakieś kłopoty, panno Gaffney?

- Nie, nie, żadnych. Tylko mój przyjaciel... przyjechał z prowincji.

Lancelot obmacywał ściany windy. Stał na lekko ugiętych nogach, z rąk nie wypuszczał miecza, na wypadek, gdyby nagle musiał ruszyć do ataku.

- Ha! - krzyknął, kiedy zamigotały światełka. - Widziałem to! Julie poklepała go po ramieniu.

- Mój znajomy przyjechał z bardzo, bardzo odległej prowincji.

- Rozumiem - przytaknął portier. Oczywiście, nic z tego nie pojmował, ale był przyzwyczajony do ekscentrycznych zachowań mieszkańców.

- Wszystko będzie dobrze. - Julie uśmiechnęła się, a portier nacisnął guzik zamykający drzwi kabiny.

Podwójne metalowe drzwi zaczęły się przesuwając ku środkowi, ale nagle Lancelot zrobił zwrot i z wyciągniętym mieczem rzucił się między zamykające się drzwi.

- Diabelski wynalazek! Nie lękaj się, lady Julio. Dobro zwycięży!

- Nie, nie... - zaczęła rozpaczliwie. Drzwi znów się rozsunęły.

Zanim zdążyła cokolwiek dodać, Lancelot chwycił ją w pół i uniósł. Po chwili znów stali w holu.

- Posłuchaj, Lancelocie. Tu naprawdę nie dzieje się nic złego. Ta maszyna zawiezie nas do góry, do mojego mieszkania. A po-

nieważ mieszkam na siedemnastym piętrze, lepiej będzie, jeśli z niej skorzystamy.

Do budynku wszedł jakiś lokator, elegancko ubrany mężczyzna, trzymający pod pachą małego pieska o śmiesznym pyszczku. Spokojnie zabrał swoją pocztę i podszedł do windy. Portier, który teraz obserwował Julie i Lancelota z nieukrywaną fascynacją, z pewnym opóźnieniem przystąpił do działania. Powitał nowo przybyłego i podbiegł do windy.

- Panie, zatrzymaj się! - krzyknął Lancelot do mężczyzny z pieskiem. Jedną ręką unióś miecz, drugą nadal ciasno obejmował Julie. - To szatańska izdebka! Błagam cię, panie, nie wchodzi tam!

Mężczyzna zmierzył ich oboje wzrokiem od stóp do głów, a potem zwrócił się do portiera:

- Kiedy jest najbliższe zebranie mieszkańców? - zapytał, spoglądając na portiera znad półokrągłych szkieł okularów do czytania. Piesek warknął wysuwając dolną szczękę.

- Za dwa tygodnie.

- To dobrze - odparł mężczyzna i stanowczym krokiem wkroczył do kabiny.

- Ostrzegłem cię, mój dobry człowieku. - Lancelot z rezygnacją potrząsnął głową.

W odpowiedzi mężczyzna z rozmachem nacisnął guzik. Drzwi windy zaczęły się zamykać, a on gniewnie spoglądał na Julie i Lancelota.

- Możesz mnie puścić? Bardzo proszę. - Rycerz bezceremonialnie spełnił jej prośbę, ale Julie jakoś udało się nie stracić równowagi i stanąć na własnych nogach. - Posłuchaj mnie. Winda jest bezpiecznym urządzeniem. Zapewniam cię.

- Gdzie są schody? - Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż pytanie.

- Ale pozwól, że ci pokażę...

Portier uśmiechnął się.

- Proszę pana, klatka schodowa znajduje się tuż za pralnią.
- Wejść na górę schodami - oznajmił Lancelot.
- Ale to siedemnaście pięter! - zawołała z rozpaczą Julie.

Tylko spojrział na nią groźnie i długimi krokami ruszył w kierunku pralni.

- Zaczekaj... proszę! Nie wiesz, na którym piętrze...

Drzwi do klatki schodowej zamknęły się za nim z hukiem.

Julie chwilę stała niezdecydowana.

- Bez obrazu, panno Gaffney - odezwał się portier. - Ale innym mieszkańcom może się nie spodobać, że taki wielki mężczyzna biega po schodach z nożem.

Miał rację.

Julie z westchnieniem ruszyła za Lancelotem. Zatrzymała się jeszcze na chwilę.

- To nie jest nóż - poprawiła portiera. - To jest miecz.
- Oczywiście, panno Gaffney.

Zobaczyła, że Lancelot jest już wysoko. Czyżby biegł po dwa stopnie? Przyśpieszyła, żeby się z nim zrównać. Z trudem wydyszała jego imię. Mięśnie ją bolały, nogi się trzęsły.

Wydawało jej się, że minęły długie godziny, zanim tortura wreszcie dobiegła końca i Julie znalazła się na siedemnastym piętrze. Lancelot czekał na nią, oparty o ścianę, z mieczem u boku. Był denerwująco spokojny i wcale nie zmęczony.

Julie nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa, więc tylko słabym gestem wskazała na korytarz. Rycerz szarmancko przepuścił ją przed sobą. Uśmiechnęła się nieznacznie i chwiejnie poszła pierwsza.

Nagle zdała sobie sprawę z pewnej trudności.

- Klucze - wysapała. - Zostawiłam klucze do mieszkania w kieszeni džinsów, a džinsy zostały w Camelocie. Muszę zejść na dół i poprosić o zapasowe.

Lancelot usłużnie otworzył jej drzwi na klatkę schodową. Julie tylko potrząsnęła głową i podeszła do windy.

- Zaczekaj tutaj, proszę cię - rzekła i nacisnęła guzik. Weszła do windy i po kilku minutach wróciła z zapasowymi kluczami.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła, wpuszczając Lancelota do środka.

Spojrzała na swoje mieszkanie świeżym okiem. Starła się się patrzeć na nie tak, jak widział je Lancelot. To prawda, wydało jej się imponujące, kosztownie umeblowane, z drogimi obrazami na ścianach i rzadkimi dywanami na podłogach, ale czuła się z nim nie bardziej związana emocjonalnie niż z pierwszym lepszym pokojem w Holliday Inn.

Po wejściu do mieszkania Lancelot nic nie powiedział, ale widziała, że pochłania wzrokiem wszystko, od olbrzymiej skórzanej kanapy po zabytkowy stolik do kawy. W salonie stała ogromna, profesjonalnej klasy wieża stereo i trzydziestodwucalowy telewizor. Rycerz nie zwrócił na nie większej uwagi. Dłużej patrzył na jadalnię. Stał tam wielki mahoniowy stół, wokół niego cztery krzesła do kompletu i jeszcze sześć pod ścianą. Sprawiało to wrażenie, jakby Julie co wieczór urządzała proszone kolacje. Tymczasem tak naprawdę zwykle wieczorem jadała chińskie jedzenie na wynos, sałatkę lub mrożone danie. Robiła to, siedząc samotnie przed telewizorem.

- Czy jest tu bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy go schować? - Lancelot wyciągnął miecz, który w eleganckim salonie Julie rozbłysnął tysiącem migotliwych refleksów świetlnych.

- Jasne. - Rozglądała się, zastanawiając się nad tym, gdzie ukryć coś tak bezcennego jak Excalibur. - Może pod łóżkiem?

- Pod twoim łóżkiem?

- Owinę go w coś miękkiego. Chodzi o to, że w tym mieście wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, należy starannie schować albo wywieźć gdzieś daleko.

W milczeniu uniósł brew i podał jej legendarny miecz. Owinęła go w zapasową kołdrę i wsunęła pod łóżko, gdzie spoczął obok pudeł z butami i starych lalek Barbie. Kiedy wróciła do salonu, Lancelot patrzył na widok za oknem.

Panorama Manhattanu uchodziła za dodatkowy element wystroju wnętrza mieszkania Julie. Wypełniała całą ścianę salonu, jak cenny obraz, w obramowaniu pięknych zasłon. Większość jej gości natychmiast podchodziła do okna i zachwycała się widokiem. Teraz jednak Julie patrzyła na to oczami Lancelota.

Chciała wytłumaczyć, że to wszystko ma niewiele wspólnego z prawdziwą Julie. Że to tylko symbole statusu kogoś, kto odniósł sukces w Nowym Jorku. Nie tego tak naprawdę pragnęła, nie o tym marzyła jako dziecko. Nic, co się tutaj znajdowało, nie przystawało do jej aspiracji i uznawanych przez nią wartości. Wszystko to wydało jej się teraz takie obce i dalekie.

I tak inne niż w Camelocie.

- Gdzie będę spać? - Głos Lancelota brzmiał dziwnie pusto, jakby rycerz nagle dowiedział się czegoś niemiłego o osobie, na której mu zależało.

- Może na kanapie?

Z miejsca, gdzie stali, widać było jej elegancką sypialnię, włącznie z nie pościelonym łóżkiem z baldachimem i specjalnie zaprojektowanym przez plastyka obiciem ścian. Julie miała nadzieję, że Lancelot uzna za oczywiste, że będą spali właśnie tam, i to razem. Ale może spodziewała się zbyt wiele, zwłaszcza tego wieczoru, po tym wszystkim, co niedawno przeszedł. Pewnie z czasem oswoi się z nowym otoczeniem.

Ostrożnie usiadł na kanapie i przez chwilę w zamyśleniu patrzył w przestrzeń. Potem z wysiłkiem zdjął buty i ułożył się wygodnie. Julie wsunęła mu poduszkę pod głowę, a on zamknął oczy. Otuliła go kocem, ale był zbyt wysoki i bose stopy wyglądały spod przykrycia.

Wzięła koc ze swojego łóżka i dodatkowo nakryła nim Lancelota. Wyłączyła lampę i patrzyła na niego w półmroku.

Tak wiele chciała mu powiedzieć, o tylu rzeczach powinni porozmawiać. Ale pora nie była po temu odpowiednia.

- Dobranoc - odezwała się cicho, patrząc, jak jego pierś miarowo unosi się i opada. Myślała, że już zasnął, odwróciła się więc do wyjścia, ale nagle usłyszała jego odpowiedź:

- Dobranoc.

Julie Gaffney, ostatnio znana również jako Wiedźma z Camelotu, nie spodziewała się dobrej nocy. Wręcz przeciwnie.

Dokładnie kwadrans po trzeciej, jak wskazywał jej jasno świecący elektryczny zegar, Julie doszła do wniosku, że z pewnością nie usnie. To jej się zdarzało dość regularnie - bezsenna noc, spowodowana kłopotami służbowymi, po której następował dzień emocjonalnej huśtawki, podsycanej zbyt dużą ilością kofeiny.

W półmroku miasta, w którym nigdy nie zapadają prawdziwe ciemności, zobaczyła, że zegar wskazuje już trzecią szesnaście. Zapaliła nocną lampkę.

Lekki, niespokojny sen, w który udało jej się zapaść po ułożeniu się w pościeli, obfitował w koszmarne obrazy. Widziała Malverna, Lancelota w niebezpieczeństwie i króla Artura ze straszną, rozgniewaną twarzą.

Usiadła i uderzyła pięścią w poduszkę.

- Wcale nie jestem wiedźmą - wyszeptała ze złością. Wiedźma z Camelotu, też coś! Podłożyła sobie pod kark brutalnie pobitą poduszkę i splotła ramiona.

Z salonu nie dochodził żaden dźwięk. Miała nadzieję, że Lancelot jest pogrążony w głębokim, regenerującym śnie. Z pewnością go potrzebował.

Co prawda, znalazł się w nie swoich czasach, w obcym kraju i nie mógł naprawić zła, które doprowadziło do ruiny całe królestwo, ale przynajmniej nie miał na głowie wielkiej kampanii reklamowej i rano nie czekała go prezentacja przed klientem.

Zaczęła ją ogarniać znajoma panika, tym okropniejsza, że po walce na śmierć i życie, jakiej była świadkiem w Camelocie, czuła,

że przejmowanie się kampanią środka czystości jest czymś miałym i całkowicie bez znaczenia. Jednak we własnym łóżku, w otoczeniu znanej jej rzeczywistości, trudno było się koncentrować na wzniosłych ideałach sprzed piętnastu wieków.

Co robić? Za kilka krótkich godzin stanie przed klientami i nie będzie miała im nic do zaproponowania, oprócz jakiegoś nieudolnego usprawiedliwienia własnej klęski.

Tak cicho, jak tylko potrafiła, żeby nie zbudzić Lancelota, otworzyła szufladę szafki przy łóżku, wyjęła notatnik i czerwony długopis - swój ulubiony zestaw do tworzenia nowych pomysłów. Zdjęła skuwkę z długopisu i zaczęła nim stukać w kartkę papieru, tworząc całą sieć czerwonych kropek. Cyfry na zegarze zmieniały się w miarę upływu czasu, a Julie nadal miała przed sobą jedynie żółtą kartkę pokrytą kropkami i bazgrołami.

Najwyraźniej siły twórcze całkiem ją dzisiaj zawiodły.

- Do diabła! - wymamrotała.

Może szklanka wody natchnie ją jakąś myślą. I to nie wody z łazienki. Jak wiadomo, woda z kranu w łazience jest o wiele gorsza od tej z kranu w kuchni.

No i w drodze do kuchni będzie mogła ukradkiem zerknąć na Lancelota. Nie, spojrzenie na niego wcale nie było jej głównym celem. Po prostu nie można wziąć wody z kuchni bez odwiedzenia kuchni, a droga do niej wiedzie przez salon.

Podeszła do szafy, gdzie wisały dwa szlafroki, jeden wygodny, frotte, z przetartymi rękawami na łokciach i plamą z kawy na przodzie, a drugi różowobrzoskwiniowy, jedwabny, ze ślicznymi koronkowymi wstawkami.

Wygrał brzoskwiniowy, ponieważ był po prostu lżejszy. Tylko i wyłącznie dlatego.

Jak najciszej przeszła boso przez korytarz i dalej, do salonu. Przez chwilę jej wzrok przyzwyczajął się do mroku. Zakasłała cichutko. Nie, wcale nie chciała go obudzić. Lancelot nawet się nie poruszył.

Jeszcze jedno delikatne kasznięcie, tym razem troszeczkę głośniejsze, wyrwało jej się samo.

- Tak, lady Julio. Nie śpię.

- Och, przepraszam. Obudziłam cię? Nie chciałam.

Usłyszała, że się poruszył.

- Nie potrafię zapalić tej lampy - powiedział.

- Nic trudnego. - Nacisnęła przełącznik na ścianie i w pokoju zrobiło się jasno.

Odwróciła się do niego z triumfującą miną, ale na jego widok uśmiech zamarł jej na wargach. Lancelot, nagi do pasa, siedział na kanapie. Na twarzy miał taki smutek, że aż się przestraszyła. Podeszła i usiadła obok, uważając, żeby nie dotknąć jego ramienia czy nogi, chociaż miała na to wielką ochotę.

- Wszystko w porządku?- To pytanie zabrzmiało zupełnie niedorzecznie.

- Tutaj jestem do niczego - stwierdził. - Nie potrafię nawet zapalić latarni. Jestem kompletnie bezużyteczny. Do niczego się nie nadaję.

- To nieprawda.

- Dobrze wiesz, że tak jest. - Chociaż jego słowa były gorzkie, wypowiedział je spokojnie. - Pochodzę z innych czasów. Moje życie powinno już dawno się skończyć. Ale oto jestem tutaj. Bezużyteczny. Zupełnie bezużyteczny. - Odwrócił się ku niej. - Wybacz mi - powiedział cicho.

- Co miałabym ci wybaczyć?

- Teraz rozumiem, jak musiałaś się czuć w Camelocie. Przeniesiona do innego, obcego świata.

Położyła rękę na jego ramieniu.

- Właśnie o to chodzi. W Camelocie wcale nie czułam się jak w obcym świecie. Nie wiem dlaczego, ale kiedy minął początkowy szok, wszystko nagle zaczęło się układać w harmonijną całość. Tylko że...

- Mów dalej, proszę.

- W moim przypadku było inaczej. Kiedy się zorientowałam, że jestem w Camelocie, wiedziałam, czego się spodziewać. Czytałam o nim książki, oglądałam filmy, od dzieciństwa znałam legendę. Twoja sytuacja jest bez porównania trudniejsza. Znalazłeś się w miejscu, o którym nie masz pojęcia, bo zostałeś przeniesiony w przyszłość. Skąd mógłbyś wiedzieć, jak wygląda życie w dwudziestym wieku? Takiego czegoś nawet nie byłbyś w stanie sobie wyobrazić. Jesteś całkiem zagubiony. W dodatku zostałeś fałszywie oskarżony o straszne, podłe czyny i nie masz możliwości oczyścić swojego imienia. Excalibur znalazł się tutaj z tobą i nie możesz zwrócić go Arturowi. Nie mówiąc już o...

- Proszę. - W jego głosie słychać było tłumiony gniew. - Czy mogłabyś na chwilę przestać mnie pocieszać?

- Och, przepraszam.

Wziął głęboki oddech i odchylił głowę w tył. Potem zwrócił się do Julie:

- Dlaczego nie możesz zasnąć? Jesteś we własnym domu. Powinnaś być szczęśliwa.

Wzruszyła ramionami.

- Chyba boję się tego, co mnie jutro czeka w pracy. Muszę zaprezentować projekt kampanii reklamowej, a nie mam na nią żadnego pomysłu.

- Rozumiem - rzekł oschle.

- O co ci chodzi?

- Wyobrażałem sobie, że przyczyną twojej bezsenności jest to okropne spustoszenie, jakie zostawiliśmy po sobie w Camelocie. Albo to, że możesz być uważana za tysiącletnią jędzę.

- Wiedźmę - poprawiła go.

- Bardzo przepraszam, wiedźmę. Albo podejrzenie, że jestem skończonym łotrem. A może to, że Malvern jest gdzieś w pobliżu, tak samo zły w twoich czasach jak i w moich. - Mówił coraz bardziej podniesionym głosem. - A może powinno cię zdenerwować, że Excalibur, jedyna nadzieja dla Camelotu, znajduje się

tutaj, z nami! Sądziłem, że właśnie te drobiazgi mogą ci spędzić sen z powiek.

- Oczywiście, to wszystko również mnie denerwuje.

- Denerwuje! Denerwuje! Niczym pies, szczekający wcześniej rano albo paproch w oku!

- To nie tak. Chodzi mi tylko o to, że jutro mam prezentację i...

- I co?

- Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy. Camelot istniał całe wieki temu, a moja prezentacja ma się odbyć jutro. - Natychmiast pożałowała tych słów i chciała je cofnąć, ale było już za późno. - Nie mówiłam tego poważnie.

- Ależ mówiłaś. Oczywiście, że mówiłaś poważnie. Ja w tym świecie nie mam żadnego znaczenia, jestem żyjącym antykiem. Niepożądaną pamiątką.

- Nic podobnego! Po prostu muszę uporządkować swoje sprawy. Wróciłam do domu, a to się wiąże również z podjęciem obowiązków.

- A ja, oczywiście, nie mam najmniejszego pojęcia o twoich obowiązkach.

Znużonym gestem przytuliła do siebie poduszkę.

- Wiesz co? Do końca życia już nic nie powiem.

Chwilę milczał, aż w końcu się odezwał.

- Wydaje mi się, że to słuszna decyzja. - Gniew zniknął; jego miejsce zajęło nie poczucie klęski, ale zwykłe zmęczenie. - W twoich czasach wszystko jest takie inne - ciągnął. - Nie potrafię tu robić najprostszych rzeczy. Nawet schody są dziwne. Nie wiem, jak zapalić światło. Ja, Lancelot. Jestem tu bezużyteczny i bezradny.

- To nieprawda. - Wyciągnęła rękę, przez chwilę się wahała, ale w końcu dotknęła jego ramienia. - Nie. Jesteś najlepszym, najszlachetniejszym z ludzi. Zawsze taki byłeś - wyszeptała, tuląc się do jego ramienia.

- Zawsze taki byłem... Mów dalej - zachęcił ją.

Nagle uświadomiła sobie, jaka jest prawda.

- Zawsze byłeś moim ideałem, moim marzeniem.

Zamknął oczy i mocno ujął jej rękę.

- Ty, lady Julio, jesteś jedyną osobą na tej ziemi, która we mnie wierzy.

Julie wpatrywała się w ich ciasno splecione dłonie. Mimo że różniły się między sobą wielkością i karnacją, nie wiadomo było, gdzie się zaczyna jedna, a kończy druga.

- To zabawne - odezwała się, niemal zahipnotyzowana widokiem ich złączonych rąk. - Zawsze w ciebie wierzyłam, nawet zanim cię spotkałam.

Kiedy tak siedzieli w milczeniu, zdawało się, że czas się zatrzymał.

- Powinnaś już iść spać - wyszeptał Lancelot.

- Ty też.

Zamknęła oczy. Postanowiła wypowiedzieć głośno to, co myślała, jednocześnie przygotowując się na wszelkie możliwe odpowiedzi.

- Chciałbyś pójść do mojej sypialni?

- Tak.

- Słucham?

- Powiedziałem, że tak. Bardzo chciałbym pójść do twojej sypialni.

Wstała i pociągnęła go za sobą. Ona objęła go w pasie, on otoczył ją ramieniem i mocno przytuleni poszli wolno do drugiego pokoju.

Julia pierwsza wsunęła się pod prześcieradło. Kiedy poszedł w jej ślady, łóżko zaskrzypiało. Ostrożnie wyciągnęła do niego ramiona, bardziej w geście pocieszenia niż namiętności.

Leżeli nieruchomo obok siebie, każde starało się wyczuć rytm drugiego. Dotknęła jego twarzy, pieściła wierzchem dłoni jej zarysy i lekko, delikatnie przyłożyła usta do policzka.

Poruszył się, przykrył ustami jej usta i nagle konieczność wzajemnego pocieszania się gdzieś zniknęła. To, co zaczęło się

jako delikatny pocałunek, pogłębiło się. Lancelot nakrył sobą Julie, a ciężar jego ciała dodał jej odwagi. Przesunął ustami w dół jej szyjaki by wypalał tam ognistą ścieżkę. Gwałtownie wciągnęła powietrze i wygięła się w łuk. Wsunął pod nią dłonie i przycisnął ją mocniej.

Jej ramiona oplatały jego nagi kark. Jednym ruchem zdjął z niej nocną koszulę i odrzucił na bok. Oddychała płytko i czuła, jak coś ciepłego zaczyna się budzić w jej ciele. Zanurzyła ręce w jego włosach, przeczesując je i skręcając. Dotyk czarnych miękkich loków był tak zmysłowy, że aż przeszedł ją dreszcz. Połączyli się w jednej chwili. I wtedy świat znów stał się tak samo piękny i wspaniały jak w Camelocie. Potem leżeli wyczerpani, splątane prześcieradła oplatały ich nogi, a powiewy chłodnego nocnego powietrza suszyły wilgoć na ich skórze. Julie oparła mu głowę na piersi, a oddech Lancelota zaczął się wyrównywać. Przytulił ją do siebie i w ciemnościach wyczuła, że się uśmiecha.

- Co cię tak rozbawiło? - zapytała, również z uśmiechem.

- Dobrze wiedzieć, że niektóre sprawy wcale się nie zmieniły. To mnie napawa nadzieją, że być może nie jestem jednak taki zupełnie bezużyteczny.

12

Nastał poranek.

Julie chwilę wylegiwała się w łóżku, Lancelot jeszcze spał. Z zamkniętymi oczami i spokojną twarzą wyglądał bardzo młodo. Ale wrażenie to było zwodnicze, ponieważ kiedy przyjrzała mu się uważniej, dostrzegła siwe pasma w jego włosach i zmarszczki, rozchodzące się promieniście od kącików powiek.

Nie był to figiel niespokojnej wyobraźni, kiedy poprzedniego dnia wydało jej się, że jego rysy się zmieniły. Zmiana ta nie była też rezultatem nagłego wstrząsu, który musiał przejść, kiedy został gwałtownie przeniesiony w inne miejsce i .czas.

Lancelot rzeczywiście się starzał, i to w zastraszającym tempie.

Dotknęła jego włosów. Poruszył się, ale się nie obudził.

Spojrzała na zegarek. Minęła siódma. Obok zegarka leżał notatnik, na którego kartkach widniała jedynie sieć czerwonych kropek. To była cała jej praca, jedyny pomysł na prezentację, którą miała przedstawić nawet nie za kilka godzin, ale za kilkadziesiąt minut.

- Nie - jęknęła rozpaczliwie. Wskoczyła z łóżka i chwyciła ubranie, pierwsze lepsze, jakie nawinęło jej się pod rękę. Pod prysznicem myślała jedynie o czekającym ją zadaniu.

Oczywiście, zdarzało się już, że przychodziła do pracy nie przygotowana. Ale nigdy, ale to nigdy nie zjawiła się bez żadnego pomysłu na spotkanie z jednym z najważniejszych klientów, zaopatrzona jedynie w notatnik wypełniony czerwonymi kropkami.

Z narastającym przerażeniem wykonywała swoje normalne poranne czynności.

Lancelot nadal spał. Pomyślała, że to jedyna dobra rzecz tego poranka. Przynajmniej on odzyskiwał siły, co mu było bardzo potrzebne.

Wydarła kawałek kartki z notatnika, napisała liścik i położyła go na poduszce.

Drogi, kochany Lancelocie

Poszłam do pracy. Tymczasem rozgość się i czuj się jak u siebie w domu. O jedno Cię proszę, pod żadnym pozorem nie wychodź z mieszkania, dopóki nie omówimy kilku spraw...

*Ucałowania,
Wiedźma.*

Przeczytała wiadomość i uśmiechnęła się. A potem znów dotarło do niej z podwójną siłą, w jak beznadziejnej się znalazła sytuacji. Chwyciła aktówkę, wypełniony kropkami notatnik, zostawiła śpiącego nagiego Lancelota i ruszyła na spotkanie z gromadą zręczliwych producentów środków czystości i ze swoimi kolegami z agencji reklamowej.

Czasami życie jest po prostu do bani.

Panowie! - Julie powitała z uśmiechem gości wchodzących do jej gabinetu.

W ciągu dwóch godzin, między przybyciem do biura a tą straszną chwilą, Julie- cudowne dziecko reklamy, obdarzone niesamowitą zdolnością wymyślania genialnych idei w ostatniej

chwili - wykazała się wielkimi zdolnościami twórczymi. Teraz w jej notatniku była niejedna strona pokryta czerwonymi kropkami, tylko siedem.

Nikt w agencji Stickley & Brush nie orientował się, jak kiepsko sprawy stoją. Wszyscy, począwszy od żałośnie pewnego siebie dyrektora artystycznego do naiwnie optymistycznego asystenta do spraw kontaktów z klientem, zakładali, że Julie uda się wystąpić z jakimś błyskotliwym pomysłem. Przyszło jej do głowy, że w ich pełnych radosnego wyczekiwania twarzach czai się jakiś smutek. Gawędzili z zapałem, co chwila sięgając do pudła z zamówionymi przez nią pączkami i nalewając sobie kawy. Cóż, może przynajmniej oni coś na tym spotkaniu skorzystają, choćby tylko miało to być śniadanie.

Nie mieli pojęcia, co się święci.

Powoli, jeden po drugim, milkli i wpatrywali się w Julie. Stała samotnie, oparłszy się rękami o blat biurka. Miała ochotę poprosić, żeby zawiązano jej oczy czarną przepaską.

- Zapraszam panów - zaczęła. - Pączków wystarczy dla każdego. Mamy ich jeszcze całe mnóstwo. A dla tych, którzy liczą kalorie, mamy całą torbę dziurek z ciastek z dziurką. - Wokół rozległy się pełne rozbawienia śmiechy. - Czy ktoś ma ochotę na dziurkę z ciastka z kremem? - Jeszcze kilka osób się roześmiało, niektórzy potrząsnęli głowami. Prezes Błysku miał cukier puder na górnej wardze. - Witam panów w moim biurze - zagaіła. - Mam nadzieję, że wszyscy miło spędzili weekend. Panie Swenson? Ach, tak? To wspaniale. Ja też wybrałam się na krótką wycieczkę. Czy ktoś jeszcze wyjechał na sobotę i niedzielę? David? Gdzie byłeś?

Asystent z działu artystycznego, skrepowany, wzruszył ramionami.

- Hmm, odwiedziłem rodziców.

- To pięknie. Przypomnij mi, gdzie oni mieszkają. Wiem, że wiele razy o nich rozmawialiśmy.

- W Pensylwanii. Niedaleko Filadelfii.

- Och, wspañiale. Założę się, że się cudownie bawiłeś. Te przepyszne precle, steki z serem. Nic dziwnego, że tak świeżo dzisiaj wyglądasz. Musiałeś cudownie spędzić czas!

- Niezupełnie.

- Dlaczego nie?

- Pojechałem tam na pogrzeb ciotki.

Zaległa przytłaczająca cisza.

- Przepraszam, Davidzie. Mam nadzieję, że... O, nie! Proszę, weź chusteczkę.

Sięgnęła do pudełka i podała mu garść chusteczek higienicznych, a David zaczął w nie cicho szlochać. W końcu wydmuchnął głośno nos, spojrział na Julie i blado uśmiechnął się przez łzy.

- Lepiej się czujesz? - zapytała. Miała ochotę zapaść się pod ziemię, takiej było wstyd, że sprawiła mu przykrość i doprowadziła do zakłopotania.

- Nic mi nie jest, Julie. Dzięki.

- Dobrze - odrzekła z nieszczerze radosnym wyrazem twarzy. - Zobaczmy, co tu dzisiaj mamy. Błysk, jak wszyscy wiemy, to doskonała firma produkująca wspañiałe środki czystości. Ich znakomita historia zaczyna się na przełomie wieków, kiedy to...

Zabrzączał interkom, Julie przerwała i uśmiechnęła się przepaszajaco. Miała wielką ochotę ucałować to mechaniczne urządzenie, ale się opanowała. Z głośnika popłynął głos recepcjonistki.

- Przepraszam, Julie, ale ktoś chce się z tobą zobaczyć.

- Dziękuję, Audrey. - Zerknęła na kalendarz, ale tego dnia na dziesiątą nie miała umówionej żadnej wizyty, tylko to zebranie. - Proszę, powiedz tej osobie, że musiała zająć jakaś pomyłka. Termin tego zebrania został wyznaczony długie tygodnie temu.

Julie stanęła przed biurkiem, ściskając w dłoniach notatnik.

- Zobaczmy - odezwała się, przeglądając siedem stron zapełnionych bagrołami. - O czym to ja mówiłam?

- O przełomie wieków- odpowiedział David, całkiem już spokojny. - O wspaniałej historii firmy.

- A, tak. Prawda. Oczywiście. A więc... Wyobraźmy sobie, jak musiało wyglądać życie na przełomie wieków, zanim pradziad pana Swensona dostarczył wdzięcznej klienteli Błysk. Tylko sobie to wyobraźcie! Szerniały mosiądz, matowa stal, brudne zlewozmywaki. To znaczy, jeśli ktoś miał tyle szczęścia, że w domu był zlewozmywak. Okropność, po prostu okropność. - Potrzęsnęła głową nad tragizmem tej sytuacji. - Jakie straszne musiało być codzienne życie i... - Znów zadzwieczał interkom. - Bardzo przepraszam! - zaświergotała Julie. Zanotowała sobie w pamięci, żeby kupić Audrey jakiś ładny kwiatek doniczkowy. - Słucham?

- Julie, przepraszam, że zawracam ci głowę, ale ten człowiek bardzo nalega.

- Powiedz mu, że musi poczekać.

- Ale Julie, chyba będę musiała wezwać ochronę.

- Ochronę? - pisnął z przejściem pan Swenson.

- Dlaczego chcesz wzywać ochronę, Audrey? - dociekała Julie.

- Przez tego człowieka. Kazał mi powiedzieć, że nazywa się Lancelot.

Julie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Wiedziałem, że zaraz wyciągnie jakiegoś asa z rękawa. - Dyrektor artystyczny niemal rozpląnął się z radości.

W tej samej chwili drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka wkroczył Lancelot, w swojej pięknej niebieskiej tunice, z obnażonym Excaliburem.

- Lady Julio. - Skłonił się, a potem stanął przed okrągłym stołem konferencyjnym o szklanym blacie, na którym leżały nie dojezione pączki. - Panie i panowie zasiadający za Okrągłym Stołem - dodał z galanterią

- Lancelocie! - Julie pociągnęła go za ramię. - Jak mnie tutaj znalazłeś?

Wyjął zza paska jedną z jej służbowych wizytówek, na której widniało stanowisko Julie i adres firmy.

- Z pomocą tego, lady Julio. Ten prostokątny kartonik zawiera wiadomości o tobie. Znalazłem więcej takich.

Oczywiście, pomyślała Julie. W sypialni, na komodzie, stało całe ich pudełko.

Lancelot przyjrzał się wizytówce.

- Musiałaś zatrudnić wielu zdolnych skrybów, żeby wykonali taką pracę - stwierdził tonem znawcy.

Betty z produkcji klasnęła w dłonie i zachichotała, a Lancelot skłonił się jej i obdarzył szczerym uśmiechem.

- No, dobrze, Lance. - Julie zaczęła wypychać go z gabinetu. - Mógłbyś poczekać na mnie za drzwiami? Za chwilę skończę. - Miecz zamigotał w sztucznym świetle lamp. - I dlaczego, na litość boską, przyniosłeś to ze sobą? - zapytała.

- Miałem go zostawić w tak niebezpiecznym miejscu jak twoje mieszkanie? - odparł Lancelot.

- Dobrze. Na razie wyjdź i zaczekaj na mnie, a...

- W dodatku - ciągnął nie zrażony - schowałaś Excalibura pod łóżkiem! Co za człowiek kładzie potężny miecz pod łóżkiem, razem z jakimiś bezwartościowymi pudłami!

- Hej, w tych pudłach są moje buty! - Ugryzła się w język, zanim zdążyła dodać, że leżą tam też jej lalki Barbie.

- Spójrz tylko teraz na ten miecz. Cały w plamach, pokryty brudem. Potrzebuję czegoś, żeby doprowadzić go do porządku. Jeśli król Artur go zobaczy w takim stanie, będzie niepokieszony.

W tej samej chwili pan Swenson, niczym uczestnik jakiegoś konkursu, skoczył na równe nogi i zawołał:

- Pomoże ci Błysk!

Wszyscy zgromadzeni, z wyjątkiem Julie i Lancelota, zaczęli bić brawo jak szaleni. Spojrzała na rycerza, zachwycona, że sprawy niespodziewanie przybrały taki obrót. Jednocześnie zastanawiała się, jak uchronić go przed kompromitacją.

Nagle do skołatanej głowy przysłała jej doskonała myśl. Może to pomoże Lancelotowi. Może właśnie za pomocą kampanii reklamowej naprawi przynajmniej część szkód, jakie się ostatnio dokonały.

Istniała taka możliwość, choć nie było to zbyt prawdopodobne.

- Dziękuję, dziękuję. - Skinęła głową i uśmiechnęła się do pracowników firmy i rozentuzjasmowanych dyrektorów z Błysku. - Tak, panie i panowie. - Dopiero teraz Julie zaczęła rozkręcać się na dobre. - Wyobraźcie sobie, jakże inaczej potoczyłaby się historia, gdyby Lancelot mógł skorzystać z dobrodziejstwa Błysku! Może właśnie tego było trzeba, żeby...

- Błysk? - zapytał z rozdrażnieniem Lancelot. - A cóż to, na Merlina, takiego ten Błysk?

- Właśnie, Lancelocie. Cieszę się, że mnie o to zapytałeś. Błysk to magiczna kombinacja tajemnych, ale całkiem naturalnych składników, dzięki którym twoja zbroja olśniewająco załśni, a miecz będzie błyszczał jak słońce.

Nagle zobaczyła, że do Lancelota zaczyna docierać, o co tutaj chodzi. Nie była pewna, co rycerz dalej uczyni, czy po prostu wybiegnie z gabinetu wzburzony - nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu wykorzystała jego prawdziwe imię i życiowe kłopoty do sprzedaży środka czyszczącego - czy może podejmie jej grę.

Spojrzał niepewnie, a potem, z udawanym gniewem i niedowierzaniem, zagrzmiął:

- Nie wierzę, że taki środek istnieje!

Podjął jej grę! Miała ochotę go uściskać i gorąco ucałować. Powstrzymała się jednak i nie wyszła z roli.

W takim pomysle na reklamę nie było wiele nowego. Różnica polegała jedynie na wykonaniu. Po wysłuchaniu pochwalnej przemowy na cześć Błysku Lancelot uniósł miecz.

- W takim razie, muszę zdobyć Błysk, żeby przywrócić świetność Excaliburowi, ku chwale mojego króla i Camelotu!

Julie oklaskiwała jego występ razem z innymi, chociaż po minie Lancelota rozpoznała, że ta sytuacja nie jest dla niego do końca jasna i oczywista.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co się tutaj dzieje - wyznał. Pan Swenson nieomal podskakiwał z radości.

- To niesłychane! Absolutnie zdumiewające! Myślę, że wyrażę opinię całej dyrekcji, jeśli powiem, że ze wszech miar akceptujemy taką kampanię reklamową. - Zwrócił się do Lancelota: - Zdaję sobie sprawę, że jest pan zapewne wybitnym aktorem szekspirowskim i taka rola to dla pana drobiazg, ale muszę uścisnąć panu rękę. Co za niespodziewany zwrot akcji! Lancelot chciał tylko wyczyścić Excalibur, żeby sprawić radość królowi Arturowi. Nie było tam żadnej kradzieży, żadnej zdrady. Po prostu uczciwy rycerz chciał się przysłużyć królowi. Świetny kontekst dla reklamy Błysku. Pod każdym względem. Wspaniały pomysł. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy tu zapoczątkowali nowy trend: wielkie nieporozumienia historii! Już widzę, jak Ryszard III sprzedaje płatki śniadaniowe, ponieważ mali książęta wcale nie zostali zamordowani, tylko uciekli z domu w poszukiwaniu lepszych śniadań. Albo że Kuba Rozpruwacz zostałby przyzwoitym człowiekiem, gdyby w jego czasach zamiast brzytwy używano maszynek do golenia. Albo... - Julie kiwała głową i starała się odsunąć Swensona na bok tak delikatnie, jak tylko potrafiła. - A jak się pan nazywa? - zapytał prezes Lancelota.

Ten skłonił się i odrzekł bez wahania.

- Jestem Lancelot z Jeziora.

Swenson roześmiał się od ucha do ucha.

- Jeszcze trochę, a rzeczywiście panu uwierzę. Doskonała robota, doskonała.

Pracownicy agencji byli równie podekscytowani jak klienci, wszyscy chcieli porozmawiać z Julie, uścisnąć rękę Lancelotowi.

Kilka osób chciało dotknąć Excalibura, ale po tym, jak rycerz na taki widok wydał okrzyk oburzenia, Julie wyjaśniła, że na mieczu nie wysechł jeszcze lakier i nikt nie powinien go dotykać, żeby nie zepsuć rekwizytu przed wykonaniem pierwszych zdjęć.

- Lancelocie - powiedziała cicho. - Czy zechcesz pójść ze mną?

Skinął głową.

- Tak, lady Julio. Musimy porozmawiać. To bardzo ważna sprawa. Myślałem o Malvernie.

- Doprawdy?- odrzekła. Zauważyła, że niektórzy zaczynają z namysłem i nerwowo przyglądać się Lancelotowi oraz jego imponującemu mieczowi.

Zjechali na parter i wyszli na ulicę. Julie przywołała taksówkę, podała kierowcy adres i odliczone pieniądze za kurs. Potem zwróciła się do Lancelota:

- Bardzo mi przykro, ale naprawdę nie mogę teraz rozmawiać. Czeka mnie nawał pracy. Weź moje klucze. Możemy się spotkać wieczorem, u mnie w domu? Postaram się wyrwać dzisiaj wcześniej i...

- Rozumiem. - Zacisnął usta.

- Okropnie się z tym czuję, ale uwierz mi, muszę zostać w pracy, żeby...

Nie chciał jej dłużej słuchać. Chwycił klucze i usiadł na przednim siedzeniu taksówki.

Przerażony kierowca krzyknął:

- Hej! Gdzie!

- Przepraszam - sumitowała się Julie. - Mój znajomy przyjechał z innego miasta. Lancelocie, usiądź z tyłu, nie obok kierowcy.

Nadal milcząc, gniewnie przesiadł się do tyłu.

- Ej, paniusiu- odezwał się taksówkarz.- Nie będę woził faceta z mieczem. Nie ma mowy. Ma tu pani swoje pieniądze i niech ten dzielny książę wysiada z mojej taksówki.

- Nie, chwileczkę. - Pochyliła się i zjrzała do samochodu. - Lancelocie, przykro mi, ale chyba będzie lepiej, jeśli ja zabiorę Excalibura.

- Nie.

- Proszę cię. Musisz zrozumieć, że w tych czasach, w tym mieście, niezbyt dobrze jest pokazywać się w miejscach publicznych z mieczem u boku.

- Powiedziałaś, że w twoim domu nie jest bezpieczny. Teraz mówisz mi, że nie mogę go nosić, bo to również czymś grozi. W takim razie, co można z nim zrobić?

- Cóż... - Wyprostowała się i patrząc ponad dachem taksówki, zastanawiała się nad rozwiązaniem. - Mam pomysł. W agencji jest sejf. Korzystamy z niego, jeśli w biurze znajdują się jakieś cenne przedmioty, na przykład biżuteria wypożyczona do zdjęć czy coś w tym rodzaju. Zamknę miecz w sejfie, bezpiecznie przeleży tam cały dzień, a wieczorem przyniosę go do domu.

- Nie.

- Co to znaczy, nie?

- Nie zamierzam chodzić po tym mieście nie uzbrojony.

Taksówkarz odsunął plastikową ściankę, oddzielającą go od pasażerów.

- Słuchaj, kolego. Zapisz się do Narodowego Związku Strzeleckiego. Ale przedtem wysiądź z mojej taksówki.

- Lancelocie! - rzuciła Julie. - Błagam. Daj mi ten miecz. Przy mnie będzie bezpieczny. Obiecuję ci.

Nie odpowiedział. Odwrócił się do niej z posmutniałą, przygnębiającą miną. Potem znów spojrział w drugą stronę.

Najgorsze było to, że chociaż miała rację, odsyłając go do domu, i słusznie zadecydowała, że miecz będzie bezpieczny w sejfie, to właśnie ona była przyczyną jego przygnębienia. Sprawiała mu ból.

- Ja... Posłuchaj mnie. Musisz to zrozumieć. Tutaj życie jest inne. Wszystko sobie później wyjaśnimy- dodała pośpiesznie.

Nadal patrzył prosto przed siebie. - Dobrze? Potem porozmawiamy. Teraz czekają na mnie w biurze. Obiecuję ci, że się tym zajmę. - Wzięła miecz. W dalszym ciągu na nie zwracał na nią uwagi.

Na jego twarzy widać było gniew i poniżenie, a ona bardzo chciała go objąć, przeprosić, wynagrodzić wszystko, co się stało, podziękować za ocalenie kampanii reklamowej, a być może również posady w agencji.

- Paniusiu, muszę jechać - odezwał się taksówkarz.

Skinęła głową i zamknęła drzwi. Taksówka ruszyła, a Julie przykryła dłonią usta.

- Och, Lancelocie- wyszeptała cicho, patrząc, jak żółty samochód wtapia się w ruch uliczny na Madison Avenue. - Przepraszam cię.

Przez resztę dnia prześladowało ją wspomnienie wyrazu jego oczu.

- **Więc**, kolego... - zagadnął taksówkarz, zerkając we wsteczne lusterko. - Pochodzisz z innego miasta?

Lancelot zamknął oczy. Pragnął być wszędzie, tylko nie w tym poruszającym się urządzeniu. Gdziekolwiek, byle nie tu.

- Słyszysz mnie? Pytam, czy pochodzisz z innego miasta.

- Tak.

- Co?

- Powiedziałem, że tak.

- Aha. A skąd?

- Z Camelotu.

- Tak? Jeden mój kuzyn tam mieszka.

Lancelot pierwszy raz spojrzął na kierowcę.

- Naprawdę? - zaciekał się.

- Tak, tak. W Camelot City. To w Indianie, prawda?

Lancelot wciągnął głęboko powietrze.

- Tak. Właśnie tam.

Kierowca nadal coś mówił, ale Lancelot już go nie słuchał. Patrzył przez okno na nowojorskie widoki. Przed jego oczami przesuwały się ulice, magazyny i stare fabryki z ubiegłego wieku.

i

Zastanawiał się, jaka jest natura tego miejsca, miejsca pochodzenia lady Julii. Teraz rozumiał, dlaczego rozpłakała się, kiedy opisywała mu je w Camelocie. Zrozumiał, co czuła i dlaczego nie chciała mu więcej opowiedzieć o mieście, gdzie nie wolno było nosić miecza.

Ludzie. Ich twarze były takie inne, takie smutne, jakby już dawno odebrano im wszelką nadzieję. Kiedy zatrzymali się na światłach, jakaś kobieta, pchająca przed sobą sklepowy wózek wyładowany torbami, z wysiłkiem starała się przejść przez ulicę. Natychmiast, całkiem odruchowo, wyskoczył z samochodu i próbował jej pomóc.

- Odejdź, łobuzie! Ludzie, ratunku!

Stanął osłupiały, kiedy inni przybiegli na jej wołanie, ale nie po to, żeby jej pomóc pchać wózek, ale żeby jej bronić przed nim, przed Lancelotem.

- Przepraszam - wymamrotał. - Chciałem tylko...

- Zjeżdżaj stąd, wariacie! - wrzasnął jakiś człowiek z przepaską na oku. - Zostaw tę panią w spokoju!

Posłuchał go. Bez słowa wrócił do taksówki.

- Teraz już wiesz, kolego, o co mi chodzi. Właśnie o tym mówiłem. Tutaj nie można być dla nikogo miłym.

Kierowca mówił dalej, ale Lancelot tylko w otępieniu patrzył na przewijające się za oknem sceny. Wszystko się zlewało w jedną masę, budynki, ludzie bez twarzy.

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę.

Był to duży napis, częściowo zasłonięty drzewem, pokrytym różowymi pąkami. Już samo kwitnące drzewo stanowiło niespotykany tutaj widok. Odczytał napis, wypisany dużymi złotymi literami na niebieskim tle: „Avalon”.

Dopiero po kilku sekundach udało mu się wydobyć z siebie głos.

- Zatrzymaj się, proszę! - Zapukał w plastikową przegrodę i powtórzył głośniej i bardziej stanowczo: - Zatrzymaj się!

Taksówkarz, który od dłuższego czasu monologował z wielkim zadowoleniem, w końcu zwolnił.

- Co takiego?

- Może się pan zatrzymać?

Stanął przy krawężniku.

- Niedobrze ci, kolego, czy jak?

- Nie, nie. Co to jest? - Rycerz wskazał za siebie.

- Co? Latarnia? Znak stopu?

- Nie. To miejsce, kilka kroków za nami. Napis głosi „Avalon”.

Dziwnie się czuł, wymawiając to słowo, tę znajomą nazwę, która przyprawiała go o szybsze bicie serca. Avalon. Była to wyspa, o której słyszał w Camelocie, miejsce magiczne, uzdrawiająca, dodająca sił. Często słyszał opowieści o Avalonie, o ranym rycerzu, którego ciało i dusza zostały uratowane dzięki temu, że spędził jedną jedyną noc na tej zaczarowanej wyspie.

To było miejsce nadziei.

- Avalon? A, chodzi o to schronisko dla bezdomnych przy kościele.

- Przepraszam, ale nie usłyszałem dokładnie. Co to jest takiego?

- Schronisko dla bezdomnych. No, takie miejsce, gdzie mogą przyjść ci, którzy nie mają gdzie mieszkać.

- Nie mają domu?

- Właśnie. Ludzie bez pracy albo tacy, co mają jakieś problemy ze sobą.

Lancelot wyciągnął szyję i zobaczył kobietę z trójką małych dzieci, która właśnie minęła okryte różowymi pąkami drzewo i weszła do budynku z napisem.

- Ale tam są również kobiety i dzieci. - Najwyraźniej nie mógł w to uwierzyć. Przechesał ręką włosy. - Tam są małe dzieci.

- Jasne, kolego. Dzieci też bywają bezdomne.

- Nie rozumiem. W tym mieście jest tyle pieniędzy, tyle bogactwa. Jak to możliwe, że istnieją tu ludzie bez własnego dachu nad głową?

Kierowca nic nie odpowiedział.

- Wsiadam - zdecydował Lancelot.

- Ale ta pani mi kazała jechać...

- Przykro mi. Hmm... Czy dostałeś wystarczająco dużo monet?

- Co? A, tak. - Taksówkarz zawahał się, a potem, jakby wbrew sobie, powiedział: - Co tam, do diabła. Masz tu resztę. Licznik wybił dopiero połowę sumy.

- Dziękuję. - Lancelot z uśmiechem przyjął garść banknotów.

- Napiwek zaley od uznania pasażera - dodał kierowca.

- Napiwek?

- Człowieku, od razu widać, że nie jesteś stąd. Napiwek. No, wiesz, jak w restauracji. Trochę dodatkowych monet, jeśli uznasz, że zostałeś dobrze obsłużony.

Po twarzy Lancelota przebiegł błysk zrozumienia. Oddał kilka dolarów taksówkarzowi.

- Dzięki, kolego. I powodzenia.

- Dziękuję panu.

Kierowca uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz pasażer nazwał go „panem”.

Lancelot zawrócił i długimi, pewnymi krokami ruszył do schroniska. Od czasu przybycia do Nowego Jorku pierwszy raz szedł w ten sposób - miał cel, wiedział, dokąd zmierza.

Szedł do Avalonu.

Kiedy zbliżył się do napisu, zwolnił kroku. Zobaczył, że ustawiła się tu kolejka. Ludzie czekali, żeby wejść do środka. Kilka osób zerknęło na niego i natychmiast odwróciło wzrok.

Poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu cios w żołądek. Zatrzymał się, oszołomiony widokiem, który ujrzał przed sobą. Nie wstrząsnęło nim ubranie zgromadzonych tu ludzi, chociaż niektórzy mieli na sobie zniszczone płaszcze, a buty jednego

mężczyzny były związane sznurkiem. Włosy dziecka były poszarzałe, bez połysku, chociaż starannie związane wypłóviała różową wstążką. To nie wygląd bezdomnych sprawił, że Lancelot stanął w pół kroku.

To były oczy bezdomnych. W ich spojrzeniu dostrzegł brak nadziei i przygnębienie. Świat o nich zapomniał. Życie toczyło się dla innych, gdy tymczasem oni tłoczyli się przed zamkniętymi drzwiami i czekali, aż ktoś ich wpuści do środka, pozwoli im skorzystać ze schronienia pod dachem.

Rozpoznał to spojrzenie, ponieważ przypominało mu jego własny wyraz twarzy, przywoływało uczucia, których sam doświadczał: zagubienie, utrata gruntu pod nogami, niepewność tego, co przyniesie przyszłość.

W Camelocie nie było schronisk dla bezdomnych. Tam każdy miał dom.

Cofnął się pamięcią do czasów, zanim odnalazł Camelot. To prawda, że było to ponad tysiąc lat wcześniej, na zupełnie innej ziemi. Jednak twarz cierpienia pozostała taka sama.

Ludzie w kolejce spoglądali podejrzliwie na nieznajomego w butach z długimi cholewami i niebieskiej tunice.

- Cześć - odezwała się w końcu dziewczynka z różową kokardą na głowie.

- Cześć - odrzekł Lancelot z uśmiechem.

Zrobiło się jakieś zamieszanie i nikt już nie zwracał uwagi na Lancelota. Drzwi się otworzyły i ukazał się w nich zmęczony młody człowiek w okularach i włożonej daszkiem do tyłu czapce baseballowej. Ludzie zaczęli wchodzić do środka, a on zamieniał z każdym kilka słów.

- Cześć, Phil, co słyhać? Melindo, pięknie dziś wyglądasz! Jak się masz, Dave? Jak noga?

Powitał wszystkich, jednego po drugim, a oni mu odpowiadali, niektórzy uśmiechem, inni wzruszeniem ramion, a jeszcze inni nawiązywali krótką rozmowę.

Dziwna myśl przyszła Lancelotowi do głowy. Co by było, gdyby Julia została bezdomna? Gdyby coś się wydarzyło i to ona musiałaby czekać na ulicy, aż ktoś ją wpuści do środka?

Bez dalszego namysłu podszedł do mężczyzny w czapce z daszkiem.

Uśmiech młodego człowieka zbladł. Spojrzał na schludny strój Lancelota, na jego najwyraźniej starannie wypielegnowane ciało.

- Słucham?

- Co mogę zrobić? - zapytał rycerz.

Mężczyzna patrzył na niego zaskoczony.

- Nic, człowieku, nic. To oficjalnie zarejestrowane schronisko. Mamy zezwolenie od władz miasta i tutaj właśnie dostaliśmy lokalizację, kolego. Przykro mi, jeśli złości cię nasza obecność, bo przez to cena twojej nieruchomości może pójść w dół, ale...

- Mojej nieruchomości? - Oczy Lancelota się zwęziły. - Jakiej nieruchomości?

Mężczyzna skrzyżował ramiona na piersiach.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi, mistrzu siłowni. Nie podoba ci się, że taka instytucja znalazła się w pobliżu twojego mieszkania. Wszędzie, tylko nie tutaj, co? Słuchaj, dość mam takich dzianych facetów. Niech twój adwokat przyśle nam oficjalne pismo.

- Nie, nie. Nie o to mi chodziło. Chciałbym pomóc.

- Co takiego?

- Chciałbym wam pomóc. Chcę się dowiedzieć, co mógłbym zrobić. Jestem do dyspozycji.

- Trochę pieniędzy zawsze się nam przyda - z wahaniem odrzekł mężczyzna, jakby się obawiał, że słysząc te słowa, ten dziwny człowiek się na niego rzuci. - Może po prostu wypiszesz czek, i to teraz, zanim wytrzeźwiejesz.

- Nie mam pieniędzy. A nie, zaczekaj. - Lancelot zapomniał o garści zmiętych banknotów. - Proszę - oznajmił zadowolony. - Czy to pomoże?

- Ale suma! Osiem dolarów! - Już miał oddać pieniądze, ale

w tym człowieku było coś takiego, co kazało mu się chwilę zastanowić. - Od niedawna jesteś w Nowym Jorku, co?

Lancelot skinął głową.

- To pewnie od razu widać. Ale mam pytanie.
- Słucham.
- Dlaczego wszyscy mówią tu do mnie „kolego”?

Mężczyzna dopiero po chwili namysłu zrozumiał, o co nieznanemu chodzi.

- Ach, to. To taki prawie miły sposób zwracania się do kogoś, kogo imienia nie znamy.

Lancelot skinął głową, potem spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

- Co teraz robicie?
- W tej chwili? Wydajemy lunch.
- Potrzebujecie pomocy?

Mężczyzna ze zdumieniem patrzył na gościa w tunice.

- Mówisz poważnie?

Lancelot jeszcze raz skinął głową.

- Fakt, brakuje nam trochę rąk do pracy. - Po raz pierwszy młody człowiek w okularach się uśmiechnął. - Do diabła, bardzo nam brakuje ludzi. To praca ochotnicza, ale większość rezygnuje po kilku godzinach. - Nie powiedział tego głośno, ale w głębi duszy wątpił, czy Lancelot wytrwa nawet te kilka godzin. - Proszę bardzo. Lunch jest już gotowy, ale trzeba pozmywać i przygotować wszystko na wieczór. Bierz szczotkę i posprzątaj ubikacje. Potem trzeba zasłać prycze. Potrzebujemy też kogoś do pomocy przy gotowaniu kolacji.

Lancelot uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie. Z przyjemnością pomogę.

Człowiek w czapce baseballowej podrapał się po głowie i odstaąpił o krok, żeby wpuścić Lancelota do środka.

- A tak przy okazji, nazywam się Bill Kowalski. A ty?
- Lancelot - odrzekł rycerz. - Nazywam się Lancelot.
- O, rany! - Bil roześmiał się. - W szkole pewnie nie miałeś

życia! W podstawówce wszyscy cię bili, dziewczyny w college'u się z ciebie śmiały, tak?

- Jakbyś zgadł, Bill - powiedział z powagą Lancelot.

Uścisnęli sobie dłonie i rycerz wszedł do schroniska. Zawinał rękawy i zaczął szorować ubikację.

Od długiego czasu żadna praca nie dała mu tyle satysfakcji.

To był prawdziwy sukces, stwierdziła w duchu Julie, kiedy kelner w smokingu przyjmował następne zamówienie. Klient podejmował pracowników agencji lunchem w Czterech Porach Roku. Zwykle, a nawet można powiedzieć, że zawsze, bywało odwrotnie, to agencja podlizywała się wszechwładnym klientom.

Julie westchnęła i zerknęła na inne stoliki. To była godzina i miejsce odpowiednie dla bardzo ważnych spotkań. Jeśli ktoś zapraszał cię tu na lunch, to dla wszystkich było jasne, że jesteś kimś ważnym. Tuż za ogromną kompozycją kwiatową Julie spostrzegła autorkę bestsellerów i znanego wydawcę, pochylonych nad butelkami wody mineralnej i talerzami owoców. Nieopodal siedział znany komentator telewizyjny i dramaturg z Broadwayu. W tej restauracji po prostu czuło się w powietrzu zapach władzy i pieniędzy.

Zanim wyszła z biura, zadzwonił z Londynu prezes firmy i pogratulował jej sukcesu. W tej branży wiadomości szybko się rozchodzą, chociaż na ogół złe nowiny najszybciej docierają za ocean. To była zdecydowana odmiana.

Nie pamiętała już, kiedy ostatnio miała taki udany dzień pracy. Miała wrażenie, że nie ma dla niej rzeczy niemożliwych, że każdy jej spontaniczny pomysł musi się okazać istną perełką, doskonałością.

Jednak cały czas czuła jakiś ucisk w żołądku. Mogła myśleć tylko o Lancelocie, o tym, jak przyszedł do jej biura i dosłownie wybawił ją z opresji, a ona w zamian niemal siłą odebrała mu miecz i wysłała taksówką do domu jak nieproszonego gościa.

- Jak sądzisz, Julie, czy to się uda? - Swenson mówił do niej od dłuższego czasu, ale ona nie usłyszała ani słowa.

- Słucham?

Roześmiał się.

- Ach, ci geniusze! Pewnie obmyślasz nowy slogan?

- Nie, nie. Przepraszam, panie Swenson. Jestem dzisiaj trochę zmęczona.

- Masz do tego prawo. Zwłaszcza po dzisiejszym dniu. Mówiłem, że Błysk sponsoruje imprezę dobroczynną w Metropolitan Museum.

- A, tak, oczywiście. Pamiętam, że o tym czytałam. - Pomysł był rzeczywiście wspaniały. Polegał na tym, żeby zebrać kilka organizacji dobroczynnych i razem zorganizować jedną wielką imprezę, zamiast rozpraszać środki, rywalizować z innymi organizacjami o najlepszych gości i sponsorów. To miało być najważniejsze wydarzenie sezonu, na którym należało być, żeby dać się zobaczyć i samemu oglądać sławnych ludzi.

- Zastanawiałem się właśnie, czy nie moglibyśmy wykorzystać tego miecza jako atrakcji wieczoru.

- Słucham? - Nie do końca go zrozumiała. - Jak to?

- Nie wiem, czy pamiętasz z artykułów prasowych, ale tematem przewodnim imprezy ma być średniowiecze. Wiesz, romantyzm i elegancja dawno minionych czasów. Przyszło mi to do głowy dopiero dzisiaj rano, ale może moglibyśmy dodać motyw Camelotu. W końcu, czy jest coś bardziej romantycznego niż ta legenda?

- Świetny pomysł.

- No i nie ukrywam, powiedzmy to sobie otwarcie, byłby to wspaniały początek kampanii reklamowej Błysku. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Impreza odbędzie się w Metropolitan Museum, więc miecz byłby doskonale chroniony. Nawet ja, swoim słabym wzrokiem, dostrzegłem, że to nie jest żadna imitacja. No i przecież zamknęłaś go w sejfie agencji, prawda?

- Tak - przyznała.

- Tak się nie postępuje z byle jakim tanim rekwizytem. Czy nie mam racji?

- Ma pan absolutną rację, panie Swenson.

- W każdym razie... - Prezes odchylił się do tyłu, kiedy kelner stawiał przed nim talerz z kawałkiem melona. - Pomyśl o wypożyczeniu nam miecza. To by się bardzo przysłużyło naszej sprawie, Julie. Pomogłoby wielu ludziom w potrzebie.

Przyniesiono jej pierwsze danie, a Julie zastanawiała się nad słowami Swensona. Propozycja jej się spodobała. W tej chwili Excalibur nie mógł pomóc królowi Arturowi, ale być może z jego pomocą uda się zrobić coś wspaniałego. Przecież właśnie na tym polegała jego magia. Dzięki temu mieczowi dobro triumfowało nad złem. O to właśnie w tym wszystkim chodziło.

- Panie Swenson, to doskonały pomysł - stwierdziła w końcu.

- Świetnie! Cudownie! Czy mogę coś jeszcze dodać?

- Oczywiście.

- Jak już mówiłem, nie jestem znawcą, ale ten miecz wydał mi się dość... hm... szczególny. Wiem, że pomieszczenia agencji są chronione i wiem, że nie masz wątpliwości co do swoich pracowników. Ale, szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy agencja to wystarczająco bezpieczne miejsce dla takiego przedmiotu. Dotknąłem go, Julie! Mój Boże, co to za uczucie!

Oczy Julie się rozszerzyły. On miał rację. Całkowitą rację.

- Martwię się - ciągnął, nabijając malinę na widelec. - Widzisz, gdyby ktoś chciał naprawdę dostać ten miecz w swoje ręce, byłoby wam w agencji trudno mu przeszkodzić. Wystarczy trochę determinacji... Rozumiesz, co mam na myśli.

Przez głowę Julie przebiegła jedna myśl. Malvern. Przecież był gdzieś w pobliżu, kręcił się po mieście. Co by się stało, gdyby się jakoś dowiedział, gdzie jest Excalibur?

Swenson zauważył lęk w jej oczach.

- Nie martw się. Jestem pewien, że w tej chwili nic mu nie grozi, ale proponuję, żebyś go przesłała do muzeum. Chyba nie

ma bezpieczniejszego miejsca na świecie niż Muzeum Sztuki Metropolitan. Do czasu imprezy będą go trzymać w bezpiecznym miejscu, może nawet trochę go odrestaurują.

- Doskonały pomysł, proszę pana - oznajmiła raz jeszcze.
 - Więc będziemy mogli dwudziestego trzeciego skorzystać z miecza?
 - Tak. Wydaje mi się... - Zamilkła.
 - Co ci się wydaje?
 - Wydaje mi się, że mieczowi bardzo się to spodoba - dokończyła z uśmiechem.
- Swenson wcale się nie roześmiał.
- Wiesz, Julie, chociaż brzmi to niedorzecznie, mnie również się tak wydaje.

13

Pierwszą rzeczą, jaką Julie zrobiła po powrocie z lunchu, było odesłanie miecza do Metropolitan Museum, wraz z instrukcją, żeby natychmiast ją zawiadomiono, kiedy przesyłka bezpiecznie dotrze na miejsce. Pół godziny po wyjeździe posłańca dostała wiadomość, że miecz jest na miejscu. Doznała uczucia niewysłowionej ulgi - na samą myśl, że Excalibur mógłby się dostać w ręce Malverna, robiło jej się niedobrze.

Potem usiadła wygodnie w fotelu i napawała się sukcesami minionego dnia. Mimo że dotychczas wiele razy odnosiła w pracy sukcesy, ten w jej oczach przewyższał wszystkie poprzednie. Wiedziała, że w dużej mierze zawdzięcza to Lancelotowi.

Nagle wydało jej się możliwe, że Lancelot znajdzie szczęście w tym świecie. U jej boku.

Dzwonek telefonu gwałtownie wyrwał ją z zadumy.

- Jak się dziś miewa moja ulubiona wielbicielka legendy Camelotu?

- Peg! Tak się cieszę, że dzwonisz.

- Julie - zaczęła przyjaciółka. - Posłuchaj... Od razu powiem, o co mi chodzi. Martwię się o ciebie.

- Nie musisz owijać w bawełnę. - Słowa Peg nie zaskoczyły

Julie, zwłaszcza po tym, co się wydarzyło podczas urodzinowego przyjęcia Nathana. Sama byłaby przerażona, widząc przyjaciółkę w podobnej sytuacji, gdyby ta nagle zjawiła się w towarzystwie mężczyzny, który twierdzi, że jest postacią z legendy i liczy sobie ponad tysiąc lat. - Założę się, że się martwisz, ponieważ umawiam się na randki z Lancelotem. O to chodzi? Jeśli o coś innego, to natychmiast mi to powiedz.

- Julie, mówię poważnie.

- I właśnie to jest najgorsze, kiedy ma się za przyjaciółkę psychoterapeutkę. - Peg nie roześmiała się, więc Julie ciągnęła: - No, dobrze. Porozmawiajmy serio. Proszę, wytłumacz mi wszystko. Dlaczego się o mnie martwisz? - Mówiąc to, odrywała z bloczka żółte samoprzylepne karteczki i odkładała je z powrotem na miejsce.

- Myślę, że ten twój Lancelot ma jakieś poważne kłopoty ze sobą. Silne utożsamianie się z legendarną czy historyczną postacią to jedno. Pamiętasz tego faceta, z którym się umawiałam kilka lat temu?

- Jasne. Tego, który miał obsesję na punkcie Roberta E. Lee?

- Właśnie o tego mi chodzi. Chociaż był nieźle stuknięty, potrafił nad sobą panować, nawet jeśli od czasu do czasu żegnał maszerujące na wojnę oddziały albo ze stoickim spokojem poddawał się generałowi Grantowi. Mimo to potrafił ukrywać, jak poważna jest jego fiksacja. Aż do tego nieszczęsnego weekendu.

- A, tak - przypomniała sobie Julie. - Romantyczna wyprawa do Gettysburga.

- Nieważne. Nie rozmawiamy o mnie. - Peg pociągnęła nosem. - W każdym razie, mój Robert E. Lee to była całkiem nieszkodliwa postać w porównaniu z Lancelotem z Jeziora.

- Jak możesz tak mówić? Jestem przekonana, że Lancelota po prostu niesłusznie obwiniono.

- To nie ma tu nic do rzeczy. Próbuję ci wytłumaczyć, jakie to jest dziwne, wręcz niebezpieczne, kiedy dorosły mężczyzna do tego stopnia identyfikuje się ze średniowiecznym rycerzem. Zapom-

nij o historii, bez względu na to, czy uważasz oficjalną wersję za prawdziwą, czy nie. Jak byś się czuła, gdyby twój znajomy udawał, że jest Tedem Bundy albo Adolfem Hitlerem?

- Och, daj spokój!

- Lancelot pochodzi z odleglejszej przeszłości, ale to wcale nie znaczy, że taka obsesja jest mniej niebezpieczna. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że twój znajomy to wariat.

- Peg, błagam.

- Naprawdę. - Peg zniżyła głos. - Widziałas kiedyś komiksową wersję *Opowieści o królu Arturze*, wydawaną przez Majestic?

- Nie, jakoś nie wpadła mi w ręce. Dawno już przestałam czytać komiksy, ale nadal trzymam jakiś w nocnej szafce.

- Myślę, że powinnaś obejrzeć sobie tę książkę, i to tak szybko, jak tylko możliwe. Pożyczę ją od Nathana i podrzucę ci do biura. Ja obejrzałam ją sobie dokładnie.

- Moja przyjaciółka czytuje komiksy?

- Twój znajomy najwyraźniej wymyślił sobie jakiś wariacki scenariusz. A wszystko dlatego, że fizycznie bardzo przypomina postać z rysunków w tej książce. Co więcej, jest tam też kobieta, która wygląda dokładnie tak jak ty.

- Peg, mam taką twarz, że wszystkim się wydaje, że skądś mnie znają albo że chodzili ze mną do szkoły. Sama mi to ciągle powtarzasz. Może po prostu ta postać z komiksu też ma taką twarz.

- Co wiesz o tym człowieku?

- O autorze tego komiksu? Nic. Nie widziałam nawet tej książki na oczy.

- Wiesz, o co pytam. - Julie nigdy jeszcze nie słyszała, żeby przyjaciółka mówiła tak poważnym tonem, pozbawionym choćby isierki poczucia humoru. - Pojawił się znikąd. Nigdy mi o nim nie wspominałaś i nagle przedstawiasz mi tego kulturystę, któremu najwyraźniej brakuje co najmniej kilku klepek i który twierdzi, że jest rycerzem Lancelotem. Ta zabawa robi się niebezpieczna. Więc pytam jeszcze raz: co o nim wiesz?

- Dobry Boże, pomóż nam!

Potem maszyna umilkła.

Lancelot podniósł się wolno, z poduszką w rękę.

- Kto to był? - zapytała Julie. - Nie rozpoznałam tego głosu.

Rycerz na chwilę przymknął oczy, a potem spojrzał na nią ze ściągniętą twarzą.

- Ten głos rozpoznałbym wszędzie - oznajmił cicho. - Lady Julio, to był głos królowej Ginewry.

Nowe, eleganckie ubranie dziwnie nie pasowało do rozczochranego mężczyzny.

Sam uniósł głowę znad filiżanki porannej kawy, kiedy usłyszał dźwięk dzwonek, zawieszonych nad wejściem do księgarni. Natychmiast pożałował, że otworzył sklep kilka minut wcześniej niż zwykle.

- Bardzo przepraszam, ale jeszcze zamknięte - odezwał się zza lady.

- Nic mnie to nie obchodzi - odparł rozczochrany mężczyzna. - Potrzebuję twojej usługi.

Ten akcent coś Samowi przypominał; klient mówił tak samo jak Lancelot. Przyjrzał się uważniej jego rysom twarzy, ponieważ wydały mu się znajome.

Ten człowiek miał w oczach coś niepokojącego, coś, co wzbudzało lęk i nie pozwalało odmówić jego żądaniom.

- W czym mogę pomóc?

Rozczochrany przybysz wyjął kawałek czerwonego materiału, który okazał się kobiecą apaszką. Pierwsze, co przyszło Samowi do głowy, to to, że pod materiałem kryje się broń, ale nieznamy wyjął z zawiniątka biżuterię, prawdziwą i sztuczną. Sam poczuł ulgę.

- Przykro mi - powiedział. - To nie jest lombard.

Oczy mężczyzny rozbłysły na krótką chwilę i wtedy Sam go

wszystko, od niespodziewanej wizyty w Camelocie po wydarzenia między Lancelotem, królem Arturem i Malvernem. Jednak Peg przeraziłaby się nie na żarty, gdyby doszła do wniosku, że Julie straciła kontakt z rzeczywistością. Nigdy by nie uwierzyła, że podczas gdy chłopcy byli w toalecie, jej przyjaciółka zrobiła sobie krótką wycieczkę do Camelotu. I tak już wyrażała obawy co do zdrowego rozsądku Julie.

- No, dobrze. Zadam ci te pytania tylko raz. Dlaczego, u diabła, przebrał się za Lancelota? I dlaczego nie przestał odgrywać roli średniowiecznego rycerza, kiedy wyszliśmy z restauracji?

- To chyba był taki żart - próbowała tłumaczyć Julie. - To znaczy, pewnie widział ten komiks i postanowił tak sobie z nas zażartować. - Postanowiła zmienić temat. - A kiedy ta książka została wydana? - Za wszelką cenę chciała zbić Peg z tropu.

- Jest dość stara - przyznała Peg. - Po raz pierwszy ukazała się pod koniec lat trzydziestych. Chyba z okazji Wystawy Światowej. O ile wiem, nie wznawiano jej od niemal sześćdziesięciu lat. Kupiłam ją dla Nathana w tej księgarni, za którą tak przepadasz.

- Pod Kociołkiem i Czaszką? Takie urocze miejsce.

- Właśnie. W każdym razie, to wszystko wydaje mi się bardzo podejrzane.

- Cóż... - Julie chciała wystąpić z jakimś logicznym wyjaśnieniem, ale w głowie czuła pustkę. Jeszcze raz zastanowiła się, czy może wyznać przyjaciółce prawdę, ale znowu doszła do wniosku, że odpowiedź brzmi „nie”. Musiałaby przecież jej zdradzić, że była w Camelocie.

- Gdzie on się zatrzymał? Mam nadzieję, że nie u ciebie. - Peg mówiła swoim zawodowym, oschłym tonem.

- Ściśle mówiąc, zatrzymał się właśnie u mnie. Ale posłuchaj, dzisiaj naprawdę ocalił moja kampanię reklamową. Chcę powiedzieć, że ma wielki talent do... - Umilkła. Zdała sobie sprawę, że wielki talent do wymyślania chwytów reklamowych nie świadczy zbyt dobrze o uczciwości człowieka.

- O Boże, Julie, ale czy to ma jakieś znaczenie? Bądź ostrożna, proszę. Nie trać głowy. Wiem, że...

- Co takiego?

- Wiem, że od dawna szukasz rycerza, który przybyłby ci na ratunek. I oto zjawia się ten stuknięty facet, w przebraniu Lancelota, a ty wpisujesz go w legendę.

Julie uśmiechnęła się. Gdyby tylko Peg znała prawdę. Gdyby tylko kochana przyjaciółka miała pojęcie, jak blisko prawdy się znalazła.

- Wiem, jak to wygląda, Peg. Dziękuję za troskę. I będę uważała.

- Dobrze. Zadzwoń do mnie albo jeszcze dzisiaj, albo kiedy tylko będziesz miała ochotę.

- Jasne. Jeszcze raz dziękuję.

Julie odłożyła słuchawkę. Minęła szósta po południu. Wyobraziła sobie Lancelota, samego w jej mieszkaniu. Nie zadzwoniła do niego, po prostu dlatego, że nie wyjaśniła mu jeszcze, jak korzystać z telefonu. I tak czuł się bezużyteczny, więc nie chciała dodawać dzwoniącego telefonu do listy codziennych sprzętów, których nie potrafił używać.

Uśmiechnęła się i postanowiła wrócić do domu. Chociaż raz w życiu nie wracała do pustego mieszkania, ale do takiego, w którym czekał na nią wspianały mężczyzna.

Doszła do wniosku, że to jeden z najlepszych dni w jej życiu.

Portier powitał ją jak zwykle przyjacielsko, chociaż niezbyt wylewnie.

- Dobry wieczór, panno Gaffney.

- Witam. - Uśmiechnęła się. Przełożyła torby z zakupami do jednej ręki i sprawdziła, czy nie przysły do niej jakieś listy.

- A, była pani w sklepie?

Julie spojrzała na pięć niebieskich toreb z napisem „Gap”, wypełnionych ubraniami dla Lancelota.

- Że też się domyśliłeś! - Tak cudownie było robić zakupy dla Lancelota, wybierać mu spodnie, T-shirty, skarpetki i buty. Wszystko dla Lancelota. Była w tak doskonałym nastroju, że z radością nawiązała nawet tak zdawkową pogawędkę. - Aha, czy mój przyjaciel jest na górze?

- Ten, który tu był wczoraj wieczorem?

- Tak. Czy jest w mieszkaniu?

Oczywiście, znała odpowiedź na to pytanie. Zadała je specjalnie, tylko po to, żeby dać portierowi znać, że wszystko jest w porządku, nie ma się o co martwić. Dzięki temu następnym razem Lancelot swobodnie wejdzie do jej mieszkania i nikt nie będzie zadawał żadnych pytań.

- Nie. Chyba go nie widziałem.

Zatrzymała się.

- Słucham?

- Powiedziałem, że nie widziałem pani przyjaciela.

- Och, może przyszedł, zanim zaczęłaś dyżur.

- Może. Ale jestem tu od południa.

Od południa? To właśnie wtedy Julie wysłała Lancelota w taksówce do domu. Musiał już wrócić.

- Robiłeś sobie jakieś przerwy czy coś w tym rodzaju?

- Nie. Nic szczególnego się tu nie działo, a kiedy musiałem na chwilę wyjść, poprosiłem Dave'a, żeby mnie zastąpił. - Dave był portierem w sąsiednim domu.

- Rozumiem- odparła, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. - Charles, masz dodatkowy komplet kluczy do mojego mieszkania? Mógłbyś mi pożyczyć? Jutro każę dorobić kilka nowych.

- Nie ma problemu. - Wszedł za kontuar i podał jej klucze.

Jak automat podeszła do windy, a portier wcisnął guzik z numerem jej piętra. Chyba mu podziękowała, ale wcale nie była tego pewna.

Może Lancelot czeka na nią na górze. Może jakoś prześlizgnął

się nie zauważony obok portiera. Charles pewnie zajął się czytaniem gazety albo Dave na chwilę odszedł na swój posterunek w sąsiednim domu.

Lancelot pewnie siedzi w salonie i czeka na nią niecierpliwie.

Nie czekał. Kiedy tylko otworzyła drzwi, wiedziała, że go tam nie ma. A mieszkanie wydało jej się jeszcze bardziej puste przez to, że spodziewała się czyjejs obecności.

Odstawiła torby ze sprawunkami i zaczęła się poważnie martwić. Był sam w mieście, którego nie rozumiał. Czyhało na niego tyle potencjalnych niebezpieczeństw, że nie trzeba było bujnej wyobraźni, żeby wpaść w panikę. Julie wiedziała, że jeśli zdarzy się jakaś niebezpieczna sytuacja, Lancelot dumnie ogłosi, kim jest, i ruszy do walki, przez co sytuacja stanie się jeszcze bardziej niebezpieczna.

Jak mogła tak głupio postąpić? Zapakowała go do taksówki, dała podejrzanemu typowi za kierownicą garść banknotów i bez troski zostawiła Lancelota samego sobie. To było coś więcej niż zwykły brak odpowiedzialności. To było po prostu okrucieństwo.

W wyobraźni ujrzała go błakającego się po mieście, zagubionego, wystraszonego, nie wiedzącego, gdzie się zwrócić. Może taksówkarz coś by o nim wiedział, ale Julie nie zadała sobie trudu, żeby zanotować jego numer służbowy lub nazwisko. Być może Lancelot leży gdzieś ranny w zaułku i wykrwawia się na śmierć.

Nie wiedziała nawet, do kogo zadzwonić. Na policję? Akurat. Dobry pomysł. Miałaby powiedzieć, że człowiek bez jakichkolwiek dokumentów, przebrany za średniowiecznego rycerza, nie znający podstawowych realiów życia w dwudziestym wieku, był ostatnio widziany w taksówce na Manhattanie? Jego wiek? Och, jakieś tysiąc pięćset lat, z dokładnością do kilkunastu dziesięcioleci. Narodowość? Cóż, pochodzi z Camelotu, więc chyba jest... Camelotczykiem? A może Camelotyta? Zawód? Pohańbiony rycerz Okrągłego Stołu.

Peg. Mogła zadzwonić do Peg. Ona na pewno będzie wiedziała, do kogo się dzwoni, kiedy ginie ktoś nie całkiem pasujący do otoczenia. Ktoś, kto nie powinien zostawać sam, ktoś zagubiony i być może przestraszony. Oczywiście, Peg, doświadczona terapeutka, będzie znała odpowiednie instytucje. Zadzwoni, na przykład, do takich dobrych ludzi w białych fartuchach, którzy przemawiają takim miłym głosem.

Po namyśle Julie doszła do wniosku, że telefon do przyjaciółki będzie rozwiązaniem najgorszym z możliwych.

- Och, Lancelocie! - jęknęła ze łzami w oczach. Czyżby na zawsze go utraciła? Czy jeszcze kiedyś go zobaczy? - Proszę, wybacz mi.

Przejęta własnym cierpieniem, nie usłyszała chrobotu klucza, cichego szczęku otwierających się zamków i skrzypienia klamki.

- Jesteś chora?

- Lancelot! - Z wyciągniętymi ramionami podbiegła do niego, potykając się o torby. - Jestem taka... - Cofnęła się o krok i spojrzała na niego. Uśmiechał się, jakby właśnie przeżył najmiłszy dzień swojego życia. Potem zauważyła, że bije od niego charakterystyczny zapach. - Płyn do czyszczenia o zapachu sosny? - zdziwiła się.

Pociągnął nosem.

- Miałem nadzieję, że udało mi się go usunąć.

- Usunąć z czego?

- Z rękawa. Bill zapomniał mi powiedzieć...

- Bill?

- Tak, zaraz do tego dojdę. Czy Excalibur jest w bezpiecznym miejscu?

Julie zamrugła, starając się nadażyć za tokiem jego myśli.

- Tak. Dałam go na przechowanie do muzeum.

- Aha. A co to takiego muzeum?

- To takie miejsce, gdzie trzymają wartościowe przedmioty, żeby nikt nie mógł ich dotykać.

- Rozumiem. W takim razie, wytłumacz mi, czym się różni muzeum od Bloomingdale'a?

- Bloomingdale to dom towarowy i tam... Zaraz, zaraz! Gdzie usłyszałeś o Bloomingdale'u?

- Od Billa. Zapytał mnie, czy tam kupiłem swój strój. Wytłumaczyłem mu, że jestem z innego miasta, a on powiedział mi, co to jest Bloomingdale. Wyjaśnił mi, że to taki drogi sklep, do którego większość ludzi chodzi tylko po to, żeby popatrzeć na wystawione tam przedmioty.

- Kto to jest Bill?

- Pracuje w schronisku.

- O, mój Boże! Biedaku! Napadli cię? A może zgłodniałeś i ktoś ci pokazał drogę do schroniska? Wiedziałam, że nie powinienam zostawiać cię samego.

- Nie, nie! Julio, proszę! Mylisz się. Poszedłem do schroniska, żeby tam pracować. Na ochotnika. Zobaczyłem je z okna taksówki i poprosiłem kierowcę, żeby się zatrzymał. Spędziłem tam wiele godzin.

Julie osłupiała.

- I co tam robiłeś?

- Przeważnie płytałem się innym pod nogami. Ale również pomagałem wydawać lunch, przygotowywałem prycze na noc i otwierałem konserwy na kolację. Aha, i szorowałem toalety.

- Szorowałeś toalety?

- Dlatego czujesz ode mnie woń płynu do czyszczenia. Bill nie wytłumaczył mi, jak się spuszcza wodę, więc... Myślał, że już wiem takie rzeczy.

Patrzyła ze zdumieniem na tego niezwykłego szlachetnego człowieka, którego wyrwano ze znanego mu świata, któremu odebrano wszystko, nad czym pracował całe życie. A on natychmiast, zanim jeszcze w pełni zrozumiał, co mu się przydarzyło, i zanim zdążył się do tego przyzwyczaić, postanowił zrobić coś, żeby pomóc innym.

- Dlaczego to zrobiłeś?

Odpowiedział z namysłem, spoglądając gdzieś nad jej głową:

- Najpierw moją uwagę przyciągnęła nazwa schroniska. Avalon.

- Avalon?

- Mityczna wyspa, miejsce, gdzie ludzie zdrowieją, doznają ulgi i pocieszenia. Nie myślałem jasno, po prostu patrzyłem przez okno. Wtedy właśnie spostrzegłem znajome słowo. Wsiadłem więc. Przed drzwiami kłębili się ludzie, czekali, aż otworzą schronisko. Popatrzyłem na ich twarze i również w nich dostrzegłem coś znajomego. Zobaczyłem strach, rozpacz, głód większy niż fizyczna potrzeba jedzenia. Zobaczyłem głód duszy. Krótko mówiąc, rozpoznałem w nich siebie.

- Czy rozmawiałeś z kimś jeszcze, oprócz Billa?

- Owszem. I po raz pierwszy, odkąd się tu zjawiłem, wszystko rozumiałem. To są dobrzy ludzie, którzy nie potrafią dać sobie rady w tej społeczności. Dla niektórych to tylko chwilowy kryzys, zła passa, pożar domu. Inni cierpią z powodu słabego zdrowia lub utraty pracy. A jeszcze inni od dziecka żyją poza murami tego miasta, na obrzeżach. Jeden czy dwóch z nich okazywało gniew i gorycz, ale reszta po prostu zrezygnowała z jakiegokolwiek walki. Pogodzili się ze swoją sytuacją, niechętnie, ale bez sprzeciwu.

- Tak właśnie ty się tutaj czujesz - stwierdziła.

- Nie. Zaczynałem się tak czuć, ale teraz się już na to nie zgadzam.

Julie spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła prawdziwego Lancelota, jakiego znała jeszcze z Camelotu.

- Musimy odnaleźć Malverna - powiedział. - Nieważne, jakim kosztem, musimy go znaleźć, zanim on znajdzie nas i zanim odkryje, jak wrócić do Camelotu. Jeśli nie przeszkodzimy mu w powrocie, przyniesie ostateczną i całkowitą zgubę królestwu. A jeśli damy mu czas, żeby przyzwyczał się do tego miejsca, to wkrótce odniesie sukces i tutaj.

- Rozumiem, o co ci chodzi - odparła, starannie dobierając

słowa. - Ale muszę wyznać, że chociaż Malvern mnie przeraża, to do końca nie wierzę, żeby mógł wyrządzić jakieś poważniejsze szkody. Bez Excalibura jest bezsilny. A Excalibura nie dostanie.

Lancelot przeczesał dłonią włosy.

- Nie mogę się z tobą zgodzić.

- Malvern to samotny człowiek w wielomilionowym mieście, w świecie zamieszkanym przez miliardy. Uwierz mi, tutaj nie uda mu się wyrządzić wiele złego.

- Lady Julio, rozmawiałem dzisiaj z ludźmi zdesperowanymi. Rozumiem, że jest ich tu wielu. Oni, w przeciwieństwie do ludzi mieszkających w domach, takich jak ten, pracujących w firmach, takich jak twoja, szukają kogoś, kto by ich poprowadził i odmienił ich los. Do tego nada się niemal każdy. Malvern jest sprytny i, co jeszcze ważniejsze, mściwy. Obieca im wszystko, żeby tylko za nim poszli, i może nawet uda mu się spełnić kilka obietnic, a to wystarczy, żeby go zbyt szybko nie opuścili.

- Nie, Lancelocie, nie wyobrażam sobie, jak mogłoby mu się udać...

- On to potrafi. I zapamiętaj moje słowa: zrobi to. Podejrzewam, że skoro tylko zorientuje się w sytuacji, poszuka sobie zwolenników. Sądzę, że będzie odwiedzał schroniska, takie jak Avalon, wkradnie się w życie ich mieszkańców, obudzi w nich fałszywe nadzieje. A potem stanie się bardzo niebezpieczny.

- Ależ to tylko jeden człowiek.

- Być może jest sam. Ale powiedz mi, czy nigdy w historii nie zdarzyło się tak, że jeden człowiek wprowadził wielkie zmiany? Czy to na gorsze, czy na lepsze?

Zamilkła, ponieważ miał absolutną rację. Historia pełna jest postaci, które zmieniły oblicze świata, od Juliusza Cezara do Olivera Cromwella. Żyli przecież Budda, Jezus, Joanna d'Arc. Napoleon, Jerzy Waszyngton i admirał Nelson. Marks. Lenin. Churchill i Gandhi. No i oczywiście, Stalin i Hitler.

Nawet na mniejszą skalę jeden człowiek może uczynić wiele dobra, poruszyć miliony ludzi bez pomocy armii i rządów, jak Jonas Salk, Harriet Beecher Stowe czy matka Teresa. Zło również może działać na mniejszą skalę, jak w przypadku Jima Jonesa i jego sekty.

U Malverna problem nie polegał na tym, czy okaże się on dobrym, czy złym człowiekiem. Nie było tylko pewne, jak wielki zasięg będzie miało wyrządzone przez niego zło i ilu ludzi uda mu się omamić.

To, że zdołał wmówić Arturowi, że nie tylko Lancelot, ale i jego ukochana żona go zdradziła, dowodziło, jak doskonale potrafił knuć i spiskować.

Lancelot miał rację. Malvern był równie niebezpieczny w dawnych czasach jak teraz.

- Od czego zaczniemy? - zapytała Julie.

- Myślałem o tym. Przede wszystkim musimy zapewnić sobie czyjaś pomoc, przekonać jakichś ważnych ludzi, że Malvern stanowi realne zagrożenie.

- Och, Lancelocie. Czy wiesz, jakie to będzie trudne, wręcz niemożliwe?

- Ty uwierzyłaś. A przecież pochodzisz z tych czasów.

- Tak, ale ja byłam w Camelocie. Nie sądzę... - Zamilkła na chwilę.

- Lady Julio?

- Coś mi przyszło do głowy. Siostrzeniec Peg ma pewien komiks, to taka książka z mnóstwem ilustracji, w którym podobno występujemy jak żywi.

- Nie rozumiem.

- Peg dzisiaj do mnie zadzwoniła. Bardzo się martwi, ponieważ uważa, że udajesz Lancelota.

- Udaję?

- No, tak. Zdaje się, że ten komiks nie tylko opowiada historię twojego życia, ale również zawiera obrazki, na których przedstawiono nas oboje jak żywych.

- Ach, tak - odparł w zadumie. - Dlatego Peg doszła do wniosku, że jestem oszustem, i to chorym na umyśle.

- Obawiam się, że tak. Ale przede wszystkim chodzi mi o to, że ten, kto narysował te obrazki, być może żył w Camelocie i widział nas tam na własne oczy. Jak inaczej mógł nas tak dokładnie narysować?

- Interesujące.

- Jeszcze jedno. Książka pochodzi z takiej dziwacznej księgarni, specjalizującej się w okultyzmie. Wiesz, to są takie sprawy, których nie można wytłumaczyć naukowo.

- Czyli w zasadzie wszystko.

- Też zaczynam tak sądzić. Może zaczęlibyśmy od tej księgarni.

- Dobrze. A ja sprawdzę, czy Bill byłby skłonny nam uwierzyć.

W końcu to on wybrał nazwę dla schroniska. Gdzieś w głębi duszy musi wyczuwać, że Avalon istnieje naprawdę.

- Może. Ten Bill to z pewnością bardzo sympatyczny człowiek, ale w jaki sposób może nam się przydać?

- Nie bardzo wiem - przyznał Lancelot. - Zna inne schroniska i wie, jak działa cały ten system. Malvern nie ma żadnych środków, nie ma pieniędzy, schronienia. Wydaje mi się, że nadejdzie taka chwila, kiedy będzie potrzebował pomocy.

Nagle Julie poczuła wielkie zmęczenie. Przypomniała sobie o torbach ze sprawunkami. Spojrzała z uśmiechem na zatopionego w rozmyślaniach Lancelota.

- Skoro mowa o pomocy - odezwała się. - Chciałabym ci podziękować za to, że mi pomogłeś dzisiaj rano, na zebraniu.

Przez chwilę nie wiedział, o czym Julie mówi, ale wreszcie ją zrozumiał i uśmiechnął się.

- Ach, tak. Błysk, uniwersalny magiczny środek do czyszczenia mieczy.

- Wiesz, Lancelocie, że uratowałaś moją karierę zawodową? Skłonił się lekko.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Kupiłam ci więc nowe ubrania. To znaczy, zrobiłam to dlatego, że nie chcę, żebyś się tutaj czuł nie na miejscu, tak jak ja się czułam w Camelocie, z papierową koroną na głowie i ślimakiem do kolan.

- Czy to, w co jestem ubrany, jest tu tak postrzegane, jak strój, w którym przybyłaś do Camelotu?

- Prawie. Ja wyglądałam dużo śmieszniej. W każdym razie, proszę, to dla ciebie.

Otwierała torbyjedną po drugiej, iwymowała ubrania. Dotykał ich, najpierw ostrożnie, podejrzliwie, potem z rosnącym zainteresowaniem.

- Tak. Bill miał na sobie coś podobnego. A ten człowiek na dole nosi takie giezło.

- To się w zasadzie nazywa koszula. Mężczyźni noszą koszule. Nauczysz się.

Uniósł brew.

- Mam pomysł - oznajmił.

- Jaki?

- Może kiedy się ubiorę w te stroje, będziemy mogli razem pójść do sklepu, o którym wspominałaś.

- Świetny pomysł! Taka księgarnia jak Pod Kociołkiem i Czaszką na pewno jest otwarta do późna.

- Pod Kociołkiem i Czaszką? Co za czarująca nazwa.

Nie minął kwadrans, a byli już w drodze do Greenwich Village, z nadzieją, że znajdą kogoś, kto uwierzy w historię Camelotu.

14

Tego dnia interesy znów nie szły dobrze.

Sam westchnął. Zastanawiał się, ile czasu jeszcze uda im się utrzymać tę księgarnię. Na szczęście, nie obciążały jej długi i należała wyłącznie do Sama i jego brata, Mela. Lokal pozostawał w rękach rodziny od ponad stu lat. Gdyby go wynajmowali, nie byłoby nawet o czym marzyć. Prawdę mówiąc, nieraz proponowano im wielkie sumy za ten budynek. Pewna bardzo sławna gwiazda filmowa chciała tu otworzyć restaurację. Wystarczyłoby strzelić palcami, a bracia Brillman zostaliby bogatymi ludźmi.

Nie wspomnieli o tej propozycji żonie Mela, Tinie. Nigdy nie rozumiała, dlaczego utrzymują tę księgarnię; twierdziła, że kiedy do niej wchodzi, ciarki przebiegają jej po plecach. Zabawne, że pieniądze, które przynosił interes - przynajmniej w przeszłości - jakoś nie przyprawiły biednej Tiny o nieprzyjemne dreszcze. Wydawała je bez najmniejszych trudności i czekała na więcej.

Szwagierka Tina była główną przyczyną tego, że Sam nigdy się nie ożenił. Melowi udawało się żyć z żoną w zgodzie, ale głównie dlatego, że robił wszystko, co mu kazała. No i spędzał wyjątkowo dużo czasu nad starymi książkami, na wyprzedażach

i aukcjach najróżniejszych staroci, które mogli potem umieścić na półkach w swoim sklepie. Biedny frajer Mel.

Sam krytycznym okiem spojrzął na wnętrze księgarni: na zasłony z paciorków, ceglane ściany pomalowane na czarno i na wypchaną sowę nad wejściem. Były tu półki z wielkimi księgami w twardych oprawach, całe rzędy wydań kieszonkowych o zaginionych rogach, skrzynia pełna używanych kart tarota i dwie szklane gabloty, w których wystawiali bardziej egzotyczne eksponaty. Nawet z daleka widział grabą warstwę kurzu, pokrywającą wszystko, łącznie z wypchaną sową.

- Mel, wycierałeś dzisiaj kurze? - zawołał w głąb sklepu. Brat siedział w pokoju na zapleczu i jak zwykle studiował z zapalem jakiś stary manuskrypt. Jajogłowy badacz. Z nich dwóch to Sam miał duszę artysty i zdolności dekoratorskie.

Z satysfakcją popatrzył na złotego jednorożca, wymalowanego na czarnym aksamicie.

Założyli tę księgarnię w połowie lat siedemdziesiątych i wtedy im się wydawało, że to wspaniały pomysł. Czas był po temu ze wszech miar odpowiedni; wszyscy interesowali się tym, co mistyczne i nieznanne. No a na dodatek bracia mieli już lokal. W tym budynku ich dziadek miał skład różnego rodzaju marynat i czasem, zwłaszcza gdy trafił się wilgotny dzień, można jeszcze było wyczuć w powietrzu lekką woń czosnku, octu i gorczycy.

Teraz księgarnia Pod Kociołkiem i Czaszką wydawała się równie nie na czasie jak skład z marynatami ćwierć wieku przedtem. Najwyraźniej im nowojorczyki stawali się zamożniejsi, tym mniej zawracali sobie głowę takimi tradycyjnymi czynnościami jak rzucanie uroków lub czytanie książek o zaginionych światach.

Przydałaby się jakaś głębsza recesja, pomyślał Sam. Jesienią osiemdziesiątego siódmego finansiści z Wall Street tłoczyli się w niewielkim sklepie jak sardynki w puszcze i unikając wzroku innych, kupowali książki okultystyczne, wyciągi z pająka i słoiczki z niebieskiego szkła.

Kto wie, może właśnie to pomogło gospodarce się podźwignąć. Może wystarczy, że ludzie z największych banków w kraju zaczną rzucać na siebie magiczne uroki, a zaraz... No, nieważne.

Zegar - zrobiony z prawdziwej ludzkiej czaszki - pokazał kwadrans po dwudziestej pierwszej. Nie było sensu dłużej czekać na klientów. Nie zanosіło się, że nagle wtargnie tu tłum niczym stado szarańczy.

Ta myśl o czymś mu przypomniała. Idąc z wielkim pękiem kluczy do frontowych drzwi, na chwilę się zatrzymał, żeby sprawdzić, czy mają wystarczający zapas suszonej szarańczy.

I wtedy ich zobaczył. To byli klienci. I to całkiem normalni. Nie jacyś dziwacy, których ostatnio kręciło się tu coraz więcej. Mężczyzna był słusznego wzrostu i mocno zbudowany, ubrany jak model z reklamy Gap, tylko nosił dłuższe włosy. Jego towarzyszka była szczupłą blondynką. Razem stanowili wyjątkowo urodziwą parę, w stylu bogatych nowojorczyków, co to na weekend wyjeżdżają do Hampton i mają fundusz powierniczy.

Otworzył drzwi, co poruszyło wiszące nad nimi dzwonki. Jeszcze raz przyjrzał się parze klientów i wpuścił ich do środka.

- Czołem, ludziska - przywitał ich raczej bezceremonialnie.

- Cześć - odrzekła kobieta. Przysunęła się do swojego towarzysza, jakby poczuła się w sklepie nieswojo. - Nie wiem, czy może nam pan pomóc...

Mężczyzna wpadł jej w słowo.

- Czy ma pan może jakieś książki na temat legendy o Camelocie i rycerzach Okrągłego Stołu? - zapytał. Mówił z lekkim akcentem, najprawdopodobniej brytyjskim, chociaż pobrzmiewało w nim jeszcze coś nietypowego.

- Ach, o Camelocie. Oczywiście, oczywiście. - Nagle zatrzymał się w pół kroku. - To zabawne, ale sądziłem, że przyszliście tutaj po jakiś napój miłosny.

Dziewczyna uśmiechnęła się nerwowo, ale mężczyzna tylko

skinął głową, jakby Sam właśnie wskazał mu drogę do toalety albo do działu z wiertłami w supermarkecie.

- Interesujące - powiedział. - A jak tutaj sporządzacie takie napoje? W Cam... - Przerwał, bo dziewczyna trąciła go znacząco łokciem w bok. - Tam, skąd pochodzę, używamy ziół z leśnego poszycia.

- Doprawdy? Muszę też kiedyś spróbować. My jesteśmy bardziej tradycyjni, nie dla nas takie wegetariańskie specyfiki. Do naszego przepisu potrzeba wyciągu ze skrzydła kolibra. W każdym razie to, czego szukacie, stoi tuż nad kryształowymi kulami. - Sam wskazał na półkę na poziome oczu. - Camelot stał się teraz bardzo popularny, pewnie ze względu na te aukcje pamiątek po Kennedych.

Klient najwyraźniej nic z tego nie zrozumiał.

- Później ci wytłumaczę, Lancelocie - szepnęła jego towarzyska.

- Nazywasz się Lancelot? - zapytał Sam, uśmiechając się szeroko. - Człowieku, twoi rodzice to dopiero musieli mieć poczucie humoru! - Przyjrzał się Lancelotowi uważniej. - Hej, chcecie usłyszeć coś dziwnego?

- Oczywiście - odparła kobieta i wzruszyła ramionami.

- Jesteś podobny jak dwie krople wody do Lancelota z komiksu Myrddina. Widziałeś kiedyś tę książkę? To dzisiaj już klasyka. Do licha, jakiś tydzień temu sprzedaliśmy jedyny egzemplarz, jaki mieliśmy w sklepie. Był w pierwszorzędnym stanie. To komiks z końca lat trzydziestych. Nie widziałem takiego przez ostatnie piętnaście, dwadzieścia lat. Rzecz prawie nie do zdobycia. Zaczekajcie chwilę... Nie macie nic przeciwko temu, że zawołam mojego brata, Mela? - Zanim którekolwiek z nich zdążyło odpowiedzieć, Sam krzyknął przez ramię: - Ej, Mel! Chodź tutaj! Nie uwierzysz własnym oczom!

Czekali chwilę, ale nie usłyszeli odpowiedzi. Lancelot wyjął kilka książek z działu poświęconego Camelotowi i odwróciwszy się plecami do Julii i właściciela antykwariatu, zaczął je kartkować.

- Wiem, jak go tutaj ściągnąć. Patrzcie tylko- rzekł Sam. Niedbałym tonem, jakby prowadził niezobowiązującą rozmowę, powiedział: - Zobacz, Mel. To chyba niemożliwe. Co pan powiedział? To ma pochodzić z dziesiątego wieku?

Po kilku sekundach jego brat wyłonił się z zaplecza. Nad okiem miał zamocowaną lupę jubilerską.

- Co powiedziałaś? Z dziesiątego wieku? - Nagle zauważył Julie i gwałtownie zamrugał. - Ależ to Wiedźma z Camelotu! Nie pochodzisz z dziesiątego wieku, ale z czwartego, a najwyżej z piątego.

- O czym ty mówisz? - zdziwił się Sam.

- Ona kłamie co do tego, ile ma lat.

- Nie, Mel. Nie o to mi chodzi. Przecież Wiedźma z Camelotu to była obrzydliwa stara baba. Chcesz mi wmówić, że ta śliczna pani to Wiedźma z Camelotu?

- Tak wygląda, kiedy przybiera postać lady Julii. - Wzniósł oczy do nieba, a jubilerska lupa upodobniła go do Cyklopa. - Miło mi panią poznać, lady Julio. - Mel z uśmiechem wyciągnął rękę. - Mój nierozgarnięty brat pewnie zapomniał się przedstawić. Nazywa się Sam i j jest czarną owcą w... - Właśnie wtedy Lancelot podniósł głowę znad książki. - Lancelot z Jeziora! - wyjąkał Mel.

Lancelot uśmiechnął się.

- Czy już się kiedyś spotkaliśmy?

- Lancelot z książki Myrddina! To nie do wiary. Sam, skąd wytrzasnąłeś tych ludzi?

- Cóż, przed chwilą przyszliśmy - odezwała się Julie. - Interesuje nas Camelot, wszystko, co macie na ten temat. Zwłaszcza... no... - Znów zerknęła niepewnie na Lancelota, a on skinieniem głowy dał jej znak, żeby mówiła dalej. - Zwłaszcza to, jak można się tam dostać.

Sam i Mel nic nie odrzekli, ale po chwili na ich twarzach ukazało się coś w rodzaju smutnej rezygnacji. Spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

- Słuchajcie - powiedział Sam. - Robicie wrażenie bardzo miłych ludzi. I wasze fizyczne podobieństwo do postaci z ilustracji książki o Camelocie jest wręcz fantastyczne. Ale powiedzmy sobie szczerze, nie ma drogi, którą można by się dostać do Camelotu. Zacznijmy od tego, że pewnie to miejsce nigdy nie istniało.

- Nie rozumiem. - Julie splotła ramiona na piersiach. - Myślałam, że gdzie jak gdzie, ale tutaj... - Umilkła i zakasłała. - Jak można prowadzić taki sklep i nie wierzyć w magię?

- Daj spokój. - Mel wreszcie zdjął z czoła jubilerską lupę. - Robimy to dla przyjemności, dla czystej przyjemności. To, że mamy tu obrazek przedstawiający jednorożca, nie znaczy, że trzymamy takie zwierzę uwiązane w ogródku za domem.

- W takim razie cały ten sklep to wielkie kłamstwo. - Julie miała ochotę się rozpłakać. Wiele sobie obiecywała po spotkaniu z właścicielami księgarni. Myśl, że właśnie ci ludzie im uwierzą, dodawała jej sił. - Spójrzcie na nas. Naprawdę jesteśmy Lancelotem i Julią. Nic nie udajemy.

- Moi drodzy, my tylko spełniamy oczekiwania klientów. Oni udają, my udajemy - wyjaśniał Mel. Kilka tygodni temu odwiedziło nas tu dwoje ludzi. Twierdzili, że są Rickiem i Elszą z *Casablanki*. Oboje byli ubrani w prochowce. On nawet wyglądał jak Bogart, ale ona wcale nie przypominała Bergman. Podjęliśmy ich grę, udawaliśmy, że im wierzymy. Ale wszyscy wiedzieliśmy, że to tylko zabawa.

- To nie fair. To oszustwo. Sądziliśmy, że kto jak kto, ale właściciele takiego sklepu będą mogli nam pomóc - nie dawała za wygraną Julie. Lancelot milczał i tylko patrzył na braci.

- My nie oszukujemy. - Sam wyciągnął rękę, żeby poklepać klientkę po ramieniu, ale się powstrzymał. - Tu chodzi o interes. Jesteśmy z Melem pragmatyczni. Kiedy chodziłem do college'u, to prawie wierzyłem w całą tę magię. Ale to były zupełnie inne czasy, lata sześćdziesiąte, Woodstock i tak dalej. Dorosłem, a kiedy otworzyliśmy ten sklep, przekonaaliśmy się, że to w większości bzdury.

Mel przytaknął bratu.

- Właśnie. Ja się zawsze interesowałem historią i pochodzeniem przedmiotów, które sprzedajemy, badałem stare książki i tym podobne. To naprawdę fascynujące. Daje wgląd w duszę człowieka. Ale to, że badam książki poświęcone magii, nie znaczy, że sam w nią wierzę. To tak jak z wyprawą do kina: oglądasz film z Jackiem Chanem, wiesz, że tak naprawdę wcale go nie gonią bandyci w helikopterze, ale udajesz, że w to wierzysz, bo w ten sposób dobrze się bawisz i w napięciu czekasz, co będzie dalej. Z naszą księgarnią jest podobnie. To po prostu czysta rozrywka.

- Dlaczego nam to mówisz? - zapytał Lancelot.

- Ponieważ, jak już powiedziałem, wyglądacie na sympatycznych ludzi - wyjaśnił Sam. - Mielіśmy tu już różne miłe osoby, które zbyt serio to wszystko potraktowały. Jeśli pozwalamy im za głęboko uwierzyć w różne przesady, nic dobrego z tego nie wynika.

Julie wbiła wzrok w ziemię, starając się ukryć rozczarowanie.

- Ale nasze miejsce jest w Camelocie. Naprawdę.

- Wielu ludzi tak uważa - stwierdził Sam. Mel ze zdziwienia przechylił głowę, słysząc łagodny głos brata. To było coś nowego; takim tonem Sam nigdy nie rozmawiał z klientami. - Wielu z nas pragnęłoby, żeby legenda o Camelocie okazała się prawdą. Jeden Bóg wie, ile razy się modliłem, żeby wszystkie dobre wróżby, które wychodzą z kart tarota, spełniły się, żeby napój miłosny zadziałał, żeby się okazało, że Camelot istnieje w rzeczywistości, jeśli się tylko mocno w niego uwierzy. Ale z takich nadziei rodzi się jedynie gorycz i frustracja. Człowiek przestaje żyć w realnym świecie i zaprzepaszcza prawdziwą szansę na osiągnięcie szczęścia. W ten sposób marnuje się życiowe okazje, traci kobiety, które można było obdarzyć prawdziwą miłością... - Zamilkł i zaczerwienił się.

Mel odchrząknął.

- Ja zajmuję się księgarnią, bo interesują mnie antyki. Mój brat woli to od handlowania marynatami. I to wszystko. Ale Sam ma rację. Mili z was ludzie. I mam nadzieję, że znajdziecie to, czego

szukacie. Cóż, wracam do siebie. - Wskazał kciukiem drzwi na zaplecze. - Powodzenia. Sam was obsłuży. Wybierajcie, co tylko chcecie. Aha, Sam, daj im dziesięć procent rabatu, dobrze? - Z niepewnym uśmiechem umieścił z powrotem na czole lupe jubilerską i wyszedł.

Sam westchnął.

- Można powiedzieć, że między nami i klientami istnieje niepisany układ. My nie dajemy im do zrozumienia, że to wszystko bujdy. No bo przecież jeśli jest ci źle i coś, co tu sprzedajemy, sprawi, że poczujesz się lepiej, to komu to przeszkadza? A jeżeli kogoś kochasz i desperacko pragniesz, żeby ten ktoś też cię pokochał, może nasz napój miłosny doda ci pewności siebie i zdobędziesz uczucie tej osoby. Kto jest w takim przypadku w stanie stwierdzić, co tutaj zadziało?

Julie skinęła głową. Lancelot otoczył ją ramieniem. Wcale nie wydawał się zaskoczony, jakby od samego początku oczekiwał takiej reakcji.

Sam spojrział na nich, a potem zerknął przez ramię na drzwi, za którymi siedział Mel.

- Słuchajcie - powiedział cicho. - Nie wiem, dlaczego to mówię, ale ostatnio nie przychodzi tu wielu klientów, więc mam dużo czasu i mogę sprawdzić pewne rzeczy. To jedyny powód, dla którego to robię. Niech to będzie dla was jasne od samego początku, dobrze?

Julie zmarszczyła czoło, nie bardzo rozumiała, do czego właściciel antykwariatu zmierza.

- Przepraszam, ale nie nadążam.

- Chodzi mi mianowicie o to. - Sam kiwnął na nich palcem, więc podeszli bliżej. - Sprawdzę coś dla was. Przejrzę książki, które mój brat trzyma na zapleczu. Przejrzę jego notatki. I tak tylko ja wiem, jakim systemem pracuje. Dajcie mi swój numer telefonu, a zadzwonię do was, jeśli znajdę coś ciekawego. - Wydął usta i wzruszył ramionami.

Lancelot zdjął rękę z ramienia Julie, jakby to miało mu pomóc się skupić.

- Dlaczego to robisz? Nie zgadza się to z tym wszystkim, co mówiłeś w obecności brata. Czemu nagle masz ochotę nam pomóc?

Sam znieruchomiał; na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Bo ja wiem... Może po prostu gdzieś w głębi duszy nadal mam nadzieję, że to wszystko prawda, że te magiczne rekwizyty działają. No i jeszcze... - Spojrzał w oczy Lancelotowi, potem Julii i, zażenowany, szybko odwrócił wzrok. - Mam wrażenie, że nie fantazujecie. Jeśli Camelot istnieje... wcale nie mówię, że istnieje, tylko snuję przypuszczenia. A więc jeśli istnieje, to wy dwoje tam dotrzecie. I może... - Spojrzał na nich śmiało. - I może zabierzecie mnie ze sobą. - Zebrał książki, które Lancelot odłożył na bok. - Weźmiecie je? - Przytaknęli. - Doskonale. Bardzo dobry wybór. - Zaniósł stertę książek do kasy i uśmiechnął się do Julie, jakby tej rozmowy w ogóle nie było. - Gotówka czy karta?

Julie i Lancelot wrócili do domu tuż przed północą, po spokojnej spóźnionej kolacji w zacisznym bistro. Lancelot rozkoszował się potrawami i winem, dopóki nie zdał sobie sprawy, że Julie będzie musiała za wszystko zapłacić.

- To niedorzeczne - ciągnął temat, kiedy weszli do korytarza. Niósł dużą torbę z książkami, przerzuconą przez ramię jak trofeum łowieckie. - Jedzenie to konieczność. Zmuszanie ludzi, żeby płacili za to, co muszą robić, jest niesprawiedliwe. Czy zawsze tak było?

Julie roześmiała się. Policzki wciąż miała zaróżowione od wina, wyśmienitego posiłku, a przede wszystkim z powodu bliskości Lancelota. Sięgnęła do torebki po klucze i uśmiechnęła się do rycerza.

W jasno oświetlonym korytarzu, ubrany w nowoczesny strój, wyglądał oszałamiająco przystojnie. W dodatku każdy jego ruch, każdy gest był absolutnie naturalny, świadczył o tym, że Lancelot

doskonale się czuje we własnej skórze. A to, oczywiście, czyniło go jeszcze atrakcyjniejszym.

- Tak, jedzenie to konieczność, ale nie jedzenie i wino we francuskiej restauracji...

- Och, panno Gaffney! - Portier Charles poderwał się zza kontuaru. - Witam pana. - Skinął głową Lancelotowi, a ten odwzajemnił pozdrowienie. - Wpuściłem na górę kogoś, kto mówił, że panią zna. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłem.

- Peg? - zapytała Julie. - Czy to była ta pani, z którą czasem mnie widywałeś?

- Nie, nie, panno Gaffney. - Charles miał coraz bardziej niewyraźną minę. - Nie, to był znajomy pani towarzysza. Powiedział mi, że potrzebuje klucza do pani mieszkania, ponieważ mieliście się gdzieś spotkać, a on przedtem chciał się trochę odświeżyć.

- Mój znajomy? - Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Lancelota.

- No, tak. To znaczy, był ubrany tak samo jak pan wczoraj, tylko na czarno. Wyglądał trochę nieporządnie, więc się zastanawiałem, czy go wpuścić, ale zapewnił mnie...

- Zostań tu, Julio! - krzyknął Lancelot i podał jej torbę z książkami.

- Nie! Idę z tobą! Zaczekaj chwilę. - Zwróciła się do portiera. - Pamiętasz coś jeszcze?

- O, Boże, panno Gaffney! Czy popełniłem błąd?

- Nie, nie. To ja popełniłam błąd. Skąd mogłeś wiedzieć, że to nie nasz znajomy. - Julie starała się mówić spokojnie. - Co jeszcze możesz nam o nim powiedzieć?

- Zaraz, zaraz. Nie chciał jechać windą. Uparł się, że wejdzie schodami. O, mój Boże!

- Wszystko w porządku, Charles.

- Czy mam zadzwonić po policję?

Już chciała powiedzieć, że tak, ale Lancelot potrząsnął głową.

- Jak im to wytłumaczymy? - spytał cicho.

Miał rację. Policjanci chcieliby jakichś informacji o Lancelocie, pytaliby, kim jest Malvern, jak się poznali, o co mogło Malvernowi chodzić. Lancelot miał rację.

- Nie, Charles. Dziękuję.

Portier nadal był niespokojny.

- Ale, panno Gaffney, ze względu na bezpieczeństwo chyba powinienem zawiadomić policję.

Lancelot uśmiechnął się do niego ciepło.

- Oczywiście, ma pan rację. Ale to mój stary przyjaciel, który ostatnio popadł w tarapaty. Sam się tym zajmę.

Charles przestąpił z nogi na nogę.

- No... - zaczął z wahaniem.

- On ma rację - zapewniła go Julie. - Ale czy mógłbyś mi odpowiedzieć na kilka pytań?

Portier skinął głową.

- O której godzinie tu przyszedł? Widziałeś, jak wychodził?

- Tak, wyszedł po mniej więcej dziesięciu minutach, ale właśnie zatrzymałem taksówkę dla pani Chestmire. Wie pani, że ona chodzi o lasce i potrzebuje trochę pomocy. A przyszedł pewnie około dziesiątej, bo pan Bealy z siódmego piętra właśnie wrócił ze spaceru z psem. Zawsze wraca ze spaceru o tej samej porze, żeby zdażyć na wiadomości o dziesiątej.

- Świetnie. Dziękuję, Charles. - Pomachała mu na odchodnym. - Można powiedzieć, że to sprawa rodzinna.

Ostatnie zdanie trochę go uspokoiło. W końcu się rozluźnił i wziął głęboki oddech.

- Dobrze. Ale jeśli zobaczą tu tego gościa jeszcze raz, to wezwę policję.

- Zrób tak! - Julie i Lancelot weszli do windy. - Może jedno z nas powinno pójść schodami? - zaczęła Julie. - Na wypadek, gdyby się okazało, że Malvern wrócił, a Charles go nie zauważył.

Czuła się jak w dziwnym śnie. Malvern pojawił się w jej domu. To absolutny koszmar.

Lancelot potrząsnął głową.

- Też o tym myślałem, ale w ten sposób zostałabyś sama. Nie powinniśmy się rozdzielać, nawet gdyby to oznaczało, że się z nim rozminiemy.

Julie nie zamierzała teraz zaczynać sporu o prawa kobiet. Skinęła tylko głową. Zbliżali się do jej piętra.

- Lancelocie, jestem przerażona. Może jednak powinniśmy wezwać policję.

- Może. Ale nie chciałbym wypuścić go z rąk, gdyby się okazało, że jednak wrócił. Poza tym tyłu szczegółów tej sprawy nie moglibyśmy wytłumaczyć. Przecież nawet ci panowie z księgarni nam nie uwierzyli. - Uśmiechnął i przyciągnął ją do siebie. - Wszystko będzie dobrze - wyszeptał.

Winda się zatrzymała. Zanim wysiedli, spojrzeli sobie w oczy. Kiedy tylko wyszli na korytarz, zobaczyli, że drzwi do mieszkania Julie są szeroko otwarte.

Lancelot przyłożył palec do ust, a Julie, nic nie mówiąc, skinęła głową.

Mieszkanie zostało dokładnie przetrząśnięte, wszystko wyrwano do góry nogami. Cicho zajrzeli do każdego z pokoi, ostrożnie zaglądali do szaf, sprawdzili pod łóżkiem.

- Nie ma go - stwierdził w końcu Lancelot. - Czułem, że już odszedł. Chciałem się tylko upewnić.

- O, nie! - krzyknęła Julie, kiedy zapaliła światło. Dopiero teraz zobaczyli pełne rozmiary zniszczenia. Nie spodziewali się, że jest aż tak źle. Poduszki kanapy walały się na środku salonu, wszędzie wokół poniewierały się ubrania, przewrócone lampy leżały na podłodze.

- Czy czegoś brakuje? - zapytał Lancelot.

- Na pierwszy rzut oka nie. Telewizor, magnetowid i wieża stereo stoją na swoim miejscu.

- A twoje klejnoty. Malvern mógłby je wykorzystać. Pewnie łatwo je sprzedać.

Julie przeszła do sypialni. Zauważyła, że wszystkie pudła z butami zostały wyciągnięte spod łóżka i otworzone; lalki leżały porozrzucane. Gdyby Lancelot nie upierał się, żeby zabezpieczyć miecz, w tej chwili Excalibur znajdowałby się w posiadaniu Malverna.

To byłoby najstraszniejsze, co się mogło przydarzyć.

Otworzyła szkatułkę na biżuterię i z zaskoczeniem stwierdziła, że cała jej zawartość zniknęła. Malvern zabrał wszystko: naszyjnik z prawdziwych pereł, ale również sztuczną biżuterię, kupioną na pchlim targu. Zgarnął wszystkie błyskotki.

- Moja biżuteria! - jęknęła Julie. Potykając się o przewróconą lampę, wróciła do salonu. - Zabrał moją biżuterię. Całą.

Lancelot podszedł do niej i otoczył ją ciasno ramionami.

- Trudno, stało się - wyszeptwała, opierając głowę na jego piersi. Nagle zeszywniała. - Dobrze przynajmniej, że nikomu nic się nie stało. Zaraz, zaraz! Gdzie są ubrania, które dla ciebie kupiłam? Zniknęły.

- Oczywiście. - Potarł dłonią czoło. - Teraz będzie mógł łatwiej wmieszać się w tłum. Stanie się jeszcze bardziej niebezpieczny, Julio. Wiesz o tym.

- Tak, ale, dzięki Bogu, nie znalazł Excalibura. To twoja zasługa. Przewidziałeś, że Malvern może tu trafić.

Lancelot uśmiechnął się blade.

- No, może.

Nagle odezwał się telefon. Julie szukała go przez dłuższą chwilę - stał ukryty pod odrzuconym na bok dywanem. To była Peg. Julie obiecała, że do niej oddzwoni.

Lancelot zaczął układać poduszki na kanapie, a Julie ustawiła telefon na stoliku i podłączyła z powrotem automatyczną sekretarkę.

Kiedy włożyła wtyczkę do gniazdka, urządzenie się włączyło i usłyszała nagraną wiadomość:

- Cześć, Julie. Tu Orrin. Zastanawiałem się, czy...

Głos zanikł, a na jego tle usłyszeli inny, kobiecy, pełen bólu i rozpacz:

- Dużo. Wiem o nim bardzo dużo. - Julie zaczęła drzeć małe, żółte karteczki na kawałki. Gdyby tylko mogła wyjawić przyjaciółce prawdę, wszystko jej wyjaśnić. - Wiem o nim naprawdę mnóstwo rzeczy.

- Nic nie wiesz. Nie wiesz o nim absolutnie nic. Tak ci się tylko wydaje. Wszystko, co ci powiedział, to tylko wytwór jego chorej wyobraźni. Porozmawiajmy o konkretach. Przede wszystkim, to jest kawał chłopca. Wielki, silny, wysportowany. Z łatwością może ci zrobić krzywdę, zwłaszcza kiedy zdecydujesz się nie brać dłużej udziału w całej tej maskaradzie. To nie są żarty. Wydaje mi się, że ten człowiek jest niebezpieczny.

- Doceniam twoją troskę. Ale ja naprawdę dobrze go znam, chociaż nie mogę ci tego wytłumaczyć.

- Tobie się tylko wydaje, że go znasz. To po prostu utalentowany aktor, który cię jakoś przekonał, że jego gra to rzeczywistość. To oszust. Musi być oszustem, bo z całą pewnością nie jest Lancelotem! Julie, proszę cię!

- Słuchaj, muszę już kończyć.

Peg nie dała się zniechęcić.

- Ten Lancelot z komiksu Nathana wygląda dokładnie jak twój znajomy. Nie tylko go przypomina, to jest po prostu jego wierny portret, począwszy od niebieskiej tuniki i butów, a skończywszy na sposobie mówienia, fryzurze i tak dalej. Zgadniają się wszystkie szczegóły. Ale nie to mnie najbardziej martwi.

Julie westchnęła.

- Mów. /

- Dobrze. W tej wersji legendy występuje też lady Julia. Jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody. Wydaje mi się, że ten facet zobaczył cię gdzieś przypadkiem, a teraz cię wykorzystuje do swoich chorych sztuczek. Przy twojej pomocy chce odegrać swoją fantazję.

- Peg, w tej sprawie zupełnie nie masz racji. - Julie miała nieprzepartą ochotę powiedzieć przyjaciółce prawdę, wyznać jej

rozpoznał. To był Malvern z komiksu Myrddina. Wczoraj Lancelot i lady Julia, dzisiaj Malvern.

Co tu się, u diabła, dzieje? Może jest pełnia albo coś w tym rodzaju?

Jednak ten klient był inny, jakiś brudny. I nie chodziło tylko o brud na twarzy czy rękach. Był brudny do głębi, miał, jeśli można tak powiedzieć, brudną duszę, nieczyste serce.

Wszystko tu było odwrotnie niż w legendzie. Zły Lancelot wcale nie wydawał się zły, ani trochę. Szczerze powiedziaławszy, robił wrażenie bardzo miłego faceta.

Sam całą noc nie spał, tylko myślał o tych dziwnych ludziach. Nie potrafił wyrzucić ich z pamięci. Nie śmiał powiedzieć tego bratu, ale naprawdę wydawało mu się, że jest w nich coś szczególnego, jakaś magia.

Czy Mel tego nie widział?

A teraz zjawił się w sklepie dzielny Malvern z komiksu. W rzeczywistości wyglądał jak zepsuty, zły człowiek i Sam miał ochotę natychmiast cofnąć dłonie z lady, żeby nie zetknęły się z rękami przybysza.

- Rozumiem, że masz jakieś informacje o Camelocie.

- Niestety, nie - odparł Sam, również z ulgą. - Przykro mi. Wczoraj sprzedaliśmy wszystkie książki o Camelocie, jakie mieliśmy.

- Kiedy? Kiedy je sprzedaliście? Kupił je mężczyzna czy kobieta?

Sam przełknął ślinę.

- Nie pamiętam. Tylu ludzi się przewija przez nasz sklep. Naprawdę sobie nie przypominam...

Malvern wpatrywał się w coś ponad ramieniem właściciela antykwariatu.

- Widzisz to puste miejsce na półce za moimi plecami? - Sam nie chciał spuścić nieznanego z oczu. - No, tam nad kryształowymi kulami. Tam właśnie stały książki o Camelocie. - Umysł

pracował mu gorączkowo. Co robić? Ten numer. Przecież kobieta dała mu swój numer telefonu. Powinien zadzwonić do niej, czy raczej do nich, i powiedzieć, że w księgarni odwiedził go Malvern, w poszukiwaniu informacji o Camelocie. - Ale już wkrótce dostaniemy nowy towar- powiedział Sam, niespodziewanie dla samego siebie. Co on najlepszego robił? Nie chciał więcej oglądać tego człowieka. Nigdy. Jednak mówił dalej. Nie wiadomo dlaczego, wydawało mu się, że Lancelot powinien się spotkać z tym człowiekiem. - Proszę przyjść jutro albo pojutrze.

Malvern bez wahania podszedł do półki.

- Znalazłem coś! - krzyknął. - To książka o Camelocie!

Sam uśmiechnął się, jakby sukces klienta sprawił mu wielką przyjemność. I rzeczywiście, ucieszył się, ponieważ to, co znalazł Malvern, było dla niego prawie bezwartościową książeczką ze zdjęciami okolic, w których mógł leżeć Camelot. Była to ładna publikacja, ze ślicznymi widokami Szkocji i Walii.

- Rzeczywiście, coś pan znalazł. Płaci pan dwanaście dziewięćdziesiąt dziewięć.

Malvern zamyślił się, uciekając wzrokiem gdzieś w bok.

- Weź to - powiedział i wręczył właścicielowi antykwariatu sznur pereł, warty zapewne kilka tysięcy dolarów.

Sam zawahał się, a potem przyjął naszyjnik. Dziwaczny klient łąpczywie chwycił książkę, zawiązał resztę biżuterii w apaszkę i wyszedł.

Zanim jeszcze umilkł dźwięk dzwonek nad drzwiami, Sam już był przy telefonie i wykręcał numer Julie.

15

Julie starała się jak mogła, żeby ukryć wstrząs i niekłamany strach, który poczuła, widząc Lancelota w porannym świetle. Jeszcze wczoraj jego włosy były tylko lekko przyprószone siwizną, bardzo trudną do zauważenia w słabym oświetleniu. Teraz jego skronie niemal całkiem pobielały, a reszta włosów przybrała szarą barwę.

Twarz rycerza również się zmieniła. Zdrowa smagła cera pobladła, zmarszczki, które dostrzegła wcześniej, pogłębiły się i stały bardziej widoczne. Ale to w oczach widać było największą zmianę. Brakowało w nich tego uderzającego błysku, który zobaczyła podczas ich pierwszego spotkania, kiedy rycerz uniósł przyłbicę.

- Dzień dobry - powitała go z wymuszonym uśmiechem.
- Dzień dobry. - Przechesał dłonią włosy.

Zastanawiała się, czy Lancelot zdaje sobie choć trochę sprawę ze zmian, jakie w nim zachodzą. A potem przyszło jej do głowy jeszcze straszniejsze pytanie. Jak długo wytrzyma tutaj, w tych obcych sobie czasach i miejscu? Kiedy będzie już dla niego po prostu za późno? Kiedy będzie za późno dla nich obojga?

Zadzwoił telefon i Julie sięgnęła po słuchawkę. Zerknęła też

na automatyczną sekretarkę. Po tym, jak usłyszała nagrany na nią głos królowej Ginewry, wszystko wydawało jej się możliwe.

- Halo?

- Julie Gaffney? Mówi Sam z księgarni Pod Kociołkiem i Czaszką.

- A, dzień dobry. Bardzo źle słyszę.

- To dlatego, że nie chcę, żeby usłyszał to mój brat. I tak już się martwi, że poluzowało mi się kilka klepek. Wiesz, o czym mówię. Ale kilka minut temu był tu facet i pytał o Camelot.

- Jak ten człowiek wyglądał? - Julie z trudem chwytała oddech. Lancelot patrzył na nią pytająco.

- Wyglądał dokładnie tak jak Malvern. Ściśle mówiąc, to był Malvern.

- Mój Boże. - Zwróciła się do Lancelota: - Malvern był dziś rano w księgarni.

- Czy jest tam nadal? - zapytał rycerz.

- Sam, czy on tam nadal jest? - spytała Julie.

- Nie. Odszedł w stronę Houston Street. Nie miał pieniędzy, ale był ubrany w podkoszulek khaki i dżinsy. Zapłacił mi za książkę sznurem pereł. Mam przeczucie, że powinienem ci o tym powiedzieć.

- To są moje perły. Tak. Ukradł mi je wraz z pozostałą biżuterią i ubraniami, które kupiłam dla Lancelota. Czy on ci groził?

- Nie. Ale z tym gościem jest coś nie tak. Powiedziałem mu, że wkrótce będziemy mieli więcej książek i że powinien do nas zajrzeć za dzień lub dwa.

- Sam, jesteś cudowny - powiedziała Julie z szerokim uśmiechem.

- No. - Sam odchrząknął. - Sprawdziłem też kilka rzeczy w książkach brata. Nie mam co do tego całkowitej pewności, ale był tu gdzieś taki stary włoski rękopis, z szesnastego wieku. Mel przetłumaczył go i dołączył do niego angielską wersję. Według tej książki, ten, kto opuścił Camelot, nie może już nigdy do niego wrócić.

Julie zamknęła oczy, ramiona jej opadły.

- Proszę cię, nawet mi tego nie mów.
- Istnieje jednak pewien wyjątek.
- Słucham cię. - Julie ożywiła się.
- Jeśli ta osoba ma jakiś przedmiot, który ją łączy z Camelotem,

to powrót może się okazać możliwy.

Zerknęła na Lancelota, który obserwował ją z napięciem.

- Co to ma być za przedmiot?

- Cóż, tutaj pojawiają się niejasności. Zdaje się, że nawet Mel mądrała miał trudności z tłumaczeniem. To musi być coś ważnego dla samego Camelotu. Nie może to być, powiedzmy, jakiś stary but czy coś w tym rodzaju. Mel zapisał tu jakieś słowo, chyba w tym wszystkim najważniejsze, ale nie mogę go odczytać, bo przekreślał je chyba z dziesięć razy i pisał na nowo. Zdaje się, że chodzi o słowo „mistyczny”. Istnieje też jakieś zaklęcie, które trzeba wypowiedzieć, kiedy się już zdobędzie ten przedmiot. Zobaczę, czy uda mi się coś jeszcze wydobyć z mojego brata. Mam nadzieję, że nie zacznie nic podejrzewać. Może da się przekupić kanapką z peklowaną wołowiną u Katza. Wyznam wam szczerze, że to, czego mi się do tej pory udało dowiedzieć, nie jest dla mnie zbyt jasne. W każdym razie, teraz już wiesz tyle co ja.

- Przedmiot, który łączy z Camelotem - powtórzyła w zadumie Julie. - Potrzebujemy jakiegoś ważnego przedmiotu, który łączyłby nas z Camelotem.

Spojrzała na Lancelota; na jego nadal urodziwej twarzy z wolna wykwiatał uśmiech. Uniosła brwi w niemym pytaniu.

- Zapytaj Sama, czy miecz Excalibur mógłby być takim przedmiotem.

- Rzeczywiście! Sam, czy Excalibur by się nadawał?
- O, rany, to wy macie Excalibur?
- W zasadzie teraz oddaliśmy go na przechowanie w bezpieczne miejsce. Podejrzewaliśmy, że Malvern będzie próbował go znaleźć.

Ale czy sądzisz, że ten miecz pomoże nam przenieść się do Camelotu?

- O, rany, no jasne! Trudno sobie wyobrazić przedmiot mocniej związany z Camelotem. Naprawdę macie Excalibur?

Roześmiała się.

- Naprawdę. Przywiozłam go sobie stamtąd na pamiątkę.

- Ojej. Słuchaj, czy zanim oboje tam wrócić, zanim odprawicie te wszystkie czary, to czy mógłbym go dotknąć? Tylko na chwilę!

- Oczywiście, że tak, Sam. Jak najbardziej. Aha, zaczekaj chwilę.

Lancelot wziął od niej słuchawkę.

- Witaj, Sam. Mówi Lancelot.

- Dzień dobry.

- Dziękuję ci za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Jeszcze tylko jedno pytanie. Czy Malvern wspomniał, gdzie się zatrzymał? Może w jakimś schronisku czy przytułku?

- Niee. Widać było, że chce jak najszybciej wyjść ze sklepu. Ale pewnie jutro tu wróci.

- Posłuchaj, Sam. Następnym razem będę tam z tobą. Nie będziesz musiał rozmawiać z nim sam na sam.

- Dziękuję. - Sam westchnął. - Dam wam znać, jeśli znajdę jeszcze coś ciekawego, dobrze?

Zakończyli rozmowę i Lancelot odłożył słuchawkę. Julie była szczęśliwa, że dowiedzieli się czegoś nowego, ale jednocześnie przenikał ją jakiś dziwny lęk.

Dlaczego Lancelot nie może po prostu tutaj z nią zostać, zamieszkać w jej mieszkaniu? Znalazłby tu dla siebie miejsce. Wpasowałby się w jej życie - już to zrobił. Z nim życie Julie stałoby się pełne i piękne.

Zanim spotkała Lancelota, nie pojmowała, czego jej w życiu brakuje. Teraz już wiedziała.

Jak będzie mogła bez niego żyć? Przecież jego miejsce jest w Camelocie, a jej - tutaj.

Znów uśmiechnęła się z przymusem.

- Lancelocie, to cudowne. Zdaje się, że Sam jest na tropie rozwiązania naszych kłopotów.

Na jego twarzy pojawiła się nadzieja; skinął głową.

- Już wkrótce wrócimy, lady Julio. To już nie potrwa długo.

Odwrociła wzrok, udając, że zacięła się szuflada.

- Muszę wezwać ślusarza, żeby zmienił zamki. Potem będę musiała iść do pracy.

- Dobrze. Ja wrócę do Avalonu, do schroniska. Poproszę Billa, żeby dal mi adresy innych schronisk. Popytam w nich o Malverna. Może nie będziemy musieli czekać do jutra, by go odnaleźć.

- Tak. - Tylko tyle potrafiła Julie odpowiedzieć.

Zanim wyszedł, dotknął jej ramienia. Została sama w kuchni i zastanawiała się, jak przeżyje choćby dzień bez niego.

Jak, u diabła, ma się nauczyć żyć bez Lancelota?

Julie! - zawołała na powitanie Peg. Przyszła zaraz po odejściu ślusarza i stała na progu mieszkania przyjaciółki, trzymając pod pachą torbę. - Zadzwoiłam do twojej agencji, ale mi powiedzieli, że zostałam wczoraj okradziona. Nic ci się nie stało?

- Nie, Peg. Nic mi nie jest.

- Ale wyglądasz okropnie.

- Dzięki. Wiesz, jak pocieszyć koleżankę.

- Czy policja już złapała tego faceta, który cię okradł?

- Nie całkiem. - Julie się zawahała.

- Co to znaczy, nie całkiem? Zadałam ci proste pytanie. Czy policji udało się złapać tego kogoś, kto się włamał do twojego mieszkania?

- Nie. Jeszcze nie.

Peg uderzyła się otwartą dłonią w czoło.

- Chcesz mnie doprowadzić do szału, tak? To ja wczoraj

wieczorem pojechałam aż na Long Island i wydarłam wrzeszczącemu Nathanowi ten komiks, a ty mi tak odpowiadasz? A tak przy okazji, musisz mi go oddać dzisiaj wieczorem, bo inaczej Nathan obedrze mnie ze skóry. - Rzuciła torbę na kanapę w salonie.

- Co to jest? - spytała Julie.

- To ten komiks, o którym ci opowiadałam. Chcę, żebyś na własne oczy zobaczyła, że ten twój znajomy ma poważne zaburzenia. A teraz proszę, wyjaśnij mi, jak to było z tym włamaniem.

Policja nic ci nie powiedziała?

- Nie zawiadomiliśmy policji.

- Co ty mówisz?

- Zgodziliśmy się z Lancelotem, że w tym wypadku to nie byłby najlepszy pomysł.

- Z Lancelotem! - parsknęła Peg. - Dobrze, postaram się nie stracić panowania nad sobą. To, co powiem, pewnie cię zdenerwuje, ale czy brałaś pod uwagę taką oczywistą możliwość, że to pan Lancelot miał coś wspólnego z włamaniem? Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. Julie, otwórz wreszcie oczy.

- Lancelot nie miał z tym nic wspólnego - zaczęła. - Peg, dziękuję, że mi to podrzuciłaś. Naprawdę. Ale teraz muszę już iść do pracy.

- Nic podobnego, żabciu. Musimy doprowadzić tę rozmowę do końca.

- Peg, ja...

- Julie, martwię się o ciebie, i to poważnie.

- Proszę, przestań to powtarzać. Zapewniam cię, że u mnie wszystko jest w porządku. I...

Peg ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami rozglądała się po salonie. Nagle otworzyła usta ze zdziwienia.

- Nie wierzę własnym oczom.

- Słucham?

Podeszła do fotela, gdzie leżał stos książek o Camelocie, a obok, na dywanie, pusta torba.

- Byłaś Pod Kociołkiem i Czaszką? Myślałam, że w takich miejscach ciarki ci chodzą po plecach.

Julie wzruszyła ramionami.

- Chyba zdecydowałam się zaufać twojej opinii i zobaczyć, czy rzeczywiście jest tam coś ciekawego.

Peg przekładała książki i odczytywała tytuły.

- Wspaniale. *Camelot - rzeczywistość i mit*. Och, i, oczywiście, ciągle popularna praca *Lancelot: dmgie spojrzenie*. Julie, czy ty podchodzisz do tego wszystkiego na serio?

- Nie rozumiesz sytuacji.

- Masz rację. Nie rozumiem. Nie wiem też, jak to jest, kiedy się wierzy, że żywy facet z krwi i kości jest średniowiecznym rycerzem, i nie wiem, co się czuje, kiedy łamiąc wszystkie znane prawa fizyki, podróżuje się w przeszłość. Dlaczego się uśmiechasz?

- Dlatego że, możesz mi wierzyć lub nie, reagujesz dokładnie tak samo jak on, kiedy mu próbowałam tłumaczyć, że pochodzę z dwudziestego wieku. Jesteście bardzo do siebie podobni. - Nagle Julie zamilkła, a uśmiech zniknął jej z twarzy. - Zaraz, zaraz. Nigdy ci nie mówiłam, że byłam w Camelocie.

- Nie musiałaś. To oczywiste, że nie wiadomo dlaczego wierzysz we wszystko, co ci ten facet powie. Powiedziałaś kilka rzeczy, które mnie bardzo przeraziły. Julie, jesteś inteligentną kobietą. To straszne, że aż do takiego stopnia zawracasz sobie głowę niedorzecznymi fantazjami. I jeszcze coś. Naprawdę mi się wydaje, że on ci coś podał po kryjomu, może jakiś środek halucynogeny. Właśnie dlatego wierzysz we wszystko i opowiadasz takie rzeczy. Nie wiem, jak inaczej wytłumaczyć twoje zachowanie.

- Myślisz, że wrzucił mi coś do drinka?

- Julie, potrzebujesz pomocy.

- Tak się składa, że chyba twój przyjaciel z księgarni, Sam, pomoże nam w pewnej sprawie.

- Sam? Nie zrozum mnie źle, Sam to miły człowiek, ale trochę dziwak. Mel byłby lepszy, to realista.

- Jak to możliwe, że regularnie odwiedzasz taki sklep, a w ogóle nie wierzysz, że to, co tam sprzedają, naprawdę działa.

- Chodzę tam dla zabawy. Nie traktuję tego poważnie. Wizyty w tej księgarni dają pojęcie o tym, jak się ludzie zmieniają w ciągu wieków. Zanim rozwinęła się nauka, magia była dla nich pocieszeniem, dzięki niej dawali sobie radę w życiu. Nie chodzę Pod Kociołek i Czaszkę dlatego, że wierzę w miłosne napoje, tylko dlatego, że sama idea napoju miłosnego fascynuje mnie w jakiś prymitywny sposób. To ucieczka od rzeczywistości, takie krótkie wakacje. Ale ty posunęłaś się o wiele za daleko.

Julie długo wpatrywała się w przyjaciółkę.

- Właśnie przed chwilą coś zrozumiałam, Peg. Tak naprawdę, bardzo chciałabyś w to wszystko wierzyć. Mimo całego swojego pragmatycznego realizmu, nic by cię bardziej nie uszczęśliwiło niż trochę magii w życiu. Co więcej...

- No, tutaj to już całkiem się mylisz. - Peg odłożyła książki na fotel i ruszyła do drzwi.

- Wcale się nie mylę! Peg, czy ty nic nie widzisz? To wszystko prawda! Świat magii i cudów istnieje. Pozwól sobie w to uwierzyć, chociaż na godzinę, a sama się przekonasz.

- Muszę już iść, Julie. Później do ciebie zadzwonię i powiesz mi, kiedy będę mogła przyjść po książkę.

- Peg, wracaj! Peg! - Przyjaciółka wyszła, trzaskając drzwiami, a Julie uśmiechnęła się.

- Ona naprawdę wierzy - powiedziała do siebie. - Biedna Peg. Zaczęła przygotowywać się do pracy.

Mel stracił apetyt na kanapkę.

- No, dobrze, Sam. Co się tutaj dzieje? Dlaczego fundujesz mi lunch?

- To już nie można kupić bratu delikatesowej kanapki u Katza, żeby nie być przesłuchiwanym jak jakiś kryminalista? - odparł

Sam. Przechylił głowę na bok, żeby ugryźć grubą kanapkę z peklowaną wołowiną.

- Jak możesz coś takiego jeść?

Sam przeżuwał przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Mogę jeść coś takiego, ponieważ wczoraj po powrocie do domu nie jadłem kolacji. Śniadania też nie mogłem zjeść. Właśnie dlatego mogę to jeść. Nie jesz tego ogórka?

Mel spojrział na brata gniewnie i przerzucił ogórek na jego talerz.

- Ostatnim razem zaprosiłeś mnie na lunch, kiedy usłyszałeś, że Tina prowadzi się z tym gościem z kręgielni. Wybacz więc, jeśli reaguję trochę nerwowo.

- Tym razem to nic w tym rodzaju. - Sam uśmiechnął się z pełnymi ustami. - Czy życie nie jest wspaniałe?! - Zamilkł i patrzył na wyraźnie zaniepokojonego brata.

W delikatesowym barze panował duży ruch, para buchała za kontuarem, klienci wykrzykiwali zamówienia do uwijających się ekspedientów, nieustannie dzwoniły i brzęczały kasy, a wszystko to rozgrywało się w neonowo-plastikowym wnętrzu, gdzie w pomarańczowych boksach ustawiono poobijane, kryte laminatem stoliki.

Ktoś upuścił tacę, ale żaden z braci się nie poruszył.

- Chodzi o tych ludzi, którzy wczoraj wieczorem przyszli do sklepu, tak? O tych, którzy wyglądali jak Lancelot i Wiedźma z Camelotu? Coś razem z nimi knujesz, prawda?

Sam odgryzł pół ogórka.

- To bardzo mili ludzie.

- No, może. Ale mnie się wydali trochę dziwni. Jacyś zbyt przejęci swoją rolą. Mieli rzeczywiście niezwykle twarze. Wypisz, wymaluj Lancelot i Wiedźma. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Elegancki staruszek w bawarskim kapeluszu przechodził właśnie obok ich stolika i usłyszał ostatnie zdanie Mela.

- Weź połowę do domu - poradził. - Ta kanapka jest tak duża,

że wystarczy na dwa posiłki. Nie ma się czego wstydzić. - Z tymi słowami odszedł.

Mel nawet nie mrugnął.

- Sam, ty naprawdę coś knujesz. To nie są tylko moje wymysły, prawda?

Sam w końcu odłożył kanapkę, bardzo ostrożnie, ponieważ jej zawartość zaczęła się wysuwać spomiędzy dwóch kawałków bułki.

- Nie, to nie są tylko twoje wymysły - przyznał.

Spojrzał na kanapkę i nagle jego również opuścił głód. Wziął z miski słonego krakersa i wolno, z namysłem, zaczął rozrywać celofan, w który go zapakowano.

- Sądzisz, że istnieje jakiś sposób, żeby się dostać do Camelotu?

- Daj spokój, Sam. Obaj wiemy, że Camelotu nie ma, prawdopodobnie nigdy nie istniał. Chyba nie wierzysz w te wszystkie bajdy?

- Właśnie że wierzę! - krzyknął Sam. Kilka osób spojrzało na nich badawczo, ale wszyscy zaraz znów zajęli się jedzeniem. Spuścił wzrok na krakersa, ale go nie zjadł, tylko skruszył w rękę. - Wydaje mi się, że istnieje jakaś możliwość, żeby się tam dostać. A ty, Mel, znasz wszystkie sekrety. Robisz tłumaczenia, badasz rękopisy. - Zniżył głos. - Jesteś jedyny, który coś wie naprawdę. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale ja wierzę, że Camelot istnieje. I chciałbym się tam przenieść. - Trudno mu było mówić dalej.

- I co wtedy?

- A wtedy może byłbym szczęśliwy. Chyba warto zaryzykować, co, Mel?

- Jezu. Chyba ci odbiło, wiesz? Odbiło ci nie na żarty.

- Mów sobie, co chcesz. - Sam spojrzał Melowi prosto w oczy. - Posłuchaj mnie. Ty masz tu wszystko, czego pragniesz. Masz Tinę, swoją pracę. Jesteś chyba najbardziej zadowolonym z życia człowiekiem, jakiego znam.

- Być może. - Mel splótł palce i czekał, co brat powie dalej.

- Ja nie mam nic. Połowę podupadającego sklepu, kilku stałych klientów, których uważam za przyjaciół, chociaż oni zapominają o moim istnieniu, jak tylko wyjdą z księgarni. To wszystko. Nie mam dziewczyny, nie znalazłem szczęścia. Wiesz, co sobie myślę, kiedy budzę się rano?

Mel potrząsnął głową.

- Każdego ranka - ciągnął Sam - po przebudzeniu, przychodzi mi do głowy jedna, jedyna myśl, zawsze ta sama. Czy to już wszystko? Właśnie taka. To proste pytanie, ale jeśli nurtuje właśnie ciebie, to staje się straszne w tej swojej prostocie. Powiedz mi, Mel, proszę, powiedz mi, że to nie wszystko, co mnie miało w życiu spotkać, że jest coś jeszcze. Na miłość boską, powiedz mi, że jest coś jeszcze.

Przez długą chwilę po prostu patrzyli na siebie. Potem Mel wstał.

- Nie jestem głodny. Jeśli mam dla ciebie opracować kilka rzadkich manuskryptów, to czeka mnie bardzo dużo pracy.

Sam spojrzał po raz ostatni na peklowaną wołowinę i skinał głową.

- Dziękuję - powiedział ledwie słyszalnym głosem.

Skierowali się ku wyjściu, ale człowiek w bawarskim kapeluszu podbiegł do ich stołu.

- Chłopczy! Chłopczy! Wracajcie! Zabierzcie kanapki do domu. To żaden wstyd!

Sam zerknął przez ramię.

- Weź je sobie, dziadku.

Mężczyzna uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Dziękuję, chłopcy! - Zawinał kanapki w serwetkę. Miał gotową kolację na następne dwa dni.

16

To dziwne, okrutne miasto wydawało się teraz Lancelotowi trochę bardziej znajome. Wokół nieprzerwanie rozbrzmiewały klaksony samochodów, wyły syreny, warczały świdry pneumatyczne, rozrywające chodniki; rozchodził się zapach asfaltu, kiedy wiosenne słońce w południe rozgrzewało ulice. No i ludzie - rozmawiający we wszelkich możliwych językach. Wszystkie te rzeczy nie wydawały mu się już takie obce. Nauczył się też cieszyć relatywnie cichą i spokojną atmosferą podziemi kościoła, gdzie znajdowało się schronisko o nazwie Avalon.

Bill zdziwił się na widok Lancelota. Większość ludzi pomagała tylko raz, a potem, oczyściwszy sumienie, spełniwszy symboliczny dobry uczynek, starannie zapominała o istnieniu schroniska. Czasami pozbywali się poczucia winy, przesyłając jeden lub dwa czeki, ale potem nawet czeki przestawały nadchodzić i Bill musiał przyuczać nowych ochotników, którzy na ogół znikali w ten sam sposób.

- Lancelot. - Bill uśmiechnął się. Jego trójkątna twarz zaczerwieniła się z wysiłku. - Doskonale! Nawet nie masz pojęcia, jak mi dzisiaj potrzebna każda para rąk do pracy. Przed kolacją jest próba chóru i trzeba przenieść te pudła, żeby zrobić miejsce na krzesła.

- Próba chóru?

Bill skinął głową, a Lancelot zaczął przesuwać tekturowe pudła, wypełnione używanymi ubraniami i żywnością w puszkach, подарowaną przez sponsorów.

- Śpiewanie w chórze daje ludziom poczucie stabilizacji - wyjaśnił Bill. - Bez względu na to, gdzie przeniosą schronisko, chór zapewnia stabilność, przynależność do grupy. Ludzie robią coś razem, mają poczucie, że dają schronisku coś w zamian za jedzenie i dach nad głową. To jest ważne dla każdego. Członkowie chóru to, oczywiście, nie są profesjonalści, ale jest w ich śpiewie coś niezwykłego, bardzo szczególnego. - Przenosili pudła, robiąc miejsce na wieczorną próbę. - Poza tym, jestem absolwentem Akademii Muzycznej Juilliarda. Prowadzenie chóru amatorskiego to w zasadzie jedyny sposób, w jaki wykorzystuję swoje wykształcenie.

Lancelot nie do końca pojmował, o czym mówi Bill, ale udawał, że doskonale wie, o co chodzi.

Ostatnio bardzo często musiał coś udawać.

- Bill-zaczął, układając pudła jedno na drugim. -Znaszjakieś inne schroniska dla bezdomnych?

- Jasne. Czy mógłbyś przesunąć te pudła trochę bliżej okna? Świetnie. - Poprawił na nosie okulary w drucianych oprawkach. - W tym mieście istnieje mnóstwo innych schronisk.

Lancelot przesunął pudła i przystanął. Przez chwilę zaciskał i rozluźniał prawą rękę. Trochę go dzisiaj pobolewała.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Bill, patrząc, jak Lancelot z powrotem zabiera się do pracy.

- Tak. A więc, jeśli chodzi o te inne schroniska...

- Moja babcia miała ten sam problem - oznajmił Bill.

- Słucham?

- Problem z ręką. Kiedy padało albo zanosiło się na deszcz, bolały ją ręce. A dzisiaj po południu zapowiadali deszcz. Zdaje się, że to normalne w starszym wieku.

To dlatego bolał mnie stawy, pomyślał Lancelot bez większego przejęcia. Wszystko przez wilgoć. Znosi się na deszcz. Przypominał sobie, że kiedy był dzieckiem, stara sąsiadka potrafiła w ten sposób przewidywać pogodę. Jeśli bolały ją stawy, oznajmiała wszystkim głośno, że będzie padało.

Stawał się podobny do starej kobiety o zdeformowanych dłoniach.

Czy Julia zauważyła te zmiany? Z pewnością. Siwiejące włosy, siatka zmarszczek na twarzy. Nie martwił się tym z powodu próżności. Bolało go, że staje się coraz słabszy, mniej wytrzymały. A jeśli będzie zbyt słaby i niedołężny, to już nikomu w życiu nie pomoże - ani sobie, ani Julii. Nikomu.

Jakby chciał sobie coś udowodnić, dźwignął dwa pudła z konserwami. Musiał je natychmiast odstawić z powrotem. Stał na rozdygotanych nogach i spoglądał na nie z rezygnacją.

- Daj, pomogę ci - zaproponował Bill z uśmiechem. Podniósł ciężar bez większego wysiłku. Bill, blady, chudy młodzieniaszek, potrafił zrobić to, co dla niego, Lancelota, było za trudne.

Rycerz skinął głową w niemej podzięce. Zastanawiał się, co się z nim dzieje.

W przeciwieństwie do innych rycerzy, nigdy nie męczył go fizyczny wysiłek w trakcie ćwiczeń czy podczas walki. Wręcz przeciwnie, wysiłek zdawał się go odmładzać, umacniać jego siły, dawał mu poczucie celu w życiu. Lancelot odczuwał niezmaconą radość, kiedy mógł pokonać silnego przeciwnika, doskonale wyszkolonego, którego sprawność i odwaga zapewniała mu przewagę na konkurentami.

Teraz pokonało go pudło z konserwami.

Wkrótce Julia zacznie się nad nim litować. Nie może do tego dopuścić. Już rano dostrzegł błysk współczucia w jej oczach.

Czuł się poniżony, kiedy jej dobre oczy spoglądały na niego z troską i niepokojem.

Na chwilę przestało go obchodzić, czy wróci do Camelotu, czy oczyści swoje imię i czy odnajdzie Malverna. Pragnął jedynie, żeby Julia widziała go takiego, jakim naprawdę jest. Chciał stać się częścią jej życia, chciał, żeby zobaczyła, jak w tym świecie odnosi sukcesy, tak samo, jak robił to w Camelocie.

- Chciałbyś trochę odpocząć, staruszkule? - zapytał Bill.

Wypowiedział ostatnie słowo lekkim, niedbałym tonem, ale zapiekło ono Lancelota do żywego.

- Nie, nie. Czuję się doskonale - rzekł rycerz. Wrócił do pracy z nadzieją, że będzie w stanie poruszyć następne pudła. Nagle zobaczył swoje odbicie w dużym lustrze. Spoglądał stamtąd na niego siwowłosego człowieka o poszarzałej twarzy. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że ten starszy mężczyzna to on.

Szybko odwrócił wzrok i przez resztę dnia starał się nie spoglądać w lustro.

Powrót Julie do pracy przebiegł dość dziwnie.

- Julie! Cześć!

- Dobrze się czujesz? Słyszeliśmy, że cię okradli. Pan Stickley wrócił dziś rano z Londynu i twierdzi, że powinnaś sobie zrobić wolny dzień.

- Cześć, Julie! Jesteś wolna podczas przerwy na lunch? Właśnie się z Bobem zastanawialiśmy...

- Hej, piękna! Ludzie z Błysku przysłali ci wielki kosz kwiatów...

Czuła się jak frontowy bohater, który wraca do domu po wygranej bitwie. Miała jednak trochę poczucia winy - przecież nie zrobiła nic, żeby zasłużyć na taką chwałę. Jeśli już komuś się należała, to Lancelotowi.

Uśmiechnęła się i na powitanie pomachała współpracownikom, idąc korytarzem do swojego gabinetu. Z ulgą zamknęła za sobą drzwi.

Pod pachą niosła książkę Nathana. Nie usiadła za biurkiem, zastawionym bukietami kwiatów, tylko opadła na kanapę i zrzuciła buty. Potrzebowała minutki na zebranie myśli i uspokojenie się.

Nie było to łatwe. Przez głowę przebiegały jej różne obrazy, jak sceny z filmu. Widziała gwałtownie starzejącego się Lancelota, widziała ból, który będzie musiał znieść, smutki i radości, których nie zdąży już przeżyć. Tyle jeszcze mógł osiągnąć. Czuła się absolutnie bezsilna, nie mogła nic poradzić na siły natury, które chyba się sprzysięgły przeciwko Lancelotowi.

Może w książce znajdzie jakąś wskazówkę, coś, co mu pomoże. Nie wiedziała, gdzie szukać odpowiedzi, więc równie dobrze mogła poszukać ich w komiksie. A jeśli nie odpowiedzi, to może przynajmniej znajdzie tam pytania. Sam przeszukiwał teksty swojego brata, więc ona przynajmniej przejrzy ilustrowaną książkę.

Książka była dość duża, z wieloma niezwykle barwnymi ilustracjami. Obrazek na okładce przedstawiał króla Artura, wyciągającego Excalibur z kamienia. Natychmiast uderzyło Julię zadziwiające podobieństwo postaci z rysunku do prawdziwego Artura - wyglądała zupełnie jak władca Camelotu, którego widziała przecież na własne oczy. Oczywiście, był to król w młodym wieku, niewiele starszy od chłopca; z twarzą wykrzywioną z wysiłku, wyciągał miecz wbity w kamień i w ten sposób zamieniał swoje życie w legendę. Postać z książki nie tylko wyglądała jak Artur, ale nawet miała na sobie taką samą tunikę, jakie widywała w Camelocie.

Zanim otworzyła książkę, spojrzała jeszcze na rękojeść Excalibura w młodzieńczych, gładkich dłoniach Artura. Była to dokładna kopia prawdziwego miecza; zgadzał się każdy szczegół, od rozmieszczenia drogich kamieni po fantazyjne, skomplikowane zawijasy, wygrawerowane dla ozdoby na rękojeści.

Otworzyła książkę na pierwszym rozdziale i zobaczyła staranny

portret Merlina. Czarodziej wyglądał niemal tak samo jak w dniu, kiedy Julie odwiedziła go w domu, tylko nos wydawał się mniej kartoflowaty i oczy mniej podkrążone. To był Merlin po niewielkich kosmetycznych poprawkach, ten sam człowiek, ale o trochę wygładzonych rysach. Nawet jego peleryna, choć taka, jaką zapamiętała, nie miała plam.

Potem oczom Julie ukazały się i ilustracje przedstawiające Artura, starszego niż na okładce, już dorosłego człowieka. Wyglądał tak samo jak wtedy, gdy spotkała go na uczcie w wielkiej sali zamku. Twarz miał równie spokojną i pogodną, mądrą i wyrozumiałą jak w Camelocie. Nagle zdała sobie sprawę z czegoś, co przedtem przeoczyła. Król Artur był uderzająco podobny do... młodego Abrahama Lincolna. Choć to niewiarygodne, nie sposób było temu zaprzeczyć. Przyjrzała się uważniej i dostrzegła tę samą nieregularność rysów, dzięki której twarz Lincolna była tak łatwo rozpoznawalna, głębokie bruzdy, a nawet charakterystyczny sposób przycięcia brody. Niesamowite.

- Wystarczy - wymamrotała pod nosem, przerzucając kartki książki. Mimo to dała się wciągnąć przedstawionej na obrazkach opowieści.

Nagle drgnęła. Zobaczyła jego, Lancelota. W niebieskiej tunice prezentował się równie wspaniale, jak tuż po jej pojawieniu się w Camelocie, kiedy po raz pierwszy ujrzała go z podniesioną przyłbicą.

Dopiero teraz mogła dokładnie ocenić zmiany, jakie zaszły w jego wyglądzie od czasu przybycia na Manhattan. Były uderzające i brutalne. Wyglądał przynajmniej kilkanaście lat starzej.

Delikatnie dotknęła strony, jakby chciała sięgnąć w przeszłość, do tego krótkiego czasu, który spędziła w Camelocie. Obwiodła palcami jego twarz, ciemne proste brwi, smagłą, promieniejącą zdrowiem cerę, mocne białe zęby.

W rysunku nie było żadnej przesady. Chociaż książkę wyda-

no w późnych latach trzydziestych, ani w ilustracjach, ani w tekście nie zauważyła śladu stylizacji. Nic w dialogach nie wskazywało na czasy, w których napisano tę książkę. W zasadzie nie spotkała jeszcze bardziej ponadczasowej wersji legendy o Camelocie.

Autor musiał odwiedzić to miejsce osobiście. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, jak inaczej mógł poznać wszystkie realia życia w Camelocie. Przecież i ona w jakiś sposób się tam przeniosła. Nie była aż tak zarozumiała, by sądzić, że tylko jej podarowano taką wycieczkę. Inni również odwiedzili Camelot, a i w przyszłości się to jeszcze pewnie zdarzy.

Nieprzyjemny, zimny dreszcz przebiegł jej po ramionach, kiedy uświadomiła sobie coś jeszcze. Autor musiał tam przebywać w tym samym czasie co ona. Czy nadal tam był?

Spojrzała na okładkę. Autorem i ilustratorem okazał się ten sam człowiek, niejaki Ralph Myrddin. Dziwaczne nazwisko, nie ma co.

Czy on jeszcze żyje? - zastanawiała się Julie.

Dalej przeglądała książkę. Czytała o śmiałych wyczynach Lancelota, jego rycerskości i fantazji. Natrafiła nawet na dowody jego poczucia humoru, które tak dobrze znała z własnego doświadczenia.

Odwróciła kartę i zobaczyła siebie - w postaci młodego giermka w śliniaku i papierowej koronie. Ale na tym obrazku Lancelot już zaczynał się zmieniać. Jego brwi wyginały się groźnie. Coś nowego pojawiło się w oczach, jakiś złowróźbny błysk w ich nieskazitelnie błękitnej głębi.

Cokolwiek to było, Julie bardzo się tym zaniepokoiła. Tym bardziej że nie przypominała sobie, by takie zmiany miały miejsce podczas jej wizyty w Camelocie. Była naocznym świadkiem, jednak Lancelot, jakiego znała, z pewnością nie przepoczwarzył się w to przerażające indywiduum z ilustracji Ralpha Myrddina.

Wtem spostrzegła Malverna, który na rysunku wyglądał niemal dobrodusznie. Artysta wszystko pokręcił. Zdała sobie sprawę, że musiał pomylić te dwie postacie. Mroczne spojrzenie i złowróźbny błysk w oku przypisał Lancelotowi, chociaż w rzeczywistości charakteryzowały Malverna.

Czytała dalszy ciąg historii, o coraz podlejszych knowaniach Lancelota i próbach, jakie podejmował Malvern, żeby ocalić honor przyjaciela.

- Wszystko nie tak - wyszeptała Julie. - Było dokładnie odwrotnie.

Potem wydarzenia przybierały taki obrót, że Julie z przerażenia wręcz zaparło dech w piersiach.

Według legendy w wersji Myrddina, Lancelot tracił rozum. Tej części opowieści towarzyszyły najokropniejsze rysunki, jakie Julie w życiu widziała. Lancelot wrywał sobie włosy z głowy, błąkał się po królestwie, a potem... potem...

Zobaczyła szczegółowy rysunek, na którym Lancelot zabijał Malverna. Z trudem zdobywała się na to, żeby patrzeć na obrazki, nie wspominając już o czytaniu tekstu. Ilustracje przesyciły okrucieństwem, była to jedna płatanina rąk, włosów i rozwartych ust. Szybko przewracała strony, starając się na nie nie patrzeć. I tak zobaczyła już więcej, niż mogła znieść.

Potem, według opowieści Myrddina, Lancelot miał zabić kobietę, znaną jako lady Julia albo Wiedźma z Camelotu. W książce zamieszczono jej dwa wizerunki, jeden w niebieskiej sukni, i drugi, na którym wyglądała strasznie, jak ekshumowana mumia z filmów grozy.

- Wszystko było inaczej - wyszeptała cicho. - To niemożliwe.

Rozumiała, skąd mogła się wziąć pomyłka co do lady Julii i Malverna, którzy przecież zniknęli wraz z Lancelotem. Ale skąd taka odmiana w wyglądzie Lancelota? To było niewytłumaczalne.

Zaczął dzwonić telefon, więc wsunęła książkę pod kanapę.

Postanowiła wrócić do niej później. I może wtedy wreszcie coś z tego wszystkiego zrozumie.

Mel źle się czuł za ladą księgarni.

Zawsze niezachwianie wierzył, że to Sam, bardziej niż on, nadaje się na sprzedawcę, najsprawniej obsługuje klientów. To Sam potrafił żartobliwie przekomarzać się z ludźmi, prowadzić niewymuszoną pogawędkę o tych wszystkich dziwacznych, mistycznych sprawach, którym poświęcone były książki na półkach antykwariatu. Brat potrafił sprawić, że karty tarota, magiczne napoje i amulety wydawały się czymś tak zwyczajnym, jak części silnika samochodowego. Takie wrażenie całkowitej normalności było potrzebne, zwłaszcza w przypadku nowych klientów, którzy mogli się czuć trochę nieswojo wśród niesamowitych przedmiotów. Sam potrafił tak na nich wpłynąć, że stawali się swobodni i rozluźnieni.

Mel był specjalistą od zakurzonych, starych tekstów, również dość niesamowitych. Jednak jakoś nikt się nie interesował starodawnymi księgami w obcych językach.

Teraz Sam poszedł do banku. Musiał wpłacić na konto utarg z zeszłego tygodnia. Miał to zrobić wczoraj, ale jakoś wyleciało mu to z głowy. Mel wypisał już i wysłał czeki z opłatami za wodę i światło, więc nie mogli sobie pozwolić na puste konto.

Biedny Sam. Powoli zaczynał tracić kontakt z rzeczywistością. Mel miał nadzieję, że to tylko taka faza rozwoju, chwilowe opętanie, jak w szkole średniej, kiedy brat pragnął zostać gwiazdą rocka. To, że trafi na scenę obok Rolling Stonesów, było jeszcze mniej prawdopodobne niż to, że przeniesie się do Camelotu.

Na samą myśl Mel zaczynał się uśmiechać.

Brat jednak wydawał się przejęty tym wszystkim nie na żarty i Mel zastanawiał się, czy Sam nie wie czegoś, o czym mu nie powiedział. Może odkrył jakiś sekret? Zawsze potrafił wyczuć, kiedy Sam coś przed nim ukrywał.

Ale co brat mógł ukrywać?

Nagle drzwi się otworzyły; dzwonki nad nimi zadźwięczały ostro.

- Witam- zaczął Mel, ale zamilkł zdziwiony. W progu stał dzielny Malvern! A przynajmniej mężczyzna, który wyglądał dokładnie jak Malvern z książki Ralpa Myrddina. Miał na sobie porządny strój. Może znajdzie w księgarni coś, co będzie chciał kupić? Mel starał się zachować spokój. - W czym mogę pomóc?

- Szukam książek o Camelocie. - Przybysz nie patrzył mu prosto w oczy i Mel doszedł do wniosku, że biedaczysko po prostu jest skrępowany w tym niesamowitym sklepie. Przecież nie każdy czuje się tutaj dobrze.

- O Camelocie? Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Niedawno odwiedziła nas tu pewna para. Szukali czegoś na temat Camelotu.

Nieznajomy spojrzał ostro na Mela.

- Kto to był? - zapytał, ale zaraz uśmiechnął się i dodał łagodniejszym tonem: - Mam przyjaciół, którzy się tym interesują. Pomyślałem sobie, że to pewnie oni tu byli.

- No, cóż - prychnął rozbawiony Mel. - Może weźmie mnie pan za wariata, ale wyglądali dokładnie jak Lancelot i lady Julia ze starego komiksu. On był wysoki, potężnie zbudowany, ciemnowłosy, ona to ładna blondynka. - Postanowił nie wspominać o tym, że nowy klient do złudzenia przypomina mu Malverna.

- Bardzo interesujące. - Nieznajomy uśmiechnął się.

- Właśnie. To na pewno był Lancelot z lady Julią.

Klient znów się uśmiechnął.

- Powiedziano mi, że może pan mieć jakieś nowe informacje na temat Camelotu. To miało być jutro, ale potrzebuję ich już dzisiaj.

- Rozmawiał pan pewnie z Samem. Ojej! - Mel spojrzał za siebie, na pustą półkę, gdzie kiedyś stały książki o Camelocie. - Niestety, ma pan pecha.

Nieznajomy nadal się uśmiechał.

- Mam nadzieję, że jednak nie. Czas już, żeby mój los się odwrócił.

- Rozumiem, jeden z tych pechowych dni, co? Mnie się to też czasami przydarza. - Mel zastanawiał się przez chwilę. Sam zapewne jeszcze nie zamówił obiecanych książek, zwłaszcza że dopiero poszedł z gotówką do banku. Nie mógł złożyć nowych zamówień. - Proszę posłuchać. Przykro mi to mówić, ale pewnie nowe książki dostaniemy najwcześniej w przyszłym tygodniu. Nie wiem, dlaczego mój brat kazał panu przyjść tak szybko. Chyba był nieco roztargniony.

Mężczyzna tylko spoglądał na właściciela sklepu. Jego ciemne oczy błyszczały.

Mel zaklął w duchu. Nie chciał zrażać nowego klienta.

- Coś panu powiem - zaczął. - Zwykle tego nie robię, ale mam na zapleczu kilka rzadkich książek. Niech pan pójdzie tam ze mną, przejrzymy je razem. Może znajdzie pan tam coś interesującego, nawet jeśli będą dla pana trochę zbyt drogie. - Wyszedł z kontuaru.

- Chcę znaleźć drogę do Camelotu - oznajmił nieznajomy.

Mel zatrzymał się.

- Coś podobnego! O, rany! Chyba dodali czegoś do wody w kranie. Mój brat powiedział mi to samo. Rozmawialiśmy o tym bardzo niedawno. A może to jakiś konkurs czy coś w tym rodzaju? Może, na przykład, trzeba wymyślić nowe zakończenie legendy o Camelocie, żeby wygrać jakieś wspaniałe nagrody?

- Tak - odrzekł wolno klient. - Można powiedzieć, że to jest konkurs, rodzaj turnieju. Kto go wygra, zdobędzie najwspanialszą z wszystkich nagród.

- No to chodźmy na zaplecze. Chyba mam dokładnie to, czego pan szuka. Przetłumaczyłem to kilka tygodni temu. - Mel przez chwilę zastanawiał się, czy to, co robi, nie jest nie-
lojalnością wobec brata. Co będzie, jeśli Sam nie wygra jakiegóś

nagrody, ponieważ brat pokaże swoje tłumaczenie nieznanemu mężczyźnie? - Niee! - wymamrotał do siebie. - Interes to interes. Nawet Sam stale to powtarza.

Razem przeszli przez zasłoneę z paciorków i usiedli w pokoju na zapleczu.

Dzień upłynął Julie bardzo pracowicie. Chociaż spodziewała się, że będzie wyczerpana, zwłaszcza po wstrząsie, jaki przeżyła, czytając komiks Nathana, miała więcej energii niż kiedykolwiek.

I wszystko, czego się tknęła, wypadło doskonale. Na spotkaniu poświęconym reklamie zasyпки do stóp przyszedł jej do głowy chwytliwy slogan i wyrecytowała go na głos, zanim zdążyła się nad nim głębiej zastanowić. Okazał się doskonały. Dodała jedną kreskę do ilustracji tekstu reklamowego, a grafik z niedowierzaniem potrząsnął głową i stwierdził, że właśnie tego brakowało do doskonałości.

Późnym popołudniem Stickleby, prezes firmy, zapytał, czy nie zechciałaby pójść z nim na drinka do Klubu 21. A tak niedawno nie była nawet pewna, czy prezes w ogóle zdaje sobie sprawę z jej istnienia. Teraz zaczynała się obracać w najbardziej ekskluzywnych kręgach.

Jak grom z jasnego nieba pewna bardzo duża firma, produkująca sprzęt sportowy, porzuciła agencję, z którą od dziesięciu lat była - zdawałoby się - nierozzerwalnie związana i poprosiła S & B, żeby poprowadziła jej kampanię reklamową za sześć milionów dolarów. Zażądali, żeby zajęła się tym Julie. A kiedy przygotowywała się do wyjścia do Klubu 21, największa sieć barów szybkiej obsługi w kraju - i na świecie - zostawiła wiadomość, że spodobał im się pomysł, który przedstawiła im miesiąc wcześniej. A już myślała, że zrezygnowali z usług S & B, skoro tyle czasu się nie odzywali.

Chociaż dzień był ekscytujący, w głębi serca wiedziała, że ten nagły sukces całkowicie zawdzięcza Lancelotowi. To dzięki niemu wszystko się zmieniło, sprawy toczyły się innym, niezwykłym torem. Sama jego obecność wystarczyła, żeby życie Julie - każdy jego aspekt - nabrało nowego blasku. Nic nie było takie samo, włącznie z samą Julie. Teraz myślała o sobie jako o Julii. Była kimś, kto się liczył.

A wszystko to dzięki Lancelotowi.

Peg niecierpliwie wierciła się na kanapie w holu budynku, w którym mieszkała jej przyjaciółka. Raz po raz zerkała na zegarek.

Julie na ogół się nie spóźniała. Najczęściej ta solidna dziewczyna przychodziła za wcześnie. To przez tego faceta, tego stukniętego Lancelota. On wszystko zmienił.

Zmienił nawet atmosferę w agencji Julie. Peg, której dzień pracy był zazwyczaj bardzo wypełniony, nie mogła nawet przez chwilę porozmawiać z przyjaciółką. Kiedy zadzwoniła, żeby potwierdzić godzinę spotkania, musiała długo tłumaczyć roztrzępanej recepcjonistce, o co chodzi. To się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

Ponownie zerknęła na zegarek. Minęła dopiero minuta, odkąd ostatni raz sprawdziła godzinę.

Na szczęście pacjent umówiony na szóstą czterdzieści pięć odwołał wizytę, więc nie musiała się śpieszyć. Nawet terapeutci czasami potrzebują wolnego wieczoru.

A jej wolny wieczór popsuł ten szurnięty Lancelot.

- Uspokój się, Peg - wyszeptwała cicho. Portier spojrzał na nią dziwnie, więc się uśmiechnęła.

Ten portier to też jakiś wariat.

Zaczęła postukiwać obcasem czarnego pantofla o marmurową posadzkę holu. Potrzebowała tylko tej cholernej książki. Pewnie leżała na górze, w mieszkaniu Julie. Nathan ją zabije, jeśli mu jej nie zwróci.

Od ostatniego zerknięcia na zegarek minęły dwie minuty.

Nagle go zobaczyła. Tego stukniętego rycerza. Miał na sobie nowe ubranie. Najwyraźniej Julie zabrała Lancelota na orgię zakupów.

To nie tylko wariat. To na dodatek żigolak. Urocze połączenie.

Niespodziewanie uśmiechnęła się, ponieważ w jasnym świetle holu zobaczyła wyraźnie, że nie jest taki młody, jak jej się wydawało. Włosy miał nie tylko lekko przyprószone siwizną, ale po prostu siwe, a skronie całkiem pobieleały.

- Zapomniałeś sobie zrobić rano płukanek z szamponu kolorującego, Lance? - Nie wiedziała dlaczego, ale fakt, że wyglądał o wiele starszej, niż zapamiętała, wcale nie sprawił jej spodziewanej radości. Jej uśmiezek zbladł, gdy zobaczyła, jak Lancelot pomaga wsiąść do taksówki kobiecie z bagażami. Spostrzegła, że wyprostowawszy się zaciska usta, jakby ten ruch sprawił mu ból.

W zasadzie było to raczej smutne. Może nawet żałosne.

Wszedł do holu i sięgnął do kieszeni spodni. Wtedy ją zobaczył. Uśmiechnął się szczerze, najwyraźniej mile zaskoczony.

- Lady Peg. - Skłonił jej się dworsko. - To wielka przyjemność znowu cię widzieć. Czy Julia jest w domu?

- Nie. - Peg wstała. Facet był niewątpliwie uroczy; tym bardziej nie należało mu ufać. - Wiesz, kiedy ma wrócić?

Potrząsnął głową i wyjął klucze z kieszeni.

- Nie. Myślałem, że już jest w mieszkaniu.

Wydawał się zatroskany. Bardziej zatroskany, niż wymagała tego sytuacja. Może bał się, że Julie się z kimś umówiła.

Peg, która miała nadzieję, że przyjaciółka jest na randce, niespodziewanie poczuła wyrzuty sumienia.

- Dzwoniłam do niej do biura i zdaje się, że musiała gdzieś iść z kimś z pracy. Chyba z szefem - wyjaśniła.

Lancelot natychmiast się uspokoił.

- Dobrze. Dziękuję, że mi powiedziałaś. Ja... nie przyzwyczyłem się jeszcze do życia w tym mieście i obawiam się o jej bezpieczeństwo.

- No, niech będzie. Skoro tak twierdzisz.

- Chciałabyś wejść na górę? Julia pewnie niedługo wróci.

Peg spojrzała na niego czujnie. Czyżby śmiał ją podrywać? Chce wykorzystać swoją pozę zagubionego chłopca z prowincji, żeby omotać następną kobietę i wyciągnąć od niej trochę więcej forsy?

Nie. Ten facet był zbyt sprytny. Ale Peg nie da się nabrać. Przecież jest dyplomowanym psychologiem. Z odległości kilometrów wyczuje nawet najbardziej przekonującego kłamcę i oszusta.

Ale ten facet był niezły. Nawet bardzo dobry. Ze względu na dobro Julie powinna dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe, o tym Lancelocie od siedmiu boleści. Miała nadzieję, że się na nią nie rzuci, ale taka możliwość sprawiała, że Peg tym bardziej postanowiła poddać znajomego przyjaciółki testowi i przekonać się, jaki jest naprawdę.

To mogło się okazać niebezpieczne. Jednak wiedziała, jak postępować z pobudzonymi pacjentami. Poza tym, w torebce miała spray pieprzowy.

- Ależ oczywiście. Z przyjemnością wejdę na górę - powiedziała zalotnie. - I z chęcią się czegoś napiję.

Jeśli będzie próbował dodać jej czegoś do drinka, złapie go na gorącym uczynku. Dla czegoś takiego warto zaryzykować.

Uśmiechnął się, a Peg starała się rozszyfrować, co się kryje za tym uśmiechem. Jednak widziała tylko zmęczonego, bardzo przystojnego mężczyznę z życzliwym wyrazem twarzy.

Zmieniła taktykę i przeobraziła się w radosną przyjaciółkę.

- No więc jak, co dzisiaj robiłeś? Obejrzałeś jakiś film w kinie? Kupiłeś sobie nowe ubranie?

Weszli do windy; Lancelot nacisnął guzik.

- Nie. Pracowałem w schronisku dla bezdomnych.

- Co takiego? .

Przetarł oczy i mówił dalej:

- Pracowałem w Avalonie, schronisku w podziemiach kościoła Świętej Anny. Wydawałem lunch, pomagałem przy próbie chóru, a potem w przygotowywaniu kolacji. Mam nadzieję, że dla wszystkich wystarczy pośłań.

- Żartujesz! - Wysiedli na piętrze Julie. Peg podążyła za Lancelotem do drzwi. - Naprawdę pracowałeś? W takim razie, powiedz mi, jak się nazywa kierownik schroniska?

- Bill Kowalski. Znasz go? - Zadał to pytanie z takim radosnym wyczekiwaniem, że Peg zrobiło się nieswojo. Potrząsnęła przecząco głową. - To porządny człowiek. A chór, który zorganizował, jest całkiem niezły, zwłaszcza niektóre dzieci.

- Nigdy nie słyszałam o schronisku dla bezdomnych z własnym chórem - przyznała.

- Zdaje się, że Avalon to jedyny taki przypadek. Ale jest w tym wiele sensu. Bill mi to wyjaśnił.

Szczęknęły zamki i weszli do mieszkania. Lancelot przez chwilę patrzył przez wielkie panoramiczne okno na miasto, które zaczynał spowijać mrok.

- Nie wiem, czy się kiedyś przyzwyczaję do tej wysokości.

Peg podążyła za jego spojrzeniem. Uświadomiła sobie, że również ona często zadawała sobie to pytanie, wyglądając przez to okno.

- Chodzi o prostą rzecz. - Lancelot odłożył klucze na kuchenny blat. - Dzięki chórowi ludzie czują, że gdzieś przynależą, że są częścią jakiejś społeczności. Większość z nich nie jest związana z niczym ani z nikim w tym mieście. Są odizolowani, odcięci od wszystkiego. Ale kiedy śpiewają, budzi się w nich coś szczególnego. Napijesz się czegoś?

Przez długą chwilę patrzyła na niego oszołomiona.

- Słucham? - wydusiła wreszcie.

- Mówiłaś, że chętnie się czegoś napijesz. Więc proponuję ci coś do picia.

- A, tak. Jasne. Poproszę wódkę z tonikiem i z kawałkiem skórki cytrynowej.

- Dobrze - odparł niepewnie. Otworzył lodówkę i zaczął przeglądać butelki. - Cola. Oranżada. Woda mineralna. Tonik. - Odczytywał napisy na butelkach. - Chyba nie ma wódki z tonikiem.

- Trzeba dodać wódkę do toniku.

Widać było, że dopiero teraz to zrozumiał.

- Naprawdę? Interesujące. - Znów zajrzał do lodówki. - Mleko. Chuda śmietanka. Co to takiego? Zobaczmy...

- Nie chciałabym ci przeszkadzać, Lancelocie, ale wódka zwykle stoi w barku.

- W barku?

Czy ten facet spadł z księżyca?

- Tak, Lancelocie. Większość ludzi trzyma alkohole w barku. Podam ci. - Przeszła obok niego i wyjęła butelkę.

Nadal przeglądał zawartość lodówki.

- Lady Peg, obawiam się, że Julii skończyły się skórki od cytryny. Nic takiego tu nie widzę.

- Skończyły się... Och, na litość boską. Dajmy sobie spokój z tą komedią. Mnie to nie bawi i nie dam się na to nabrać. Przejrzałam cię na wylot.

Lancelot popatrzył na nią, a potem spojrział po sobie.

- Jaki rodzaj magii uprawiasz? - Rozłożył ramiona, jakby chciał się wnieść pod sufit.

- O czym ty, u diabła, mówisz?

- Powiedziałaś, że widzisz przeze mnie na wylot. Jak to możliwe bez wykorzystania magii?

- Bez magii? Posłuchaj no, cwaniaczk. Naprawdę myślisz, że jestem taka głupia i dam się nabrać na te twoje sztuczki? - Starła się nie podnosić głosu, próbowała zapanować nad wściekłością. - Dobrze wiem, o co ci chodzi. Uważasz Julie za łatwy łup. Tak, jest samotna. Ale lepiej jej będzie samej niż z kimś takim jak ty.

- Julia jest samotna? - pochwycił Lancelot, jakby nie usłyszał nic innego z tego, co mu powiedziała. - Jak ktoś taki piękny jak Julia może być choć przez chwilę samotny?

- Daj spokój. Zobaczyłeś smutną młodą kobietę i postanowiłeś ją wykorzystać, prawda? Nie ma co, dobrze wybrałeś. Udało ci się ją przekonać, że jesteś Lancelotem. W dodatku... - Skrzyżowała ramiona na piersiach. - Czy ty mnie słuchasz?

- Tak, tak. Proszę, mów dalej. - Widać było jednak, że myśli o czym innym.

- Wolałabym, żebyś się skupił na tym, co mówię - oświadczyła Peg, zirytowana jego zachowaniem.

- Czy nie obrazi cię, jeśli usiądę?

- Nie, raczej nie.

Patrzyła, jak wolno idzie przez salon i opada na kanapę. Usiadł z łokciami na kolanach, a zanim spojrzał na Peg, na chwilę oparł czoło na splecionych dłoniach.

- Nigdy nie sądziłem, że jest samotna.

- Julia?

Skinął głową.

- Oczywiście, że jest samotna - powiedziała. - Prawie wszyscy ludzie są samotni.

- Ty też? - Na jego twarzy odbiła się szczerza troska; w oczach mignęło autentyczne współczucie.

- No, tak. Chyba tak. - Coś tu się nie zgadzało. Nie takiego przebiegu rozmowy oczekiwała. - Dobrze się czujesz? - Zaskoczona usłyszała własny głos.

Spojrzał na nią czystym, śmiałym wzrokiem.

- Dlaczego na świecie musi istnieć tyle smutku? Ty, Julia, ludzie w Avalonie. Jak można dopuścić do takiego nieszczęścia?

- W zasadzie nigdy się nad tym nie zastanawiałam. - Usiadła obok niego na kanapie. - Tak po prostu świat jest urządzony, zawsze taki był. To naturalny stan człowieka. - Uśmiechnęła się gorzko. - No i bardzo dobrze. Inaczej straciłabym pracę.

Lancelot zamknął oczy.

- To nieprawda. To nie jest naturalny stan człowieka. Wcale nie. I nie zawsze tak było.

- Chcesz powiedzieć, że w Camelocie było inaczej.

Wziął głęboki oddech i otworzył te swoje bławatkowe oczy. Peg poczuła, że coś w niej drży.

- Właśnie. W Camelocie było inaczej - rzekł.

- Opowiedz mi, jak tam jest. Opowiedz mi coś o Camelocie.

Wtedy się uśmiechnął.

- Kiedyś myślałem, że magiczne jest samo miejsce zwane Camelotem. Kwiaty i wonie, skrzący się zamek i mury, niebo i ptaki. Istotnie, to piękny kraj. Ale kiedy tutaj przybyłem, zdałem sobie sprawę, że prawdziwa magia Camelotu zawiera się w ludziach.

- Chyba cię nie rozumiem.

- W Camelocie nie ma ludzkiego nieszczęścia.

- To jest niemożliwe. Wszyscy cierpią. I wszyscy jakoś sobie z tym cierpieniem radzą.

- Ależ właśnie o to chodzi. W Camelocie cierpienie nie jest konieczne. Straciło tam rację bytu. Jednak ktoś próbował sprowadzić cierpienie na Artura i Ginewrę, i właśnie dlatego królestwo się rozpadło.

Peg patrzyła na niego zadziwiona.

- Ty naprawdę wierzysz w Camelot, prawda?

- Tak. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Zdaje się, że musiałem stamtąd odejść, żeby odbudować swoją wiarę w Camelot. To bardzo dziwne, ale nigdy bardziej nie odczuwałem, że Camelot jest rzeczywistością, niż teraz.

Otworzyły się drzwi i weszła Julie. Twarz jej się rozjaśniła, kiedy zobaczyła Lancelota. Wypuściła z rąk torby z zakupami.

- Cześć, Peg - przywitała się, nie odrywając wzroku od Lancelota.

Peg patrzyła na nią zafascynowana.

Lancelot wolno wstał, by z otwartymi ramionami podejść do Julie. Ona również ruszyła w jego stronę. Kiedy tak szli ku sobie, wydawali się istotami nie z tej ziemi. Wreszcie się zetknęli.

Objął ją tak czule i namiętnie, że Peg aż zaparło dech w piersi. Potem zobaczyła na twarzy przyjaciółki wyraz tak wielkiej miłości i szczęścia, że aż z przejęcia zacisnęła dłonie.

Nagle rozległ się dziwny niski dźwięk, jakby świat zmienił się w pojedynczą nutę, jeden ton. Peg spostrzegła zadziwiona, że tych dwoje otacza mgła, która wiruje i opływa ich sylwetki, przejrzysta i nieskazitelnie biała. Było tak, jakby z nieba spłynął obłok i zatańczył wokół tych nieziemskich istot.

Kiedy ich usta w końcu się spotkały, Peg zrozumiała, że to, czego jest świadkiem, nie ma nic wspólnego z rzeczywistym światem. Oto widziała przed sobą fragment Camelotu.

17

Sam wrócił do księgarni z dowodem wpłaty na konto wystającym z kieszeni kraciastej koszuli.

- O, rany. W banku były tłumy - oznajmił. Wtem zauważył wyraz twarzy brata. Taki sam wyraz nieopanowanego przejęcia i tłumionej radości, jak wtedy gdy w zeszłym roku zdradził ciotce Bercie ze Staten Island, że szykują dla niej urodzinowe przyjęcie niespodziankę. - Co się stało?

- Powiodło nam się. - Mel uśmiechał się od ucha do ucha.

- Mów jasno, nie denerwuj mnie.

- Powiem tylko, że to być może ja mam lepsze podejście do klienta. Może to ja powinienem stanąć za ladą.

- Czyżby? - zdziwił się Sam.

- Jasne. Zgadnij, kto nam właśnie zostawił pięćset dolarów, chociaż właściwie nic mu nie sprzedałem.

- O czym ty mówisz?

Mel zamaszystym ruchem wyjął garść zmiętych banknotów.

- Wiola! - zawołał dumnie.

Sam miał ochotę powiedzieć bratu, że wiola to takie duże skrzypce, a Mel pewnie chciał z francuska zakrzyknąć „voilà!”. Nic jednak nie powiedział, tylko spojrział na pieniądze.

- Strasznie wymięte te banknoty. No to powiedz, skąd je masz.
- To było niesamowite. Posłuchaj tylko. Dostałem pięćset dolców za odbitkę kilku stron pewnego manuskryptu. Strasznie to było zabawne. Facet rzucał na ladę banknot za banknotem. Pewnie myślał, że chcę więcej pieniędzy, a ja po prostu byłem zdziwiony, że ktoś chce aż tyle zapłacić za zwykłą odbitkę, świeżo wyjętą z kopiarki.

- Żartujesz! - Sam zastanowił się chwilę. - Co to był za manuskrypt?

- Zdarzył się dziwny zbieg okoliczności. Chodziło o tę samą księgę, którą oglądałeś. Wiesz, ten włoski tekst z szesnastego a wieku, z jakimiś zaklęciami. No, tę księgę o Camelocie.

- Kto zabrał te odbitki? Czy to była ta para, która odwiedziła , nas kilka dni temu?

- Nie. To następna dziwna sprawa. Facet, który to kupił, wyglądał zupełnie jak dzielny rycerz Malvern. Niesamowite, co? Powiedział mi, że już tu u nas był i że obiecałeś mu jutro jakieś nowe książki. Dlaczego, u diabła, naopowiadałeś mu takich głupstw? To przecież ty zawsze mi powtarzasz, że nie należy składać klientom obietnic bez pokrycia, żeby nie byli rozczarowani. Twierdzisz, że lepiej zadzwonić i powiadomić, że dostawa już przyszła, niż ryzykować, że klient przyjdzie za wcześnie i dowie się, że tylko stracił czas.

Sam patrzył na pieniądze.

- Musiał zastawić resztę biżuterii. Co mu powiedziałeś? Czy wspomniałeś o tym, że trzeba mieć jakiś przedmiot, stanowiący fizyczną więź z Camelotem?

- Nie denerwuj się, Sammy. Oczywiście, że mu to powiedziałem. Posłuchaj, domyślałam się, że zorganizowano jakiś konkurs. Mam nadzieję, że nie zaprzepaściłem twojej szansy na wygraną.

- Konkurs? - Sam wytarł pot z górnej wargi. - Jaki konkurs?

- Ten facet powiedział mi, że bierze udział w jakimś konkursie czy turnieju. Hej, co się tutaj dzieje? Może powstało jakieś towarzystwo miłośników Camelotu?

Sam potrząsnął głową.

- To dość skomplikowane. Szkoda, że ci nie powiedziałem... Słuchaj, Mel. Jeśli ten facet tutaj wróci, nic mu nie dawaj. Absolutnie nic. Nieważne, czy będzie chodziło o kopię, czy oryginał, nieważne, ile pieniędzy ci zaproponuje, nie dawaj mu nawet skrawka papieru.

- Sam, żaden konkurs nie jest aż tak ważny. Musisz wziąć się w garść, mój chłopcze.

- Tu nie chodzi o konkurs. To czyste szaleństwo. I tak byś mi nigdy nie uwierzył.

- Przekonaj się.

Sam chwilę się wahał. Jego brat był pragmatykiem. Jako dziecko spędzał letnie wakacje na przyspieszonych kursach językowych, podczas gdy wszyscy inni bawili się bez troski. Pewnie Mel każe go zamknąć w domu wariatów. Ale teraz Sam nie mógł już dłużej mieć przed nim tajemnic.

- No, dobrze. Sprawa wygląda następująco - zaczął. - U Katza nie powiedziałem ci wszystkiego do końca. Camelot istnieje. Ci ludzie, którzy tu u nas byli, muszą tam wrócić. Ta sprawa nie jest dla mnie jedynie rozrywką czy nowym chwilowym hobby. Nie wiem jak, ale Lancelot, lady Julia i Malvern przecisnęli się przez szczelinę w czasie. Wszyscy troje starają się odnaleźć drogę powrotną do Camelotu.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz.

- Nie. Mówię serio.

- Więc nie ma żadnego konkursu?

- W pewnym sensie jest, ale nie polega on na przysyłaniu zużytych opakowań czy napisaniu sloganu reklamowego. To konkurs, a jednocześnie wcale nie konkurs. To coś ważniejszego. Prawie jak walka dobra ze złem. A ja mam przecucie, że Malvern wcale nie jest takim nieskazitelnym, szlachetnym rycerzem, za jakiego go zawsze mieliśmy. Nie jestem niczego pewien na sto procent, ale coś się tutaj dzieje. Nie wiem tylko dokładnie co.

Mel patrzył z namysłem na młodszego brata. Gnębiła go myśl, że chociaż ta historia wydaje się całkiem nieprawdopodobna, to Sam chyba ma rację. Coś się niewątpliwie działo. On również to wyczuwał.

- Kilka miesięcy temu natrafiłem na jeszcze jeden tekst-wyrzucił bez namysłu.

Sam zamrugał.

- Świetnie. Gratuluję ci. Ale teraz wróćmy do tematu.

- Mówię jak najbardziej na temat. Jeszcze tego tekstu nie przetłumaczyłem. Napisano go po łacinie, a wiesz, że łacina doprowadza mnie do szału. Znalazłem go w tej górze rupieci, które kupiłem na wyprzedaży likwidowanego domu w Buffalo.

- Ach, tak. Od tego byłego aktora wodewilowego.

- Właśnie. W latach trzydziestych wymyślił taki nieudany numer. Zaczął zajmować się okultyzmem. Szukał wszystkiego, co mogłoby mu pomóc odnieść sukces.

- Czy to nie był ten stepujący brzuchomówca?

- Owszem. Jego sztuczka polegała na tym, że to kukła była tancerzem. Nieważne. W każdym razie, ten gość skupował wszystko na temat czarów, co mu wpadło w ręce.

- Lepiej by zrobił, gdyby się zapisał na lekcje stepowania.

- Na szczęście dla nas, nie przyszło mu to do głowy. Jedna z jego ksiąg to wcześniejsza, łacińska, wersja tej włoskiej księgi o Camelocie.

Sam musiał się chwilę zastanowić nad słowami brata.

- I co z tego? - zapytał w końcu. - Ta sama książka, tylko w innym języku. Gdzie tu sensacja?

- Sensacja polega na tym, że włoska wersja to tłumaczenie łacińskiego oryginału. Pozwól, że tak to wyrażę. Każdy przekład jest tak dobry jak tłumacz, który go wykonał. Tłumaczenie to forma sztuki. Pamiętasz grę w głuchy telefon, w którą się bawiliśmy jako dzieci? Siadaliśmy w kole i powtarzaliśmy sobie na ucho to samo zdanie. Okazywało się, że każdy coś tam zmieniał i na koniec wychodziło z tego zupełnie inne zdanie. Ze starymi manu-

skryptami sprawa wygląda podobnie. Nie były drukowane, przepisywano je ręcznie. A jeśli nie było oryginału, z którym można było porównać kolejną kopię, wszystko zależało od tego, kto przekładał.

- I co?

- Chcę powiedzieć, że ten włoski tłumacz nie był chyba mistrzem w swoim fachu. Przejrzałem łacińską wersję i nawet na pierwszy rzut oka widziałem, że są tam szczegóły, które uszły uwagi Włocha. Może specjalnie je opuścił, kto wie? Ale różnice są bardzo znaczące.

- Jakie?

- No, dobrze. Podam ci pierwszy przykład, jaki mi przychodzi do głowy. We włoskiej wersji jest napisane, że po to, żeby wrócić do Camelotu, trzeba mieć coś, co cię fizycznie z nim łączy.

- Zgadza się. Musi to być w dodatku coś mistycznego.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodzi. Łacińska wersja trochę się różni. Twierdzi ona, że potrzebna jest nie jedna, ale dwie rzeczy.

- Dwie?

- Właśnie. Jedna fizyczna, druga mistyczna. Właśnie to cały czas usiłuję ci wytłumaczyć. Obawiam się, że nie doceniasz mojej pracy. Jasne, to ty czarujesz klientów pogawędkami. Ale to, co ja robię, to też pewnego rodzaju pogawędki, tylko z ludźmi, którzy już nie żyją.

- Dobrze, dobrze. Wiem, że twoja praca jest bardzo ważna. Ale wróćmy do tych dwóch rzeczy łączących z Camelotem. Myślałem, że musi być tylko jeden przedmiot.

- Widzisz, właśnie o to chodzi. Włoch albo tego nie zrozumiał, albo celowo opuścił, co by znaczyło, że nie chciał, żeby ta informacja dostała się w nieodpowiednie ręce. Musisz pamiętać, że każdy, kto wtedy potrafił czytać po łacinie, był kimś w rodzaju uczonego. W zasadzie każdy, kto w ogóle potrafił czytać, był uczoneym. Ale ten tłumacz chyba uznawał tylko najlepszych z najlepszych. Nie chciał, żeby byle kto zyskał tę wiedzę, ponieważ wierzył, że księga zawiera wyjątkowo potężne zaklęcia. Nieważne.

Skutek jest taki, że zaklęcia i opis tego czegoś, co łączy z Camelotem, w obu wersjach różnią się od siebie. Nie są to jakieś wielkie różnice, raczej bardzo subtelne.

- Co jeszcze nowego tam znalazłeś?

- Właśnie dlatego łacina doprowadza mnie do szału. Drobne szczegóły zmieniają całe znaczenie. Porównanie całego tekstu, linijka po linijce, trochę potrwa. Mówimy tu o bardzo dokładnym zbadaniu sprawy. Musisz mi dać trochę czasu.

- Ile?

- Nie wiem. - Mel z namysłem podrapał się w szyję. - Tydzień albo dwa. To znaczy, jeśli poświęcę się wyłącznie badaniu tych dwóch rękopisów.

- To na nic. Trzeba to zrobić o wiele szybciej.

- Co takiego? Camelot nie może poczekać jeszcze dwa tygodnie? Dobrze, dobrze. Zaraz się do tego zabieram i zobaczę, jak szybko będzie mi to szło. Ale muszę cię ostrzec. Łacina doprowadza mnie do szału. Mogę się stać bardzo nieprzyjemny.

- Nic to dla mnie nowego.

Mel w końcu się uśmiechnął.

- Właściwie nie wiem, dlaczego to robię, ale dobrze. Aha, Sam?

- Tak?

- Kiedy ja będę pracował, ty zamawiasz jedzenie na wynos. Na własny koszt.

Peg chwyciła butelkę i wlała sobie pozostałą w niej wódkę do szklanki.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Julie, widząc, że szklanka trzęsie się w dłoniach przyjaciółki.

W końcu Peg odstawiła szklankę na stolik, ale tak nieszczęśliwie, że połową denka trafiła na leżącą tam książkę. Ze stojącego krzywo naczynia wylał się alkohol i spokojnie spłynął na stół, książkę i dywan.

- Przepraszam. Bardzo przepraszam - mamrotała Peg, wycierając kałużę już i tak wilgotną serwetką.

- Nic się nie stało.

Lancelot odpoczywał w sypialni, wyczerpany po kolejnym dniu fizycznej pracy, a jeszcze bardziej po kolejnym dniu w obcym miejscu i czasie.

- Nie mogę w to uwierzyć- powiedziała Peg. Zupełnie nie wiedziała, co o tym myśleć. - Na własne oczy widziałam, jak pokój rozświetlił się na biało. Widziałas to?

Julie spuściła wzrok.

- Prawdę mówiąc, nie.

- Nie widziałas?

- Nie. Raczej to poczułam. Wyznam ci szczerze, że nie zdałam sobie sprawy, że z zewnątrz można coś zobaczyć. Wydawało mi się, że to wszystko dzieje się we mnie.

Peg chwyciła drżącymi rękami wielką skórzaną torbę i wyjęła z niej paczkę papierosów. Popatrzyła na nią, stuknęła paznokciem z denko i wsunęła z powrotem do ciemnego wnętrza przepastnej torby.

- Ciagle zapominam, że już nie palę.

Julie z przesadną starannością wycierała resztę rozlanego drinka.

- A co słyhać u ciebie w pracy? - spytała.

- Cudownie. Nie może być lepiej. Dla mnie to bardzo dobrze, że po tym świecie chodzi tylu psychicznie niezrównoważonych ludzi.

- Tak. Dla ciebie dobrze. - Julie wytarła ostatnią kroplę w rogu stolika.

- Julie, co się dzieje? - zapytała Peg.

Jej przyjaciółka odłożyła wreszcie mokrą serwetkę.

- Sama nie wiem.

- I tak na pewno wiesz więcej niż ja. Bardzo bym ci była wdzięczna, gdybyś mnie trochę oświeciła.

- Próbowałam, Peg. Naprawdę próbowałam.

- A ja nie chciałam nic przyjąć do wiadomości. Przepraszam. Ale czy możesz mnie za to winić? Tak mnie wyszkolono. Mam pomagać ludziom pozbywać się złudzeń. A tu moja stara przyjaciółka wyskakuje z Lancelotem i ja mam w to uwierzyć? Musiałam go uznać za przypadek dla psychiatry.

- Oczywiście, rozumiem. Zanim ja uwierzyłam, też minęło trochę czasu, a przecież byłam tam osobiście.

Peg z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przez długą chwilę patrzyła na przyjaciółkę. Julie już się spodziewała, że za chwilę usłyszy następną przemowę na temat zdrowia psychicznego i niebezpieczeństw, wynikających z całej tej sytuacji.

Jednak Peg tylko znów sięgnęła do torby, odnalazła papierosy i pudełko zapałek. Powoli zapaliła zapałkę, o mało nie przypaliła filtra i dopiero po chwili odwróciła papieros we właściwą stronę. Zaciągnęła się głęboko.

- No to opowiedz mi.

- Co mam ci opowiedzieć?

- Wszystko. Masz popielniczkę?

Julie wstała i po chwili wróciła z popielniczką.

- Przyznam, że czułabym się bardzo dziwnie, wyznając ci wszystko, co mi się ostatnio przytrafiło.

- Dlaczego, na litość boską? Tylko dlatego, że ci powiedziałam, że pewnie przechodzisz kryzys psychiczny, że ten Lancelot to całkowity wariat o tendencjach socjopatycznych i że pewnie niedługo całkiem się załamiesz? Ależ ty jesteś przewrażliwiona!

- Cóż... - Julie wzruszyła ramionami. - To takie osobiste. Nie wiem, czy potrafię to wyrazić.

- Spróbuj.

Julie podniosła wzrok, a Peg zdusiła niedopałek.

- Proszę, postaraj się mi to opowiedzieć. Bo wiesz, Julie, ty, być może, jesteś moją ostatnią szansą.

- Ostatnią szansą?

- Tak. Ostatnią szansą żebym uwierzyła w cokolwiek. To

znaczy, uwierzyła tak naprawdę, bez badań klinicznych i testów. Właśnie tego mi brakuje. I to bardzo. Przez długie lata starałam się znaleźć sposób, żeby odzyskać tę czystą, nieskażoną wiarę. Proszę cię, ze względu na mnie, opowiedz mi wszystko.

Julie przymknęła oczy i podwinęła nogi.

- To stało się tak szybko. Nie było ani chwili przerwy. Wszystko dokonało się w jednej sekundzie. Stałam w korytarzu restauracji, a po chwili poczułam przepiękny zapach.

- Zapach? - zdziwiła się Peg, a Julie spojrzała na nią i skinęła głową.

Na wspomnienie tamtego uczucia na jej ustach wykwitł uśmiech.

- To był zapach świeżych kwiatów i czystego powietrza. Żeby najlepiej go opisać, mogę tylko powiedzieć, że był zielony. To była woń światła, jasnej wiosennej zieleni, zanim jeszcze wszystko rozkwitnie, kiedy pąki na gałęziach są małe i delikatne, prawie białe. Właśnie taki zapach poczułam na samym początku.

- A potem?

- Dotknęłam metalu, metalu jego zbroi. Był gorący i lekko drżał. Następnie wyczułam zapach skóry, wytartej od częstego używania i przesiąkniętej słonym potem. Otworzyłam oczy i zobaczyłam jego hełm, a potem twarz. Odezwał się pierwszy i uniósł przyłbice. Tak go ujrzałam. Miał niewiarygodnie niebieskie oczy, rysy twarzy takie zdecydowane, tak pełne życia. A to był zaledwie początek.

Peg pochyliła się naprzód i oparła brodę na dłoniach.

- Mów dalej.

- Potem zobaczyłam Camelot.

- Jak tam było... jak tam jest?

- To baśniowy świat. Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. - Julia zagryzła wargę, szukając w myślach odpowiednich słów. - Wydawało mi się, że patrzę w kalejdoskop. Wszędzie wirowały wyraziste kolory, nigdy nie wiedziałam, czego oczekiwać w następnej chwili. Takich kształtów i kolorów nie wyobraziłabyś sobie przenigdy.

- Myślisz, że to było rzeczywiście takie miejsce czy sprawiła to obecność Lancelota?

Julie przez chwilę milczała, uświadomiwszy sobie, że przyjaciółka pierwszy raz bez ironii wypowiedziała imię rycerza. Poczowała ulgę, ale jednocześnie dziwny niepokój.

- Myślę, że i jedno, i drugie - przyznała. - Wszystko tam mnie zachwycało. Nie wiedziałam, co zobaczę za rogiem i kogo jeszcze poznam.

- Ale jak teraz patrzysz na to doświadczenie? To znaczy, czy to było złe, czy dobre miejsce?

- Było cudowne - wyszeptała Julie. - Piękne. Kiedy byłam dzieckiem, miałam nadzieję, że właśnie tak wygląda świat. Miałam niewiarygodnie silne poczucie, że wszystko tam jest dobre, słuszne i sprawiedliwe. Potem zobaczyłam króla Artura.

- Poznałaś króla Artura?

- Tak. Peg, nigdy jeszcze nie widziałaś kogoś takiego. Wydawało mi się, że wprost od niego bije poczucie sprawiedliwości. Spotkałam też Ginewrę, no i, oczywiście, Malverna.

- Malvern! Och, on zawsze był moim ulubieńcem. Jako dziewczynka kochałam się w nim na zabój! Jaki był? Pewnie cudowny?

- Cudowny? Nie. Wcale nie. Był po prostu straszny. - Już miała wyznać Peg, że Malvern też przeniósł się w ich czasy i że to właśnie on włamał się do jej mieszkania, ale przemilczała to.

- Jak możesz tak mówić? Przecież to był najbardziej zaufany rycerz króla Artura. Tylko dlatego, że... No, nieważne.

- Tylko dlatego, że co?

- Chciałam ci przypomnieć, że to Malvern odkrył zdradę Lancelota. Szczerze mówiąc, nie dziwię się, że bronisz swojego rycerza. W pracy ciągle się z tym spotykam: kobiety zakochują się w całkiem niewłaściwych mężczyznach.

Julie potrząsnęła głową. Zdała sobie sprawę, że choć Peg bardzo starała się ją zrozumieć, nic do niej nie dotarło. Prawdopodobnie

Julie żądała od niej zbyt wiele? Może nikt, kto nie odwiedził Camelotu, nie był w stanie pojąć tej opowieści?

- Wiesz, jestem bardzo zmęczona - odezwała się w końcu.

- Jasne. Przepraszam. - Peg spojrzała na zegarek. - Ojej, już po ósmej. Muszę uciekać. - Wstała. - Masz tu książkę Nathana? Muszę mu ją jak najszybciej zwrócić.

- Och, przepraszam. Sama nie wiem, jak to się stało. Zostawiłam ją w pracy, pod kanapą.

- To nic takiego. Nathan mnie zabije, ale poza tym...

- Zaczekaj. A może jutro z samego rana prześlę ci ją przez gońca?

- Z samego rana? Obiecujesz?

- Przysięgam.

- Dobra. Dzięki. Aha, i dziękuję, że mi wszystko opowiedziałas. To mi naprawdę pomogło.

Julie objęła przyjaciółkę.

- Och, Peg, wiem, że trudno ci zrozumieć, ale może któregoś dnia i dla ciebie ta opowieść nabierze sensu.

Peg uściskała Julie i już miała wyjść, ale się zatrzymała.

- Czegoś tu nie mogę pojąć. - Zrzuciła sobie torbę na ramię. - Dlaczego ty? Dlaczego to akurat ty tam trafiłaś i dlaczego tobie to wszystko się przydarzyło? Przecież jest tylu ludzi, którzy oddaliby wszystko, dosłownie wszystko, za taką możliwość. Ja całe życie uwielbiałam tę legendę, badałam ją dokładnie. Napisałam rozprawę na temat zmian, jakie dzięki mitowi o Camelocie następowały w widzeniu psychologii człowieka na przestrzeni wieków. Ale że też właśnie ty... - Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, dlaczego tak się stało. Naprawdę nie mam pojęcia.

Po wyjściu przyjaciółki Julie usiadła na kanapie, objęła poduszkę i sama sobie zadała to pytanie.

Następnego ranka Lancelot dostał gorączki.

Temperatura nie była bardzo wysoka i kiedy Julie podała mu aspirynę, poczuł się o wiele lepiej. Był to jednak kolejny znak, że coś się źle dzieje. Lancelot nie został stworzony do życia w dwudziestym wieku.

- Jedna myśl mnie pociesza. - Uśmiechnął się. - Może Malvern miewa się w tym klimacie równie kiepsko jak ja.

Odwzajemniła jego uśmiech. Widziała, że dzisiaj jej rycerz wygląda jeszcze gorzej. Był wyczerpany, jakby ciężko chory. Mimo to nalegał, że pomoże Billowi w schronisku, chociaż nadal zamierzał szukać Malverna.

Julie właśnie wkładała zakiet, kiedy myśl o Lancelocie i jego pracy w Avalonie poddała jej pewien pomysł.

- Skąd twój przyjaciel Bill bierze pieniądze na prowadzenie schroniska?

- Najczęściej z darów. Trochę funduszy przydzielają również władze miasta. Ale Bill twierdzi, że żyją z tygodnia na tydzień. To już trzeci kościół, który im w tym roku użyczył siedziby. Dlaczego pytasz?

- Chodzi mi o tę imprezę dobroczynną którą organizujemy w pracy razem z ludźmi z Błysku. Jeden z zespołów, który miał tam wystąpić, był zmuszony się wycofać, a ty chyba wspomniałeś mi coś o chorze prowadzonym w schronisku.

- Tak. Całkiem nieźle śpiewają.

- Istnieje szansa, niewielka, że uda mi się włączyć schronisko do tej akcji. Wszystkie instytucje dobroczynne podziela się równo dochodem. Trochę już późno na wszelkie zmiany, ale porozmawiam z panem Swensonem. Jak ci się podoba ten pomysł?

- Bill byłby bardzo zadowolony. - Lancelot ujął ją za rękę. - Ja też bym się cieszył.

Ich palce na chwilę się zetknęły. Dopiero potem Julie zdała sobie sprawę, że Lancelot tak samo jak ona niepokoi się tym, co przyniesie nadchodzący dzień.

Obserwował ich, kiedy wychodzili z budynku.

Śledzenie ich ruchów było zaskakująco łatwe. Od samego początku zachowywali się głupio. Nie docenili jego zaradności i sprytu.

Oczywiście, najpierw czuł się tutaj całkiem zagubiony. Wszystko było takie inne, głośnie, szybkie, szorstkie. Pewnie samotność wyostrzyła jego zdolności adaptacyjne, bo zaledwie po jednym krótkim dniu zaczął rozumieć prawdę, która sprawiła, że reszta jego podróży stała się wręcz śmiesznie łatwa.

Malvern odkrył, że w przeciwieństwie do Camelotu, ten świat jest napędzany chciwością i żądzą. W porównaniu z ludźmi, których widywał na ulicach albo oglądał w telewizji, kiedy nocował w schroniskach, on wydawał się najzwyczajszym amatorem. Jego skromną ambicję, żeby wrócić do Camelotu i zawładnąć królestwem, tutaj otwarcie podziwiano. Mieli tu nazwy dla czynów, których zamierzał dokonać. Najpierw wydawało mu się, że to się nazywa „przewrót”, ale potem usłyszał słowo „polityka”. Chociaż nie był całkowicie pewien, jak została nazwana jego akcja, miał pewność, że wszyscy tutaj przyklasnęliby jego sukcesowi.

Czasami nawet żałował, że nie może tu zostać, w tych czasach, z tymi ludźmi. Jednak tutaj konkurencja była dla niego zbyt silna. Wokół widział zbyt wielu Malvernow, mających talenty, o których on mógł tylko marzyć.

Poza tym, nie czuł się dobrze. Stopniowo opuszczały go siły. Nękające go bóle i ataki dreszczy przypisywał dziwnemu żywieniu i klimatowi. Szczęśliwie, niemal natychmiast odnalazł mieszkanie Julii. Pewna miła pani, którą spotkał w miejscu, gdzie wylądował - było to coś w rodzaju sali biesiadnej - podwiozła go do miasta i w swojej dobroci wyjaśniła, co to jest książka telefoniczna. Potem nie miał już żadnych trudności z odnalezieniem mieszkania lady Julii w wysokim budynku i z zabranieniem jej biżuterii.

Naprawdę jednak zależało mu na Excaliburze. Kiedy zdobędzie miecz, wróci okryty chwałą do Camelotu i obwołają go nowym królem. A bez Lancelota królestwo samo wpadnie mu w rękę, jak

dojrzały owoc. Wszystko może należeć do niego, Malverna. Wszystko. Nawet królowa.

Ta myśl wywoływała uśmiech na jego ustach, nawet kiedy nocował w obcych miejscach, wśród obcych ludzi.

Lancelot i jego lady Julia rozmawiali, stojąc na chodniku. W głowie Malverna powstał dylemat. Za kim pójść? Kto prędzej doprowadzi go do Excalibura?

Przyjrzał się Lancelotowi. Dawny przyjaciel wyglądał nie najlepiej. Właściwie, jak by to ująć... Wyglądał krucho. Tak. Potężny Lancelot wydawał się kruchy i słaby.

Natomiast lady Julia wyraźnie kwitła. W krótkiej sukience prezentowała się doskonale. Pod tym względem to miejsce było lepsze od Camelotu. Nogi. Wszędzie, gdzie spojrzął, widział kobiece nogi. A już zwłaszcza rzucały mu się w oczy nogi Julii. Nie wiedzieć dlaczego, wydawały mu się szczególnie pociągające. Szczerze mówiąc, o wiele przyjemniej będzie pójść za Julią do jej miejsca pracy niż śledzić Lancelota w drodze do schroniska.

Na myśl o Avalonie Malvern poczuł gwałtowny skurcz. Wszystko co dobre. Wszystko co szlachetne. Avalon, Camelot i Artur.

Ale jego nie dostaną! Nie rozumieli, że chciał tylko stać się jednym z nich, rycerzem jak inni, częścią społeczności. Tylko o to prosił, i tego mu odmówili. Okradli go z prawa do bycia szlachetnym i dobrym, więc teraz musiał iść w innym kierunku.

A przy odrobinie szczęścia zabierze tam ze sobą cały Camelot... i to już na zawsze.

18

Można by pomyśleć, że agencja zmieniła się w dworzec kolejowy Grand Central świata reklamy.

Od chwili gdy Julie przekroczyła progi biura, rozgrzany do czerwoności telefon dzwonił bez przerwy, telefaksy wypluwały wiadomość za wiadomością, wbiegali i wybiegali posłańcy z przesyłkami, rozgorączkowani asystenci, gestykułując, przekazywali pilne informacje od najróżniejszych klientów, w sprawach kampanii, które właśnie prowadzili.

A wszyscy koniecznie potrzebowali Julie. I to natychmiast. Właśnie w tej sekundzie. Inaczej pewnie cała kampania by się zawaliła albo firma Stickley & Brush przestałaby istnieć, a być może, że nastąpiłby również ostateczny koniec świata.

Julie dosłownie nie miała okazji ani na chwilę usiąść. A nawet gdyby zdarzyła jej się wolna chwila, to na fotelu i kanapie piętrzyły się pod sufit nie przeczytane faksy, foldery promocyjne i pudła z najnowszym sprzętem do uprawiania lekkiej atletyki.

Na dodatek ludzie z Błysku zaangażowali Julie do organizacji galowej imprezy dobroczynnej. Okazało się, że tylko ona może skoordynować kampanię środka czystości i tę imprezę. Gala miała

się odbyć już niedługo, więc oprócz nawału zwykłych zajęć, Julie musiała się jeszcze zmagać z telefonami od reporterów prasowych i telewizyjnych, którzy wypytywali ją o nazwiska sławnych osobistości, deklarujących swój udział w imprezie. A było ich coraz więcej, ponieważ każdy chciał zwrócić na siebie uwagę i zasłużyć na wzmiankę w prasie.

Chociaż wszystko toczyło się w wariackim tempie, Julie jakoś dawała sobie z tym radę. Zlecała asystentom wykonanie drobniejszych czynności, którymi nie mogła zająć się sama, więc po całej agencji uwijały się młode kobiety, nadal w sportowych butach, w których pokonywały drogę do pracy, oraz młodzi mężczyźni, z ołówkami zatknietymi za uchem i z paniką w oczach.

W chwili względnego spokoju dodała schronisko Avalon do oficjalnej listy instytucji charytatywnych, biorących udział w imprezie. Ten drobny gest dał jej wielką satysfakcję, świadczył, że i jej, i Lancelotowi przyświeca jeden cel.

Potem znów rozdzwoniły się telefony; asystenci i posłańcy czekali na dalsze polecenia, a Julie znów dała się wciągnąć w szaleńczy wir pracy i sukcesu.

Peg jeszcze raz spróbowała dodzwonić się do przyjaciółki i znów musiała czekać, słuchając okropnej muzyki. Na koniec kolejna zdyszana osoba poinformowała ją, że Julie jest na bardzo ważnym zebraniu.

Z hukiem odłożyła słuchawkę, sfrustrowana i zagniewana. Tej nocy udało jej się przespać tylko kilka godzin. Prześladował ją obraz tego, co się zdarzyło. Wciąż przypominała sobie dziwne światło, jakie wywołali swoim spotkaniem Lancelot i Julie.

A teraz nie mogła nawet skontaktować się z przyjaciółką, której życie stanęło na głowie. Julie nie tylko odwiedziła Camelot, ale w dodatku przywiozła sobie stamtąd pamiątkę - rycerza Lancelota.

Nagle, w środku nocy, Peg przypomniała sobie o mieczu. Lancelot nazwał go Excaliburem. Czy to rzeczywiście był Excalibur? Bardzo chciała się tego dowiedzieć, ale nie mogła dozwonić się do Julie, żeby jej zadać jedno proste pytanie. Nie mogła też się upewnić, czy przyjaciółka przesłała jej komiks Nathana, tak jak obiecała.

Peg była w tak kiepskim stanie, że odwołała wszystkie zaplanowane na ten dzień wizyty. Nie potrafiłaby się zmusić do wysłuchiwania utyskiwań pani Gibbons na to, jak jej synowa prowadzi dom, ani na roztrząsanie problemów, które pan Murdoch miał ze swoim wyimaginowanym przyjacielem, Binkym. Nie chodziło tylko o to, że nie była w stanie się skupić. Przecież gdyby któryś z jej pacjentów choć trochę się domyślił, co przeżywa jego terapeutka, z pewnością kazałby jej samej szukać fachowej pomocy.

Było coś jeszcze, coś, co nie napawało ją dumą. W skrytości ducha zazdrościła Julie. Zazdrościła przyjaciółce, że ta przeżyła coś niesamowitego, co zaprzeczało całemu dotychczasowemu doświadczeniu i logice. Peg nie mogła zrozumieć, dlaczego to właśnie Julie podarowano taką okazję, a nie jej. Krótko mówiąc, Peg była zazdrosna, że jej najlepsza przyjaciółka dostała szansę, o której ona mogła tylko marzyć.

W dodatku z tej cudownej wycieczki wróciła z Lancelotem. No, może to nie był najbardziej romantyczny wybór, ale Peg musiała przyznać, że rycerz okazał się czarujący, o wiele bardziej, niżby to wynikało z którejkolwiek wersji legendy. Prawdę mówiąc, ani trochę nie wyglądał na łajdaka. A przede wszystkim, Julie wydawała się przy nim niezmiernie szczęśliwa, chociaż najwyraźniej oboje nękał jakiś problem.

Jednym słowem, przyjaciółka maksymalnie wykorzystała ten cudowny kaprys losu, który jej się przydarzył. Zostawało tylko jedno proste pytanie. Jakie było przeznaczenie Peg? Czy miała spędzić resztę życia na wysłuchiwaniu opowieści o problemach

i radościach innych ludzi, nigdy nie mieć nic własnego? Czy miała poznawać życie z drugiej ręki, z ustnych przekazów?

Peg poczuła, że musi wyjść z mieszkania, przejść się trochę. Chciała znaleźć odpowiedź na pytanie, które od dawna sobie zadawała.

Czy to już wszystko?

Bezdomni napływali do Avalonu wolno, ale nieprzerwanym strumieniem. Nie wyglądało na to, że jest ich tak wielu, dopóki Bill nie obejrzał się i nie zobaczył, że w środku nie ma już miejsca. Wkrótce trzeba będzie odmawiać innym potrzebującym - czego Bill najbardziej nie lubił. A przecież to była dopiero pora lunchu.

Dobrze przynajmniej, że pomagał mu Lancelot. A pomysł, żeby wziąć udział w imprezie dobroczynnej Błysku, był po prostu genialny, jeśli tylko dojdzie do skutku. Bill czytał o gali w gazetach, ale nie wiedział, że jego schronisko mogłoby wziąć w niej udział. Ten Lancelot okazał się bardziej pomocny niż wszyscy inni ochotnicy razem wzięci. Wyszedł przed chwilą, ale zapowiedział, że później wróci.

Napłynęło więcej ludzi i Bill zdał sobie sprawę, że będzie musiał zużyć żywność odłożoną na następny dzień. Cóż, jutro będzie dopiero jutro i wtedy się tym zajmie.

- Tutaj, Frank! W pudle w rogu znajdziesz jeszcze kilkanaście konserw. Tak, właśnie tam. Przecież wiesz, gdzie jest otwieracz.

Tak już się przyzwyczał do tej pracy, że polecenia mógł wydawać nawet przez sen. I chociaż było to użyteczne i bardzo ułatwiało mu życie, zaczynał się zastanawiać, czy nie zbliża się do punktu, w którym uzna, że bezdomność to coś naturalnego. Nie czuł już potrzeby walki z tym zjawiskiem jako takim. Wystarczyło mu, że zajmuje się ludźmi.

- Witaj, Wilmo. Miło cię widzieć.

A przecież w życiu musi być coś jeszcze, musi istnieć jakieś

miejsce, gdzie jego wysiłek przyniósłby zauważalne zmiany. Czasami zastanawiał się, czy naprawdę pomaga tym ludziom, zapewniając im ciepłe, suche poślanie na noc. To było rozwiązanie krótkoterminowe; na dłuższą metę nic nie załatwiało. A jeśli samo istnienie schroniska sprawiało, że ludzie przestawali się starać, żeby polepszyć sobie życie? Może właśnie to odstręczało ich od wysiłku zdobycia własnego domu?

Zawsze ganił się w duchu, kiedy jego myśli biegły tym torem. Większość tych ludzi miała bardzo trudną, złożoną sytuację i znalazła się w niej nie z własnej winy. To było trochę tak, jakby winić pacjenta za to, że zachorował.

- Dzisiaj wieczorem zrobimy sobie krótką próbę chóru - oznajmił. - I być może będę miał dla was wspaniałą wiadomość.

Kogo chciał oszukać? Tych ludzi nie obchodził ani chór, ani głupie aranżacje, które dla niego wymyślał, kierowany ambicją absolwenta akademii muzycznej.

Dla tych ludzi śpiewanie w chórze, traktowane pewnie jako zapłata za jedzenie, musiało być prawdziwą torturą. Wcale nie podnosiło ich wiary we własną wartość ani nie dawało im poczucia przynależności do grupy. Pewnie uważali, że to egzamin, który muszą zdać, zanim pozwoli im najeść się do syta.

Rozejrzał się po sali i zatrzymał wzrok na nowym przybyszu, Vernie. W tym człowieku było coś bardzo niepokojącego. Nie chodziło o jego strój, ponieważ był lepiej ubrany niż większość bywalców przytułku, włącznie z Billem. Chodziło o coś innego.

Takie myśli pewnie go nawiedzały, ponieważ już zbyt długo zajmował się prowadzeniem schroniska. Zaczynał patrzeć na wszystko z goryczą. Widział już nie indywidualne istoty ludzkie, tylko wyciągnięte dłonie, żebrzące o pomoc.

Kiedy pierwszy raz takie myśli przyszły mu do głowy?

Odwrócił wzrok od Verna. Kiedy to zrobił, uświadomił sobie coś dziwnego. Prawdziwa rozpacz doskwierała mu tylko wtedy, gdy ten człowiek znajdował się w pobliżu. Kiedy się oddalał,

nawet jeśli Bill był potwornie zmęczony, nawet jeśli brakowało mu ochotników do pomocy, czuł radość, wiedząc, że pomaga ludziom. Nie miał życia osobistego, mieszkał w obskurnej kawalerce na Bowery, miał za sąsiadów samych dziwaków, a jednak uważał się za szczęśliwego. To znaczy, tak było dotychczas.

Tak naprawdę, pewny siebie czuł się jedynie tutaj, w Avalonie. Dopiero od niedawna, odkąd pojawił się Vern, facet z brodą i nieprzyjnym spojrzeniem, Bill zaczął wątpić w siebie i w sposób na życie, który wybrał dziesięć lat temu.

Chciał, żeby Lancelot poznał Verna i osądził, czy on również czuje płynące od niego nieprzyjemne prądy. Jednak jakoś tak się składało, że zawsze się mijali. Vern przychodził tuż po wyjściu Lancelota albo znikał, kiedy ten się pojawiał. Bill zauważył, jak inni reagują na Verna. Unikali go, odwracali oczy, kiedy patrzył w ich stronę.

Zdawało się, że nowy podopieczny schroniska ma magiczną moc wysysania każdego grama pozytywnej energii z pomieszczenia, w którym się akurat znajdował.

Kiedy Bill się nad tym wszystkim zastanawiał, Vern czujnie go obserwował, a dziwny uśmiezek wykrzywił mu usta.

- Uwaga! - zawołał Bill. - Jedzenia wystarczy dla wszystkich! Nie musicie się pchać!

Vern nadal siedział i patrzył.

I czekał.

Lancelot wszedł do biura Julie i z lekkim rozbawieniem spoglądał na panujący tu chaos.

- Przepraszam - powiedziała Julie, zakrywając dłonią słuchawkę. - Chyba nie będę mogła... - Przerwała i znów odezwała się do słuchawki. - Halo? Tak. Oczywiście, natychmiast się tym zajmiemy. Jeśli oni się zjawia, potrzebna będzie dodatkowa ochrona. Zjawia się? Wspaniale! Chwileczkę. - Zwróciła się do

Lancelota: - Przepraszam, ale teraz absolutnie nie mogę się stąd wyrwać. Myślałam, że mi się uda, ale...

Lancelot skinął głową. Potrącając go, do gabinetu wpadł zdyszany młody człowiek z wielkimi rysunkami.

- Bardzo przepraszam. Julie, to są wstępne szkice do reklam Błysku. Mogłabyś je przejrzeć, jak tylko...

Dała mu znak, żeby podszedł bliżej. Przerzuciła rysunki, szybko złożyła na nich podpis i wróciła do rozmowy telefonicznej.

Lancelot odwrócił się do wyjścia.

- Zaczekaj! Chwileczkę. - Znow nakryła dłonią słuchawkę. - Sam dzwonił rano. Powiedział, że ma dla nas jakieś nowe wiadomości. Pomyślałam, że moglibyśmy razem pójść do księgarni, ale nie wiem, kiedy uda mi się z tym wszystkim uporać.

- W takim razie ja tam pójdę.

- Mógłbyś, naprawdę? Tak mi przykro, że... Halo?

Spojrzała na niego przepaszająco i zajęła się pracą.

Lancelot wyszedł z biura; w koratarzu musiał odskoczyć, by uniknąć zderzenia z pędzącym na rolkach posłańcem, po czym pomógł zebrać z podłogi stertę papierów, którą właśnie upuściła młoda kobieta z kubkiem gorącej kawy.

Zjeżdżając windą w dół, zdał sobie wyraźnie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, nie czuł się dobrze. W zasadzie był tak wyczerpany, że musiał na chwilę usiąść. Po drugie, nie pasował do tego świata. Nie pasował do tego biura, do tych czasów i pewnie nie pasował do życia Julie.

Ze względu na nią musiał podjąć jakąś decyzję.

Peg spacerowała już dwie godziny, zupełnie nie patrząc, dokąd idzie.

Spacer okazał się zbawienny. Właśnie tego jej brakowało, żeby nabrać jasności umysłu. Widoki i odgłosy miasta docierały do niej

niewyraźnie, nie przyciągały na dłużej uwagi. Myślała głównie o swoich problemach, a był to temat, którego zbyt długo unikała.

Przystanęła na krawężniku, czekając na zmianę świateł, wzięła głęboki oddech i rozejrzała się. W jakiś sposób udało jej się dotrzeć aż do Village.

Przeszła więcej niż dziewięćdziesiąt przecznic!

Nie wiadomo dlaczego, bardzo jato ucieszyło. Dziewięćdziesiąt odświeżających przecznic. Znajdowała się teraz na znajomym terytorium, w East Village, gdzie mieściły się wszystkie jej ulubione dziwaczne sklepiki. Nawet gdyby zaplanowała ten spacer, nie wymyśliłaby nic lepszego. Co za wspaniałe miejsce na przechadzkę w ciepły wiosenny dzień.

Nie przeszła przez ulicę, tylko skręciła w lewo. Niedaleko była księgarnia Pod Kociołkiem i Czaszką. Peg była w dobrym nastroju do przeglądania starych ksiąg. Pomyślała, że może znajdzie tam jakieś materiały na temat Camelotu. Zawahała się na chwilę, bo nie wiedziała, czy zabrała portfel z kartami kredytowymi.

Zaczęła przetrząsać torebkę, znalazła portfel, podniosła wzrok i... zobaczyła go.

Co ważniejsze, on również zwrócił na nią uwagę.

- Cześć - powiedziała z uśmiechem. Znała tego mężczyznę. W głowie miała płataninę myśli i nie mogła sobie przypomnieć, skąd zna tego człowieka. Wiedziała tylko, że na pewno go zna.

Wydawał się czymś zaabsorbowany. Pod pachą dźwigał dwa grube tomy.

Skinał jej głową i próbował ją wyminąć.

- Zaczekaj chwilę!

On jednak nadal szedł przed siebie.

Zaskoczona, spostrzegła, że mężczyzna skręca za róg i coraz szybciej idzie dalej. Niemal biegł.

Gdzie go widziała?

Nagle ją olśniło. To był dzielny Malvern! Ten sam człowiek,

o którym marzyła przez całą wczesną młodość - to znaczy, dopóki nie zobaczyła zdjęcia Mela Gibsona.

O, na pewno nie da mu uciec. Musiał tu przybyć z Camelotu, razem z Julie i Lancelotem. Wtem przez głowę przebiegła jej jeszcze jedna myśl.

A jeśli zjawił się tu specjalnie dla niej, tak jak Lancelot dla Julie?

Brzmiało to tak logicznie i przekonująco, że dłużej się nad tym nie zastanawiała; obawiała się bowiem, że zaraz pojawią się jakieś wątpliwości. Zbyt często rozsądek brał u niej górę nad sercem. Zbyt często rezygnowała z przygody i emocji. Choć raz w życiu postanowiła zaryzykować.

Decyzja zajęła jej ułamek sekundy. Po raz pierwszy Peg miała zrobić coś lekkomyślnego i romantycznego.

Z dreszczem czystej rozkoszy podążyła za dzielnym Malvernem. Wbrew rozsądkowi, miała nadzieję, że rycerz zaprowadzi ją ku jej przeznaczeniu.

Lancelot wyczuł, że coś jest nie tak, kiedy tylko zauważył, że drzwi do księgarni stoją otworem, a dzwonki nad wejściem lekko brzękają.

Wszedł cicho, nie chcąc przestraszyć kogoś, kto był w środku. Za ladą nie dostrzegł nikogo, poza odgłosem dzwonek w sklepie panowała cisza. Ostrożnie rozdzielił zasłonę z paciorków i poszedł na zaplecze.

Przez chwilę jego oczy przyzwyczajają się do ciemności. Potem zauważył na podłodze zwiniętą sylwetkę jednego z braci.

Jednym skokiem znalazł się przy jego boku i lekko dotknął ramienia.

Mężczyzna się poruszył.

- Spokojnie - wyszeptał Lancelot. - Zobaczę, czy uda mi się złapać tego, kto to zrobił.

Poklepał mężczyznę po ramieniu i już chciał wstać, ale ten zajęczał:

- Moja głowa!
- Nic nie mów.

Właściciel księgarni zajęczał głośniej:

- Moja głowa!
- Wiem, ktoś cię uderzył...

- Ktoś? Dobrze wiem, kto to był. Niech no ja tylko dorwę tego faceta z komiksu.

Mel usiadł. Chwytał się za głowę i delikatnie ją obmacał, sprawdzając, czy nie leci mu krew. Z lekkim rozczarowaniem wzruszył ramionami i zaczął podnosić się z podłogi.

Lancelot sprawdził zaplecze. Tak jak się spodziewał, nikogo tam nie było.

- Daj, pomogę ci.

Mel usiadł wygodniej na krześle przy biurku i poklepał pusty blat.

- Zabrał je. Zabrał je obie.

Lancelot już miał zapytać, co to takiego było, ale zadźwięczały sklepowe dzwonki.

- Mel? Jesteś tam?
- Tak, Sam.

Pojawił się Sam z dużą białą torbą, z tłustymi plamami na bokach.

- Wziąłem dodatkowy sos do... - Zobaczył Lancelota; spostrzegł też, że brat trzyma się za głowę. - Co tu się dzieje?

- Niedawno przyszedłem - wyjaśniał rycerz. - Drzwi były otwarte. Zdaje się, że twojego brata zranił jakiś złodziej.

- Co takiego?

Mel potaknął.

- On ma rację. To był ten Malvern. Przyszedł tu cały w uśmiechach, zapytał, jak się czuję i czy nie przyszły już zamówione książki. Zanim się zorientowałem, o co chodzi, leżałem na podłodze, a Lancelot mnie uspokajał.

- Nic ci się nie stało?

Mel wzruszył ramionami.

- Nie krwawię. Tylko czuję się tak jak w dzień Nowego Roku w siedemdziesiątym dziewiątym.

Sam skrzywił się boleśnie.

- O, rany. Zaraz, zaraz. Mam tu trochę lodu. - Owinął kostki lodu w serwetkę i podał je bratu.

Nagle znieruchomiał i z rękami opartymi na biodrach przyjrzał się pomieszczeniu. Spojrzał na puste biurko, odrzucone na bok szkło powiększające, leżącą na podłodze lupę jubilerską. Potrząsnął głową.

- To znaczy, że je zabrał. - Podniósł lupę i położył ją na biurku.

- Z całą pewnością.

- Co takiego zabrał? - zapytał Lancelot.

- Tekst łaciński i włoski. - Sam na chwilę przymknął oczy. - Cholera! - Jeszcze raz potrząsnął głową i spojrzał Lancelotowi w oczy. - Mel tłumaczył pewne stare teksty. Te, o których mówiłem. O Camelocie. Były w nich zaklęcia i czary, które pozwalają wrócić do Camelotu.

Lancelot spojrzał na obu braci, po czym zwrócił się do Mela:

- Czy pamiętasz jakieś szczegóły?

Ten wzruszył ramionami.

- Dopiero zaczynałem rozszyfrowywać łaciński tekst. Był bardzo niejasny, ale czułem, że za chwilę wszystko stanie się dla mnie zrozumiałe. Coś łączyło te dwie księgi, pewien wspólny wątek, i właśnie zaczynałem go dostrzegać.

- Pamiętasz, co to było? - zapytał niecierpliwie Sam.

- Nie. Za dwadzieścia minut byłbym już na właściwym tropie. Przysięgam. Niestety dostrzegłem pewną prawidłowość, ale nie rozszyfrowałem jej do końca.

Sam przetarł oczy i z nadzieją spojrzał na Lancelota.

- Czy Malvern zna łacinę?

Rycerz skinął głową.

- To część wczesnego szkolenia rycerzy. Wszyscy znamy łacinę.

- A włoski? - zainteresował się Mel.

- Nie wiem. Na pewno nie było to wymagane, chociaż niektórzy rycerze mówią wieloma językami. Co do Malverna, nie jestem I pewien.

Mel uśmiechnął się.

- Może nie jest tak źle. Kiedy porównywałem te dwie księgi, zorientowałem się, że włoska wersja nie jest prostym tłumaczeniem łacińskiej. To nie była jedynie kwestia niuansów. Jestem prawie pewien, że księgi miały tworzyć jedną całość. Pojedynczo na nic się nie przydadzą. Tylko w obu można znaleźć wszystko, co potrzeba. Jeśli nie zna włoskiego, to dowie się tylko połowy tego, i o co mu chodzi.

- A tłumaczenie na angielski? - zapytał Sam.

- Jakoś nie miałem czasu, żeby wszystko zapisać. Może mieć jakieś luźne notatki, ale nie wszystko. No i z pewnością nie będzie wiedział, z której księgi, z jakiej jej części, pochodzi dany fragment. Może więc sytuacja nie jest taka beznadziejna.

Niejasny, ostrożny optymizm zaczął się budzić w sercach wszystkich. Nagle Sam strzelił palcami.

- Mel! Coś sobie nagle przypomniałem. Pamiętasz, jak kilka lat temu pojechaliśmy do Kalifornii na tę konferencję poświęconą New Age?

- Nie przypominaj mi. Tylu wariatów naraz to jeszcze nie widziałem.

- Może. A pamiętasz tego profesora z Uniwersytetu Columbia? Dał ci swoją wizytówkę. Powiedział, że prowadzi zajęcia na temat magii i mitologii czy coś w tym rodzaju. Nie wiadomo, czy będzie w stanie nam pomóc, ale warto do niego zadzwonić. Może on coś wie.

- A! To był taki miły staruszek. Jasne, tylko gdzie ja pozostałem tę wizytówkę? Zwykle wszystkie wrzucam do tej małej szufladki na boku biurka. Przechyli lampę w tę stronę, Sam. O, tak lepiej. - Zaczął przeglądać stos zniszczonych pożółkłych wizytówek. Na niektórych widniały jakieś skreślenia i ręczne

dopiski. - Mam. Ja... - Zamrugął i przysunął kartonik bliżej. - To niemożliwe.

- Co? Znalazłeś jego wizytówkę?

- Tak, tak. Ale to niemożliwe. Przecież bym zapamiętał. Do diabła, ty też byś to zapamiętał. - Spojrzał na brata i Lancelota z dziwnym, pełnym zastanowienia uśmiechem. - Ten profesor nazywa się Ralph Myrddin.

Lancelot drgnął zdziwiony. Sam dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi.

- Tak samo jak autor tego komiksu?

- Tak samo- potwierdził Mel, po czym wskazał na białą zatłuszczoną torbę. - Mówiłeś, że wzięłeś dodatkowy sos?

19

Na dzień przed dobroczynną galą Błysku w prasie było tyle entuzjastycznych informacji na jej temat, że niektórym się wydawało, iż już się odbyła.

Całe kolumny poświęcano temu, kto się w co ubierze i od jakiego projektanta będzie ten strój, jakie klejnoty wypożyczą I znane gwiazdy od Harry'ego Winstona czy Cartiera. Pojawiały się smakowite plotki na temat tego, kto się pojawi w którym j towarzystwie, kto usiądzie przy stole najbardziej znanych gości i kto będzie się starał kogo unikać w jasnych światłach sal i w błyskach fleszy paparazzich.

Aktorzy, aktorki, gwiazdy rocka, modelki, producenci, pisarze, reżyserzy, tytani biznesu i pięciominutowe sławy - wszyscy mieli zjechać na Manhattan, żeby wesprzeć swoje wybrane organizacje dobroczynne lub reklamować siebie. Krótko mówiąc, oszałamiający świat sławy i pieniądza gorączkowo przygotowywał się do tego wielkiego wydarzenia.

Jeden z redaktorów kolumny towarzyskiej przyrównał tę imprezę do wydanego w ubiegłym wieku balu pani Astor, która zaprosiła | nań czterystu szczęściarzy, ponieważ tylko tyle osób mogło się zmieścić w jej legendarnej sali balowej. Takie stwierdzenie zostało

natychmiast skrytykowane przez konkurencyjną gazetę, która oświadczyła stanowczo, że towarzystwo zaproszone na galę prezentuje się o wiele lepiej niż gromada otyłych snobów u pani Astor, a poza tym gala Błysku jest imprezą charytatywną. Tak więc, nie dość że goście będą o wiele atrakcyjniejsi, to jeszcze zrobią coś pożytecznego ze swoimi pieniędzmi, oprócz wspierania fachowców, którzy pomogli im uzyskać tak świetny wygląd, czyli chirurgów plastyków, osobistych trenerów, dietetyków, projektantów mody oraz właścicieli klinik i centrów odwykowych.

Całe miasto czuło się dzięki tej imprezie o wiele lepiej, myślało o sobie jako o wielkim dobroczyńcy. Burmistrz natychmiast to podchwycił i z charakterystyczną pewnością siebie ogłosił, że Nowy Jork jest w tej chwili prawdziwym centrum wszechświata.

Bardo niewielu ludzi skrytykowało to stwierdzenie, zwłaszcza gdy rozeszła się wieść, że Madonna wystąpi przebrana za Ginewrę, a Donald Trump, bez konsultacji z Madonną, zamówił już wspianiały kostium króla Artura.

Rozeszła się też plotka, że ktoś z rodziny Kennedych - nikt dokładnie nie wiedział kto - ma wystawić na aukcji jakąś rzadką pamiątkę po JFK. Wszystko to miało związek z przewodnim tematem gali - Camelotem - i nikt nie wątpił, że ten tajemniczy przedmiot, cokolwiek miało to być, okaże się bardzo cenny i w najlepszym guście.

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali nadejścia tego wieczoru. Wszyscy.

Julie próbowała skontaktować się z Peg, ale bezskutecznie. Doszła do wniosku, że przyjaciółka pewnie się wstydzi. W końcu podczas ich ostatniej rozmowy zdradziła bardzo wiele swoich intymnych marzeń. Na pewno nie było to dla niej łatwe.

Jak na początek dnia pracy było jeszcze niedorzecznie wcześnie,

ale nawet gdyby Julie w ogóle poprzedniego dnia nie wychodziła z biura, i tak nie miałaby pewności, że zdąży ze wszystkim na czas. Cały zespół pracował wczoraj do późna, ale postanowiła pierwsza zjawić się dziś w agencji. Tak będzie najlepiej.

Strażnik przepuścił ją machnięciem ręki. Kiedy wyciągnęła przepustkę, już wrócił do swojego brukowca i pączka. Znakomita ochrona, nie ma co. Uśmiechnęła się i weszła do windy.

Mimo wczesnej pory chciała porozmawiać z Peg. Postanowiła zadzwonić do niej natychmiast. Tyle miała jej do opowiedzenia, zwłaszcza o tym profesorze z Uniwersytetu Columbia. Co prawda, nie udało im się do niego dodzwonić i nawet w uniwersyteckiej centrali telefonicznej nikt nie znał jego numeru, ale po południu wybierała się z Lancelotem na tę uczelnię, żeby czegoś się dowiedzieć na miejscu. To rzeczywiście może być ten sam człowiek, który stworzył komiks o Camelocie.

No i Peg nic jeszcze nie słyszała o skradzionych księgach i o tym, co mówił Mel na temat wersji włoskiej i łacińskiej. Julia chciała nawet opowiedzieć przyjaciółce o tym, jak doskonale radzi sobie Lancelot z pracą z ludźmi w schronisku. Pomagał w przygotowaniach chóru do krótkiego - pięciominutowego - występu podczas gali.

Tyle miała jej do powiedzenia. Co z tego, że było dopiero w pół do szóstej rano. Kiedy tylko usiadzie za biurkiem, wykręci numer Peg...

W agencji wydarzyło się coś niedobrego.

Od razu to wyczuła, gdy tylko wyszła z windy. Drzwi się za nią zamknęły, zanim zdążyła się cofnąć z powrotem do środka kabiny. Nacisnęła guzik ze strzałką w dół, w nadziei, że zaraz nadjedzie druga winda. Zrobiła to, ponieważ nawet z korytarza widać było, że ktoś wdarł się do pomieszczeń agencji.

Kanapy w poczekalni zostały rozprute, szklane przegrody za donicami z kwiatami roztrzaskane. Nawet rośliny wyrwano z ziemi i rozrzucono po całym korytarzu.

Cichy gong oznajmił przyjazd windy i Julie gorączkowo nacisnęła guzik. Nie rozwarła zaciśniętych w pięści rąk, dopóki drzwi się nie zasunęły i winda nie zaczęła zjeżdżać w dół, do głównego holu.

Myśl o tym, żeby zadzwonić do przyjaciółki, zupełnie wywie-trzała jej z głowy, przynajmniej na jakiś czas.

i

Lancelot i Julie jeszcze raz przyrzekli się wizytówce z adresem profesora Myrddina.

- To musi być tutaj - odezwała się Julie, spoglądając na budynek na terenie Uniwersytetu Columbia. - Nie wiem dlaczego, ale jestem zdenerwowana. Przecież jeśli to ten sam człowiek, który napisał i zilustrował tę książkę, to natychmiast nas pozna. I pewnie wcale nie będzie tym zachwycony.

Weszli do dziwnego budynku z napisem nad wejściem: „Sztuki, nauki humanistyczne i tajemne”.

- Jakieś to dziwaczne - wymamrotała.

Lancelot uśmiechnął się. Julie doskonale wiedziała, że rycerz nie czuje się dobrze. Wolałaby, żeby został w domu, ale uparł się, że z nią pójdzie. Sam i Mel również chcieli się do nich przyłączyć, ale musieli wypełnić formularze z firmy ubezpieczeniowej i dokończyć składanie oświadczeń na policji na temat całego zajścia. Policja uznała, że obrażenia Mela są skutkiem napadu, i potraktowała sprawę bardzo poważnie.

Poza tym właśnie w tej chwili policja badała włamanie do firmy Stickley & Brush.

- To tutaj. Numer siedem- oznajmił Lancelot, kiedy stanęli przed niewielkimi drzwiami. Złotymi literami wypisano na nich „Profesor Ralph Myrddin”. Drzwi były dziwnie małe, niepodobne do innych, prowadzących do sal wykładowych i gabinetów. Wydawało się niemożliwe, żeby za nimi znajdowało się cokolwiek innego niż składzik na szczotki.

Lancelot zerknął na Julie, a potem raz zapukał. Nie było odpowiedzi. Już miał zapukać ponownie, ale drzwi się otworzyły.

- Oczekiwałem wasTM usłyszeli. Powitał ich starzec z fajką w ustach.

- Merlin! - zawołała Julie. Niewątpliwie był to on, miał ten sam kartoflowaty nos, różowawą czaszkę z kępkami siwych włosów. Teraz był ubrany w zniszczoną tweedową marynarkę i nadgryziony przez mole sweter, ale nie miała żadnych wątpliwości co do tego, kim jest stojący przed nią człowiek.

To był Merlin.

Lancelot patrzył na niego w osłupieniu.

- Nic nie rozumiem.

Jacyś studenci pojawili się w głębi korytarza, więc Merlin otworzył szerzej drzwi.

- Wejdźcie do środka - zaprosił.

To zadziwiające, ale jego gabinet był dokładnie taki sam jak izba w domu w Camelocie, włącznie z długim stołem o grubym blacie, zastawionym najróżniejszymi naczyniami, w których bulgotały jakieś płyny. Na drugim stole piętrzyły się stare księgi o kartkach z pożółkłego pergaminu. W rogu, pogryzając nasiona, skrzeczała papuga.

- Charo - wyszeptała Julie.

- Lancelocie, proszę usiądź- zachęcił Merlin i rycerz po krótkim wahaniu zasiadł w głębokim fotelu.

Julie odwróciła wzrok od papugi. Na tyle doszła już do siebie, że mogła zadawać pytania.

- Merlinie, co się dzieje? Tyle mam ci do opowiedzenia, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Wiem, wiem, moja droga. Postąpiłaś najlepiej, jak mogłaś. Herbatnika? - Papuga wydała z siebie jeden przeciągły skrzek i Merlin odwrócił się do ptaka. - Nie do ciebie mówię, głupia. Chodziło mi o naszych gości. - Zerknął na Lancelota; w jego oczach na chwilę ukazała się litość. Zaraz jednak znów spojrzął

na Julie. - Ale jak ty się miewasz? Obawiam się, że poddałem was ciężkiej próbie.

- Cóż, ja... - Urwała gwałtownie. - Ty to zrobiłeś? To wszystko był twój pomysł?

- Proszę, siadaj. Kiedy tak stoisz, zaczynam się denerwować. Dziękuję. - Sam też usiadł w fotelu. Wszystkie stojące wokół zniszczone meble pamiętała z Camelotu.

- Co to ma znaczyć, że poddałeś nas ciężkiej próbie?

Zanim odpowiedział swoim wspaniałym brytyjskim, szekspirowskim głosem, przez chwilę zagryzał ustnik fajki.

- To ja, jako młody czarodziej, wymyśliłem całą koncepcję Camelotu.

- Ty stworzyłeś Camelot?! - krzyknął Lancelot.

- Owszem. Widzicie, w tym czasie świat był w okropnym stanie i...

- W jakim czasie? - przerwała mu Julie. - Kiedy stworzyłeś Camelot?

- Niech no się zastanowię. Byłem bardzo młody. Naprawdę bardzo młody. To było chyba około... - Zaczął liczyć na palcach. - Tak, wtedy. Około dwóch tysięcy lat temu.

- Dwa tysiące lat! - Upuściła torebkę na podłogę.

Lancelot potrząsnął głową.

- Ale to niemożliwe. Sam Artur mi powiedział, że Camelot tak naprawdę powstał, kiedy on zasiadł na tronie.

- Nic dziwnego, że tak twierdził. Kiepski z niego byłby król, gdyby myślał inaczej. Ale Artur się myli, chociaż Camelot, w takiej postaci, w jakiej znamy go my i reszta świata, rzeczywiście powstał, gdy Artur zasiadł na tronie. Przedtem jednak też istniał, we wcześniejszej formie. Tak więc stworzyłem go około dwóch tysięcy lat temu, ale wcale nie zakończyłem pracy nad ostateczną postacią tego dzieła.

Lancelot nic nie odpowiedział, ale Julie widziała, że obudził się w nim gniew. Merlin jednak wydawał się tego nie zauważać.

- Wybieram sobie - ciągnął - co zechcę, z czasów, które mi się akurat spodobają. Myślałem, że w Camelocie zauważyłaś mój telefon komórkowy. Próbowałem go ukryć, ale zaczął dzwonić dokładnie w chwili, w której poprosiłem, żebyś wyszła.

-Telefon komórkowy...- Zastanowiła się przez chwilę. - Telefon! Czy właśnie z jego pomocą nagrałeś głosy Lancelota i Ginewry na moją automatyczną sekretarkę?

- Oczywiście. Muszę korzystać ze wszystkich dostępnych środków. W minionych latach, kiedy chciałem zwrócić na coś czyjąś uwagę, używałem alfabetu Morse'a lub poczty konnej. Raz spróbowałem sygnałów dymnych, ale skończyło się to całkowitą klęską.- Merlin puścił do nich oko i mówił dalej:- Widzicie, w czasach, kiedy wymyśliłem ideę Camelotu, byłem bardzo młodym czarodziejem, więc mój pomysł miał wiele rażących niedociągnięć. Na przykład, koncepcja Artura i Ginewry. Nie planowałem między nimi żadnego romansu.

- Naprawdę?

Gniew na chwilę zniknął z twarzy Lancelota. Rycerz pochylił się, żeby lepiej usłyszeć tłumaczenie Merlina.

- Naprawdę- ciągnął czarodziej.- Ginewra miała być dla mnie. Potrzebowałem towarzyski, więc użyłem kilku magicznych formuł i powstała Ginewra.

- Co się nie powiodło? - mimo woli zapytał Lancelot.

- Musicie zrozumieć, że w przypadku każdego mojego zaklęcia istnieje piętnastoprocentowe prawdopodobieństwo, że zdarzy się coś nieprzewidzianego i zepsuje cały efekt. W tym wypadku moim błędem było to, że Ginewra okazała się kobietą z silnym charakterem, uczuciową i inteligentną.

- I co z tego?

- Niestety, z inteligencją wiąże się wolna wola. Ginewra zobaczyła Artura. Wydawało mi się, że ta idiotyczna broda odstraszy każdą kobietę. Niestety, tak się nie stało. Starłem się coś na to zaradzić, i wtedy przyszedł do mnie Lancelot.

- Przyszedłem ci do głowy?- Rycerz wstał i górował teraz nad Merlinem, który nadal siedział w fotelu. - Wymyśliłeś mnie? Jestem niczym więcej, jak tylko wytworem starego, wtrącającego się w nie swoje sprawy czarodzieja?

Julie wstała i położyła dłoń na ramieniu rycerza, ale on nawet na nią nie spojrział.

Merlin tylko pyknął z fajki.

- Może powinienem wyrazić to inaczej. Powołałem Lancelota. Kiedy powiedziałem, że przyszedł do mnie, to dokładnie to miałem na myśli. Nic nie pamiętasz, chłopcze? Ciemność, mgła. Głód. Boże, byłeś najbardziej wygłodzonym dzieckiem, jakie w życiu widziałem.

- Powołałeś mnie? - Oszołomiony Lancelot usiadł. - Skąd? Skąd ja pochodzę?

- Drogi chłopcze, to nie ma większego znaczenia. Teraz nie jest to już dla ciebie ważne. Ale widzisz, nie mogłem stworzyć całego Camelotu, używając wyłącznie wyobraźni. Wtedy byłby straszliwie nudny. Pomyśl tylko: powołać do życia setki ludzi. Po kilku pierwszych setkach brakuje pomysłów i typy zaczynają się powtarzać. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Więc Lancelot pochodzi z jakiegoś miejsca poza Camelotem - odezwała się cicho Julie. - Tak samo jak reszta ludzi.

Lancelot potrząsnął głową.

- Więc nie było we mnie nic szczególnego. Absolutnie nic. Nie ma powodu, żebym walczył o honor, o oczyszczenie swojego imienia. To wszystko nie ma żadnego znaczenia.

- Ależ ma znaczenie! - zawołał z przekonaniem Merlin. - Jesteś Lancelotem, najlepszym z najlepszych. Nigdy nie potrafiłbym stworzyć kogoś takiego jak ty. Nie chodzi o to, że jesteś doskonały, to również byłoby nudne. Cechy twojego charakteru nie przestają mnie zadziwiać. Mogę chyba powiedzieć, że jesteś moim ulubieńcem.

- Więc dlaczego każesz mu tak cierpieć?

- To właśnie te niepewne piętnaście procent. Doszło do głosu, kiedy Ginewra się w nim zakochała. - Wyjął fajkę z ust i zadumał się. - Szczerze wyznam, że nie potrafię pracować z kobietami tak sprawnie jak z mężczyznami. Kobiety zwykle wychodzą mi płytkie, dwuwymiarowe. Zawsze wyglądają przepięknie w sukniach i mają doskonałe nogi, to mój znak firmowy. Kocham kobiece nogi. Ale zawsze czegoś im brakuje. Ginewra była inteligentna, ale zbyt namiętna. Więc kiedy zobaczyła Lancelota... Wiesz, moja droga, co się zdarzyło w oryginalnej wersji tej historii, dobrze ją znasz. Te denerwujące piętnaście procent doszło do głosu i wszystko się popsuło. A ja nie mogłem nic na to poradzić... dopóki nie pojawiłaś się ty.

- Ja?

- Tak, moja droga. Jeszcze zanim powołałem Lancelota, już kochał się w tobie. To była miłość doskonała, jaką sobie dla niego wyobraziłem. Sam nie potrafiłbym jej wyczarować. Wy dwoje, razem, stworzyliście magię, ja tylko przyglądałem się temu z boku.

Julie miała wrażenie, że świat wokół niej wiruje.

- Lancelot i ja zostaliśmy reinkarnowani?

Merlin wybuchnął śmiechem.

- Wierzysz w takie bzdury?

Julie potrząsnęła głową. W tej sytuacji takie pytanie brzmiało raczej absurdalnie.

- Ja? Oczywiście, że nie.

- Dobrze. Przez chwilę się o ciebie martwiłem. Nie, nie zostaliście reinkarnowani. Ale zawsze byliście razem, dążyliście ku sobie. Problem polegał na tym, że za każdym razem, kiedy już wszystko zaczynało się między wami układać, coś się działo. Zawsze to samo, najwyżej z niewielkimi zmianami. Znasz tylko jedną wersję wydarzeń. No, teraz dwie, dzięki mojemu dziełu z lat trzydziestych. Wydaje mi się, że nieźle wytrzymało próbę czasu, prawda?

- A więc to jednak ty jesteś autorem komiksu? - Julie przygładziła włosy, starając się pojąć wszystko, co właśnie usłyszała.

- Oczywiście, że jestem. Na świecie nie ma wielu Ralphów Myrddinów. Och, przepraszam cię za tę wiedźmę. Zdaje się, że oboje znacie również jeszcze dwa moje inne osiągnięcia wydawnicze?

Julie i Lancelot spojrzeli na siebie pytająco.

- Chodzi mi o te księgi, po włosku i po łacinie, które ukradł Malvern - wyjaśnił staruszek. - Nie powiecie mi, że już o nich zapomnieliście.

- To ty je napisałeś! - Julie roześmiała się. - W takim razie możesz nam powiedzieć, co w nich jest. Lancelot będzie mógł zwrócić Excalibur królowi i oczyścić swoje imię!

- No, nie jestem tego taki pewien - rzekł Merlin.

- Co to ma znaczyć? - zapytał Lancelot podniesionym głosem.

- Tu chodzi o coś więcej niż słowa. Niewątpliwie oboje już to wiecie. Jeśli nie, to cóż, obawiam się, że wkrótce powstanie jeszcze jedna wersja legendy o Camelocie, z równie nieszczęśliwym zakończeniem.

- Musisz nam powiedzieć coś więcej - prosiła Julie. - To nie fair! Ile jeszcze zakończeń może mieć ta historia?

- Chyba sama wiesz, moja droga. Zawsze odchodziłaś i zostawiałaś Lancelota ze złamanym sercem. Coś ci powiem. Kiedy odchodzisz, Lancelot przestaje się do czegokolwiek nadawać. Gdybym za każdy klasztor, z którego go wyciągnąłem, dostał choć jedną monetę, to...

- Klasztor! - zawołał Lancelot.

- Proszę, Merlinie - ciągnęła Julie. - Powiedz nam coś więcej, żebyśmy mogli ocalić Camelot.

Staruszek zamyślił się, a potem pochylił do przodu.

- Ty naprawdę nic nie wiesz, co?

- Nie. Więc może byś mnie oświecił.

Merlin odłożył fajkę i spojrzał Julie prosto w oczy.

- Żeby wrócić do Camelotu, będziecie oboje potrzebować czegoś, co już mieliście, ale oddaliście to, i czegoś, co macie, ale o tym nie wiecie.

- Słucham? - zapytała Julie.
- Nie będę powtarzał. Tylko tyle mogę powiedzieć. Pamiętaj, piętnaście procent. A tym razem, moja droga, jesteśmy już bardzo blisko. Szkoda by było zmarnować taką szansę.

- Proszę cię. Nie jestem pewna, czy zapamiętałam to, co powiedziałaś. - Julie zaczynała wpadać w popłoch. - A Lancelot. Czy ty nic nie widzisz? Nie czuje się dobrze. On, no...

- Starzeję się - dokończył za nią rycerz. - Każdy dzień jest dla mnie niczym lata, dziesięciolecia nawet. To postępuje coraz szybciej. Ile czasu mi jeszcze zostało?

Merlin znów zaczął liczyć na palcach, coś do siebie mamrotał, znowu coś liczył, a potem spojrział w sufit.

- Kiedy jest ten bal dobroczynny? - zwrócił się do Julie.
- Jutro. Dlaczego pytasz?
- Nie odbędzie się na świeżym powietrzu?
- Nie, nie.
- Bardzo dobrze. Nie możemy sobie pozwolić na przełożenie imprezy z powodu deszczu.

- Chcesz powiedzieć, że Lancelot nie pożyje wiele dłużej?
Po raz pierwszy, odkąd weszli do pokoju czarodzieja, twarz Merlina, dobrodusznia i miła, stała się smutna, wręcz przygnębiona.

- Tak mi przykro. Kiedy tworzyłem Camelot, byłem bardzo młody i wydawało mi się, że postępuję wyjątkowo sprytnie, ustalając kilka zasad. Niestety, już wtedy potrafiłem na tyle dobrze czarować, że teraz nikt tych zasad złamać nie może, nawet ja, choćbym jak najmocniej tego pragnał.

- W takim razie powiedz mi, co muszę zrobić. Powiedz mi to teraz, Merlinie. Nie zostało wiele czasu. Proszę, powiedz mi.

- Nie mogę. Wprowadziłem rzeczy w ruch, przygotowałem scenę i nie mam powodów, żeby się obawiać, że tym razem znowu coś się nie uda.

- Czy mógłbyś zdradzić mi coś jeszcze? Coś, co by mi pomogło?

- Już nic więcej nie mogę ci wyjawić. A pomoc możecie tylko sobie sami.

Julie patrzyła na Merlina błagalnie.

- Ja... Proszę... - Lancelot wziął ją za rękę, ale nie chciała wyjść. Wciąż miała nadzieję, że jeszcze coś usłyszy. - Powiedz mi, co mam robić!

- Będiesz wiedziała. Zawsze wiesz, co robić. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem.

- Ale przecież ja ciągle coś psuję! Inaczej bylibyśmy zupełnie gdzie indziej.

- Muszę przyznać, moja droga, że w tym, co mówisz, jest bardzo dużo prawdy.

Lancelot wziął głęboki oddech i skinął głową Merlinowi. Na ustach błąkał mu się uśmiech. Julie zaczęła rozglądać się po gabinecie czarownika, starając się zapamiętać wszystko, co mogłoby jej pomóc... pomóc Lancelotowi. Na jednym z foteli dostrzegła książki. Kiedy Merlin się schylił, żeby podać jej torebkę, zerknęła na nazwiska autorów na okładkach.

- Jane Austen? Mark Twain? - wyjąkała zdziwiona.

Merlin znów parsknął śmiechem.

- Ależ, oczywiście. Kiedy Camelot był już skończony, musiałem sobie wymyślić inne rozrywki. Poza tym... - Pochylił się do jej ucha. - Chyba nie sądzisz, że dwoje zwykłych śmiertelników mogło mieć takie wspaniałe pomysły, co? Teraz już zmykajcie. Aha, Julio?

Odwróciła się, wciąż oszołomiona tym spotkaniem.

- Powodzenia, moja droga. Mam nadzieję, że zobaczymy się w domu. I to już niedługo.

Wyszli z gabinetu. Nagle coś przyszło Julie do głowy.

- Zaczekaj chwilę... - Jednak drzwi się już zamknęły.

Nie, drzwi do gabinetu Merlina po prostu zniknęły!

Tam, gdzie kiedyś się znajdowały, zobaczyła teraz jeszcze mniejsze drzwi do schowka, a zamiast numeru pokoju i nazwiska

profesora, widniał napis: „Schowek na szczotki”. Julie przekreśliła gałkę, otworzyła je i zajrzała do środka. Jej oczom ukazał się... schowek na szczotki, w którym stały kubły i roznosił się zapach środków czyszczących.

Zrozumieli, że teraz naprawdę zostali sami.

Nikt inny nie mógł im pomóc.

PO powrocie do domu Julie zastała dwie wiadomości na automatycznej sekretarce. Pierwsza była od Sama. Dowiedział się od policjantów czegoś bardzo interesującego: odciski palców, które znaleźli w księgarni Pod Kociołkiem i Czaszką, były takie same jak te, które zostały znalezione na miejscu przestępstwa na Manhattanie. Włamano się tam do jakiejś agencji reklamowej i przewrócono ją do góry nogami, chociaż nie było pewności, czy coś z niej zginęło. Odciski palców nie figurowały jednak w żadnej kartotece.

Julie potrząsnęła głową. Nawet słuchając nagrania na sekretarce, starała się przypomnieć sobie słowa Merlina.

- A więc to był Malvern. Dlaczego włamał się do mojej agencji? Lancelot usiadł.

- Sam nie wiem. Chyba że...

- Że co?

- Sam nie wiem - powtórzył.

Następna wiadomość była z początku bardzo niewyraźna. Julie po chwili rozpoznała głos.

- To Peg - powiedziała do Lancelota. Wiedziała, kto mówi, ale z trudem rozumiała słowa, ponieważ przyjaciółka płakała.

- Julie, Lancelocie, wybaczcie mi - mówiła szlochając. - Tak mi przykro. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co robię. Nie wiedziałam, kto to jest. Poszłam za nim. Zachowywał się tak, jakby był mną zainteresowany. Wiesz, jak dawno już... - Pociągnęła nosem i mówiła dalej: - Julie, błagam, uważaj. On nie jest dobry.

Myślałam, że okaże się inny, a kiedy się zorientowałam, jaki ma podły charakter, było już za późno. Nie skrzywdził mnie, ale wydobyl ze mnie wiele informacji, zanim zrozumiałam, o co mu chodzi i jaki jest naprawdę. Potem przeczytałam o włamaniu do agencji i skojarzyłam pewne rzeczy. On myślał, że miecz jest w twoim gabinecie. Teraz już pewnie wie, gdzie jest naprawdę. Piszą o tym w każdej gazecie. Proszę, wybac mi. I proszę, na litość boską, bądź ostrożna...

Głos ucichł. Julie natychmiast spróbowała zadzwonić do Peg, ale nikt nie odbierał telefonu.

Lancelot powiedział tylko jedno słowo.

- Malvern.

20

W końcu nadszedł wielki dzień.

Większość mieszkańców miasta z niecierpliwością oczekiwała przemarszu całego tłumu sław przez pokryte czerwonym dywanem schody Metropolitan Museum. Transmisja telewizyjna miała się rozpocząć o czwartej po południu. Wcześniej rano ustawiono wokół wejścia do muzeum niebieskie zapory policyjne. Nad głównym wejściem łopotał wielki niebieski proporzec. Z Piątej Alei sprzątnięto wszystkie fruwające po niej gazety, toczące się puszki i wszelkie brzydkie elementy, zarówno ludzkie jak i nieożywione.

W swoim mieszkaniu Julie przygotowywała się do wiele ważniejszego wydarzenia. Dla innych miała to być tylko widowiskowa gala, okazja, żeby pokazać się w towarzystwie i dać się samemu zobaczyć, wydarzenie sezonu, zorganizowana na Wschodnim Wybrzeżu konkurencja dla rozdania Oscarów.

Dla Julii i Lancelota miała to być szansa na ocalenie Camelotu, być może jedyna nadzieja na to, żeby już zawsze byli razem.

Po wczorajszym spotkaniu z Merlinem Julie zdała sobie sprawę, że już wcześniej instynktownie wiedziała, iż Lancelot w jej czasach ginie, zapada się w nieistnienie. Z nią czy bez niej, musiał

wrócić do Camelotu. Nie miał wyboru, absolutnie żadnego. Ten prosty fakt był całkiem jasny, natomiast rola Julie nadal pozostawała tajemnicą.

Czy będzie wiedziała, co robić, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila? Czy zawiedzie Lancelota, Merlina - wszystkich?

Jedno było pewne. W wyniku ostatnich wydarzeń doktor Peg Reilly zmieniła się bezpowrotnie. O spotkaniu z Malvernem nie mówiła wiele i Julie podejrzewała, że w przyszłości też jej więcej nie powie. Jednak potem Peg zadzwoniła i zapytała, czy istnieje jakaś możliwość, żeby jej załatwić zaproszenie na galę. Nie było to łatwe, Julie musiała porozmawiać z kilkoma osobami, które jej były winne przysługę, ale Peg znalazła się na oficjalnej liście gości.

Julie westchnęła i zaczęła się ubierać. Będzie potrzebowała wszelkiego możliwego moralnego wsparcia.

- Pomóc ci? - zapytał Lancelot.

Potrząsnęła głową.

Panowało między nimi napięcie, ale rozumieli się doskonale. Było oczywiste, że Lancelot źle się czuje. Nie mógł temu zaprzeczyć, więc już o tym nie rozmawiali. I tak niczego by to nie zmieniło. To był fakt, tak samo nie podlegający dyskusji jak kolor nieba albo dzień tygodnia.

Julie robiła wszystko, żeby ich wspólne chwile nie przypominały związku inwalidy z opiekunką. Stawało się to coraz trudniejsze. Musiała panować nad sobą, żeby go nie podtrzymywać, kiedy stawiał niepewne kroki. Uważała, żeby nie patrzeć na niego z troską, kiedy się ubierał.

Z radosnym uśmiechem przystąpiła do przygotowań.

Nie wahała się, co włożyć. Wybór był tylko jeden: niebieska suknia z Camelotu, ta, którą tam nosiła i którą miała na sobie, kiedy wróciła w swoje czasy.

Gdy wsuwała ją przez głowę, czuła się jak uczennica przed wielkim bale na zakończenie szkoły. Spojrzała na siebie w lustrze i zobaczyła, że dzieje się dziwna rzecz. Suknia się zmieniła.

W ciągu paru sekund zmieniła się z pięknej kreacji w coś całkiem niezwykłego.

Julie odsunęła się od lustra, żeby lepiej się przejrzeć. Fason ten sam. Wciąż była to doskonale skrojona, dość prosta, ale niesłychanie starannie wykończona suknia w ciemnoniebieskim kolorze. Co więc się zmieniło?

Przesuwając dłońmi po bokach, Julie dostrzegła, że jej palce zostawiają na materiale zanikającą połyskliwą smugę, jakby zanurzała rękę w strumieniu chłodnej przejrzystej wody. Jednak najważniejsza zmiana polegała na czym innym.

Nie dotyczyła samej sukni, tylko Julie. Wydawało się, że promienieje, nawet jej skóra jaśniała. Julie włączyła bezlitosne górne światło, w którym się zawsze oglądała, kiedy ogarniała ją perwersyjna żądza obejrzenia swoich fizycznych niedoskonałości.

I w tym świetle wyglądała jak rozsiewająca wokół poświatę nieziemska istota. Kiedy zdążyła wpiąć perły we włosy? Nie pamiętała. Czy i przedtem jej włosy były takie długie, do połowy pleców? Chybaby zauważyła, mimo ostatnich burzliwych wydarzeń, że włosy nagle urosły jej o jakieś pół metra, a cera zaczęła promienieć. Takie zmiany trudno przeoczyć.

- Julio.

Lancelot stanął za nią. Znów miał na sobie niebieską tunikę, w którą był ubrany, kiedy zobaczyła go pierwszy raz. On również się zmienił, jakby samo włożenie ubrania z czasów, do których należał, miało na niego odmładzający wpływ. Może nie był to jeszcze Lancelot z Camelotu, ale od wielu już dni nie przypominał tak dawnego rycerza jak teraz. Zmiana nie ograniczała się jedynie do wyglądu. Wokół Lancelota unosiła się jakaś aura, coś, co pochodziło wprost z jego duszy i nie miało nic wspólnego z cielesną powłoką.

Nic nie mówili. Położył na ramionach Julie ręce, mocne, a jednocześnie delikatne. Zamknęła oczy i oparła się o niego. Otoczył ją ramionami, zamknął w uścisku i mocno przytulił, opierając policzek na jej skroni.

Pragnęła, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Potem, zbyt szybko, odezwał się. Wiedziała, że tak być musi.

- Po dzisiejszej nocy, być może, tak już będzie zawsze.

Otworzyła oczy i tylko patrzyła na ich odbicie w lustrze - dwie postaci tak doskonale do siebie pasujące, jakby oświetlone niezemskim płomieniem.

Razem poszli na spotkanie przyszłości.

Bill nie był pewien, czego się spodziewać.

Jego nazwisko naprawdę znalazło się na liście gości. Uśmiechnął się, kiedy zobaczył, w jakim brzmieniu podał organizatorom jego imię Lancelot, czy ktokolwiek to był. William z Avalonu. Brzmiało o wiele bardziej stosownie niż Bill Kowalski.

Wielka, wysoka sala muzeum jak zwykle onieśmiała, olbrzymia kopuła wyginała się ku niebu. Marmurowe posadzki dźwięcznie odbijały kroki nadchodzących gości, w powietrzu unosił się pełen przejęcia nastrój. Wielkie schody o niskich kamiennych stopniach biegły nieskończenie w górę, na następny poziom, a na każdym stopniu stał ktoś sławny albo tylko piękny, dopiero walczący o sławę.

Bill rozglądał się ciekawie, sztywno wyprostowany w wypożyczonym smokingu. Niejasno przeczuwał, że chodzi tu o coś więcej niż tylko przetrwanie jego schroniska. Szykowało się coś większego. Czuł to, podobnie jak to czuli ludzie w wieczorowych strojach, wchodzący do środka. Widać to było po ich twarzach, pełnym wyczekiwania spojrzeniu. Wiedzieli, że wezmą udział w czymś ważnym.

- Nazywasz się Bill?

Młody człowiek w ostentacyjnie modnym garniturze - nie w smokingu, jak wszyscy inni mężczyźni, z wyjątkiem tych, którzy włożyli stroje historyczne - poklepał go w ramię. Bill skinął głową.

- Tak. W czym mogę pomóc? - Bill roześmiał się. Zastanowiło go, dlaczego oferuje pomoc, chociaż przecież najwyraźniej to on potrzebował tu pomocy.

- Julie Gaffney kazała mi cię odszukać. Nazywam się Max. Jestem asystentem do spraw kontaktów z klientami w agencji S&B. Mam dopilnować, żebyś mógł sobie dokładnie obejrzeć podium przygotowane dla chóru.

- O, to wspaniale!

- Chodź ze mną do sali rycerskiej, tam gdzie wystawione są zbroje. To w niej wszystko się dzisiaj odbędzie. Takie nawiązanie do Camelotu.

- Oczywiście. To całkiem logiczne.

Max poprowadził go do sali. Mijali zamontowane na wysokich stojakach reflektory, których światło odbijało się na wypolerowanych powierzchniach. Proporce w jaskrawych kolorach zwisały ze ścian, jakby przygotowane na średniowieczny turniej rycerski; pod kolumnami stali paziowie w kolorowych pończochach i z uśmiechem wskazywali drogę ludziom z eleganckiego świata, gwiazdom i wszystkim innym szczęśliwcom, którym udało się dostać zaproszenia.

Sala rycerska skrzyła się od świateł i w ogóle nie przypominała tego wnętrza, które Bill pamiętał z ostatniej tu bytności, kiedy przyjechali z wizytą przyjaciele z Illinois. Wtedy też zrobiła na nim wrażenie. Stały tu wielkie wypchane rumaki, a siedzące na nich puste zbroje spoglądały na zwiedzających.

Teraz nawet metal błyszczał, jakby zaczął żyć własnym życiem. Wszystkie proporce były nowe, zdobione brokatem. Nieruchome konie zdawały się ożywać, jakby za chwilę miały się poruszyć i pogalopować do walki. A rycerze, ci milczący świadkowie dawno minionej przeszłości, którzy wydawali się tacy sztywni i sztuczni, też sprawiali wrażenie niemal żywych, jakby czekali tylko na sygnał, żeby zerwać się do boju i swoją odwagą zawstydzić zwykłych śmiertelników.

W środku sali ustawiono nawet fontannę. Tryskająca z niej woda bulgotała cicho, wprowadzając dźwięk i ruch do pomieszczenia, w którym zbyt długo panował martwy spokój. Wokół fontanny pojawiła się oszałamiająca kolekcja kwiatów w pełnym rozkwicie swojego przemijającego piękna.

- Wszystko w porządku? - zapytał Max. - Mam dopilnować, żeby wprowadzono wszystkie zmiany, jakich zażadasz. Jak to mnie Julie nazwała? A, tak. Jestem dzisiaj twoim giermkim.

Bill roześmiał się.

- Świetnie. Wszystko jest w porządku... - Rozglądał się po sali. - Hej, czy to jakaś nowa zbroja?

- Ta na podium? - Bill skinął głową, więc Max zaczął tłumaczyć: - Pewnie, że nowa. Julie kazała ją sprowadzić z jakiejś restauracji z New Jersey. To trochę dziwne, ale co szefowa każe, to trzeba robić. Jest tu jeszcze jedna nowa rzecz. Ten miecz na środku sali pod plastikową kopułą. Niesamowity, prawda? Nie wiem, skąd pochodzi. Julie go gdzieś znalazła. Kiedy tłum trochę zrzednie, powinienes go sobie dokładnie obejrzeć. Robi większe wrażenie niż klejnoty koronne. Gdybyś mnie potrzebował, to jestem w pobliżu - zakończył Max.

Napływało coraz więcej ludzi, elegancki tłum gęstniał, wszyscy uśmiechali się i witali skinieniem głowy nowo przybyłych.

- Czy to nie Elton John?

- Mój Boże, widzieliście, w co się ubrała Madonna?

- Znowu to samo. Donald przyszedł z modelką, a Ivana z jakimś nowym europejskim hrabią.

- Henry Kissinger rozmawia w rogu sali z Colinem Powellem...

Nagle nad zgromadzonym tłumem zaległa cisza. W drzwiach pojawiło się dwoje ludzi.

- Kim jest ten facet? Niesamowity...

- Co to za kobieta? Nigdy nie widziałam kogoś takiego... takiego jak ona.

Lancelot, na którego ramieniu lekko opierała się Julia, szedł

prosto, nie patrząc na tłum, nie zatrzymując się mimo błysków fleszy i okrzyków ekip z najróżniejszych stacji telewizyjnych.

Nadal nie czuł się dobrze. Julie wiedziała, ile wysiłku kosztowało go samo dotarcie na miejsce. Chociaż prezentował się doskonale, tylko ona zdawała sobie sprawę, jakim kosztem się to wszystko dzieje.

- Wiesz, dokąd idziemy? - zapytała.

- Wiem - odparł z uśmiechem.

- Czy w tym, co powiedział nam wczoraj Merlin, znalazłeś odpowiedź na nasze pytania? Ciągłe sobie przypominam jego słowa. „Coś, co mieliście, ale oddaliście, i coś, co macie, ale o tym nie wiecie”.

- Nic nie wymyśliłem. Nawet Sam i Mel nie potrafili sobie dać z tym rady. Uśmiechnij się. Wkrótce się wszystkiego dowiemy.

Kiedy przeszli do sali rycerskiej, inni goście powrócili do przerwanych rozmów i dalej obserwowali przychodzących. W tak barwnym, złożonym z samych sław tłumie nikt nie przykuwał uwagi na długo.

Lancelot niemal natychmiast spostrzegł Billa i przedstawił go Julie. Potem przyszła Peg, w pięknej brzoskwińowej sukni.

- Lancelocie - zwróciła się do rycerza. - Bardzo cię proszę, wybacz mi.

Ujął jej dłoń i ucałował, a trzeźwo stąpająca po ziemi doktor Reilly zarumieniła się po same uszy.

- Wygląda na to, że już się zaczyna. - Bill ruchem głowy wskazał na zbudowaną dla potrzeb gali scenę. Miał rację. Tego wieczoru wystąpili wszyscy, którzy coś znaczyli w świecie rozrywki. Ich popisy przerywały mowy i oświadczenia najbardziej wpływowych ludzi biznesu.

Takie nagromadzenie wrażeń przytępiło zmysły. Julie rozejrzała się i zauważyła, że nawet najwspanialsze występy nie robią już wrażenia na kłębiącym się wokół tłumie. To było zbyt dużo, wszyscy czuli się wręcz przytłoczeni.

Bill odszedł, żeby zebrać chórzystów ze schroniska Avalon, których właśnie przywieziono autobusem. Zbliżała się pora ich występu.

Dotychczas nic się nie zdarzyło, nic nadzwyczajnego. Julie jednocześnie czuła ulgę i narastającą panikę. Jeśli nie dzisiaj, to kiedy? I czy to by znaczyło, że z powodu dopuszczonego przez Merlina piętnastoprocentowego marginesu błędu tym razem nie dostaną swojej szansy?

Lancelot był czarujący; z właściwym sobie niewymuszonym wdziękiem i dystynkcją gawędził ze wszystkimi. Julie jednak widziała, że jest zmęczony, uśmiechał się z przymusem i kłaniał dość sztywno.

Wiedziała, że rycerz trzyma się ostatkiem sił. Po dzisiejszym wieczorze będzie już całkiem wyczerpany.

Stanąła obok niego w chwili, kiedy zapowiedziano występ chóru z Avalonu.

Bill wyszedł na podwyższenie, za nim członkowie chóru, odświętnie ubrani, z pełnymi zapału minami.

Jeden chórzysta oddzielił się od innych, ustawiających się na podium. Miał gładko ogoloną twarz i błyszczące oczy. Był ubrany w żółto-czarną tunikę. Z zadziwiającą łatwością wmieszał się w tłum. Tak wielu ludzi miało na sobie historyczne stroje o podobnym kroju, a jeszcze więcej wybrało na ten wieczór równie jaskrawe połączenia kolorystyczne.

- Panie i panowie... - Bill uśmiechnął się do wszystkich, potem skinął głową rycerzom na koniach. - Szanowna blacho. Jesteśmy chórem Głos Avalonu i mamy zaszczyt zaśpiewać dzisiaj dla państwa przyjemności.

Wieczór rozkręcał się na dobre.

Malvern, lekko pochylony, przemykał między ludźmi. Wszyscy stali zasłuchani, tylko jemu te dźwięki raniły uszy.

I nagle go zobaczył. Excalibur. Błyszczał w blasku reflektorów, drogie kamienie i szlachetne metale świeciły jak przyzywająca go latarnia. To był właśnie powód, dla którego się tu zjawił. Łacińskie zaklęcia pamiętał doskonale, nauczył się wszystkiego, co udało mu się znaleźć w księgach. Był przygotowany. Teraz, kiedy Excalibur znajdował się w zasięgu jego ręki, chroniony jedynie cienką przezroczystą kopułą, będzie mógł sięgnąć po swoje przeznaczenie.

Wszystko nagle wydało mu się aż nazbyt łatwe.

Lancelot też tu był. Wyczuwał jego obecność, chociaż jeszcze go nie widział. Lady Julia z pewnością także przysłała.

Lady Julia. Uśmiechnął się krzywo. Może zabierze ją ze sobą z powrotem do Camelotu, gdzie zostanie królem. Ginewra nie pociągała go tak jak Julia. Dzięki temu jego zwycięstwo będzie całkowite i absolutne. Ostatecznie pokona Lancelota. Jakże się będzie z niego śmiał. Jak się będzie puszył z dumy!

Wtem dostrzegł ją w tłumie. Lady Julię. Tak, zdobędzie ją. Wkrótce będzie jego. Zrobi z nią, co tylko zechce.

Jeszcze inna myśl przysłała mu do głowy. Może zdobędzie je obie, i Julię, i Ginewrę. A potem, kiedy będzie miał spokojną głowę, zastanowi się, którą sobie zostawić. Może obie. A może żadną. W każdym razie będzie to bardzo przyjemny dylemat, godny króla.

Król Malvern.

Na tę myśl wyprostował się. Potężny król Malvern. Wielki Malvern. Już słyszał, jak tłumy wiwatują na jego cześć. W głowie huczało mu od przyszłych pochwał i zachwytów i cieszył się, że nie słyszy śpiewu tego żałosnego chóru.

Teraz to już tylko kwestia czasu. Wkrótce świat zaśpiewa hymn pochwalny dla Malverna, najwspanialszego ze wszystkich królów.

Lancelot przebiegał wzrokiem tłum, spoglądał na miecz, pilnował Julii. Stała obok pana Swensona, który najwyraźniej był

zachwycony przebiegiem imprezy. To dobrze. Jeśli będzie zajęta, nie zauważy zamieszania.

Malvern tu był, niebezpiecznie blisko. Lancelot niemal czuł w powietrzu jego zapach.

Usłyszał śmiech Julii. Jego wzrok znów podążył ku niej, takiej pięknej i promiennej. Pochyliła się do któregoś z rozmówców i widział, że najpierw słucha go w skupieniu, a potem wesoło mu coś odpowiada. Samo patrzenie na Julię, jej gesty i ruchy, to był cud, wielka radość. Spoglądając na nią z zachwytem, nagle zdał sobie z czegoś sprawę, z czegoś zwykłego, strasznego i jednocześnie cudownego.

Kochał ją.

Właściwie znał tę prawdę od samego początku. A może nawet jeszcze wcześniej. Nigdy jej tego nie powiedział. Stojąc z dala od ukochanej, zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś będzie miał okazję jej to wyznać.

Miecz nadal był bezpieczny. Ona również była bezpieczna. Przynajmniej na razie. Przysiągł sobie, że bez względu na konsekwencje postara się, żeby tak było zawsze. Choćby miał stracić życie.

Julie z niedowierzaniem słuchała dowcipu, który opowiedział jej pan Sticklej, trochę rubasznego, ale bardzo zabawnego. Kiedy się śmiała, czuła ulgę. Wszystko wydawało się takie normalne.

Chór z Avalonu zszedł ze sceny. Świetnie wypełnili swoje zadanie. Byli na tyle profesjonalnych, doskonałych wykonawców, którzy występowali przed nimi i po nich, niczym powiew świeżego powietrza. Pan Swenson wspomniał coś na temat regularnego wspierania schroniska, ustanowienia stałej dotacji, a Julie poczuła wielką radość, że ona też ma w tym swój mały udział.

Kiedy pan prezes opowiadał kolejny dowcip - jak on mógł je wszystkie zapamiętać? - poszukała wzrokiem Lancelota. Łatwo

było go zauważyć, ponieważ górował wzrostem, a z pewnością był najprzystojniejszy w całej sali, a pewnie i na świecie.

Max z agencji zawiadomił ją szeptem, że ktoś z „Daily News” chce zrobić z nią krótki wywiad, więc bardzo niechętnie oderwała wzrok od Lancelota.

Idąc przez tłum, odetchnęła głębiej. Obudziła się w niej nadzieja, że może wszystko się jakoś ułoży. Lancelot przyzwyczaił się do tych czasów i będą szczęśliwie żyli tu dalej. Razem ułożą sobie życie na nowo.

Uśmiechnęła się. To byłoby cudowne.

W szyscy uśmiechali się rozbawieni na widok człowieka w żółto-czarnej tunice.

- Kto to ma być? Basil Rathbone?

- Nie, nie. Wygląda jak Czarny Książę.

- Wydawało mi się, że Czarny Książę nosi! koronę, a nie czarno-żółtą tunikę.

- Może to jest Książę Trzmieli.

Zaczęli chichotać, a człowiek w tunice spojrział na nich z wściekłością. Śmiech natychmiast zamilkł.

Malvern nadal posuwał się naprzód, wolno, ostrożnie, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Tłum na chwilę się rozstał i wtedy ją zobaczył. Lady Julię. Nie wiedział dlaczego, ale jeszcze raz zmienił plan. Najdotkliwiej mógł zemścić się na Lancelocie w tak oczywisty sposób! Nie zabierze ze sobą lady Julii, żeby znalazła pocieszenie w jego ramionach w Camelocie, ale zostawi ich tu oboje. Jeszcze lepiej będzie, jeśli Lancelot zostanie tu żywy, a lady Julia martwa.

To będzie dopiero zwycięstwo! Odbierze mu wszystko, nawet pocieszenie, że lady Julia przeżyła. Lancelot zostanie z niczym!

A będzie to bardzo łatwe. Wierny Excalibur dopomoże mu w obu czynach, zakończy życie Julii i zacznie nowe życie Malverna.

Wtedy go olśniło: o tym właśnie mówił łaciński tekst. Dwie rzeczy, dwie wyjątkowe rzeczy. Jedną jest Excalibur; drugą - klęska Lancelota, pogłębiona śmiercią Julii. Jakież to doskonałe, jak wspaniałe, wyważone dzieło sztuki.

Znów rozejrzał się za Julią. Musiał sprawić, żeby była blisko niego i blisko miecza. Powinien już zacząć wypowiadać zaklęcia.

Recytował z pamięci. Cicho wymawiał magiczne słowa, jakby do siebie, ale wystarczająco głośno, żeby usłyszały je siły, do których były adresowane. Kilku ludzi spojrzało ze zdziwieniem na samotnego ciemnowłosego człowieka, który najwyraźniej mówił sam do siebie.

- Takie są, niestety, problemy, kiedy rozdają darmowe drinki - skomentował ktoś jego zachowanie.

On jednak tego nie słyszał ani też nie obchodziło go, jakie robi wrażenie.

Stojący na drugim krańcu sali Lancelot wyczuł, że coś się zaczęło. Wolno przebiegł wzrokiem po setkach twarzy gości, szukając tego jednego człowieka. Jakby kierowała nim jakaś niewidzialna siła, odwrócił się i ujrzał Malverna, który ukradkiem zbliżał się do Excalibura. Jednak najbardziej przeraził go jego wzrok. Malvern patrzył na Julię wzrokiem wygłodniałej bestii.

Ona nic nie zauważyła.

- Julio, strzeż się! - powiedział głośno, aż stojący wokół ludzie spojrzeli na niego ciekawie, lecz ona go nie widziała ani nie usłyszała jego słów. Prowadziła ożywioną rozmowę z jakąś młodą kobietą, która zapisywała jej wypowiedzi.

Lancelot wolno skierował się do miecza, nie spuszczać Julii z oczu.

- Daj mi siłę - wyszeptał.

Malvern lekko się pochylił, uniósł łokieć, jednym ciosem roztrzaskał plastikową kopułę i chwycił miecz za rękojeść.

Zdziwiony tłum powoli milkł. Lancelot ostrożnie stanął tuż obok Malverna i wyczekiwał sposobności.

Malvern nadal recytował zaklęcia, lekko podnosząc głos. Z miecza zaczęły się wydobywać jasne promienie.

Julie zorientowała się, że powstało jakieś zamieszanie.

- Co się dzieje? - zapytała pana Swensona, który na szczęście był tak wysoki, że patrzył ponad głowami innych.

- Jaki świetny pomysł. - Mrugnął do niej wesoło. - Zdaje się, że to jakieś przedstawienie. Widzę tego aktora, który gra Lancelota, i jeszcze kogoś. Wspaniały początek kampanii, panno Gaffney.

Ale ona już biegła do Lancelota, przeciskając się przez ludzką cizbę. W głowie huczały jej słowa: „Coś, co już mieliście, ale oddaliście, i coś, co macie, ale o tym nie wiecie”.

Boże, myślała w popłochu. Pozwól mi zrozumieć te słowa.

Wtem zobaczyła ich obu, Lancelota i Malverna. Zamarła, nie chcąc, żeby jakiś jej nagły ruch rozproszył uwagę tego pierwszego.

Malvern trzymał Excalibur.

Miecz wydawał się ożywać; lekko wibrował, jak skrzydła ptaka.

Ostrożnie podeszła bliżej. Gdyby tylko mogła dosięgnąć miecza.

Malvern uśmiechnął się drwiąco do Lancelota.

- Wiesz, że tym razem wygram. Mam wszystko. A wkrótce dostanę również ją, i zrobię z nią, co zechcę. Ale wiesz co? Ona mnie nudzi. Najlepiej się zabawię, jeśli ją zabiję jak...

Na te słowa Lancelot, który całą siłą woli panował nad nerwami, skoczył na oszołomionego Malverna. Ludzie entuzjastycznie bili brawo. Wytracony z ręki Malverna Excalibur upadł na podłogę, kilka kroków od rywali.

Obaj zwarli się w śmiertelnej walce i tylko Julie wiedziała, o jaką tu chodzi stawkę. Co mam robić, z rozpaczą pytała się w duchu. Obserwowała walczących i podchodziła coraz bliżej.

Nikt nie dotykał miecza. Julie zacisnęła dłonie w pięści. Chciała coś zrobić, ale bała się, że jeśli postąpi nie tak jak trzeba, to zaszkodzi Lancelotowi.

Ludzie byli zachwyceni. Uznali, że to część występów. Widzieli

przed sobą troje ludzi w strojach z epoki. Nikt nawet nie podejrzał, że dzieje się coś złego.

Julie podeszła na tyle blisko, że słyszała słowa zaklęć, wypowiedane przez Malverna. A jeśli zaklęcia podziałają? Już sięgał po miecz, ale Julie kopnięciem odrzuciła go dalej.

Rysy Lancelota wykrzywił gniew.

Między łacińskimi słowami Malvern syczał mu prosto w twarz:

- Nie pożegnałeś się z nią, co? A to szkoda!

Przetoczyli się po podłodze, odpychając Excalibur jeszcze dalej. Lancelot zdał sobie sprawę, że wypowiadając zaklęcia, Malvern może rzeczywiście zaraz przenieść się do Camelotu i zabrać go ze sobą, ponieważ byli spleceni w zapaśniczym uścisku.

Kątem oka dostrzegł Julie. Jeśli ją teraz opuści, to nigdy nie będzie miał szansy powiedzieć, co do niej czuje, nie wyzna jej miłości. Jeżeli przeniosą się obaj do Camelotu, Julia nigdy już nie będzie musiała bać się Malverna, on oczyści swoje imię, odzyska honor.

Dźwięk wydawany przez miecz był teraz głośniejszy, tłumiał hałas, jaki robili, przetaczając się po marmurowej posadzce.

Mógłby ją ocalić, ochronić... i nigdy już nie zobaczyć jej twarzy, nie usłyszeć śmiechu. Nie mógłby więcej dotykać włosów Julie, czuć zapachu jej perfum.

Zobaczył skraj jej sukni i wystający spod aksamitnej tkaniny czubek pantofelka.

W jednej przerażającej chwili Malvern skoczył na równe nogi i chwycił Julie w pasie.

- Ha! - krzyknął triumfalnie.

Kilka osób jeszcze klaskało, ale zaraz wszyscy znieruchomieli. Nawet rozbawieni gapie zaczęli rozumieć, że dzieje się coś złego.

Zdyszany Lancelot wolno podniósł się z posadzki, starając się nie tracić z oczu ani Julie, ani miecza.

Malvern coraz głośniej i głośniej recytował łacińskie zaklęcia. Julie, z początku zaskoczona, teraz próbowała się mu wyrwać, kopiąc go i uderzając łokciem z całych sił.

- Puść mnie, ty wariacie! - zawołała, przekrzykując jego zawodzenie. Odwróciła się i ugryzła go w ramię.

Głos Malverna podskoczył o oktawę, a ludzie zaczęli się z niego śmiać, co doprowadziło go do jeszcze większej wściekłości.

- Wszyscy jesteście skazani! - zawył.

Julie rozejrzała się i zobaczyła Lancelota. Miał taki wyraz twarzy, że mało nie pękło jej serce. Nadal usiłowała się wyrwać swojemu dręczycielowi, lecz nagle zobaczyła przed sobą inną twarz.

Na chwilę zamarła w bezruchu, zastanawiając się, czy to tylko figiel wyobraźni. W środku tłumu stał Merlin, w swoich szatach czarodzieja. Uśmiechnął się z wolna, a Julie poczuła w głowie gonitwę myśli.

„Coś, co już mieliście, ale oddaliście, i coś, co macie, ale o tym nie wiecie”.

Staruszek puścił do niej oko.

Julie spazmatycznie chwyciła powietrze. A więc o to chodziło! Cały czas! Rozwiązanie jego zagadki... Excalibur.

I ich miłość!

Zanim zdążyła cokolwiek uczynić, Lancelot rzucił się na Malverna, a ten zaskoczony rozluźnił uścisk, tylko na chwilę, ale Julie to wystarczyło, żeby chwycić Excalibur.

Tłum rozsunał się na boki. Dźwięki wydawane przez miecz stały się niemal ludzkie, jak ton nakładających się na siebie pieśni.

Trzymała miecz pewnie, oburącz. Jego pieśń stawała się coraz głośniejsza. Julie chciała coś powiedzieć, ale miecz ją zagłuszał.

Lancelot wreszcie unieruchomił Malverna, z wysiłku zaciskając zęby. Uniósł wzrok i spojrzał na Julie.

Malvern zasługiwał na karę. Nie tylko za to, co zrobił tutaj, ale za wszystkie swoje zdradzieckie czyny.

Julie ostrożnie odsunęła jedną dłoń od miecza i w rytm jego magicznej pieśni wyciągnęła ją do Lancelota.

Teraz rycerz miał wybór. Mógł ukarać wroga albo ująć wyciągniętą rękę Julie...

Kiedy Lancelot rozluźnił chwyt, Malvern bezwładnie opadł na posadzkę.

Szlachetny rycerz wolno poszedł w stronę światła, tam gdzie jaśniała piękna aureola miłości. Ręce kochanków się zetknęły.

W tej samej sekundzie powietrze przeszył jaskrawy, oślepiający błysk...

Lancelot i Julie zniknęli.

Długo jeszcze w sali panowała cisza, potem rozległy się krzyki i huczne oklaski, powstał radosny gwar. Wszyscy nie posiadali się z zachwytu.

Malvern próbował uciec, ale schwytał go agent ochrony i wyprowadził z sali.

Ludzie patrzyli po sobie, nie bardzo wiedząc, co się właściwie wydarzyło. Zdawali sobie jednak sprawę, że byli świadkami czegoś niezwykłego. Nieważne, co na ten temat napiszą gazety, nieważne, co oni sami powiedzą jutro, jak wytłumaczą sobie to, co się rozegrało. W tej chwili nie mieli wątpliwości, że byli świadkami czystej magii.

Nie tylko byli świadkami magii, ale również jej częścią.

21

Pomóż mi - poprosił.

Julie uśmiechnęła się.

- Czy nie zrobiłam już wystarczająco wiele?

Lancelot ujął jej dłoń i delikatnie ucałował.

- Prawdę mówiąc, nie. - Spojrzał na nią znacząco bławatkowymi oczami.

Przez chwilę tylko na niego patrzyła i zastanawiała się, czy kiedykolwiek sama jego bliskość, brzmienie głosu, dotyk ręki przestaną napawać ją dreszczem rozkoszy. I była pewna, że to cudowne uczucie będzie trwało zawsze. Zawsze.

- A więc czego żądasz od swojego byłego giermka? - zapytała.

- Jeszcze jednego pocałunku - oznajmił stanowczo. - Jako pan młody domagam się tego, co mi się należy.

- Nie możemy poczekać? Przecież właśnie trwa nasze przyjęcie weselne.

Wielka sala biesiadna na zamku nigdy jeszcze nie była tak pięknie przybrana. Nad wszystkimi drzwiami i oknami wisały kwiatowe girlandy, stoły ugiwały się od najrozmaitszych weselnych tortów.

Lancelot spojrział na setki ludzi, zebranych przed nimi w sali.

Byli tu wszyscy mieszkańcy Camelotu: mężczyźni, kobiety i dzieci. Po lewej siedzieli król Artur i królowa Ginewra, pogrążeni w rozmowie z Merlinem. Co jakiś czas Artur spoglądał na poddanych. Kiedy jego wzrok natrafiał na Lancelota i Julie, spojrzenie mu łagodniało. Potem znów wracał do rozmowy z czarodziejem.

- Jak myślisz, o czym rozmawiają? - zapytała Julie. Przysunęła się bliżej do Lancelota i odgarnęła mu lśniące czarne włosy z czoła.

- Może wspominają stare czasy. - Lancelot uśmiechnął się. I dyskutują na temat tego piętnastoprocentowego marginesu błędu.

Wybuchnęli śmiechem, ciesząc się taką prostą, zwykłą rzeczą jak wzajemna bliskość. Umilkli i Lancelot chwycił Julie za rękę.

Westchnęła. Nie miała ochoty odrywać wzroku od jego twarzy.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę wróciliśmy do domu. Spuścił wzrok i lekko ściągnął brwi.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

- Słucham. - Pochyliła się i położyła rękę na jego ramieniu. Podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

- Zostawiłaś wszystko, co było ci znajome. Wszystko. Miałaś wspaniałą pracę, wiodłaś dostatnie życie, Julio. Muszę wiedzieć...

- Mów dalej - wyszeptała.

- Czy jest coś, czego żałujesz? Coś, za czym będziesz tęskniła?

- Lancelocie - odparła cicho. - Nie wiesz, że to ty jesteś moim życiem? Zawsze byłeś. Tylko po prostu o tym nie wiedziałam. Tutaj jest mój dom, moje miejsce na świecie.

Przytulił ją do siebie najmocniej, jak potrafił. Widać było, jak bardzo jej potrzebuje.

- Julio - wyszeptał ochryple, a ona zamknęła oczy w nadziei, że ta chwila nigdy się nie skończy. Potem posadził ją sobie na kolanach i delikatnie gładził potężnymi dłońmi. - Tak już będzie zawsze, moja ukochana. Przyrzekam ci. Tym razem tak już będzie zawsze.

I rzeczywiście, tak było.

EPILOG

Doktor Peg Reilly bardzo chciała odwiedzić dziwaczny mały sklepik - antykwariat o śmiesznej nazwie Pod Kociołkiem i Czaszką. Dotychczas jej reputacja profesjonalistki i zakorzeniona niechęć do dziwacznych małych sklepików nie pozwalały jej tego zrobić.

Tym razem jednak przyświecał jej chwalebny cel. Za niespełna dwa tygodnie jej siostrzeniec miał skończyć dziesięć lat. Miała zamiar zabrać Nathana i jego kolegów do Karczmy Rycerskiej, restauracji ze średniowiecznym wystrojem. Potrzebowała jeszcze jakiegoś prezentu, który ucieszyłby zafascynowanego opowieściami o rycerzach czwartoklasistę. Zdecydowanym krokiem weszła do sklepu. Jej przybycie oznajmiły wiszące nad drzwiami dzwoneczki.

Mężczyzna o miłym wyglądzie stał za ladą.

- Dzień dobry - przywitał ją z uśmiechem. - Czym mogę służyć?

Peg uznała, że sprzedawca wygląda naprawdę niezwykle miło.

- Dzień dobry. Szukam prezentu dla siostrzeńca. Kończy dziesięć lat i... - Pociągnęła nosem. - Czyżbym czuła tu ocet?

Mężczyzna oparł dłoń na biodrze.

- To niewiarygodne! Rzeczywiście, można tu wyczuć zapach octu. Kiedyś mój dziadek miał tu skład z marynatami. Ma pani bardzo wrażliwy nos.

Nie wiadomo dlaczego, ten komentarz sprawił jej wielką przyjemność. Poczwała, że się rumieni, a zdarzało jej się to niezwykle rzadko.

- No, więc... mój siostrzeniec...
- Zobaczmy. Może interesuje go legenda o Camelocie?
- Nie jestem pewna - przyznała. - Właśnie zakończył etap fascynacji Power Rangers.

- To pocieszające - odparł sprzedawca i oboje się uśmiechnęli. - Mam tutaj dużą rzadkość, stary komiks w twardej oprawie. To już klasyka, wydano go sześćdziesiąt lat temu.

Książka była pięknie oprawiona.

- Myrddin? Co za niezwykle nazwisko.
- Owszem, dość niezwykle. W zasadzie to tyle samo co Merlin, tylko po walijsku.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Widzi pani, wszystko tutaj jest. Camelot, Merlin, Artur. Tu pojawia się Ginewra, a na następnej stronie...

- Lady Julia! Zawsze była moją ulubienicą.
- Tak? Ja podziwiałem Lancelota.
- Oni są w tej legendzie najlepsi! Raz Julia przebrała się za giermka...

Dokończyli zdanie zgodnym chórem:

- George'a!
- A potem zjawił się podstępny Malvern - ciągnęła Peg. Mimo- wolnie zadrżała z obrzydzenia.
- Niech pani tylko spojrzy, jak Myrddin wspaniale! sportretował Malverna. To przecież wcielone zło.

- Och, a Lancelot! Wygląda cudownie- stwierdziła z westchnieniem. - Takie realistyczne ilustracje. Niech pan spojrzy na oczy Lancelota albo na włosy Julii. Jak prawdziwe.

- Powinna pani mieć trochę czasu, żeby zastanowić się nad kupnem. Książka nie jest tania. - Odchrząknął. - Może zaprosiłbym

panią na filiżankę kawy? Obejrzy sobie pani całą książkę w spokoju. Zdecyduje, czy... - Poczerwieniał. - Zdecyduje pani, czy to będzie właściwy wybór.

Peg nadal się uśmiechała, patrząc na ilustracje. W końcu podniosła wzrok.

- Ja... tak, wydaje mi się, że to będzie właściwy wybór. A kawa... Jasne. Z przyjemnością.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Wspaniale! Chwileczkę. - Podszedł do zasłony z koralików. - Hej, Mel! Idę na kawę. Niedługo wrócę. - Podał ramię Peg. - Nazywam się Sam.

- A ja Peg - odparła, przyjmując podane jej ramię.

Dzwoneczki zadźwięczały, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.

OD AUTORKI

przeciągu wielu wieków powstawały liczne wersje legendy o królu Arturze, w wielu różnych językach. Niemożliwością jest stwierdzić, która z nich jest najbardziej prawidłowa czy ostateczna. Nie ma też niezbitego dowodu na istnienie Camelotu. Nawet opowieści o odnalezieniu szczątków Artura i Ginewry niepokojąco przypominają mit.

Tak więc, tworząc wizję Camelotu, autor zawsze ryzykuje, że narazi się purystom, którzy wytworzyli sobie sztywne wyobrażenie o tym, jak wyglądałoby to królestwo, oczywiście, gdyby istniało. Następną pułapka czyha na tego, kto stworzyłby historycznie poprawną wizję tamtych czasów, ponieważ wtedy nie mógłby uniknąć opisów ciężkiego życia i biedy, jaką cierpieli ludzie w Brytanii w piątym wieku. Choćby nie wiem jak porywający był romans, takie tło nie jest przyjemne. A jeśli ktoś by się trzymał jednego źródła, zwłaszcza wcześniejszego, z dziesiątego wieku, czy nawet późniejszego, na przykład dzieła pod tytułem *Król Artur* Johna Drydena, z 1691 roku, musiałyby pominąć dodane później wątki, tak lubiane przez czytelników.

Innymi słowy, bez względu na obraną ścieżkę, autor zawsze zbacza na manowce. I to jeszcze jak.

Piszę to wszystko, żeby wytłumaczyć, że tak naprawdę zdaje sobie sprawę, że tysiąc pięćset lat temu nie było wielkich luster, zamków w drzwiach i kluczy, telefonów komórkowych i przyuczonych do czystości koni. Ludzie inaczej się wyrażali, nie tak nowocześnie, jak w tej powieści. Pewnie mieli sto nazw na zarazę, natomiast nie znali słowa „czekolada”.

Książka ta nie jest próbą odtworzenia realiów tamtych czasów, ale raczej moją własną wizją pięknego Camelotu i porywającego bohatera romansu. Chciałam stworzyć magiczne miejsce, które mogłoby istnieć w każdym czasie.

Poza tym, czy jest coś cudowniejszego niż czysta miłość? Nikt, nawet najbardziej uzdolniony, nie byłby tak bezczelny, by twierdzić, że wynalazł miłość. To jest prawdziwa magia i jedyna rzecz absolutnie prawdziwa w tej historii.

Zrozumcie to.